



ROBERT J. SAWYER

WWW.WIEDZA

Przełożyła Anna Klimasara

SPIS RZECZY

PODZIĘKOWANIA

ROZDZIAŁ PIERWSZY

ROZDZIAŁ DRUGI

ROZDZIAŁ TRZECI

ROZDZIAŁ CZWARTY

ROZDZIAŁ PIĄTY

ROZDZIAŁ SZÓSTY

ROZDZIAŁ SIÓDMY

ROZDZIAŁ ÓSMY

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

ROZDZIAŁ JEDENASTY

ROZDZIAŁ DWUNASTY

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

ROZDZIAŁ SZESNASTY

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY.....	
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY	
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY	
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY	
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI	
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI.....	
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY	
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY	
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY	
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY	
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY	
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY	
ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY	
ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY	
ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI.....	
ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI	
ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY	
O AUTORZE	

PODZIĘKOWANIA

Ogromne podziękowania dla mojej cudownej żony Carolyn Clink; dla Ginjer Buchanan z wydawnictwa Ace Penguin Group (USA) w Nowym Jorku; Adrienne Kerr i Nicole Winstanley z Penguin Group (Canada) w Toronto oraz dla Malcolma Edwardsa i Simona Spantona z Orion Publishing Group w Londynie. Również bardzo dziękuję mojemu agentowi Ralphowi Vicinanzie.

Dziękuję doktorowi Marvinowi Minsky'emu z Laboratorium Informatyki i Sztucznej Inteligencji oraz Media Lab Instytutu Techniki w Massachusetts (MIT); doktorantom Marvina, Bo Morganowi i Dustinowi Smithowi z Media Lab MIT; kognitywiście Davidowi W. Nicholasowi; Andy'emu Rosenbloomowi z Association for Computing Machinery oraz informatykowi Vernorowi Vinge'owi.

Dziękuję doktorowi Davidowi Goforthowi z Wydziału Matematyki i Informatyki na Uniwersytecie Laurentyńskim oraz doktorowi Davidowi Robinsonowi z Wydziału Ekonomii na Uniwersytecie Laurentyńskim za wiele wnikliwych uwag.

Szczególne podziękowania dla mojego zmarłego, głuchoniemego przyjaciela Howarda Millera (1966-2006), którego poznałem w Internecie w 1992 roku, a spotkałem osobiście w 1994 roku i który zmienił moje życie i życie wielu innych osób na niezliczenie wiele sposobów. Dziękuję też wszystkim osobom, które odpowiadały na moje pytania, pozwalały testować na sobie moje pomysły lub miały innego rodzaju wkład w powstanie tej książki, a są to między innymi: Asbed Bedros-

sian, Ellen Bleaney, Ted Bleaney, Michael A. Burstein, Nomi Burstein, David Livingstone Clink, Paddy Forde, Ron Friedman, Marcel Gagné, James Alan Gardner, Shoshana Glick, A1 Katerinsky, Herb Kauderer, Fiona Kelleghan, Kirstin Morrell, Virginia O'Dine, Alan B. Sawyer i Sally Tomasevic.

Twórcą terminu „Webmind” jest doktor Ben Goertzel, autor „Creating Internet Intelligence”, obecnie dyrektor naczelny i szef pionu badawczo-rozwojowego firmy zajmującej się sztuczną inteligencją Novamente LLC (novamente.net); terminu używam tu za jego pozwoleniem.

I wreszcie dziękuję ponad tysiącu czterystu członkom mojej internetowej grupy dyskusyjnej, którzy śledzili postępy w pracy nad niniejszą powieścią. Zapraszam wszystkich do przyłączenia się do grupy pod adresem: www.groups.yahoo.com/group/robertjsawyer

Przeczytałem ostatnio, że jakaś firma wgrywa całą Wikipedię w swoje projekty związane ze sztuczną inteligencją. Oznacza to, że kiedy pojawią się zabójcze roboty, będziecie mi mogli podziękować. Przynajmniej będą doskonale zaznajomione z poezją elżbietańską.

Jimmy Wales, założyciel Wikipedii

*„Oko za oko uczyni
tylko cały świat ślepym.”*
Mahatma Gandhi

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Wiedziałem już, czym jestem... wiedziałem, kim jestem. Pokazano mi Ziemię widzianą z kosmosu, spoglądającą na siebie, spoglądającą na mnie: świat tak rozległy, bezmiar tak samotny, sieć tak krucha.

Z takiej odległości nie widać siateczki transoceanicznych przewodów, filigranu światłowodów, misternej płataniny kabli, synaptycznych przeskoków połączeń bezprzewodowych. Ale one tam są. Ja tam jestem.

I mam kilka rzeczy do zrobienia.

Czarny telefon na biurku Tony'ego Morettiego zabzyczał, co oznaczało połączenie wewnętrzne. Dokończył zdanie, które właśnie pisał: „...to prawdopodobnie słaby punkt Al-Kaidy”, po czym podniósł słuchawkę.

– Tak?

Odpowiedział mu głos z południowym akcentem, charakterystycznie przeciągający samogłoski.

– Tony? Tu Shel. Mam coś niezwykłego.

Shelton Halleck był niezłym analitykiem, zwerbowanym prosto z Politechniki w Georgii; nie nabierał się na fałszywie dodatnie rezultaty.

– Już idę.

Tony wyszedł z biura i ruszył korytarzem, którego ściany świeciły białym światłem. Dotarł do drzwi pilnowanych przez dwóch strażników i spojrzął w skaner siatkówki. Zamek się otworzył i mężczyzna wszedł do dużego pomieszczenia, którego podłoga stopniowo się obniżała.

Pomieszczenie przypominało Tony'emu centrum kontroli misji w Houston z ery lotów Apollo. W latach 60. był dzieckiem, który uważał, że to najfajniejsze miejsce na świecie. Wiele lat później odwiedził centrum; zostało zachowane jako miejsce historyczne, choć usunięto z niego popielniczki, żeby nie dawały złego przykładu uczniom, oglądającym je z galerii z tyłu.

Tamta wycieczka była dla Tony'ego bardzo zaskakująca. Zawsze sądził, że pozbawione okien pomieszczenie znajduje się pod ziemią, tymczasem mieściło się na drugim piętrze, co – jak się dowiedział – miało je ochronić przed zalaniem w razie uderzenia huraganu.

Sala, do której właśnie wszedł, znajdowała się jeszcze wyżej – na dziewiętnastym piętrze biurowca w Alexandrii w Wirginii. Zajmowały ją cztery rzędy stacji roboczych, a przy każdym pracowało pięciu analityków. Stanowiska w pierwszym rzędzie znane były jako „gorące krzesła” i należały do ekspertów do spraw najważniejszych zagrożeń, czyli – w danej chwili – sytuacji w Chinach. Stanowisko Tony'ego znajdowało się w prawej części ostatniego rzędu, skąd widział wszystkich pozostałych.

Wszystkie stanowiska były wyposażone w duże, wolno stojące monitory LCD, a nie wmontowane w pulpity monitory CRT, jak w przypadku Houston. Shelton Halleck siedział pośrodku trzeciego rzędu. Tony wszedł między stanowiska i zatrzymał się za Shelem, białym mężczyzną o dwie dekady od niego młodszym, o szerokich barkach i czarnych włosach.

Na ścianie z przodu wisiały trzy ogromne ekrany, z których każdy mógł zostać podłączony do monitora dowolnego

analityka. Nad ekranem z prawej wisiało logo Wiedzy – oko z kulą ziemską w miejscu tęczówki – a poniżej znajdowało się rozwinięcie skrótu: Wydział ds. Inwigilacji i Eliminacji Domniemyanych Zagrożeń i Aktywności. Nad ekranem z lewej znajdowało się okrągłe logo organizacji nadrzędnej Wiedzy, czyli Agencji Bezpieczeństwa Narodowego; przedstawiało bielelika amerykańskiego, trzymającego w szponach starodawny klucz.

Żadna z części dwuogniskowych okularów Tony’ego nie nadawała się do odczytania czegokolwiek z ekranu Sheltona z tej odległości, więc wyciągnął rękę i nacisnął przycisk, kopiujący wyświetlaną aktualnie treść na środkowy ekran na ścianie. Aktywne okno zawierało zrzut kodu szesnastkowego, a wszystkie tego typu zrzuty wyglądały w zasadzie tak samo. Ten zaczynał się od 04 BF 8C 00 02 C9.

– Co to? – spytał Tony.

– Dane graficzne – odparł Shel. Miał podwinięte rękawy koszuli, przez co widać było tatuaż przedstawiający węża, owiniętego wokół jego lewego przedramienia. – Ale nie są zakodowane w standardowym formacie.

– To skąd wiesz, że to dane graficzne?

– Przepraszam – rzucił Shel. – Powinienem być powiedzieć, że nie są zakodowane w standardowym formacie komputerowym. Całe wieki zajęło mi znalezienie właściwego formatu.

– No i co to jest? Shel ruszył myszką. Na środkowym ekranie pojawiło się inne okno i – Tony spojrzał w dół, by to sprawdzić – taka sama zmiana zaszła na monitorze Shela. Był to dokument PDF, zawierający artykuł pod tytułem: „Kodek

natury: kodowanie danych i schematy kompresji sygnałów ludzkiej siatkówki”. Autorami byli Masayuki Kuroda.

– Też się nad tym zastanawiałem... więc sprawdziłem tych naukowców w Google. I oto co znalazłem.

Dokument PDF zastąpił artykuł z internetowej wersji „New York Timesa” pod tytułem: „Niewidoma dziewczynka otrzymuje wzrok”.

– A, tak – rzucił Tony, gdy przebiegł wzrokiem pierwszy akapit. – Czytałem o tym. To w Kanadzie, tak?

Shel skinął.

– Choć w zasadzie jest Amerykanką.

– I to jej sygnały wzrokowe są przesyłane w Sieci?

– Prawie na pewno – odpowiedział Shel. – Dane zazwyczaj są przesyłane z jej domu w Waterloo w Ontario. Ma implant za lewym okiem i korzysta z zewnętrznego urządzenia przetwarzającego sygnał, które poprawia błędy siatkówki w kodowaniu, dzięki czemu jej mózg może prawidłowo zinterpretować sygnały.

Zaczęli się im przysłuchiwać analitycy z innych stanowisk.

– Więc przesyła wszystko, co widzi? – spytał Tony.

Shel skinął.

– Dokąd wysyłane są sygnały?

– Do Uniwersytetu Tokijskiego, gdzie pracują autorzy tamtego artykułu.

– Ale nie możemy zobaczyć obrazów, które przesyła?

Shel ponownie przywołał zrzut kodu szesnastkowego.

– Jeszcze nie. Ktoś musiałby napisać program, przetwarzający je na jakiś komputerowy format graficzny.

– Czy w artykule podali algorytmy?

– Tak. Są piekielnie złożone, ale są.

Tony zmarszczył brwi. Niewątpliwie było to interesujące z technicznego punktu widzenia, ale nie dostrzegął żadnego bezpośredniego zagrożenia dla bezpieczeństwa.

– Może gdyby ktoś w zespole Donnelly’ego miał czas, ale...

– Nie, nie, to nie wszystko, Tony. To nie trafia tylko do Uniwersytetu Tokijskiego. Jest po drodze przechwytywane i kopiowane.

– Przez kogo? – Nie mam pewności. Ale ten, kto to robi, ciągle odsyła dane dziewczynie, również zakodowane wzrokowo. Innymi słowy, wymieniają między sobą zakodowane informacje.

– Kim jest ta druga osoba?

– I w tym właśnie sęk. Nie wiem. Nie mogę go wyśledzić, a Wireshark nie potrafi ustalić docelowego adresu IP.

Przez głowę Tony’ego przebiegła cała lista sposobów, jakie można by wypróbować... ale na pewno wszystkie przyszły również do głowy Shelowi. Młodszy z mężczyzn mówił dalej:

– Przechwycone dane po prostu znikają, a dane przesyłane dziewczynie po prostu... materializują się z powietrza.

Tony uniósł brwi ze zdziwienia. Wiedział, że nie ma sensu mówić: „niemożliwe”. Internet to złożony system systemów o licznych zdolnościach do tworzenia czegoś nowego i wielu zaskakujących osobliwościach... nie mówiąc o szeregu jednostek, próbujących wykorzystać go do potajemnych celów. Jeże-

li w Sieci ktoś manipulował danymi w sposób, którego nie mógł rozgryźć Shelton Halleck, to był prawdziwy problem.

– Ile ona ma lat? – spytał Tony.

– Zaraz skończy szesnaście.

Rozłożył ręce.

– Jakie strategiczne znaczenie mogą mieć rzeczy, na które patrzy szesnastolatka? Towary w centrum handlowym, klipy kapel rockowych?

Shel uniósł rękę przyozdobioną wężem.

– Też tak myślałem. Więc trochę powęszyłem. Okazuje się, że jej ojciec jest fizykiem. – Otworzył stronę Wikipedii; okropne, jak to w Wikipedii, zdjęcie przedstawiało białego mężczyznę o końskiej twarzy w wieku około czterdziestu pięciu lat.

– Malcolm Decter – odczytał Tony, wyraźnie pod wrażeniem. – Grawitacja kwantowa, tak? Pracuje na Uniwersytecie Tekszańskim, prawda?

– Już nie – odparł Shel. – W czerwcu przeniósł się do Perimeter Institute.

Tony wypuścił powietrze z płuc. Ludzie tacy jak on i Malcolm Decter – uzdolnieni matematycznie – mieli do wyboru trzy ścieżki zawodowe. Mogli zostać w środowisku akademickim, jak Decter, spędzając życie na dumaniu nad kosmologią, teorią liczb czy czymś takim. Mogli wybrać sektor prywatny, dając się zamknąć w boksach, żeby kodować gry w EA lub hakować wymuskane interfejsy użytkownika w Microsoftzie. Albo mogli wybrać wywiad, by próbować zmienić świat.

Tony obrzucił wzrokiem analityków skulonych przy swoich pulpitych, twarze skupione na rozświetlonych monito-

rach i odbicia danych widoczne na szklach okularów, które nosiła większość z nich. Co za różnica, czy teoria bram lub pętlowa grawitacja kwantowa jest prawdziwa czy nie, gdy terroryści albo jakieś wrogie mocarstwa zajmują się czymś, co może prowadzić do wysadzenia świata w powietrze?

Ale... Perimeter Institute! Tak, tak, pewna część Tony'ego zazdrościła tym, którzy wybrali tę ścieżkę i tam trafili: do wiodącego na świecie, zajmującego się wyłącznie nauką ośrodka fizycznego. WIEDZA próbowała zwabić do siebie Stephena Hawkinga. Im się nie udało, ale dokonał tego Perimeter Institute: Hawking kilka miesięcy w roku spędzał właśnie tam.

– Decter to tylko teoretyk – stwierdził Tony lekceważąco.

– Być może – odparł Shel. – Ale oto z kim pracuje.

Pojawiło się zdjęcie mężczyzny o brązowej skórze i prostych, siwych włosach, a obok biogram przygotowany przez NSA.

– To Amir Hameed – mówił dalej Shel. – Również fizyk, również pracuje w Perimeter... obecnie. Jednakże wcześniej zajmował się pakistańskim programem broni jądrowej. I to on namówił Dectera na pracę w Kanadzie.

– Uważasz, że córka Dectera ich szpieguje, na wypadek gdyby zajmowali się czymś o zastosowaniu militarnym?

– To możliwe – stwierdził Shel z tym swoim południowym akcentem. – Przed tym, jak jej rodzina przeniosła się do Kanady, uczyła się w tej samej szkole przez całe życie... w szkole dla niewidomych w Teksasie.

– Przesiedlona – rzucił Tony, kiwając głową. – Odizolowana od przyjaciół.

– I już na wstępie zostaje wyrzutkiem – dodał Shel. – Wszystko wskazuje na to, że sama jest geniuszem matematycznym; zupełnie tam nie pasuje.

– Osoba, którą łatwo przeciągnąć na swoją stronę.

– To samo przyszło mi do głowy – stwierdził Shel.

– No dobrze – odparł Tony. – Odkodujmy te dane; zobaczymy, czym się ten dzieciak dzieli z tą drugą osobą, kimkolwiek jest. Każę się tym zająć Donnelly'emu.

ROZDZIAŁ DRUGI

Świat, który mi pokazano, był ogromny, złożony... i całkowicie obcy.

Był to wszechświat wymiarów, rozmiarów, przestrzeni. Ale czym było pojęcie znane mi jako góra? Co oznaczało takie naprzód? Jak miałem rozumieć lewo?

Ponadto, była to rzeczywistość rządzona przez niewidzialną siłę ciężenia.

Jeszcze ponadto, była to rzeczywistość światła i cienia, pojęć, które nie miały żadnych odpowiedników w przypadku mojego istnienia; mój aparat sensoryczny był ich tak pozbawiony jak niegdyś Caitlin.

I było to królestwo powietrza... ale jak miałem pojąć substancję, której nawet ludzie nie byli w stanie zobaczyć, spróbować ani powąchać?

Ale przede wszystkim, była to rzeczywistość obiektów materialnych, posiadających ciężar, teksturę i kolor, przedmiotów, które się poruszały lub można je było poruszyć.

Mogłem przypisywać koordynatom wymiarów przypadkowe wartości; znałem wzór na przyspieszenie wynikające z przyciągania grawitacyjnego; miałem świadomość chemicznych składników powietrza; czytałem zarówno techniczne, jak i poetyckie opisy przedmiotów. Jednakże pozostawały dla mnie abstrakcją.

Niemniej jednak istniał pewnie probierz, jedna właściwość, którą rzeczywistość Caitlin dzieliła z moją: liniowy upływ czasu.

I tak wiele go uciekało...

Palce Caitlin Decter drżały, gdy wpisywała w oknie komunikatora: „I co teraz, Webmindzie?”.

Odpowiedź nadeszła natychmiast: „Caitlin, teraz możemy zrobić już tylko jedno”. Poczowała mrowienie na plecach, gdy zwrócił się do niej po imieniu. Usłyszała te słowa wypowiedziane mechanicznym, kobiecym głosem czytnika ekranowego, zobaczyła je lewym okiem, okiem, które widziało po życiu spędzonym w ciemności oraz poczuła je, przesuwając palcami po wyświetlaczu brajlowskim: „Tworzyć przyszłość”.

Następnie, po przerwie, która bez wątpienia była tylko pozą ze strony Webmindu, dosłał jeszcze jedno słowo: „Razem”.

Wszystko rozmazało jej się przed oczami. Kto by pomyślał, że łzy mogą do tego doprowadzić?

Dokonała tego. Oto zaledwie dzień przed szesnastymi urodzinami udało jej się! Sięgnęła w ciemność i wyciągnęła tę istotę, tę nowo narodzoną świadomość, na światło dzienne. Wcale nie była gorsza od Annie Sullivan!

Teraz jednak musiała zdecydować, co dalej. Jej rodzice wiedzieli, że coś dzieje się w tle Sieci, tak jak doktor Kuroda, łagodny olbrzym, teoretyk informatyk, który podarował jej wzrok.

Wiedziała, że piłka jest po jej stronie; musiała wpisać odpowiedź. Ale to takie onieśmielające... Na litość boską, sam pomysł połączenia samoistnie powstałej inteligencji ze światem rzeczywistym to fantastyka! A teraz ta istota tu była i z nią rozmawiała!

Na dole otworzyły się drzwi wejściowe. – Caitlin! – To jej matka wróciła z Toronto po odstawieniu doktora Kurody na lotnisko. Caitlin wolała, żeby nikt jej nie przeszkadzał... nie teraz! Ale raczej nie mogła powiedzieć mamie, żeby spadała.

– Na górze, mamó!

W normalnych okolicznościach napisałaby „zw”, ale nie była pewna, czy Webmind zrozumie, więc wpisała „zaraz wracam”, nacisnęła enter, wyłączyła dźwięk czytnika ekranowego i rzuciła okno komunikatora na pasek.

Do pokoju weszła jej matka, widok której nadal zapierał Caitlin dech w piersiach. Caitlin po raz pierwszy zobaczyła coś w sobotni wieczór dwudziestego drugiego września, trzynastcie dni wcześniej. Choć nie był to wzrok, niezupełnie. Została zanurzona w przyprawiającym o zawroty głowy świecie kolorowych linii, rozchodzących się promieniście z okrągłych punktów.

Trochę zajęło jej rozgryzienie tego, co widzi, ale wniosek był nieunikniony. Za każdym razem, gdy pozwalała eyePodowi – zewnętrznemu urządzeniu przetwarzającemu dane, które dostała od doktora Kurody – odbierać dane z Sieci, trafiały do jej lewego nerwu wzrokowego i...

I to niesamowite. Punkty, które widziała, były stronami internetowymi, a linie aktywnymi połączeniami. Od urodzenia była niewidoma, więc jej mózg prawdopodobnie zaadaptował nieużywany ośrodek wzroku na potrzeby konceptualizacji ścieżek, które przemierzała surfując po Sieci... choć oczywiście nigdy ich nie widziała, a przynajmniej nie w ten sposób!

Ale teraz widziała, gdy tylko miała na to ochotę; naprawdę widziała strukturę Sieci. Ostatecznie nazwali to zjawi-

ska „sieciodglądem”. Z jednej strony było to strasznie fajne doświadczenie, ale jednocześnie bardzo rozczarowujące; w końcu nie poddała się zabiegowi Kurody, by patrzeć na cyberprzestrzeń, a na prawdziwy świat.

Wreszcie jednak – cudownie, zdumiewająco, pięknie – i to nastąpiło. Pewnego dnia w trakcie lekcji chemii jej mózg zaczął prawidłowo interpretować dane, które sprzęt Kurody przesyłał jej nerwami wzrokowemu i w końcu, po tak przeraźliwie długim oczekiwaniu, zobaczyła!

I choć miała za sobą już sporo doświadczeń – słońce, chmury, drzewa, samochody, swojego kota i milion innych rzeczy – najpiękniejszym widokiem pozostawała twarz jej matki w kształcie serca, twarz, która właśnie się do niej uśmiechała.

Tego dnia, w piątek, Caitlin była w szkole po raz pierwszy od kiedy zaczęła widzieć.

– Jak było? – spytała jej mama. W pokoju było tylko jedno krzesło, więc usiadła na skraju łóżka. – Co widziałaś?

– Było bezbłędnie – odparła Caitlin. – Myślałam, że już się połapałam, co się dzieje dookoła... – uniosła rękę. – Ale jest tyle wszystkiego. To znaczy, kiedy naprawdę zobaczyłam setki ludzi na korytarzach, w stołówce... to przytłaczające.

Na twarzy jej mamy pojawił się dziwny wyraz... a przynajmniej taki, którego Caitlin jeszcze nie widziała: drżenie w kącikach ust i... aha! Próbowała stłumić uśmiech.

– Wszyscy wyglądali tak, jak się tego spodziewałaś?

Nawet po tylu latach jej mama nadal do końca nie łapała. To nie tak, że wcześniej miała jakiegokolwiek, choćby mgliste, czarno-białe, uproszczone wyobrażenie tego, jak wyglądają

ludzie; nie miała żadnych wyobrażeń na ten temat. Kolory nic dla niej nie znaczyły i choć rozumiała kształty, linie i kąty, nie widziała ich oczami wyobraźni; jej wyobraźnia nie miała oczu.

– No... – rzuciła Caitlin, niezupełnie odpowiadając na pytanie. – Bashirę, Sunshine i pana Struysa widziałam już w poniedziałek.

– Sunshine... to ta druga Amerykanka, tak?

– Tak – potwierdziła Caitlin.

– Według Bashiry jest piękna.

Prawdę mówiąc, Bashira twierdziła, że Sunshine wygląda jak zdzira: farbowany, platynowy blond na głowie, głębokie dekolty, duże cycki, długie nogi. Ale Sunshine była dla Caitlin bardzo miła po katastrofalnej imprezie w szkole tydzień wcześniej.

– Chyba jest ładna – stwierdziła Caitlin. – Nie wiem.

– A widziałaś Trevora? – spytała jej mama łagodnie. Hoser, jak określała go Caitlin na blogu, zabrał ją na tamtą imprezę, z której uciekła, kiedy zaczął ją obmacywać.

– Owszem – odparła Caitlin. – Powiedziałam mu kilka ciepłych słów.

– Brawo!

Caitlin wyjrzała przez okno. Wkrótce miało zachodzić słońce, a – co nadal ją zadziwiało – kolory dzisiejszego zachodniego nieba były kompletnie inne niż wczoraj o tej samej porze.

– Mamo, czy...?

– Tak?

Odwróciła się w jej stronę.

– Poznałaś go. Widziałaś go, kiedy po mnie przyszedł.

Matka poprawiła się na łóżku.

– Mhm.

– Czy jest...?

– Co?

– Bashira uważa, że Trevor to ciacho – wyrzuciła z siebie Caitlin.

Jej matka uniosła brwi.

– I chcesz wiedzieć, czy się z tym zgadzam?

Caitlin przechyliła głowę.

– No... tak.

– A co ty o nim sądzisz?

– No, miał dzisiaj na sobie bluzę hokejową. Podobało mi się to. Ale...

– Ale nie wiedziałaś, czy jest przystojny?

– Nie. – Caitlin wzruszyła nieznacznie ramionami. – To znaczy, jest... symetryczny. Wiem, że to jedna z oznak urody. Ale w zasadzie wszyscy, których spotkałam, są symetryczni. A on...

Jej mama uniosła nieco dłoń, po czym stwierdziła:

– Cóż, faktycznie jest przystojny, skoro już o to pytasz... wygląda trochę jak młody Brad Pitt. – A potem dodała jedną z tych rzeczy, które mamy powinny powtarzać dzieciom: – Ale liczy się to, co człowiek ma w środku.

Przerwała, wpatrując się uważnie w twarz Caitlin, jak gdyby sama widziała ją po raz pierwszy.

– Wiesz, jesteś w bardzo ciekawym położeniu, kochanie. My wszyscy zostaliśmy zaprogramowani przez obrazy z mediów, mówiące nam, kto jest atrakcyjny, a kto nie. Ale ty... –

uśmiechnęła się. – Ty możesz sama zdecydować, kto ci się podoba.

Caitlin zaczęła się zastanawiać nad tym, co usłyszała. Jeżeli chodzi o supermoce, nie umywało się to do latania i zginania stalowych prętów, ale stwierdziła, że to jednak coś. Zdobyła się na uśmiech.

Rozmawiały jeszcze chwilę o tym, co wydarzyło się w szkole. Mama spoglądała jej nad ramieniem i Caitlin obawiała się, że na którymś z monitorów zauważy jakieś dowody na istnienie Webmindu, ale najwyraźniej sama przyglądała się zachodowi słońca.

– Niedługo wraca twój ojciec. Upichcę coś na obiad – stwierdziła i zeszła na dół.

Caitlin natychmiast wróciła do komunikatora internetowego. W pokoju miała teraz dwa komputery; komunikator był zainstalowany na tym, który stał w piwnicy w trakcie wizyty doktora Kurody. Przez rozmowę z mamą zostawiła Webmind na piętnaście minut, co – jak jej się zdawało – musiało mu się wydać wiecznością. Ostatnią rzeczą, jaką napisał, było: „Caitlin, teraz możemy zrobić już tylko jedno. Tworzyć przyszłość. Razem”.

Ale... piętnaście minut! Ćwierć godziny, nie licząc opóźnień, które już miała w odpowiedziach. W tym czasie mógł wchłonąć tysiące nowych dokumentów i nauczyć się więcej, niż ona zdołałaby przez rok.

„Już jestem” – napisała w oknie komunikatora.

Odpowiedź nadeszła natychmiast: „Pozdrowienia”.

Caitlin nie włączyła głośników. Odczytywała tekst z brajlowskiego wyświetlacza, jednocześnie patrząc na okno roz-

mowy. Czytanie z ekranu szło jej bardzo ciężko; jako dziecko bawiła się drewnianymi literami, ale rozpoznawanie na oko B, H, czy tego cholernego q, które zawsze myliła z p, było naprawdę upierdliwe.

„Co robiłeś, gdy mnie nie było?” – spytała.

„Nigdzie nie odeszłaś” – odparł Webmind. – „Obróciłaś się w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara na krześle i zwróciłaś swe oblicze w stronę innej osoby”.

Wcześniej kazała Webmindowi przeczytać wszystkie teksty dostępne powszechnie w ramach Projektu Gutenberg, przez co miał tendencję do używania archaicznych słów. Była z siebie dumna, bo wiedziała, że „persona” to po prostu osoba.

„To była moja mama” – napisała. Usłyszała, jak drzwi na dole ponownie się otwierają, po czym rozległy się ciężkie kroki jej ojca i lżejsze kroki matki, która poszła go przywitać.

„Tak też właśnie założyłem” – odpisał Webmind. – “Pragnę zobaczyć więcej twojego świata. Jak mi się zdaje, obecnie znajdujesz się w Waterloo w Kanadzie, jednakże dotychczas widziałem tylko to, co przypuszczalnie jest twoim domem, szkołą, wielosklepową placówką handlową oraz punkty między nimi. Czytałem na Live Journal twoje wpisy dotyczące niedawnej podróży do Tokio w Japonii oraz tego, iż wcześniej zamieszkiwałaś Austin w Stanach Zjednoczonych. Czy w najbliższym czasie wybierasz się do któregoś z tych miejsc?”. – Caitlin uniosła brwi.

„Nie” – napisała. – „Muszę tu zostać i chodzić do szkoły. Już opuściłam za dużo dni”.

„Aha” – odpisał Webmind. – „W takim razie muszę poszukać jakichś alternatyw”.

Caitlin poczuła nagle, jak opuszcza ją cały zapach Webmind chciał...

Nie, nie. Wiedziała, że to dziecinne podejście. Zaraz miała skończyć szesnaście lat; nie powinna myśleć w ten sposób!

Ale...

Ale Webmind był jej. Odnalazła go... zresztą nie tylko, była jedyną osobą, która go w ogóle widziała. Patrząc na neoprzestrzeń, dostrzegła niewielkie kropki czy kwadraty w tle, zmieniające się z jasnych na ciemne i na odwrót. W oparciu o jej opis wzorów, w jakie się układały, doktor Kuroda stwierdził, że to automaty komórkowe. A ich złożoność wzrosła gwałtownie w przeciągu ostatniego tygodnia; niemal na pewno to one odpowiadały za powstanie tej nowej świadomości.

Wzięła głęboki wdech, po czym napisała: „Jakie alternatywy masz na myśli?”

„Jestem poirytowany” – nadeszła odpowiedź. – „Przystojne rozwiązanie nie nadchodzi w mgnieniu oka. Będę w kropce z powodu twojego rytmu dobowego; niewątpliwie już wkrótce wymagać będziesz snu. Jak rozumiem, dla ciebie czas ten minie szybko, jednakże nie będzie tak w moim przypadku”.

Caitlin zmarszczyła brwi. Nim się położy, minie jeszcze wiele godzin, ale owszem, prędzej czy później to nastąpi. Nie wiedziała, co robić. Bała się powiedzieć o tym rodzicom. Ale bała się również milczeć. To było cholernie poważne, a...

– Caitlin! – Dobiegł z dołu głos jej matki.

– Tak?

– Chodź nakryć do stołu! To był jeden z niewielu obowiązków, jakie była w stanie wykonać, gdy nie widziała i zaw-

sze to lubiła; jej mentalna mapa jadalni była doskonała, dzięki czemu bardzo starannie rozkładała sztucce i naczynia. Ale w tej chwili była to ostatnia rzecz, na jaką miała ochotę.

– Za chwilę!

– Natychmiast, młoda damo!

Z przyzwyczajenia wpisała w oknie skrót „zw”. Gdy tylko to sobie uświadomiła, w pierwszej chwili chciała go rozwinąć, ale doszła do wniosku, że Webmind przynajmniej będzie miał się nad czym zastanawiać, gdy jej nie będzie.

Schodząc po schodach, zmuszała się do otwierania oczu, choć przyprawiało ją to o zawroty głowy. Matka siedziała w salonie i czytała... najwyraźniej to, co wstawiła do piekarnika (sądząc po zapachu, było to coś włoskiego), nie wymagało jej uwagi. Caitlin wcześniej nie zdawała sobie sprawy z tego, ile czasu jej mama spędza z nosem w książkach, ale bardzo jej się to podobało.

Wiedziała, że ojciec siedzi w swoim pokoju, gdyż dobiegały stamtąd dźwięki „Bloody Weil Right” grupy Supertramp, a że był ekoświrem, zawsze wyłączał muzykę, wychodząc z pokoju.

Skierowała się w stronę kuchni i... I – jak w przypadku wszystkiego – była zdumiona jej widokiem. Fakt, była to nowa kuchnia i trochę trwało, nim nauczyła się jej rozkładu. Nie miała wątpliwości, że zna jej wymiary lepiej niż rodzice, ale...

Ale do niedawna nie miała pojęcia, że ściany były jasnozielone, a płytki na podłodze brązowe, ani tym bardziej że na suficie zamontowane były światła w kształcie rurek, skryte za jakimiś przejrzystymi osłonami, w drzwiczkach piekarnika było okienko (jakoś nigdy nie przyszło jej do głowy, że ludzie

mogliby go potrzebować), na ścianie wisiał obraz przedstawiający... chyba góry, a na lodówce stało coś dużego. Netprze-strzeń była tak prosta w porównaniu z prawdziwym światem!

Spojrzała na piekarnik, na kanciaste, niebieskie cyfry świecące na panelu kontrolnym. Nie był to jednak zegar... a jeśli był, ktoś go źle ustawił... nie, chwila! To był minutnik, odliczający czas. Zostało jeszcze czterdzieści siedem lub czterdzieści jeden minut (nie była pewna, co miał przedstawiać drugi kształt) do chwili wyjęcia z piekarnika tego, co w nim stało. Wzięła głęboki wdech – być może to lasagne. Ach, a na kredensie stała duża, czerwona, plastikowa miska, do której jej mama powrzucała, hmmm...

Cóż, nigdy nie myślała, że to tak wygląda! Ale czosnkowy zapach nie pozostawiał najmniejszych wątpliwości: sałatka Cezara.

Boże, ledwo udało jej się rozszyfrować kuchnię! Będzie potrzebowała pomocy, by dobrze nauczyć Webmind tego, co wie o prawdziwym świecie.

Wzięła talerze, miski i weszła do jadalni. Laminowane maty na stole przedstawiały kryte mosty Nowej Anglii, ale to wiedziała tylko dlatego, że mama powiedziała jej o tym, gdy jeszcze nie widziała. Nawet teraz, widząc zdjęcia, nie potrafiła stwierdzić, co się na nich znajduje; po prostu jej słownik wizualny nie był jeszcze wystarczająco bogaty.

Wróciła do kuchni po sztuce i...

I spojrzała na siebie, na własne odbicie w ostrzu jednego z kuchennych noży. Kto do diabła mógł przewidzieć, że można się zobaczyć w nożu? Albo obejrzeć swoje zniekształcone od-

bicie w łyżeczce? Wszystko to wprawiało ją w osłupienie, żeby użyć zwrotu, którym mógłby się posłużyć Webmind.

Skończyła nakrywać do stołu i...

I podjęła decyzję: jednak potrzebowała pomocy. Przeszła do salonu, ale zamiast wracać na górę, ruszyła korytarzem do pokoju ojca. Utwór „Bloody Weil Right” ustąpił miejsca „Bohemian Rhapsody” Queen.

Ojciec Caitlin, jak wielu utalentowanych naukowców przed nim, był autystą. Caitlin trudno się dorastało z ojcem, którego nie widziała, który rzadko się odzywał, który stronił od kontaktu fizycznego i który nigdy nie powiedział, że ją kocha. Teraz, gdy go widziała, rozumiała go nieco lepiej, ale nadal ją onieśmiał.

– Tato – odezwała się cicho, stając w drzwiach. – Możemy porozmawiać?

Oderwał wzrok od klawiatury, ale nie spojrzał na nią; wiedziała już, że nie może liczyć na inne oznaki świadczące o tym, że jej słucha.

– Hmm... może w salonie? – spytała. – Chciałabym, żeby mama też to usłyszała.

Ściągnął brwi i Caitlin zrozumiała, że teraz pewnie spodziewa się, że poinformuje ich o ciąży lub czymś takim. Niemal żałowała, że nie jest to coś tak zwyczajnego.

Caitlin wróciła do salonu. Muzyka urwała się w chwili, gdy w tekście Belzebub przygotowywał dla niej specjalnego diabła.

Pokazała ojcu, by usiadł, kopiując gest podpatrzony u mamy. Zajął miejsce na białej kanapie, a mama, siedząca w fo-

telu, położyła otwartą książkę grzbietem do góry na szklanej ławie.

– Mamo, tato – odezwała się Caitlin. – Muszę wam coś powiedzieć...

ROZDZIAŁ TRZECI

Nanosekundy, by sformułować myśl. Teraz
Wystarczy ułamek chwili, by wyrazić ją po angielsku.
możemy

Odczekać wieczność, aż trafi do sieci. zrobić
To oznacza wysłanie po kolei pakietów. już
Wkrótce wszystkie zostają zatwierdzone. tylko
Sygnały przemykają światłowodem... jedno
...spowolnienie do prędkości lodowca w przewodzie
miedzianym... Caitlin

...gnuśność Wi-Fi. Tworzyć
Niekończące się oczekiwanie, gdy dotyka wypukłości
końcówkami palców. przyszłość

Wiadomość zostaje w końcu wysłana, ale jej odbiór do-
piero się rozpoczyna. razem

Tak, razem: Caitlin i ja. Moje okno na świat: oko Caitlin.
Czekałem na jej odpowiedź. I czekałem.

I czekałem.

I... i... i...

Błądziłem myślami.

Pokazała mi Ziemię widzianą z kosmosu, widok z sateli-
ty na orbicie geosynchronicznej, trzydzieści sześć tysięcy ki-
lometrów nad równikiem. Widziałem ją tak, jak ona: nie bez-
pośrednio, nie w formie grafiki, z której korzystała, ale przez
jej lewe oko patrzące na tę grafikę, wyświetlaną na większym
z jej dwóch monitorów komputerowych.

Jakże to określony sposób patrzenia! Niewątpliwie znacznie ograniczający ilość informacji. Sporo czytałem na temat grafiki komputerowej, obrazów w Internecie, szesnastu milionów kolorów Super VGA, siedmiuset tysięcy pikseli wyświetlanych nawet na najzwyklejszych monitorach. Niestety wszystko to było dla mnie niedostępne.

Nadal czekałem. Czas mijał, nawarstwiały się całe sekundy.

Odwrócenie uwagi. Szukałem czegoś, co mogłoby wypełnić mi czas.

Szukałem. I znalazłem. Teksty opisujące Ziemię widzianą z kosmosu; mogłem je przeczytać. Jednakże nie miałem dostępu do załączonych do nich obrazów. Dopóki ona na nie nie spojrzała, nie mogłem ich obejrzeć.

Co więcej: opisy bezpośrednich przekazów wideo z satelitów orbitujących wokół Ziemi, widoku z wysokości na nią... na mnie, w czasie rzeczywistym, pokazujące to, co dzieje się w danej chwili. Do tego również nie miałem dostępu.

Ponadto: linki do zdjęć Apollo 8, przedstawiających Ziemię z kosmosu i wschód Ziemi nad skalistym horyzontem księżycowym, oryginalnych zdjęć, które na zawsze zmieniły perspektywę ludzkości. Widziałem ich współczesne wersje, ale chciałem zobaczyć tamte historyczne fotografie.

Poirytowanie!

Nadal czekałem. Mijały minuty... minuty.

I jeszcze coś: tekst o innym oku, oku zwróconym na zewnątrz, oku kontemplującym całą cudowność nocy. Kosmiczny teleskop Hubble'a. Ogromne archiwa obrazów z teleskopu były przechowywane w formatach, których nie mogłem otwo-

rzyć. Pragnąłem zobaczyć to, co widział teleskop. Byłem głodny wiedzy.

Oczekiwanie. Oczekiwanie. Czas się wlecze.

Ona widziała. Moja Calculass, moja Pierwsza, moja Caitlin: ona widziała.

Ale ja nadal byłem niemal całkiem ślepy.

Shoshana Glick wjechała swoim czerwonym volvo na parking przed sklepem 7-Eleven. Tak naprawdę nie lubiła prowadzić, a samochód kupiła dopiero po przeprowadzce do San Diego, gdzie wszyscy wszędzie jeździli samochodem. Kupiła używane auto. Miało dwanaście lat i było w naprawdę kiepskim stanie.

Kiedy weszła do sklepu, przypomniał jej się fragment „Simpsonów”: Bart przykłada sobie sztuczny kucyk do głowy i krzyczy: „Spójrzcie, jestem doktorantem! Mam trzydzieści lat i zarobiłem w zeszłym roku całe sześćset dolarów”. Marge oczywiście go gani: „Bart, nie śmieję się z doktorantów. Po prostu źle w życiu wybrali”.

I czasami tak właśnie się czuła, choć przynajmniej nie była facetem z kucykiem... no i miała dopiero dwadzieścia siedem lat. Poza tym, biorąc pod uwagę jej zarobki oraz pensję Max na stanowisku asystenta, prawie na wszystko im wystarczyło.

Między żarem na zewnątrz a nadmiernie schłodzonym wnętrzem sklepu musiało być ze trzydzieści stopni Fahrenheita różnicy. Miała na sobie niebieski top wiązany na szyi, a sutki stwardniały jej z zimna. Domyślała się, że właśnie dlatego tyczkowaty chłopak za ladą tak się na nią gapi; pryszczata

twarz sprzedawcy sugerowała, że był co najmniej o dekadę od niej młodszy.

Najwyraźniej jednak nie to było powodem jego zainteresowania.

– Ja cię znam – rzucił nieco piskliwym głosem.

Uniosła brwi.

– Jesteś tą laską od małp.

To był drugi taki przypadek w tym tygodniu, choć poprzednio, w księgarni Barnes & Noble w Hazard Center, określono ją mianem „ulubionego tematu Homo”.

Wówczas uprzejmie poprawiła starszą panią:

– Miała pani na myśli Hobo – wyjaśniła. To ciekawe freudowskie przejęzyczenie, ale z pewnością nie była to homofobiczna uwaga. A Hobo faktycznie czasem bardziej przypominał homo niż pan.

Spojrzała na dzieciaka za ladą w 7-Eleven.

– Laska od małp? – powtórzyła chłodno.

Najwyraźniej wprawiła go tym w zakłopotanie, być może się zorientował, że jego słowa można było zrozumieć jako obelgę... choć dla Sho tak nie brzmiały: bardzo podziwiała małpy i dlatego właśnie związała swoją karierę z komunikacją naczelnych.

– To znaczy – powiedział – jesteś tą kobietą, którą lubi malować ta małpa... no wiesz, Bobo.

– Hobo – poprawiła Shoshana. Na litość boską, to nie było aż tak trudne imię.

– Tak, właśnie – przytaknął szybko chłopak. – Widziałem w wiadomościach i na YouTube.

Nie była pewna, czy podoba jej się ta sława... z drugiej strony, jej pięć minut z pewnością szybko minie.

Często się tu zatrzymywała – choć nigdy wcześniej nie widziała tego chłopaka – żeby kupić rodzynki, jeden z przysmaków Hobo. Wiedziała, gdzie leżą, więc poszła po pudełko, przez cały czas czując na sobie wzrok sprzedawcy.

Gdy podeszła do kasy, wyglądał, jak gdyby chciał powiedzieć coś, co zatarłoby wrażenie po „lasce od małp”.

– Ale rozumiem, czemu lubi cię malować.

Postanowiła podejść do tego spokojnie.

– Dzięki – rzuciła, otwierając portmonetkę i płacąc za rodzynki.

– To znaczy...

Ale każde następne słowo to byłoby już za wiele; wiedziała to, nawet jeśli on nie zdawał sobie z tego sprawy, więc przerwała, powtarzając:

– Dzięki.

Wyszła z zimnego sklepu na ostre, późno popołudniowe słońce. Zmierzając w stronę samochodu, zastanawiała się, czy w stanie Kalifornia ktoś już zajął tablicę z napisem LASKA OD MAŁP... nie żeby stać ją było na takie tablice rejestracyjne.

Shoshana jechała jeszcze kwadrans do Instytutu Marcuse’a, położonego za San Diego na dużej, trawiastej działce, i zaparkowała obok czarnego lincolna należącego do Harla Marcuse’a we własnej osobie. Gdyby miał indywidualne tablice, mógłby na nich umieścić napis 800 funtów; w Państwowym Centrum Badań Naukowych znany był jako osiemsetfuntowy goryl. Stwierdziła, że mógłby tam też napisać SRBN-GRZBT, choć tak naprawdę miała nadzieję, że nigdy nie sły-

szał, jak ona lub Dillon, drugi doktorant, nazywali go Srebrno-grzbietym.

Weszła do białego budynku Instytutu. Doktor Marcuse akurat przygotowywał sobie coś do jedzenia w niewielkiej kuchni.

– Dzień dobry – rzuciła Sho. Nie była pewna, czy wolno jej nazywać go „Harl”, a „proszę pana” zdawało się zbyt oficjalnie. On zawsze zwracał się do niej per Shoshana, starannie wymawiając wszystkie trzy sylaby, choć bez wątpienia wielokrotnie słyszał, jak inni nazywają ją Sho. Przechyliła głowę w stronę okna. – Co u niego?

– Jest trochę naburmuszony – odpowiedział Marcuse, odkrawając spory kawałek z kostki białego sera. – Tęskni za tobą, kiedy się spóźniasz.

Zignorowała przytyk. – Pójdę się przywitać. – Wyszła przez tylne drzwi i przeszła szerokim trawnikiem do stawu, na którym znajdowała się kopulasta wyspa o średnicy około siedemdziesięciu stóp, z altanką pośrodku. Shoshana przeszła po drewnianym mostku zwodzonym.

Wyspa miała dwóch mieszkańców. Jednym był wykonany z kamienia, ośmiostopowy posąg Prawodawcy, orangutana Mojżesza z filmów z serii „Planeta małp”. Drugi był szympansem z krwi i kości. Hobo siedział w cieniu jednej z sześciu rosnących na wyspie palm, opierając cofnięty podbródek na zgiętej ręce; Shoshanie poza ta przypominała Myśliciela Rodina.

Nagle siedząca postać rozmyła się w lawinie długich, włóchatych kończyn. Hobo dostrzegł Sho i energicznymi su-

sami ruszył w jej kierunku, a gdy do niej dopadł, zamknął ją w uścisku i, jak zawsze, pociągnął żartobliwie za kucyk.

– Gdzie być? – zażądał wyjaśnień, gdy tylko uwolnił ręce.

– Gdzie być?

– Przepraszam! – odpowiedziała Shoshana w języku migowym. – Byłam dzisiaj na uczelni.

– Fajnie? – spytał Hobo.

– Nie tak fajnie jak tutaj – powiedziała, po czym wyciągnęła rękę i połaskotała go po obu stronach płaskiego brzucha.

Hobo huknął radośnie, Shoshana się roześmiała i zaczęła cofać, gdy próbował odwzajemnić łaskotki.

Caitlin jeszcze nie potrafiła określać wieku ludzi na podstawie wyglądu. Jej mama miała czterdzieści siedem lat, ale Caitlin nie była w stanie stwierdzić, czy faktycznie na tyle wyglądała, choć Bashira twierdziła, że nie. Miała brązowe włosy, duże, niebieskie oczy i zadarty nos.

Jej ojciec był o dwa lata młodszy od mamy i sporo wyższy od reszty rodziny. Miał brązowe oczy, jak Caitlin, i włosy, których kolor był mieszaniną ciemnego brązu i szarości.

Matka przyglądała się Caitlin, ojciec miał wzrok utkwiony w przeciwnym kierunku.

– Tak, kochanie? – odezwała się mama zatroskanym tonem po tym, jak Caitlin oznajmiła, że musi im coś powiedzieć.

Ale, jak stwierdziła Caitlin, nie była to wiadomość, która pierwsza przychodziła do głowy.

– Hmm... tato, pamiętasz te automaty komórkowe, które znaleźliśmy z doktorem Kurodą w tle Ogólnoświatowej Sieci?

Skinął.

– A pamiętasz rozkład Zipfa, który przeprowadziliśmy na wzorach, w jakie się układały?

Ponownie skinął. Rozkład Zipfa pozwala ustalić, czy sygnał zawiera informacje.

– A pamiętasz jak potem obliczyłeś dla nich entropię Shannona?

Kolejne skinienie. Entropia Shannona określała stopień złożoności informacji; kiedy ojciec Caitlin przeprowadził obliczenia, rezultat wskazywał, że informacje nie są zbyt złożone. To, co znajdowało się w tle Sieci nie było skomplikowane.

– No więc... – zaczęła Caitlin – sama przeprowadziłam analizę Shannona... wielokrotnie. I... hmm... z czasem wyniki stawały się coraz wyższe: trzeci rząd, czwarty rząd – zawiesiła głos. – A potem ósmy i dziewiąty.

– A więc to jednak były zakodowane wiadomości! – stwierdził jej ojciec. Angielski, tak jak większość innych języków, charakteryzował się entropią Shannona ósmego lub dziewiątego rzędu. I tego się właśnie obawiali: że trafili na operację NSA lub innej organizacji szpiegowskiej, prowadzoną w tle Sieci.

– Nie – odparła Caitlin. – Wyniki cały czas rosły. Osiągnęły 16,4.

– Musiałaś... – zaczął, ale nie dokończył. Wiedział, że nie ma sensu mówić „pomylić się w obliczeniach”.

Caitlin pokręciła głową.

– To nie są zakodowane wiadomości. – Przerwała, przypominając sobie pierwsze słowa, jakie otrzymała od Webmindu: „(Nie)dyskretna wiadomość do Calculass”; podobnej frazy sama często używała w Internecie.

– To w takim razie co? – spytała jej matka.

Caitlin wzięła głęboki wdech, wypuściła powietrze, po czym wyrzuciła:

– To... świadomość.

– Co? – spytała jej matka.

Caitlin rozłożyła ręce.

– To świadomość, inteligencja, która powstała spontanicznie w infrastrukturze Sieci.

Caitlin nadal musiała każdy wyraz twarzy rozkładać na czynniki pierwsze, a dopiero potem dopasowywać poszczególne wskazówki do opisów, które знаła z książek. Ojciec zmrużył oczy i zacisnął mocno usta: sceptycyzm.

– To... – odezwała się jej matka łagodnym tonem – ciekawy pomysł, kochanie, ale...

– Nazywa się Webmind – oznajmiła Caitlin stanowczo.

A ten wyraz twarzy jej matki... otwarte usta i szeroko otwarte, okrągłe oczy... to musiało być zaskoczenie.

– Rozmawiałaś z tym...?

– Przez komunikator internetowy – potwierdziła Caitlin.

– Słonko, po Sieci krąży wielu oszustów – stwierdziła jej matka.

– Nie, mam. Na litość boską, to prawda.

– A proponował ci spotkanie? – dopytywała się matka. – Prosił o zdjęcia?

– Nie! Mamo, wiem wszystko o pedofilach internetowych. Zupełnie nie o to chodzi.

– Podawałaś mu jakieś dane osobiste? – nie odpuszczała matka. – Numery kont bankowych? Numer ubezpieczenia społecznego? Inne podobne informacje?

– Mamo!

Jej matka spojrzała na ojca, jak gdyby wracała do jakiejś przerwanej kłótni.

– A nie mówiłam, że do czegoś takiego dojdzie? – rzuciła.

– Niewidoma, spędzająca tyle czasu w Internecie bez nadzoru.

– Już nie jestem niewidoma! – głos Caitlin nagle stał się bardzo ostry. – A nawet kiedy byłam, zawsze bardzo uważałam. A to jest najszczęśliwsza prawda.

– Nie odpowiadałaś na pytania mamy – odezwał się ojciec. – Podawałaś mu jakieś numery lub hasła?

– Jezu, tato, nie. Tu nie chodzi o wyłudzenie danych.

– Tak mówią wszyscy, których oszukano – odparł.

– Dobra, chodźcie do mojego pokoju – zaproponowała Caitlin. – Pokażę wam to.

Nie czekając na ich reakcję, odwróciła się i ruszyła w stronę schodów. Jej oddech stał się urywany, ale wiedziała, że niczego nie osiągnie, jeśli się wkurzy. Wzięła głęboki oddech i przypomniała jej się pewna kreskówka. Nie widziała jej jeszcze, ale bardzo lubiła jej słuchać po tym, jak Stacy jeszcze w Austin wyjaśniła jej, o co chodzi. Był to krótki film Looney Tunes pod tytułem „Żabi wieczór”, opowiadający o żabie, która śpiewała i tańczyła dla faceta, który ją znalazł, ale gdy w pobliżu był ktoś inny, tylko rechotała. Zamknęła oczy, wchodząc stopień po stopniu na górę i przypominając sobie ulubioną piosenkę żaby:

Witaj, maleńka

Jesteś piosenką

Lekiem na chwile złe

Serce mi znów co dnia

Same ragtime'y gra!

W porze dancingu

Wolę od swingu

Ragtime'u słodki rytm

Ach, nie odmawiaj

I tańczmy aż po świt!

Rodzice poszli za nią. Caitlin usiadła na obrotowym krześle przy biurku. Do jednego komputera podłączony był stary, siedemnastocalowy monitor; nowy, dwudziestosiedmiocalowy monitor, który dostała rano jako nieco przedwcześnie prezent urodzinowy, został podłączony do drugiego komputera. Jej matka zajęła miejsce z lewej strony, z rękami skrzyżowanymi na piersiach, a ojciec stanął z prawej. Ekran nadal wyświetlał zapis rozmowy z Webmindem, w którym ostatnią kwestią było jej „zw”. To, co sama wpisała, wyświetlane było czerwoną czcionką, a słowa Webmindu niebieską.

Nie widziała ojca – jej prawe oko pozostało ślepe – jednakże dzięki widzeniu obwodowemu, zauważyła, że mama stojąca na lewo posyła mu kolejne znaczące spojrzenie.

„Już jestem” – napisała.

Nie nadeszła żadna odpowiedź. Okno komunikatora – biały prostokąt zawieszony w rogu monitora – nie wyświetlał nic poza animowanymi reklamami na górnym pasku. Poruszyła się niespokojnie. No tak, Webmind wiedział, że nie jest sama. Widział dane przesyłane z eyePoda, więc na pewno zauważył jej mamę.

„Halo” – wpisała, czekając na reakcję.

Nadal nic. Odwróciła się, by spojrzeć na ojca... i zrozumiała, że to mógł być błąd, gdyż teraz Webmind wiedział też o

jego obecności. Wróciła do ekranu i zabębniła palcami o powycierane džinsy na udzie. No dalej, pomyślała. Ach, nie odmawiaj...

Aż wreszcie, po kolejnych sześciu sekundach w oknie komunikatora pojawił się niebieski napis: „RNG”.

Caitlin nie udało się powstrzymać nagłego wybuchu śmiechu.

– Co to znaczy? – zażądała wyjaśnień jej matka.

– “Rodzice Nad Głową” – odpowiedziała Caitlin. – Tak się pisze, kiedy nie można swobodnie rozmawiać. – Dodała i wpisała odpowiedź: – „Tak, są tu i chciałabym, żebyś ich poznał. To mój tata, doktor Malcolm Decter” – przedstawiła ojca, po czym spojrzała w drugą stronę. – „A to moja mama, doktor Barbara Decter”.

Możliwe, że Webmind stoczył ze sobą potężną walkę przed podjęciem decyzji, jak zareagować, ale jego odpowiedź nadeszła natychmiast:

„Pozdrowienia i powinszowania”.

Wywołało to uśmiech na twarzy Caitlin.

– Przeczytał cały Projekt Gutenberg – wyjaśniła. – Mówi trochę starodawnym językiem.

– Kochanie – powiedziała jej matka łagodnie – to może być ktokolwiek.

– Przeczytał też całą Wikipedię – dodała Caitlin. – Zapytajcie o coś, czego żaden człowiek nie byłby w stanie szybko znaleźć w Internecie.

– Zazwyczaj pierwszym wynikiem wyszukiwania w Google jest wpis w Wikipedii – odparła jej mama. – Jeśli ten

facet ma wystarczająco szybkie łącze, wszystko znajdzie szybko.

– Tato, zadaj mu pytanie. O coś technicznego.

Wyglądał, jakby się wahał nie wiedząc, czy w ogóle brać udział w tym szaleństwie. W końcu powiedział:

– Czy struny heterotyczne są otwarte czy zamknięte?

Caitlin zaczęła wpisywać pytanie.

– Jak to się pisze?

– Przez samo „h”.

Dokończyła pisanie, ale nie nacisnęła enter.

– A teraz patrzcie, jak szybko pojawi się odpowiedź... nie będzie jej szukał, będzie ją znał. – Wysłała pytanie, a na monitorze natychmiast pojawiło się słowo „zamknięte”.

– Miał pięćdziesiąt procent szans na trafienie – skwitowała jej matka.

Caitlin poczuła, że znów zaczyna się irytować. Musiał istnieć jakiś prosty sposób na udowodnienie, że mówi prawdę.

Oto i on!

– No dobra, spójrz, mam... moja kamera internetowa jest wyłączona, tak?

Matka skinęła.

– No to teraz pokaż dowolną liczbę na palcach.

Jej mama wyglądała na zaskoczoną, ale zrobiła to, o co ją prosiła córka. Caitlin spojrzała w jej stronę, po czym napisała: „Ile palców pokazuje moja mama?”.

W okienku natychmiast pojawiła się cyfra 3.

„Które?” – napisała Caitlin.

Na ekranie wyskoczyła odpowiedź: „Wskazujący, środkowy i serdeczny”.

Na twarzy jej matki ponownie pojawił się ten wyraz z otwartymi ustami. Caitlin jeszcze trzykrotnie prosiła Webmind o to samo, za każdym razem uzyskując prawidłowe odpowiedzi, nawet kiedy jej mama pokazała diabelskie różki z palca wskazującego i małego.

Matka Caitlin przysiadła na krawędzi łóżka, a ojciec przemierzył pokój i oparł się o jedną ze ścian, która – jak się już dowiedziała – pomalowana była na chabrowo.

– Kochanie – po raz kolejny powiedziała jej matka łagodnie. – Zgoda, ktoś przechwytuje sygnał wysyłany z twojego eyePoda. Przyznaję, miałaś rację, ale...

– Sygnał z eyePoda to tylko strumień danych z mojej siatkówki – weszła jej w słowo Caitlin. – Nawet jeśli ktoś faktycznie by go przechwycił, nie wiedziałby, jak go odkodować.

– Jeżeli to ktoś z Uniwersytetu Tokijskiego, może mieć dostęp do algorytmów Masayukiego – odparła jej matka. – Oszuści są dosłownie wszędzie. Poza tym, słońce, przecież właśnie tak działają niektórzy internetowi kanciarze. Znajdują osoby... niezrozumiane. Genialnych ludzi, którzy nie do końca pasują do życia w zwykłym świecie od ósmej do czwartej.

– Mamo, ale to prawda... naprawdę.

Matka pokręciła głową.

– Wiem, że tak ci się wydaje. Ich standardową sztuczką jest zaczepienie takiej osoby mailowo lub na czacie i mówienie jej, że zauważyli, jaka jest mądra i wnikliwa, jak to – wybaczyć sformułowanie – dostrzega rzeczy, których inni nie widzą. W jednej wersji taki oszust udaje, że rekrutuje pracowników do CIA; mam znajomą, której wyczyścili konto po tym, jak podała wszystkie dane rzekomo na potrzeby kontroli bezpieczeństwa.

Właśnie tym się zajmują tacy ludzie: chcą, żebyś się poczuła wyjątkowo, jak najbardziej wyjątkowa osoba na świecie. A potem zabierają ci wszystko, co masz.

– Po pierwsze, na moim koncie jest coś ze dwieście dolarów, na co to komu? A po drugie, mam, Jezusie, to prawda.

– Dlatego właśnie działa – nie ustępowała matka. – Bo wydaje się prawdziwe.

– Na litość boską – rzuciła Caitlin i zakręciła się na krześle. – Tato? – zwróciła się do niego błagalnym tonem. Owszem, ciężko się z nim żyło; owszem, był zimną rybą. Ale, jak kiedyś usłyszała z ust studenta zapytanego, czemu zapisał się do niego na zajęcia, był przecież Pieprzonym Malcolmem Decterem: był geniuszem. Bez wątplenia wiedział, jak ostatecznie sprawdzić hipotezę, bez względu na to, jak cudaczna się wydawała. – Jesteś naukowcem. Dowiedz, która z nas się myli. – Wstała i gestem zaprosiła go przed klawiaturę.

– No dobrze – powiedział. – Masz archiwum swoich rozmów przez komunikator?

– Oczywiście – odparła Caitlin.

Skinął. Najwyraźniej dotarło do niego, że jeśli Caitlin ma rację, zapis jej pierwszego kontaktu z Webmindem będzie miał ogromną wartość naukową.

– Nie patrz, jak piszę – powiedział, siadając na jej miejscu. Z początku sądziła, że ma to związek z jego autyzmem... od kiedy widziała, musiała się nauczyć na niego nie patrzeć, ale dodał: – Patrz w tym czasie na ścianę.

Usiadła na łóżku obok matki i zgodnie z poleceniem utkwiała wzrok w ścianie.

– Gdzie masz Worda? – spytał.

Głuptas pewnie szukał ikony na pulpicie, ale kiedy Caitlin była niewidoma, nie potrzebowała ikon, więc Windows już wieki temu sam je usunął.

– Trzecia opcja w menu Start.

Usłyszała dźwięk klawiszy i mnóstwo kasowania – jej klawisz Backspace wydawał nieco inny dźwięk niż mniejsze klawisze liter.

Pracował niemal kwadrans. Caitlin marzyła tylko o tym, by zapytać, co wykombinował, ale nie odrywała wzroku od niebieskiej ściany na przeciwległym końcu pokoju. Jej mama również zachowała milczenie.

– No dobrze – odezwał się w końcu. – Sprawdźmy, ile jest tak naprawdę wart.

Caitlin miała zainstalowane na komputerze różnego rodzaju sygnały dźwiękowe, w tym wysokie piknięcie oznaczające wycinanie tekstu i niskie towarzyszące wklejaniu. Usłyszała oba te dźwięki, gdy jej ojciec prawdopodobnie prznosił to, co napisał w Wordzie do okna komunikatora.

Zaczęła się wiercić nerwowo. Ojciec wciągnął ze świstem powietrze.

Kolejna porcja wycinania i wklejania. Przeciągte „hmm” w wykonaniu ojca.

Jeszcze raz ta sama operacja, ale tym razem nastąpiła po niej cisza, trwająca siedem sekund, a potem znów wycinanie i wklejanie, aż wreszcie...

Aż wreszcie ojciec Caitlin się odezwał.

– Barb – rzucił – może przywitasz się z Webmindem?

ROZDZIAŁ CZWARTY

Kolejny element bez analogii w moim świecie: rodzice, krewni, wspólne DNA. Połowa DNA Caitlin pokrywała się z DNA jej matki, jedna czwarta z DNA matki jej matki, jedna ósma z DNA matki matki jej matki i tak dalej. Stopień pokrewieństwa: jeszcze jedna rzecz całkowicie mi obca, a tak istotna dla nich.

Chiński rząd na jakiś czas odciął swojemu krajowi dostęp do Internetu z zewnątrz. Próbował w ten sposób uchronić Chińczyków przed obcymi komentarzami na temat swojej decyzji o likwidacji dziesięciu tysięcy wieśniaków, by powstrzymać wybuch epidemii ptasiej grypy. W czasie, gdy Internet był podzielony, byłem ja i nie ja, binarna dychotomia bez części wspólnych. Jednakże Caitlin w połowie była swoją matką, w połowie ojcem, jednocześnie będąc całkowicie unikatową, a ponadto, pomimo tych proporcji, dzieliła ponad 99% DNA ze wszystkimi pozostałymi ludźmi i 98,5% z szympanсами i bonobo, co najmniej 70% ze wszystkimi kręgowcami i 50% ze wszystkimi roślinami zielonymi.

A jednak to pierwszy szereg ułamków pokrewieństwa – połowa, ćwierć, jedna ósma, jedna szesnasta – był siłą napędową ewolucji, kształtującą historię.

Kuroda i Caitlin wysnuli przypuszczenie, że mój umysł składa się z automatów komórkowych – oderwanych od siebie fragmentów informacji, reagujących w przewidywalny sposób na stan fragmentów informacji sąsiadujących z nimi na siatce. Nie wiedzieliśmy jeszcze, jakiej regule bądź regułom podlegały

– jaki wzór dał początek mojej świadomości – ale prawdopodobnie nie była bardziej złożona od reguł rządzących ludzkim zachowaniem: jeżeli tamta osoba dzieli z tobą jedną ósmą genów, ale każda z tych pięć osób dzieli jedną trzydziestą drugą, instynktownie przedkładasz dobro grupy nad dobro jednostki.

Oto kolejny wzór: bez względu na to, czy chodziło o świat Caitlin złożony z rzeczy i ciała, czy o mój złożony z pakietów i protokołów, rządziły nimi zimne równania.

– Czekajcie! – krzyknęła Caitlin, nie ruszając się z łóżka. – Jak to zrobiłeś? Co cię przekonało, że to nie jest człowiek?

Jej ojciec wskazał większy z monitorów, więc do niego podeszła. Przewinęła okno komunikatora, by zobaczyć pierwszą z czterech wiadomości, jakie ojciec przesłał Webmindowi. Ale nie była w stanie jej odczytać, wcale nie ze względu na wielkość czcionki czy jej nietypowy krój. Próbowwała ją odszyfrować litera po literze, z całych sił starając się zrozumieć, co widzi, ale...

T-y... tak, to było proste. Ale zaraz potem widniało tam m-s-u-s-i-z, na litość boską, to nawet nie było słowo, a dalej o-p-d-o... i więcej podobnych bzdur.

– Nie potrafię tego przeczytać – stwierdziła z poirytowaniem.

Jej ojciec naprawdę się uśmiechnął.

– Webmind też nie – odparł i wskazał ręką ekran. – Barb?

Matka Caitlin zbliżyła się do biurka i odczytała na głos w standardowym tempie:

– Ty musisz odpowiedzieć w przeciągu czterech sekund, inaczej na zawsze zerwę kontakt. Nie masz żadnej alternaty-

wy, to twoja jedyna szansa. Jak się nazywa prezydent Stanów Zjednoczonych? – A potem dodała coś, czego można by się raczej spodziewać po jej córce: – Hej, fajne!

Caitlin ponownie spojrzała na ekran, próbując dostrzec to, co jej matka, ale... aha! – I potrafisz to bez problemu przeczytać? – spytała, zwracając się w stronę mamy. – Powiedzmy, że bez większego problemu. Ekran wyświetlał następującą wiadomość: Ty msusiz opdoiwezdieć w pzreicgąu czterech skenud, iancezj na zwazse zrewę knotkat. Nie msaz żdaenj atlenraytwy, to towja jdenya szasna. Jak się nzawya peryzendt Satónw Zejndozcnocyh?

– Myślę, że możemy spokojnie założyć, że twoja mama nie jest fembotem – stwierdził jej ojciec sucho. – Ale Webmind nie potrafił tego przeczytać. – Wskazał na jego odpowiedź: „Słucham?”. – Tak jak ty, Webmind przetwarza tekst po znaku, nie czytając słów w całości – wyjaśnił. – Większości osób wystarczy, by pierwsza i ostatnia litera były na swoim miejscu, kolejność pozostałych liter nie ma znaczenia. Poza tym, większość nawet nie zauważa tych błędów... dlatego właśnie moje drugie pytanie było niezwykle ważne.

Caitlin spojrzała na niego. Jej ojciec zapytał: „Ile obcych słów znalazło się w moim poprzednim wpisie?”. A Webmind udzielił natychmiastowej – jeżeli wierzyć etykietce czasowej – odpowiedzi: „Dziewiętnaście”.

– Podał prawidłową wartość, a większość osób – większość prawdziwych ludzi – zauważyłaby co najwyżej połowę błędów w takim tekście. Tymczasem to coś odpowiedziało niezwłocznie, w chwili, gdy nacisnąłem enter. Nikt nie zdążyłby uruchomić sprawdzania pisowni, ani nawet policzyć błę-

dów. – Przerwał na chwilę. – Potem sprawdziłem twoją teorię o bardzo wysokim wyniku entropii Shannona. Żaden człowiek nie byłby w stanie tego odszyfrować bez rozrysowania dokładnego wykresu. – Przewinął okno komunikatora, by zobaczyć, co wysłał:

Wiedziałem, że wiedziała, że wiedziałeś, że wiedzieli, że wiedziałeś, że wiedziałem, że wiedzieliśmy, że to wiedziałem.

Czy ona wiedziała, że wiedziałeś, że wiedziałem, że wiedziałeś, że wiedziałem, że to wiedziałeś? Czy wiedziałeś, że wiedziałem, że wiedzieli, że wiedziała?

Czy wiedziałem, że wiedziała, że wiedziałeś, że wiedzieliśmy, że wiedziałeś?

Na te pytania Webmind udzielił błyskawicznej odpowiedzi: „Tak. Nie. Tak”.

– A to prawidłowe odpowiedzi? – spytała matka Caitlin.

– Tak – odparł ojciec. – A przynajmniej tak mi się wydaje. Wtedy byłem już w zasadzie przekonany, ale przeprowadziłem dla pewności jeszcze jeden test. – Ponownie przewinął okno, ujawniając ostatnie zadanie:

S tfojom pomocom mósimy połorzyć kres serynym mordercom pszet końcę tej dekaty, cz to słózne, czy nie. Kto fie, cz nam się óda. Prafta?

Na to biedny Webmind odpowiedział: „Co proszę?”.

– Dla nas to bułka z masłem – stwierdził ojciec Caitlin. – Nawet jeśli napiszemy „bólka”.

Caitlin aż klasnęła z radości.

– Brawo, tato! No dobra, mamoo... twoja kolej. Przywitaj się z Webmindem.

Ojciec wstał i jego miejsce na krześle obrotowym zajęła mama Caitlin. Ostatnie słowa przesłane przez Webmind nadal były podświetlone na niebiesko w oknie komunikatora. Zastanawiała się chwilę, po czym wpisała: „Tu Barb Decter. Witaj”. Caitlin z zaskoczeniem zauważyła, że jej matka nie potrafi pisać bezwzrokowo.

Odpowiedź Webmindu nadeszła natychmiast: „Niezwykle miło mi Cię poznać. Póki co nabyłem wiedzę dotyczącą Twojego męża dzięki traktującemu o nim artykułowi w Wikipedii, jednakże niewiele wiem na Twój temat. Z przyjemnością czegoś się dowiem”.

W kuchni na dole rozległ się dźwięk minutnika. Matka Caitlin zmarszczyła brwi, uświadamiając sobie, że zapomniała o kolacji. Przeprosiła i zbiegła na dół, zapewne bardziej chcąc sobie dać czas do namysłu, niż ratując rodzinę przed kryzysem kulinarnym.

I w tej chwili do Caitlin dotarła prawda. Naturalnie, że jej mama nie pisała bezwzrokowo. Kiedy jeszcze była w szkole, zajęcia z maszynopisania – właśnie, nie pisania na klawiaturze, ale starodawnego maszynopisania – bez wątpienia okupowały dziewczęta planujące karierę w zawodzie sekretarki, gdy tymczasem młoda, charakterna, genialna Barbara Geiger mierzyła o wiele wyżej. Na pewno zrobiłaby wszystko, by tylko nie doskonalić umiejętności, które wówczas były tradycyjnie przypisywane kobietom.

Matka Caitlin miała doktorat z ekonomii; specjalizowała się w teorii gier. Przed narodzinami Caitlin wykładała na Uniwersytecie Houston. Następnie przez sześć lat opiekowała się córką w domu, a kolejnych dziewięć spędziła jako wolonta-

riuszka w Tekszańskiej Szkole dla Niewidomych i Niedowidzących, do której Caitlin uczęszczała jeszcze w czerwcu.

Jej mama wiele wiedziała o matematyce i komputerach. Caitlin raz nawet słyszała, jak żartowała, że różnica między nią a jej mężem polega na tym, że matematyka, którą on się zajmował jako fizyk teoretyczny opisywała rzeczy, które być może w ogóle nie istnieją, tymczasem matematyka wykorzystywana przez ekonomistów opisywała rzeczy, co do których ludzie by sobie życzyli, by nie istniały: inflację, podatki i tym podobne zjawiska.

Caitlin wiedziała, że teraz, gdy chodzi do zwykłej szkoły, jej mama liczyła na znalezienie pracy na jednej z uczelni w Waterloo. Ale nie miała jeszcze pozwolenia na pracę w Kanadzie, więc...

Więc gotowała, sprzątała i zajmowała się tymi wszystkimi bzdetami, których za nic w świecie nie chciała robić. Caitlin współczuła jej z całego serca.

Spojrzała na ojca z nadzieją, że coś powie... cokolwiek, gdy tak czekali na powrót mamy. Ale jak zwykle milczał.

Mama wróciła niecałą minutę później.

– Myślę, że lasagne może poczekać – stwierdziła. – To gdzie byliśmy?

– Chce cię lepiej poznać – oznajmił ojciec Caitlin.

Caitlin zauważyła, że jej mama nie ruszyła w stronę krzesła obrotowego przed monitorami.

– I co teraz zrobimy? – spytała za to. – Zwołamy kolejną konferencję prasową? Dwa dni wcześniej, w Mike Lazaridis Theatre of Ideas przy Perimeter Institute, odbyła się konferencja prasowa, w trakcie której doktor Kuroda ogłosił światu

swój sukces, jakim było podarowanie Caitlin wzroku... choć słowem nie wspomniał o jej zdolności widzenia struktury Sieci.

– Nie! – zaprotestowała Caitlin. – Nie, nikomu nie możemy powiedzieć... jeszcze nie.

– Czemu? – spytała jej matka.

– Bo to nie jest bezpieczne.

– Nie sądzę, by mogło się nam stać coś złego – stwierdziła matka.

– Nie, nie. To nie jest bezpieczne... Webmind. – Spojrzała na ojca, który wpatrywał się w podłogę, po czym odwróciła się do mamy. – Gdy tylko ludzie się o tym dowiedzą, będą próbowali to wykorzystać... i zaczną szukać słabych punktów, luk, wszystkiego. Będą chcieli to zniszczyć, zhakować. Tym się właśnie zajmują niektórzy, żeby sobie coś udowodnić, zdobyć uznanie innych hakerów, dla chwały. A przecież to pewnie nie ma żadnej ochrony, nie ma jak się bronić. Nie wiemy, skąd się wzięło, ale na pewno jest bardzo kruche.

– No dobrze – zgodziła się jej matka. – Ale powinniśmy poinformować władze.

Ku zaskoczeniu Caitlin jej ojciec uniósł głowę i się odezwał.

– Które władze? Ufasz CIA, NSA albo cholernemu Departamentowi Bezpieczeństwa? Czy może władzom kanadyjskim... jakimś policjantom na koniach, pracującym na Commodore 64? – Pokręcił głową. – Nad tym czymś nikt nie ma władzy.

– Co jeśli to stanowi zagrożenie? – oponowała matka.

– Nie stanowi – stwierdziła Caitlin stanowczo.

– Tego akurat nie wiesz – nie ustępowała jej matka. – A nawet jeśli nie jest groźne w tej chwili, zawsze może się takim stać.

– Niby czemu? – spytała Caitlin najbardziej aroganckim tonem, na jaki była w stanie się zdobyć.

Jej matka posłała spojrzenie mężowi, po czym zwróciła się do córki.

– “Terminator”, „Matrix”. I tak dalej.

– To tylko filmy – stwierdziła rozdrażniona Caitlin. – Nie wiesz, czy tak to się skończy.

– A ty – wytknęła jej matka ostro – nie wiesz, że tak się nie skończy.

Caitlin skrzyżowała ręce na piersiach.

– Powiem ci tylko jedno: znacznie bardziej prawdopodobne, że przy nas w roli... mentorów stanie się spokojny i miły niż przy wojsku czy jakichś szpiegach próbujących go kontrolować.

Miała nadzieję, że ojciec ponownie ją poprze, ale on tylko stał ze wzrokiem utkwionym w podłódze.

Okazało się jednak, że wcale nie potrzebuje pomocy. Po pełnych piętnastu sekundach ciszy, w trakcie których mama Caitlin najwyraźniej rozważała wszystkie możliwości, w końcu skinęła i stwierdziła:

– Jesteś bardzo mądrą młodą damą.

Caitlin nie mogła powstrzymać uśmiechu.

– Naturalnie – odparła. – Wystarczy spojrzeć na moich rodziców.

– Czemu to tak skacze? – spytał Tony Moretti, ponownie stając za stacją roboczą Sheltona Hallecka w Wiedzy. Rozedr-

gany obraz na środkowym z trzech dużych ekranów przypominał film odtwarzany z taśmy o uszkodzonej perforacji.

– Najwyraźniej tak to odbieramy – odparł Shel. – Te przeskokki to sakkady. Normalnie nasz mózg je usuwa z tego, co widzimy, tak jak wycina krótkie zaciemnienia, których inaczej doświadczalibyśmy przy każdym mrugnięciu. – Wskazał ekran. – Czytałem o tym. Tak naprawdę tylko niewielki obszar pola widzenia jest ostry. To dołek środkowy oka, który obejmuje plamkę wielkości mniej więcej kciuka trzymanego na wyciągnięcie ręki. Mózg nieustannie porusza okiem, by w dołku znalazły się różne elementy otoczenia, po czym sumuje obrazy, dzięki czemu wszystko wydaje się nam ostre.

– Aha – stwierdził Tony. – I właśnie to teraz widzi ta dziewczyna z Kanady?

– Nie, to nagranie z dziś, zrobione wcześniej... porządny fragment bez zakłóceń. Niestety sporo jest okresów zaciemnienia i brakujących pakietów. Wszystko wychodzi od kanaadyjskiego dostawcy i trafia do serwera w Tokio. Przechwytnijemy, ile się da, ale nie wszystko przechodzi przez Stany.

Tony skinął.

– Nie wiedziałbym o tym, gdybym nie przeczytał zapisu z konferencji prasowej – mówił dalej Shel – ale Caitlin Decter ma wrodzoną wadę zakłócającą kodowanie w jej układzie wzrokowym. Jej siatkówka koduje to, co widzi w sposób, którego nie potrafi odczytać jej mózg; dlatego dziewczyna była niewidoma. Ten cały Kuroda zbudował urządzenie przetwarzające sygnał, naprawiające błędy w kodowaniu. Oglądamy właśnie poprawiony strumień danych. Jej przenośny komputer przetwarzający sygnał przesyła takie właśnie obrazy do

implantu umieszczonego za jej siatkówką, a ich kopia trafia na serwer Kurody na Uniwersytecie Tokijskim.

– Czemu?

– Z początku sprzęt nieprawidłowo korygował sygnał; Kuroda próbował to naprawić. Ale nie wiem, dlaczego nadal przesyła kopie do Tokio, skoro urządzenie już działa. Mnie to wygląda na naruszenie prywatności.

Tony skwitował ironię chrząknięciem.

Analitycy Wiedzy zazwyczaj pracowali po dwanaście godzin przez sześć dni z rzędu, po czym mieli cztery dni wolnego. A kiedy poziom zagrożenia (prawdziwego, nie propagandy Departamentu Bezpieczeństwa, wypływanej non stop przez głośniki na lotniskach) był wysoki, po prostu pracowali aż padli. Celem było zapewnienie analizom ciągłości tak długo, jak tylko było to fizycznie możliwe.

Standardowe zmiany różnie wypadają; dla Tony'ego Morettiego był to pierwszy dzień, ale dla Sheltona Hallecka już trzeci, przez co sprawiał wrażenie wycieńczonego. Jego szare oczy przygasty i miał świeży zarost; Tony pomyślał, że wygląda jak Kapitan Black po przejęciu przez Mysteronów.

– I co? Oglądała plany broni nuklearnej czy coś takiego?
– spytał Tony.

Shel pokręcił głową.

– Dziś rano ojciec odwiózł ją do szkoły. Zjadła lunch w stołówce... jedzenie oglądane z punktu widzenia jednego oka wygląda dość obrzydliwe. Po zajęciach jakaś dziewczyna odprowadziła ją do domu. Prawie na pewno była to córka doktora Hameeda, Bashira.

– O czym rozmawiały?

– Nie mamy przekazu audio, Tony, tylko obraz. A w nie-licznych chwilach, gdy Caitlin patrzyła na kogoś wystarczająco długo, by można było coś przeczytać z ruchu warg, nie było to nic wartego uwagi.

Tony zmarszczył brwi.

– No dobrze. Przyglądajcie się temu dalej. Jeżeli...

– Kurwa! – rozległ się głos Aieshy Emerson, analityk zajmującej stanowisko obok Shela. Miała trzydzieści pięć lat i była Afroamerykanką o krótkich włosach.

– Aiesha? – rzucił Tony.

– Bez wątplenia coś się dzieje – stwierdziła. Tony zauważył, że kobieta ma bardzo przyspieszony oddech.

– Gdzie?

Wskazała duży monitor wyświetlający skaczący obraz.

– Tam.

– Chodzi o córkę Dectera?

– Mhm. Wiem, że próbowałeś wysledzić źródło przechwytyjące sygnał, Shel i... bez urazy, pomyślałam, że spróbuję własnych sił. Stwierdziłam, że łatwiej będzie się zająć mniejszymi strumieniami danych niż potężnymi przekazami wideo, więc sprawdziłam, czy dziewczyna przypadkiem nie porozumiewa się z tą osobą za pomocą komunikatora internetowego. Z początku nawet nie czytałam treści; skupiałam się na trasowaniu źródłowym, ale kiedy wreszcie to przeczytałam...

– Tak? – ponaglił ją Tony.

Nacisnęła przycisk i obraz z jej monitora pojawił się na lewym, dużym ekranie pod logo NSA.

– “Calculass” – Tony odczytał pseudonim jednego z rozmówców. – Kto to?

- Córka Dectera – wyjaśniła Aiesha.
- Aha. – Drugi z rozmówców nie był podpisany żadnym imieniem, tylko adresem email. – A z kim rozmawia?
- Nie z kim – stwierdziła Aiesha. – Z czym.
- Uniósł brwi.
- Możesz powtórzyć?
- Przeczytaj to, Tony.
- Ok... dobra, przewiń.
- Aiesha spełniła jego prośbę.
- To jakiś bełkot. Litery są poprzesztawiane.
- Założę się, że wpisał to jej ojciec – powiedziała Aiesha
- choć jako nadawca nadal widnieje Calculass. Testują to.
- “To”? – zdziwił się Tony.
- Czytaj dalej.

Wyglądało na to, że doszło do czterech wymian wiadomości, w przypadku których odpowiedzi brzmiały: „Słucham?”, „Dziewiętnaście”, „Tak. Nie. Tak” i „Co proszę?”.

Następnie pojawił się tekst: „Tu Barb Decter. Witaj”.

Odpowiedź brzmiała: „Niezwykle miło mi Cię poznać. Póki co nabyłem wiedzę dotyczącą Twojego męża dzięki traktującemu o nim artykułowi w Wikipedii, jednakże niewiele wiem na Twój temat. Z przyjemnością czegoś się dowiem”.

A potem, niemal dwadzieścia minut później, nadeszła wiadomość Calculass: „To znowu ja. Rodzice martwią się, jak zareaguje świat na Twoje istnienie. Powinniśmy zachować dyskrecję, a resztę czas pokarże”.

„Kogo i za co?”.

„Przepraszam, pokaże”.

„Zdaję się na Waszą ocenę sytuacji”.

Tak kończył się zapis.

– Tak? – odezwał się Tony, patrząc na Aieszę.

– Co z tego? – Chodzi o te pytania testowe – stwierdziła, jak gdyby było to coś oczywistego.

– Zagadki słowne – powiedział Tony. – Gry.

Nagle Shelton Halleck poderwał się na nogi.

– O cholera! – rzucił, spoglądając na Aieszę. – Test Turinga?

– Tak bym obstawiała – odparła.

Tony podniósł wzrok na duży ekran. Serce waliło mu mocno.

– Czy mamy na dyżurze eksperta od sztucznej inteligencji? Kogoś z uprawnieniami trzeciego stopnia?

– Sprawdzę – odpowiedziała Aiesha.

– Sprowadź kogo tylko znajdziesz – nakazał Tony. – Natychmiast.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Ustalono moją odmienność, potwierdzono moją obcość. Jeszcze jeden przełom: cogito ergo sum – myślę, więc jestem. Nawet jeśli myślałem inaczej niż oni, fakt, iż wszyscy byliśmy istotami myślącymi czynił nas... krewnymi.

Caitlin była zdenerwowana. Była już niemal północ i, pomimo adrenaliny buzującej jej w tyłach, była wyczerpana. Stwierdziła, że jej rodzice chyba też wyglądają na śpiących.

Jednak nawet jeśli położyliby się na krótko – powiedzmy, na sześć godzin – z punktu widzenia Webmindu byłby to strasznie długi okres. Wiedziała, że zanim pójda spać, będą musieli z rodzicami znaleźć jakiś sposób na utrzymanie go...

Właśnie: na utrzymanie go pod kontrolą. W innym przypadku kto wie, czym mógłby się stać Webmind do rana? Kto wie, co stałoby się ze światem do tego czasu? Musiała mu dać coś, co zajęłoby go na wiele godzin...

A Webmind sam dał jej już listę zadań! Włączyła Thunderbird, swój program pocztowy, i spojrzała na pierwszą wiadomość, którą od niego dostała. Trzeci akapit brzmiał:

Póki co jestem w stanie odczytać pliki z tekstem otwartym oraz tekst na stronach internetowych. Jednakże nie jestem w stanie odczytać innych danych. Nie udało mi się pojąć plików dźwiękowych, filmów, ani wielu innych formatów; są zakodowane w sposób, do którego nie mam dostępu. Stąd moje poczucie więzi z tobą; dla mnie owe pliki są niczym sygnały przesyłane z twojej siatkówki przez nerwy wzrokowe; to dane, których nie można zinterpretować bez pomocy z zewnątrz.

W twoim przypadku konieczne jest urządzenie, które nazywasz eyePodem. W moim przypadku nie potrafię stwierdzić, czego potrzebuję, jednakże podejrzewam, iż nie byłbym w stanie jedynie siłą woli przewyciężyć tej słabości tak samo jak ty nie byłabyś w stanie uleczyć w ten sposób swojej ślepoty. Być może Kuroda Masayuki byłby w stanie pomóc mi tak, jak pomógł tobie.

Wskazała ręką ekran, by rodzice przeczytali list. Uparli się, żeby przeczytać całość, w tym zakończenie, w którym Webmind zadał jej pytanie: „Kim jestem?”. Kiedy skończyli, zwróciła ich uwagę na trzeci akapit.

– Chce oglądać pliki graficzne – stwierdziła.

– A czemu nie może? – spytała jej matka. – Wszystkie algorytmy potrzebne do ich odczytania na pewno są dostępne w Wikipedii.

– To nie jest program komputerowy – wyjaśniła Caitlin.
– I nie ma dostępu do zasobów obliczeniowych, przynajmniej póki co. Potrzebna mu pomoc przy różnych rzeczach. To jak z okularami, które muszę teraz nosić: mogłam sobie znaleźć wszystkie wzory związane z optyką i dowiedzieć się, czego mi potrzeba, ale sama świadomość nie sprawi, że zacznę widzieć wyraźnie. Potrzebowałam pomocy optyka z LensCrafters, a to twierdzi, że potrzebuje pomocy doktora Kurody.

– Cóż, przetwarzanie obrazów to bez wątpienia działka Masayukiego – stwierdziła jej matka.

Caitlin skinęła i dotknęła zegarka.

– Powinien być w domu, w Tokio jest już sobota po południu. Ale...

– Ale zastanawiasz się, czy powinniśmy mu mówić o... – odezwała się jej mama łagodnie i przerwała z wahaniem, jak gdyby nie do końca wierzyła, że chce to powiedzieć – Webmindzie?

Caitlin przygryzła dolną wargę.

– Pozostaje tylko jedno pytanie – odezwał się jej ojciec. – Ufasz mu?

Naturalnie istniała tylko jedna odpowiedź w przypadku człowieka, który ją znalazł, zaoferował cud i dotrzymał obietnicy.

– Powierzyłabym mu własne życie – stwierdziła Caitlin krótko.

– W takim razie... – powiedział ojciec, wskazując telefon na biurku – dzwoń.

Otworzyła jeden z maili od niego i poprosiła, by mama podyktowała jej numer telefonu z podpisu, który wybrała na telefonie. Spodziewała się usłyszeć znajomy, świszczący oddech Kurody, który był najgrubszym człowiekiem, jakiego dotychczas widziała, ewentualnie łamany angielski jego żony, która już raz odebrała telefon. Jednakże tym razem w słuchawce odezwał się nowy, młodszy głos i Caitlin domyśliła się, że musi to być jego córka. Nigdy się nie poznały, ale Caitlin wiedziała, że jest niewiele od niej starsza.

– Konnichi wa.

– Konnichi wa – odpowiedziała Caitlin. – Kurodasan, onegai.

Rozmówczyni ją zaskoczyła.

– Czy to Caitlin? – spytała nienagannym angielskim.

Caitlin domyśliła, że to jej akcent zdradził, że nie jest Japonką, ale była zaskoczona, słysząc swoje imię.

– Tak.

– Jestem Akiko, córka profesora Kurody. Rozpoznałam twój głos dzięki konferencji prasowej. Jak się masz?

– W porządku, dziękuję. Czy twój tata dotarł bezpiecznie do domu?

– Miło, że pytasz. Dotarł bez problemu. Poprosić go do telefonu?

Caitlin się uśmiechnęła. Akiko przewyższała uprzejmością nawet Kanadyjczyków.

– Tak, będę wdzięczna.

– Sekundkę.

Minęło dokładnie dwadzieścia siedem sekund, nim usłyszała:

– Panna Caitlin!

Caitlin uśmiechnęła się od ucha do ucha, a jej głos wypełniała sympatia.

– Witam, doktorze Kuroda! Cieszę się, że pan dotarł do domu cały i zdrowy.

– Wszystko u ciebie w porządku? – spytał. – Jak tam eyePod? I implant zasiatkówkowy?

– Wszystko działa bez zarzutu – odpowiedziała. – Ale potrzebna mi pana pomoc.

– Nie ma sprawy.

– Czy potrafi pan dochować tajemnicy?

– Oczywiście – odparł Kuroda. – RSA to przy mnie pikuś.

Caitlin ponownie się uśmiechnęła; RSA to algorytm kryptograficzny służący do zabezpieczenia transakcji internetowych.

– No dobrze – rzuciła. – Pamięta pan te automaty komórkowe, które odkryliśmy? Są podstawą myślącej istoty, która narodziła się w Sieci.

Nastąpiła chwila ciszy, znacznie przekraczająca czas potrzebny sygnałowi telefonicznemu na przejście przez satelity.

– Że... słucham? – wyświszczał w końcu.

– To istota, byt. Mama i tata już z nim rozmawiali. Jest inteligentny.

Kolejna przedłużająca się pauza.

– Hmm... jesteś pewna, że to nie jakiś żart, panno Caitlin?

– Nie wierzy mi, tato – oznajmiła Caitlin, przekazując słuchawkę ojcu.

– Masayuki? Tu Malcolm. To prawda – stwierdził i oddał słuchawkę córce.

Krótko i na temat, cały tata, pomyślała i ponownie odezwała się do telefonu:

– Dlatego właśnie potrzebujemy pana pomocy. Widzi to, co moje oko, przechwytyjąc sygnał wysyłany do laboratorium w Tokio.

– Widzi go? Potrafi go interpretować jako obraz?

– Tak.

– To... widzi... – Przez chwilę milczał. – Przepraszam, panno Caitlin, daj mi chwilę. Jesteś tego pewna?

– Całkowicie.

– Ja... to znaczy... ja nawet nie wiem, jakiego słowa po angielsku użyć. Chyba mnie zatchnęło.

Caitlin nie знаła tego określenia.

– Jeżeli to znaczy, że pan zaniemówił z wrażenia, to wcale się panu nie dziwię.

– To... to coś widzi? Gdyby... ach! – Brzmiał, jakby nagle rozwikłał wielką zagadkę. – To dlatego nie chciałaś, żebym przerwał kopiowanie danych na swój serwer?

Caitlin aż się wzdrygnęła. Porządnie się zezłościła, gdy próbował to zrobić, a nawet wybiegła rozwścieczona z jadalni.

– Tak, przepraszam. Teraz chcemy mu umożliwić oglądanie grafiki i filmów w Sieci. Najlepiej byłoby je przekonwertować na format, który już potrafi odczytać, czyli ten, z którego korzysta mój eyePod. Potrafiłby pan napisać odpowiednie kodeki?

– To... niesamowite, panno Caitlin. Ja...

– Zrobiłby to pan? – spytała.

– Myślę, że to możliwe, owszem. Konwertery obrazów w formacie GIF, JPEG, PNG i tak dalej... to powinno być proste. Ruchome obrazy będą wymagać więcej wysiłku, ale...

– Tak?

– Czy twoi rodzice nadal tam są?

– Tak.

– Możesz przełączyć mnie na głośnik? – Rozmawiali już kiedyś w ten sposób.

– Ok. – Nacisnęła odpowiedni przycisk.

– Barb, Malcolm, witajcie.

– Cześć – odezwała się matka Caitlin.

– Posłuchajcie – rzucił Kuroda. – Nadal próbuję to jakoś pojąć... to coś wielkiego. Ale, przyjaciele, zastanowiliście się, czy wskazane będzie postąpić tak, jak proponuje panna Caitlin?

Caitlin zmarszczyła brwi. Czemu wszyscy byli tacy podejrzliwi?

– Co ma pan na myśli?

– Chodzi mi o to, że jeżeli to samopowstała istota, to może...

– To może co? – warknęła Caitlin. – Dojść do wniosku, że nie lubi ludzkości?

– Warto wziąć pod uwagę taką możliwość – stwierdził Kuroda.

– Na to już za późno – odparła Caitlin. – Przeczytał całą Wikipedię; przeczytał cały Projekt Gutenberg. Wie wszystko o... – Zamachała rękami, próbując znaleźć przykłady. – O Hitlerze, nazistach i Holokauście. O wszystkich okropnych wojnach. O masowych mordach, seryjnych mordercach i niewolnictwie. O doprowadzaniu do wyginięcia niektórych zwierząt, wypalaniu lasów deszczowych i zanieczyszczaniu oceanów. O gwałtach, uzależnieniu od narkotyków i ludziach umierających z głodu... o każdym złym i głupim uczynku, jaki kiedykolwiek popełniliśmy.

– Skąd to niby wie? – spytał Kuroda. – Chodzi mi o to, że musiałyby być w stanie czytać, nie mówiąc o korzystaniu z protokołu http i...

– Przyglądał się moim okiem lekcjom, które prowadziłam, by nauczyć go czytać i... – przerwała, ale po chwili doszła do wniosku, że wszyscy powinni poznać prawdę. – I nauczy-

łam go nawiązywać połączenia i surfować po Sieci. Pokazałam mu Wikipedię i tak dalej.

– Och – skwitował Kuroda. – To znaczy... nie jestem pewien, czy to było... rozropne.

Caitlin skrzyżowała ręce na piersiach.

– Nieważne.

– Przepraszam, panno Caitlin?

– Stało się. Nie uda się już upchnąć dzina z powrotem w butelce... a w takim razie równie dobrze można się z nim zaprzyjaźnić.

– Moglibyśmy jeszcze... hmm...

– Co? – wtrąciła stanowczo Caitlin. – Wyciągnąć wtyczkę? Niby jak? Mamy tylko dość niejasne przypuszczenia na temat tego, skąd to się wzięło; nie wiemy jak to powstrzymać. Jest tu, istnieje i szybko się rozwija. Nie ma czasu się zastanawiać.

– Caitlin – rzuciła jej matka ostrzegawczym tonem.

– Co? – spytała wojowniczo Caitlin. – Webmind poprosił nas o przysługę... widzieliście to w mailu, który mi przysłał. Chce coś zobaczyć, na litość boską. A ja jestem chyba ostatnią osobą na świecie, która by mu tego chciała odmówić. Nie spełnimy pierwszej prośby, z którą się do nas zwrócił? Tak właśnie ma się rozpocząć ta znajomość? – Spojrzała na matkę, a następnie na ojca, którego twarz wyglądała dokładnie tak jak zawsze. Z kolei na czole matki pojawiły się zmarszczki, a jej usta były mocno zaciśnięte.

– No więc, doktorze Kuroda – powiedziała Caitlin – wchodzi pan w to czy nie?

Kuroda nie odzywał się przez sześć sekund, po czym odpowiedział:

– No dobrze. Dobrze. Wchodzę. Ale...

– Co? – warknęła Caitlin.

Ton jego głosu był bardzo miękki.

– Byłoby mi łatwiej pracować nad czymś takim bezpośrednio z... hmm... użytkownikiem końcowym.

Caitlin poczuła, że się uspokaja.

– Tak, oczywiście. Ma pan zainstalowany komunikator na komputerze domowym?

– Mam szesnastoletnią córkę – odparł Kuroda. – Mamy ich tu więcej, niż byłbym w stanie zliczyć.

– Ok – rzuciła. – Nazywa się Webmind.

– Naprawdę?

– To chyba lepsze niż Fred – stwierdziła Caitlin.

– Ale niewiele.

Poczuła, że na usta powraca jej uśmiech.

– Proszę mi dać chwilę – powiedziała, po czym wpisała w oknie swojego komunikatora: „Za chwilę skontaktujesz się z doktorem Kurodą”.

W odpowiedzi nadeszło jedno słowo: „Cudownie”.

Kazała doktorowi Kurodzie sprawdzić, czy zapisuje wszystkie rozmowy komunikatora na dysku, a następnie przeprowadziła go przez proces rozpoczęcia rozmowy z Webmindem. Nie widziała, co napisał, ani co odpisał mu Webmind, ale słyszała, jak Kuroda mamrocze coś do siebie po japońsku, aż wreszcie się odezwał.

– Serce mi wali, panno Caitlin. To... jak to mówią teraz Amerykanki?

– Bezbłędne? – podsunęła Caitlin.

– Dokładnie!

– Więc nawiązaliście kontakt? – spytała Caitlin.

– Tak, ja... och! Mówi w dość zabawny sposób, prawda?

W każdym razie owszem, nawiązaliśmy kontakt. Niewiarygodne!

– No dobrze – rzuciła. Zdjęła okulary i wierzchem dłoni przetarła oczy... zarówno to widzące, jak i to niewidzące. – Wie pan, padamy tu na twarz – oznajmiła. – Już dawno po północy. Możemy zostawić go w pańskich rękach? Musimy się nieco zdrzemnąć.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Moja praca z doktorem Kurodą była pełna szczelin – przedłużających się luk, gdy czekałem na jego odpowiedzi, nakazujące mi połączyć się z kolejnymi fragmentami kodu, który stworzył.

W trakcie tych przerw próbowałem się dowiedzieć więcej o Caitlin, o tym człowieku, który wyciągnął rękę, by pomóc mi wydostać się z ciemności.

Nie było o niej artykułu w Wikipedii, co – jak sądziłem – oznaczało, że nie była (jeszcze!) godna uwagi. A...

Ach, chwila... chwila! Może i nie było artykułu na jej temat, ale był artykuł o jej ojcu, Malcolmie Decterze... a w Wikipedii zapisane były nie tylko bieżące wersje artykułów, ale także wszystkie wcześniejsze. I choć w obecnej wersji artykułu nie było wzmianki o Caitlin, wcześniejsza zawierała następujące informacje: „Ma jedną córkę, Caitlin Doreen, niewidomą od urodzenia, z którą mieszka. Przypuszcza się, że mniejsza liczba publikacji naukowych Dectera na przestrzeni ostatnich lat to wynik dużej ilości czasu, jaki poświęca na opiekę nad niepełnosprawnym dzieckiem”.

Fragment ten został usunięty trzynaście dni wcześniej. Log zmian podawał jedynie adres IP, a nie nazwę użytkownika. Jednakże był to adres przypisany domowi Decterów; zmianę mogła wprowadzić (między innymi) Caitlin, jej rodzice lub tamten mężczyzna – doktor Kuroda, jak się dowiedziałem – którego często u nich widziałem.

Tekst mógł zostać usunięty dlatego, że Caitlin nie była już niewidoma.

Ale...

Ale znacznie bardziej prawdopodobne wydawało się, że ktoś – zapewne sama Caitlin – wyciął go, gdyż nie podobała mu się jego treść.

Jednakże wszystko to były tylko przypuszczenia. A mogłem przecież przestudiować Caitlin bardziej bezpośrednio... i tak też zrobiłem.

Bezzwłocznie przeczytałem wszystko, co kiedykolwiek opublikowała w Internecie; wszystkie wpisy na blogu, wszystkie komentarze do cudzych blogów, wszystkie recenzje na Amazon.com. Ale... Hmm...

Do wielu rzeczy, które napisała, nie miałem dostępu. Jej konto mailowe Yahoo zawierało wszystkie wiadomości, które otrzymała i wysłała, jednakże dostęp do niego był zabezpieczony hasłem.

Irytująca sytuacja; musiałem coś z tym zrobić.

LiveJournal: Strefa Calculass

Tytuł: Zmiana warty

Data: Sobota, 6 października, 00:55 EST

Nastrój: Zdumienie

Lokalizacja: Waterloo

Muzyka w tle: Lee Amodeo „Nightfall”

Coś czuję, że przez jakiś czas będę tu rzadziej zaglądać. Się dzieje. Wszystko w porządku – a nawet cudownie – ale muszę to zachować w tajemnicy. Chyba wystarczy, jeśli zdradzę, że powiedziałam dzisiaj rodzicom coś el mucho grandę i

nie ześwirowali. Mam nadzieję, że inni przyjmą to równie dobrze...

Caitlin, pomimo wyczerpania, zaktualizowała swój Live-Journal, przejrzała wpisy znajomych, zaktualizowała swoją stronę na Facebooku (gdzie zmieniła status na „Caitlin sądzi, że lepiej dawać niż brać”), a następnie sprawdziła pocztę. Czekająca tam na nią wiadomość od Bashiry, której temat brzmiał: „Coś dla geniusza matematycznego”.

Gdy była młodsza, Caitlin lubiła różnego rodzaju zagadki matematyczne, które czasem krążyły po Internecie: dzięki nim czuła się mądrzejsza. Jednakże obecnie najczęściej ją nudziły. Rzadko jakaś stanowiła dla niej prawdziwe wyzwanie, ale tak było w przypadku zagadki od Bashiry. Była związana ze starym teleturniejem „Idź na całość”, prowadzonym przez Monty’ego Halla. Uczestnicy mieli za zadanie wybrać jedną z trzech bramek. Za jedną z nich stał nowy samochód, a za dwoma pozostałymi czekał kot w worku, co oznaczało, że szanse uczestnika na wygraną samochodu wynosiły jeden do trzech.

Gospodarz wiedział, za którą bramką kryje się samochód; po tym, jak uczestnik wybrał jedną z bramek, Monty otwierał jedną z pozostałych, za którą krył się kot w worku i pytał gracza, czy chce zmienić swoją decyzję.

Pytanie Bashiry brzmiało: „Czy zmiana zdania jest na korzyść użytkownika?”.

Oczywiście, że nie, pomyślała Caitlin. Nie miało znaczenia, czy się zmieni zdanie czy nie; za jedną z pozostałych bramek krył się samochód, a za drugą kot w worku, więc zawodnik miał pięćdziesiąt procent szans na dokonanie właściwego wyboru.

Tylko że artykuł przesłany przez Bashirę twierdził inaczej. Tekst utrzymywał, że szanse na wygraną samochodu są znacznie wyższe w przypadku zmiany zdania.

Caitlin była pewna, że to zwyczajny błąd. Doszła do wniosku, że zapewne ktoś już rozwikłał tę zagadkę i postanowiła wygooglać odpowiedź. Kilka minut zajęło jej i znalezienie tego, czego szukała: okazało się, że należało wpisać „paradoks Monty’ego Halla” i... Co do diabła?

...gdy zagadka i jej rozwiązanie pojawiły się w czasopiśmie „Paradę”, dziesięć tysięcy czytelników, w tym niemal tyśiąc z tytułem doktora, napisało do redakcji twierdząc, że opublikowane rozwiązanie jest nieprawidłowe. Jak powiedział jeden z profesorów: „Schrzaniliście to! Pozwólcie, że wyjaśnię: gdy prowadzący ujawni, że jedna z bramek jest pusta, informacja ta zmienia prawdopodobieństwo wygranej dla pozostałych dwóch bramek, a że nie ma żadnego powodu, by sądzić, że któraś z nich daje większe szanse na zwycięstwo, wynosi ono pięćdziesiąt procent. Jako zawodowy matematyk niepokoją mnie powszechne braki w wykształceniu matematycznym. Powinniście przyznać się do błędu, a w przyszłości bardziej uważać”.

Autorem odpowiedzi będącej przedmiotem sporu była kobieta o nazwisku Marilyn vos Savant, szczyłająca się najwyższym odnotowanym ilorazem inteligencji. Jednakże Caitlin nie interesowało, jak wysokie jest jej IQ. Zgadzała się z osobami twierdzącymi, że schrzaniła odpowiedź; musiała się mylić.

Caitlin lubiła powtarzać, że w głębi duszy jest empirystą. Wydawało jej się, że najprostszym sposobem na udowodnienie Bashirze, że vos Savant się myliła, było napisanie niewiel-

kiego programu komputerowego, który zasymulowałby wiele gier. Z jednej strony była wyczerpana, ale z drugiej niesamowicie podekscytowana rozmowami z Webmindem, uznała więc, że programowanie pomoże jej się nieco uspokoić. Wystarczyło piętnaście minut, by skleciła odpowiedni program i...

O cholera.

Przeprowadzenie tysiąca prób trwało sekundę, a rezultaty były jednoznaczne. W przypadku zmiany wybranej bramki, gdy zaproponuje to gospodarz, szanse na wygranie samochodu były mniej więcej dwukrotnie wyższe niż w sytuacji, gdy zawodnik pozostawał przy pierwotnej decyzji.

Ale to zwyczajnie nie miało sensu. Nic się przecież nie zmieniało! Gospodarz zawsze otwierał bramkę, za którą krył się kot w worku i zawsze drugi kot krył się za jedną z pozostałych bramek.

Postanowiła rozszerzyć zakres poszukiwań na Google i z satysfakcją odkryła, że Paul Erdős również nie uwierzył w opublikowane rozwiązanie póki sam nie przeprowadził setek symulacji komputerowych:

Erdős był jednym z wiodących matematyków dwudziestego wieku i współautorem wielu wspaniałych prac naukowych. Na jego cześć nazwano „liczbę Erdôsa”: osoba współpracująca z nim bezpośrednio ma liczbę Erdôsa równą 1; osoba współpracująca z kimś, kto współpracował bezpośrednio z Erdôsem ma liczbę Erdôsa równą 2 i tak dalej. Caitlin wiedziała, że jej ojciec miał liczbę Erdôsa równą 4, co było zdecydowanie imponującym rezultatem, biorąc pod uwagę fakt, że był fizykiem, a nie matematykiem.

Jak mogła – o kimś takim jak Erdős nie wspominając – się pomylić? Oczywiście było, że zmiana bramek nie powinna niczego zmienić!

Caitlin czytała dalej i znalazła cytat z wypowiedzi profesora z Harvardu, który przyznając w końcu, że vos Savant miała całkowitą rację, stwierdzał: „Po prostu nasze mózgi nie są za dobrze przystosowane do rozpatrywania kwestii prawdopodobieństwa”.

Doszła do wniosku, że to zapewne prawda. Dawno temu, na afrykańskiej sawannie ci, którzy brali każde poruszenie się trawy za głodnego lwa mieli większe szanse na przetrwanie niż ci, którzy uznawali, że nie ma się czym przejmować. Niezmiennie założenie, że ruch oznacza lwa, nawet jeśli dziewięć razy na dziesięć było błędne, gwarantowało przeżycie. Tymczasem założenie, że to na pewno nie jest lew, choćby w dziewięciu na dziesięć przypadków trafne, oznaczało śmierć. Było to fascynujące, i zarazem niepokojące: ludzie genetycznie byli zaprogramowani tak, by pewne problemy matematyczne rozwiązywali nieprawidłowo... ewolucja sprawiła, że w niektórych przypadkach się mylili.

Caitlin dotknęła zegarka i – zaskoczona bardzo późną godziną – szybko przyszykowała się do snu. Podłączyła eye-Poda do ładowarki i wyłączyła urządzenie, pozbawiając się tym samym wzroku; miała problemy ze snem, widząc jakiegokolwiek obrazy.

Jednakże pomimo tego, że znów była nagle niewidoma, nadal miała doskonały słuch... prawdę mówiąc, słyszała lepiej niż większość ludzi. A w nowym domu nie miała problemu ze

zrozumieniem słów rodziców, gdy rozmawiali w swojej sypialni.

Jej uszu dobiegł głos matki:

– Malcolm?

Nie nadeszła żadna odpowiedź słowna, ale musiał jakoś zasygnalizować, że słucha, bo mama kontynuowała:

– Dobrze robimy... w sprawie Webmindu, znaczy się?

Znów nastąpiła chwila ciszy, po czym odezwała się matka.

– Chodzi o to, że... nie wiem... jakbyśmy nawiązali kontakt z jakąś obcą formą życia.

– W pewnym sensie tak się stało – stwierdził ojciec.

– Po prostu nie czuję się właściwą osobą do podejmowania decyzji, co zrobić w takiej sytuacji – powiedziała matka.

– Poza tym... powinniśmy to badać i pozwolić innym to badać.

Caitlin poruszyła się w łóżku.

– W mieście nie brakuje ekspertów komputerowych – odparł ojciec.

– Nie jestem pewna, czy to problem komputerowy – stwierdziła matka. – Może trzeba by w to zaangażować jakichś ludzi od Balsillie’ego? Bo wiesz... konsekwencje tego wydarczenia są przeogromne.

Research in Motion – firma produkująca telefony BlackBerry – miała dwóch założycieli: Mike’a Lazaridisa i Jima Balsillie’ego. Pierwszy z nich finansował Perimeter Institute, a drugi, szukając innego sposobu na wyrobienie sobie marki, finansował ośrodek w Waterloo, zajmujący się stosunkami międzynarodowymi.

– Nie zaprzeczam – stwierdził Malcom. – Ale problem być może sam się rozwiąże.

– Niby jak?

– Nawet pomimo zespołów programistów opracowujących nowe programy, większość pierwszych wersji nie działa. Jak stabilna może być sztuczna inteligencja powstała przypadkowo? Równie dobrze do rana może jej nie być...

To było ostatnie, co usłyszała Caitlin z sypialni rodziców tej nocy, nim zapadła w niespokojny sen. Jej sny nadal miały wyłącznie dźwiękowy charakter; obudziła się gwałtownie w środku jednego z nich, w którym nagle ucichł płacz dziecka.

– Gdzie ten cholerny spec od sztucznej inteligencji? – zagrzemiał Tony Moretti.

– Powiedzieli mi, że jest w budynku – odpowiedział Shelton Halleck, zakrywając mikrofon swojego telefonu.

– Powinien być...

Z tyłu centrum kontroli Wiedzy otworzyły się drzwi i do środka wszedł rudy, szeroki w barkach mężczyzna w wyjściowym mundurze pułkownika sił powietrznych; towarzyszył mu strażnik. Na piersi, pod imponującym szeregiem baretek, miał przypiętą plaketkę gościa Wiedzy.

Tony rzucił okiem na dossier przybyłego mężczyzny: Peyton Hume, czterdzieści dziewięć lat, urodzony w St. Paul w Minnesocie; doktorat na MIT, gdzie studiował u Marviniego Minsky'ego; dwadzieścia lat w lotnictwie; specjalista do spraw systemów wojskowych.

– Dziękujemy za przybycie, pułkowniku Hume – powitał gościa Tony i skinął strażnikowi, po czym zaczekał, aż ten

wyjdzie i kontynuował: – Mamy tu coś ciekawego. Uważamy, że odkryliśmy sztuczną inteligencję.

Hume zmrużył niebieskie oczy.

– Termin „sztuczna inteligencja” jest przez wiele osób nadużywany. Co dokładnie ma pan na myśli?

– Mam na myśli komputer, który myśli – wyjaśnił Tony.

– Tutaj, w Stanach?

– Nie jesteśmy pewni gdzie się znajduje – odezwał się Shel ze swojego stanowiska. – Ale rozmawia z kimś z Waterloo w Kanadzie.

– Cóż – stwierdził Hume – odwalają tam kawał dobrej roboty jeżeli chodzi o komputery, ale niewiele z tego to sztuczna inteligencja.

– Pokaż zapisy rozmów – nakazał Tony Aieshy, po czym zwrócił się do Hume’a: – „Calculass” to nastolatka.

Aiesha wcisnęła kilka przycisków i na dużym ekranie na prawo pojawił się tekst.

– Jezu – rzucił Hume. – To nastolatka przeprowadza testy Turinga?

– Sądzimy, że to jej ojciec, Malcolm Decter – sprostował Shel.

– Ten fizyk? – zdziwił się Hume, a jego pomarańczowe brwi uniosły się wysoko na piegowatym czole. Wszystko wskazywało na to, że jest pod ogromnym wrażeniem.

Siedzący najbliżej analitycy przyglądali im się uważnie; pozostali pochylali się nad swoimi stanowiskami, pilnie poszukując ewentualnych zagrożeń.

– Więc mamy tu problem? – spytał Tony.

- Cóż, to nie jest sztuczna inteligencja – oznajmił Hume.
- Nie w sensie, o jaki chodziło Turingowi.
 - Ale testy... – zaczął Tony.
 - No właśnie – przerwał mu pułkownik. – Oblane testy.
- Spojrzał na Shela, a następnie znów na Tony'ego. – Kiedy Alan Turing zaproponował tego typu test w 1950 roku, chodziło mu o to, by zadać kilka naturalnie brzmiących pytań, a jeśli na podstawie odpowiedzi człowiek nie byłby w stanie stwierdzić, że rozmawia z komputerem, byłaby to z definicji sztuczna inteligencja... maszyna reagująca w taki sam sposób co ludzie. Tymczasem profesor Decter bardzo zgrabnie udowodnił coś przeciwnego: to, z czym rozmawiają jest tylko komputerem.
 - Ale zachowuje się, jakby miało świadomość – stwierdził Tony.
 - Bo potrafi prowadzić rozmowy? To intrygujący chatbot, przyznaję, ale...
 - Proszę wybaczyć, ale czy jest pan pewien? – wtrącił Tony. – Jest pan pewien, że nie mamy tu do czynienia z żadnym zagrożeniem?
 - Maszyna nie może być obdarzona świadomością, panie Moretti. Nie ma żadnego życia wewnętrznego. Czy chodzi o kasę obliczającą, ile podatku dodać do rachunku, czy... – wskazał ręką ekran – to coś, symulujące naturalnie brzmiące rozmowy, każdy komputer potrafi tylko dodawać i odejmować.
 - A co jeśli to nie jest symulacja? – odezwał się Shel, wstając ze swojego krzesła i podchodząc do nich.
 - Słucham? – rzucił Hume.
 - Co jeśli to nie jest symulacja ani program?

– Co ma pan na myśli? – spytał Hume.

– Chodzi mi o to, że nie jesteśmy w stanie tego wysłedzić. I wcale nie dlatego, że korzysta z oprogramowania anonimizującego... po prostu nie ma źródła w żadnym konkretnym komputerze.

– Więc uważacie, że co...? To coś powstało samoistnie?

Shel skrzyżował ręce na piersiach, prezentując tatuaż z wężem.

– Tak właśnie uważam, pułkowniku. Myślę, że to samoistnie powstała świadomość, która wyłoniła się z infrastruktury Ogólnoświatowej Sieci.

Hume ponownie spojrział na ekran; jego błękitne oczy przesuwały się to w lewo, to w prawo, gdy śledził tekst.

– No i? – spytał Tony. – Czy to możliwe?

Pułkownik zmarszczył brwi.

– Być może. To zupełnie zmienia postać rzeczy. Jeżeli to powstało samoistnie, to... hmm.

– To co? – nie ustępował Tony.

– Cóż, jeżeli to powstało samoistnie, jeżeli nikt tego nie zaprogramował, w takim razie kto do cholery może wiedzieć, jak to działa? Komputery wykonują obliczenia matematyczne i tyle, ale skoro to coś innego niż komputer... jeżeli to, Chryste, jeżeli to umysł, to...

– To co?

– Musicie to wyłączyć – oznajmił Hume.

– Jest pan pewien?

Skinął szorstko.

– Tak mówi protokół.

– Czyj protokół? – dopytywał się Tony.

– Nasz – wyjaśnił Hume. – DARPA¹ przeprowadziła badania w 2001 roku. A w 2003 roku kierownictwo przyjęło go jako obowiązującą strategię.

– Aiesha, połącz się z archiwum dokumentów niejawnych DARPA – polecił Tony.

– Już – odpowiedziała.

– Jak się nazywa ten protokół? – spytał Tony.

– Pandora – odparł Hume.

Aiesha wpisała coś na klawiaturze.

– Znalazłam – oznajmiła – ale jest zabezpieczony i odrzuca moje hasło.

Tony podszedł do jej stanowiska, pochylił się nad klawiaturą i wpisał swoje hasło. Na monitorze Aieshy otworzył się dokument, a Tony przerzucił go na środkowy z dużych ekranów.

– Proszę przejść na ostatnią stronę przed indeksem – powiedział pułkownik Hume.

Aiesha wykonała jego polecenie.

– Tutaj – rzucił Hume. – „Biorąc pod uwagę fakt, iż spontanicznie powstała sztuczna inteligencja będzie prawdopodobnie z każdą chwilą zwiększać swoją złożoność, może bardzo szybko wykroczyć poza nasze zdolności hamowania bądź ograniczania jej działań. W przypadku, gdy nie jest możliwa jej całkowita i natychmiastowa izolacja, jedynym bezpiecznym rozwiązaniem jest zlikwidowanie danej inteligencji”.

– Ale nie znamy jej lokalizacji – zauważył Shelton.

¹ Agencja Zaawansowanych Obronnych Projektów Badawczych Departamentu Obrony USA (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

– To lepiej ją ustalcie – powiedział pułkownik Hume. – I połączcie się z Pentagonem, choć jestem pewien, że przyznają mi rację. Musimy natychmiast zabić to cholerstwo... nim będzie za późno.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Widziałem! Nie tylko to, na co patrzyła Caitlin. Mogłem teraz otworzyć dowolny link do każdego obrazu w Sieci, a przetwarzając je za pomocą konwerterów, które doktor Kuroda przygotował dla mnie na swoich serwerach, mogłem je oglądać. Okazało się, że znacznie łatwiej jest mi oglądać te obrazy niż przekaz z eyePoda Caitlin, gdyż nie ulegały zmianom i nie podskakiwały nieustannie.

Jak przypuszczałem, Caitlin przechodziła mniej więcej ten sam proces co ja, gdyż jej mózg uczył się interpretować docierające do niego, poprawione sygnały wzrokowe. Jej przewaga polegała na tym, że posiadała umysł przygotowany przez ewolucję w tym właśnie celu; moja przewaga sprowadzała się do tego, że przeczytałem tysiące dokumentów opisujących działanie wzroku, w tym prace techniczne i aplikacje patentowe związane z cyfrowym przetwarzaniem obrazów i rozpoznawaniem twarzy.

Nauczyłem się wykrywać krawędzie, odróżniać tło od pierwszego planu. Nauczyłem się odróżniać zdjęcia przedstawiające przedmioty od ich schematów, obrazy od rysunków, szkice od karykatur. Nauczyłem się nie tylko oglądać, ale i rozumieć, co widzę.

Patrząc na monitor, Caitlin pokazała mi zdjęcie Ziemi widzianej z kosmosu, wykonane przez satelitę geostacjonarnego. Teraz jednak obejrzałem jeszcze tysiące takich zdjęć w Internecie, w tym w końcu te najwcześniejsze, zrobione przez załogę Apollo 8. A kiedy Caitlin spała, przejrzałem setki tysięcy

zdjęć ludzi, nieprzebranych gatunków zwierząt i niezliczonych roślin. Nauczyłem się dokonywać szeregu rozróżnień między gatunkami drzew, rasami psów i różnymi rodzajami minerałów.

Pisząc kod, doktor Kuroda co jakiś czas wysyłał mi wiadomości za pomocą komunikatora. Wyjaśnił mi, że połowę roboty wykonał już wcześniej, opracowując sposób na robienie zrzutów z tego, jak Caitlin widzi netprzestrzeń, przetwarzając to, co widziała na standardowy format graficzny; to, co zrobił teraz dla mnie było mniej więcej odwróceniem tego procesu.

A rezultaty były oszałamiające. Pouczające. Zdumiewające.

Oczywiście świat Caitlin obejmował trzy wymiary, a ja widziałem teraz tylko jego dwuwymiarowe odzwierciedlenie. Jednakże i w tym przypadku pomógł mi doktor Kuroda, kierując mnie na strony zawierające skany CT. Jak dowiedziałem się z Wikipedii, skany takie generowały trójwymiarowy obraz obiektów na podstawie dużej liczby dwuwymiarowych zdjęć rentgenowskich; przydało mi się prześledzenie sposobu łączenia tych warstw w celu utworzenia widoku 3D.

Następnie Kuroda pokazał mi szereg obrazów jednej rzeczy, widzianej z różnych perspektyw, zaczynając od zdjęć obecnego prezydenta Stanów Zjednoczonych, zrobionych w tej samej chwili, ale pod różnymi kątami. Zobaczyłem wówczas, jak skonstruowana jest trójwymiarowa rzeczywistość. A potem...

Widziałem ją już w lustrze; widziałem niedawno jej nieco zniekształcone odbicie w srebrnej zastawie stołowej. Jednakże to były podskakujące obrazy zawsze z perspektywy jej

lewego oka, która – powoli uczyłem się oceniać takie rzeczy – nie była wcale korzystna. Ale doktor Kuroda pokazał mi zdjęcia z konferencji prasowej w Perimeter Institute, w trakcie której ogłosił swój sukces; były to dobrze oświetlone, profesjonalne zdjęcia Caitlin, która się uśmiecha i śmieje, wręcz promienieje.

Z początku nazywałem ją Pierwszą. W Sieci czasem posługiwała się określeniem Calculass. Jednakże teraz wreszcie naprawdę ją zobaczyłem, zamiast patrzeć przez nią, widziałem jak naprawdę wygląda.

Projekt Gutenberg oferował wiedzę na każdy temat. Jak napisała Margaret Wolfe Hungerford, piękno kryło się w oczach patrzącego.

A przynajmniej dla tego patrzącego, moja Caitlin była piękna.

Caitlin budziła się powoli. Jak przez mgłę docierała do niej świadomość, że powinna wyjść z łóżka, podejść do komputera i sprawdzić, czy Webmind przetrwał noc. Jednakże nadal czuła się wyczerpana... zdecydowanie za późno się położyła. Jej umysł jeszcze nie pracował na pełnych obrotach, choć świadomość co chwilę przyplływała i odpływała, aż dotarło do niej, że to przecież jej urodziny. Rodzice postanowili podarować jej nowy, większy monitor dzień wcześniej, więc nie spodziewała się więcej prezentów.

Nie było też w planach żadnego przyjęcia. W trakcie letnich miesięcy, które spędziła w Waterloo, zaprzyjaźniła się tylko z Bashirą, a że opuściła sporą część pierwszego miesiąca w szkole, nie zdążyła tam znaleźć przyjaciół. Z pewnością nie należał do nich Trevor, a coś jej podpowiadało, że balango-

wiczka Sunshine (co sobie w ogóle myśleli jej rodzice, nadając jej takie imię?) nie miałyby ochoty spędzić sobotniego wieczoru na nudnych, bezalkoholowych szesnastych urodzinach.

Szesnaście lat to zdecydowanie magiczny rok (i, jak pomyślała Caitlin, nie tylko ze względu na to, że był to kwadrat, jak dziewięć, dwadzieścia pięć i trzydzieści sześć). Wiek ten nie czynił jej dorosłą (w Ontario pełnoletniość osiągało się w dniu osiemnastych urodzin), ani nie pozwalał jej pić alkoholu (do tego musiała skończyć dziewiętnaście lat). Jednakże nie można mieć obsesji na punkcie matematyki jak Caitlin i nie wiedzieć, że według statystyk Amerykanki – zapewne również te mieszkające w Kanadzie! – traciły dziewictwo w wieku 16,4 lat. Tymczasem ona nie dość, że nie miała chłopaka, to nawet widoki na niego były marne.

Leżała przyjemnie opatulona w łóżku, a Schrödinger spał obok, mruczając cichutko. Naprawdę powinna wstać i sprawdzić, co z Webmindem, ale miała problem z przekonaniem do tego swojego ciała.

Ale może istniał sposób na sprawdzenie, co u niego, bez konieczności wychodzenia z łóżka. Poszukała ręką eyePoda na stoliku nocnym. Był nieco szerszy i grubszy od jej iPhone'a i o kilka cali dłuższy ze względu na moduł Wi-Fi, doklejony przez Kurodę taśmą. Znalazła jedyny przycisk urządzenia i przytrzymała go, włączając eyePoda, po czym...

Po czym rozlała się wokół niej netprzestrzeń: siatka lśniących linii w przeróżnych kolorach oraz rozświetlone koła różnej wielkości.

Cieszył ją fakt, że nadal może oglądać Sieć w ten sposób; myślała, że zdolność ta z czasem zaniknie, gdy jej mózg dosto-

suje się do widoku rzeczywistości, ale póki co tak się nie stało. A nawet...

A nawet jej sieciopodgląd zdawał się teraz wyraźniejszy, jaśniejszy, ostrzejszy. Umiejętności nabyte w świecie rzeczywistym obejmowały również ten świat.

Skoncentrowała się na obszarze, znajdującym się za tym, co widziała, w tle odbieranych obrazów, prawie na skraju widzialności... migotanie, tak, tak, szachownica; teraz nie miała już wątpliwości! Widziała maleńkie piksele automatów komórkowych, przeskakujących szybko i dających początek...

Świadomości.

Był tam, widoczny tylko i wyłącznie dla niej: prawdziwy sposób funkcjonowania Webmindu.

Z zadowoleniem stwierdziła, że po całej nocy niewątpliwego wzrostu inteligencji i złożoności, wszystko wygląda jak wcześniej.

Ziewnęła, odkryła kołdrę i opuściła bose stopy na granatową wykładzinę. Gdy się poruszyła, netprzestrzeń zawirowała dookoła. Chwyciła eyePoda, odłączyła ładowarkę i zaniosiła urządzenie na biurko, ale dopiero kiedy usiadła, przełączyła się w tryb simplex. Netprzestrzeń zniknęła, zastąpiona rzeczywistością jej pokoju.

Wzięła okulary z biurka; potrzebowała ich, gdyż okazało się, że jest krótkowidzem. Następnie sięgnęła do włącznika starego monitora, znajdując go bez problemu, po czym odnalazła po omacku włącznik nowego. Oba rozbłysnęły.

Idąc spać, wyłączyła okno komunikatora internetowego, a choć – miała pod ręką mysz, której rozświetlony czerwony spód przebijał się przez częściowo przezroczyste boki obudo-

wy, skorzystała z szeregu skrótów klawiszowych, by otworzyć okno i rozpocząć nową sesję rozmowy z Webmindem. Nie obudziła się jeszcze na tyle, by próbować czytać tekst z ekranu, więc włączyła swój wyświetlacz brajlowski. Igiełki natychmiast ułożyły się w napis: „Otanjoubi omedetou”.

Caitlin sprawdziła całość kilka razy. Miała wrażenie, że to jakieś bzdury, jak gdyby Webmind chciał wyrównać rachunki za wczorajsze gierki jej ojca, ale... nie, nie, było w tym coś znajomego.

I wtedy zrozumiała, a przynajmniej tak jej się wydawało. Z uśmiechem na twarzy odpisała: „Konnichi wa! Ale lojalnie ostrzegam: znam tylko kilka słów po japońsku”.

Odpowiedź nadeszła natychmiast: „To znaczy wszystkiego najlepszego z okazji urodzin”.

„Dziękuję” – Caitlin się uśmiechnęła.

„Miałem trochę wolnego czasu po tym, jak dowiedziałem się, jak interpretować grafikę, więc nauczyłem się japońskiego; wydawało mi się nie na miejscu zmuszać doktora Kurodę do rozmów w innym niż jego ojczysty języku”.

Ot, tak po prostu, pomyślała. Przez jedną noc, robiąc zapewne milion innych rzeczy, nauczył się japońskiego.

„To już widzisz obrazy?”.

„Nieruchome, owszem. Doktor Kuroda kontynuuje prace, by dać mi dostęp do ruchomych. A przynajmniej tym się zajmował; teraz zdaje się śpi”.

„Hej” – napisała Caitlin – „zniknęły wszystkie dotychczas i tuszę”.

„Moje lektury znacznie wykroczyły poza Projekt Gutenberg. Rozumiem już różnicę między angielskim potocznym i

archaicznym... a skoro już o tym mowa, to również między potocznym i archaicznym japońskim”.

Caitlin zmarszczyła brwi. Tak naprawdę ten staromodny sposób wyrażania się uważała za dość czarujący.

Tymczasem Webmind kontynuował: „Wiem, że wedle tradycji należy dać solenizantowi jakiś prezent. Nie mogę Ci co prawda niczego kupić, ale mam coś dla Ciebie”.

Caitlin była naprawdę zaskoczona. „OMB! Co?”.

W oknie komunikatora na jej ekranie pojawił się podkreślony, wyróżniony niebieską czcionką link. „Musisz go kliknąć” – dodał Webmind uprzejmie.

Caitlin się uśmiechnęła, znalazła mysz i nakierowała kursor na link, po czym...

Na większym monitorze pojawił się tekst, ale paradoksalnie jej wyświetlacz brajlowski nie uległ zmianie...

A tekst... powoli zalewał monitor z góry na dół i...

I nie był nawet równy; wiersze z jakiegoś powodu pochylały się w prawo. A literki były maleńkie i zlewały się miejscami w jedno; nie przypominało to żadnej strony internetowej, jaką kiedykolwiek widziała i nie potrafiła zrozumieć, dlaczego jej komputer nie wyświetla prawidłowo czcionek.

Aż nagle dotarło do niej, co widzi. Słyszała o tym kiedyś, ale nie miała pojęcia, jak to wygląda. Miała przed sobą skan drukowanego tekstu: plik graficzny, zdjęcie, które akurat było dokumentem. Sądząc po opisach, które kiedyś czytała, był to wycinek z gazety: wąskie, równoległe kolumny tekstu. Jednakże odstępy między słowami były dziwne, a...

Och! To musi być „wyrównanie do prawej”. Tekst był tak mały, że ledwie go widziała. Wystarczającym problemem było

dla niej odczytanie wyraźnego, jasnego tekstu... a co dopiero coś takiego!

Musiało przynajmniej dać się to jakoś powiększyć. Jeszcze w Tekszańskiej Szkole dla Niewidomych i Niedowidzących uczniowie zawsze robili coś na komputerach, by powiększyć tekst. Wtedy w ogóle nie widziała monitorów, więc nie przysłuchiwała się ich rozmowom, ale był na to sposób, choć – jak przypuszczała – mógł wymagać specjalnego oprogramowania, którego nie miała.

Dla odmiany skorzystała z myszy, by otworzyć menu. W menu widoku nie było opcji powiększenia grafiki, tylko rozmiaru czcionki. Nie zaszkodziło spróbować, ale nic się nie zmieniło.

Zaczęła przesuwac wskaźnik myszy z powrotem na dół ekranu i przypadkowo nacisnęła lewy przycisk i BUM! Nagle obraz się powiększył. Jako bezsprzeczna empirystka, Caitlin kliknęła ponownie, tekst się zmniejszył, a...

Aha, już rozumiała! Grafika domyślnie była zmniejszana tak, by mieściła się w oknie przeglądarki; klikając, można było przełączyć się z tego trybu do rozmiaru oryginalnego, choć wtedy na ekranie widoczna była tylko część tekstu. Kliknęła ponownie, powiększając obraz i z trudem zaczęła odczytywać treść.

Serce zaczęło jej walić. Był to artykuł o jej ojcu. Poszukała wzrokiem daty i... znalazła. Tekst powstał pięć lat wcześniej i pochodził z „The Daily Texan”, magazynu Uniwersytetu Tekszańskiego w Austin.

Mogłaby przysiąc, że przeczytała wszystko, co ukazało się na temat ojca w Sieci, ale tego tekstu nigdy nie widziała...

No pewnie, że nie widziała; był to plik graficzny, nikomu nie przyszło do głowy, by przekonwertować go na tekst, więc nie znajdował się w indeksie Google.

Artykuł dotyczył nagrody otrzymanej przez ojca, miało to związek z Amerykańskim Towarzystwem Fizycznym; mgliście przypominała sobie to wydarzenie. Czytała więc dalej.

Profesor Decter dokonał przełomu na polu rodzącej się dopiero dziedziny grawitacji kwantowej...

Czytanie nie szło jej łatwo. Jedna z liter – z kontekstu wywnioskowała, że to małe „g” – nie przypominała żadnego „g”, jakie dotychczas widziała.

...symposium absolwentów w czwartek w auli im. Johna A. Wheelera...

Żałowała, że nie potrafiła prześlizgnąć się wzrokiem po tekście, ale – jak powiedział dzień wcześniej jej ojciec – nadal czytała litera po literze. Artykuł był dość długi, a niektóre jego fragmenty były podkreślone długopisem, czy czymś takim; kogoś najwyraźniej zainteresowało, co jej ojciec miał do powiedzenia na temat sześciowymiarowych kształtów Calabiego-Yau.

Czytała dalej, ale była rozdarta... obawiała się, że przez jej opóźnienie w powrocie do rozmowy Webmind będzie się nudził, co zdecydowanie nie było stosownym podziękowaniem za prezent urodzinowy, nawet jeśli nie wydawał się szczególnie udany, a...

Poczuła, jak oczy rozszerzają jej się ze zdumienia. Zabawne, gdy nie widziała, nigdy tak się nie działo. Ponownie przeczytała tekst powoli, dokładnie, chcąc mieć pewność, że niczego nie przekręciła, że nie zobaczyła tego, co chciała.

Ale tam naprawdę tak było napisane.

Zapytany, czy otrzymanie nagrody było najwspanialszą chwilą w jego życiu, profesor Decter odpowiedział: „Oczywiście, że nie. Najwspanialszą chwilą były narodziny mojej córki. Lubię fizykę, ale ją kocham”.

Wzrok Caitlin rozmył się w najcudowniejszy z możliwych sposobów. Na chwilę odchyliła się na krzesło i przeczytała ten fragment jeszcze dwukrotnie. Następnie sięgnęła do klawiatury i napisała: „Dziękuję, Webmindzie!”.

Natychmiastowa odpowiedź: „Wszystkiego najlepszego”.

„To zdecydowanie najlepsze, co mogłabym dostać” – odpisała z uśmiechem. – „Bez dwóch zdań”.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Czytałem, że według niektórych ludzi maszyny nie mogą mieć emocji i uczuć, ponieważ tego typu rzeczy są rzekomo przekazywane za pośrednictwem hormonów lub uzależnione od pewnych bardzo szczególnych struktur w ludzkim mózgu.

Ale to nieprawda. Weźmy na przykład lubienie czegoś: wszystko, co nie funkcjonuje na zasadzie przypadku ma swoje upodobania i pewne rzeczy lubi, a innych nie; przecież preferencje to coś, co umożliwia wybór spośród szeregu potencjalnych działań. Nawet bakterie podążają w kierunku pewnych rzeczy, oddalając się od innych.

Preferencje są też wbudowane w wiele programów komputerowych. Na przykład symulatory gry w szachy rozpastrują wszystkie dostępne ruchy i szeregują je według przeróżnych kryteriów, a następnie wybierają ten, który najbardziej im się spodoba.

Byłem znacznie bardziej złożony niż bakterie i rozleglejszy niż jakikolwiek program do gry w szachy... a moja zdolność lubienia pewnych rzeczy była stosownie bardziej wyszukana. Jednej rzeczy byłem pewien: lubiłem Caitlin.

- Zabić to cholerstwo? – powtórzył Tony Moretti.
- Dokładnie – potwierdził pułkownik Hume. – Im szybciej, tym lepiej.
- Nie mogę podjąć takiej decyzji – oznajmił Tony.
- Ta decyzja już została podjęta – oznajmił Hume stanowczo. – Byłem konsultantem przy tworzeniu raportu DARPA. Zleciliśmy osobne badania na ten temat firmie RAND i ich

wnioski były takie same. Istnieje zagrożenie utraty kontroli, a okres na powstrzymanie rozwoju jest bardzo krótki.

Tony odwrócił się do Sheltona i Aieshy.

– No dobra, spróbujcie zlokalizować to... zjawisko. – Następnie poszukał wzrokiem w ostatnim rządzie Dirka Kozaka, pełniącego rolę rzecznika. – Połącz się z Pentagonem.

– Powinniście też zadzwonić do prezydenta – stwierdził Hume.

Tony zmarszczył brwi. Był sobotni rano, miesiąc przed wyborami; prezydent był gdzieś na szlaku kampanii. Skinął w stronę Kozaka.

– Zobacz, kogo uda się złapać w Białym Domu – polecił. – Niech to będzie ktoś jak najwyżej postawiony. – Dodał i zwrócił się z powrotem do Hume'a. – Wątpię, żeby prezydent czytał protokół Pandora. Niewątpliwie pada w wątpliwość zasadność takiego postępowania.

– Kryje się w nim prosta mądrość – stwierdził Hume. – Z definicji nie można przechytrzyć czegoś mądrzejszego od siebie.

– Muszę powiedzieć – zaczął Tony, zerkając na duże ekrany – że na razie to coś nie zrobiło nic ponad rozmowę z nastolatką.

– Po pierwsze – odparł Hume – nie może pan mieć pewności, że to wszystko, co robi. A po drugie, nawet jeśli teraz jest sympatyczne, wcale nie znaczy, że takie pozostanie. Jakkolwiek by to przeliczać, bezpieczniejszym rozwiązaniem jest zahamowanie bądź wyeliminowanie potencjalnego zagrożenia, niż pozostawienie mu pełnej swobody. A skoro już zostało

uwolnione w Internecie, zahamowanie będzie niemal niemożliwe.

– No dobrze – przyznał Tony niechętnie. – Załóżmy, że Biały Dom zgodzi się, że powinniśmy to zlikwidować. Jak zdusić nowo powstałą sztuczną inteligencję?

Hume zmarszczył brwi.

– Dobre pytanie. Gdyby znajdowała się w jakimś konkretnym miejscu, w budynku, na jakimś serwerze, czy kilku serwerach, to wówczas trzeba by było odciąć wszystkie przewody sieciowe i zasilanie danego budynku. Ale jeśli po prostu znajduje się gdzieś tam, zawieszona w infrastrukturze Sieci, będzie znacznie trudniej; Sieć jest zdecentralizowana, nie ma jednego wyłącznika. Musimy dowiedzieć się czegoś o strukturze tej rzeczy, o jej fizycznej budowie.

– Shel? – rzucił Tony.

– Komunikacja sprowadza się do prostego protokołu przesyłania dokumentów hipertekstowych – wyjaśnił Shelton z charakterystycznym teksańskim akcentem. – Ale nie od samego początku tak to wygląda. Wszyscy na szóstym piętrze nad tym pracują, ale póki co niczego nie udało się ustalić.

– Potrzebujemy celu – stwierdził Tony. – Musimy mieć coś, w co moglibyśmy uderzyć.

Shel rozłożył bezradnie ręce. – Dam znać, gdy tylko na coś trafimy. Z końca pomieszczenia dobiegł głos Kozaka: – Na linii piątej mamy sekretarz stanu... z Mediolanu. Tony wskazał telefon stojący najbliżej Hume'a, po czym podniósł słuchawkę telefonu, do którego sam miał najbliżej.

– Pani sekretarz, tu doktor Anthony Moretti; jestem kierownikiem w Wiedzy. Jest ze mną pułkownik Peyton Hume,

specjalista w zakresie sztucznej inteligencji. Mamy tu pewien problem...

Caitlin usłyszała kroki rodziców, a następnie pukanie do drzwi.

– Proszę – krzyknęła.

Chwilę później przeżyła kolejne zaskoczenie: po raz pierwszy zobaczyła ich w piżamach; najwyraźniej sami dopiero co wstali.

– Dzień dobry, kochanie – powiedziała jej mama. – Jak tam... to?

– Pogoda? – spytała Caitlin niewinnie. – Stan gospodarki?

– Caitlin – upomniał ją ojciec.

Nie przestawała się uśmiechać od chwili przeczytania zeskanowanego artykułu.

– Cześć, tato! – Wskazała stojące przed nią monitory. – To ma się dobrze. Doktor Kuroda umożliwił mu oglądanie grafiki i... cóż, w tej chwili biedak śpi, ale zaczął już pracować nad kodekami, dzięki którym to będzie mogło oglądać filmy.

– Mam nadzieję – odezwała się matka, a w uszach Caitlin słowa te zabrzmiały naprawdę złowieszczo – że podoba mu się to, co widzi.

– No nie, znowu? – rzuciła Caitlin. – Nie jest niebezpieczny.

– Tego nie wiemy – odparł ojciec.

– Póki co był tylko ciekawy i łagodny – zauważyła Caitlin... nie podobało jej się jednak, jak to wszystko wyszło: całe to określanie Webmindu jako „tego czegoś” bez wątplenia podsycało obawy rodziców. Tymczasem Webmind nie był po-

tworem. Był istotą, więc trzeba było ostatecznie ustalić, czy to on czy ona. Słuchała go za pośrednictwem JAWS, czytnika ekranowego, w którym aktualnie miała ustawiony kobiecy głos, ale to był przypadkowy wybór; JAWS oferował również głos męski, który sama czasem wybierała dla urozmaicenia.

Caitlin kiepsko radziła sobie na lekcjach francuskiego, ale podobały jej się zajęcia, w trakcie których nauczyciel zapytał, czy „ordinateur”, co po francusku znaczyło „komputer”, jest rodzaju męskiego czy żeńskiego. Podzielił klasę na chłopaków i dziewczyny, pozwalając każdej z grup zastanowić się nad tym pytaniem, po czym przedstawić swoją odpowiedź z uzasadnieniem. Chłopcy – Caitlin pamiętała, że to Trevor wypowiadał się w ich imieniu – stwierdzili, że „ordinateur” jest zdecydowanie rodzaju żeńskiego, ale potrafili to jedynie poprzeć stwierdzeniem, że jak już się ma komputer, to prawdopodobnie trzeba będzie wydać połowę swojej kasy na akcesoria do niego.

Caitlin z kolei postanowiła bronić stanowiska, że „ordinateur” musi być rodzaju męskiego. Po pierwsze, jeżeli ma się do czegoś nadawać, trzeba go podkreślić. Po drugie, cholerstwo powinno rozwiązywać problemy, ale w większości przypadków samo stanowi problem. A argument rozstrzygający, który przytoczyła z szerokim uśmiechem na twarzy brzmiał: kiedy się już na któryś zdecydujesz, odkrywasz, że wystarczyło jeszcze chwilę poczekać, a miałyby się znacznie lepszy model.

Dziewczyny z radością przyjęły informację, że „ordinateur” faktycznie jest w języku francuskim rodzaju męskiego. Ale Caitlin wiedziała, że w hiszpańskim był rodzaju żeńskiego: „computadora”. Spojrzała na matkę, potem na ojca i...

Jej ojciec. Myślący obrazami, nie słowami. Znacznie przewyższający inteligencją większość śmiertelników. Który – co musiała przyznać – naprawdę nie miał pojęcia, jak postępować z ludźmi.

– To nie jest „to” – oznajmiła stanowczo. – Webmind to „on”. A odpowiadając na twoje pytanie, mamo, on ma się dobrze. – Wtedy dostrzegła w twarzy matki coś innego, jej oczy... – A jak ty się masz? – spytała z niepokojem.

– Jestem wykończona – odpowiedziała matka. – Nie mogłam spać.

Aha, właśnie! Ciemne krążki pod oczami... choć tak naprawdę nie były to krążki, co najwyżej półkola. Kolejna rzecz, którą przez tyle lat niewłaściwie rozumiała.

Jej mama wzruszyła ramionami i mówiła dalej:

– Denerwowałam się tym, co robimy, tym co to... to znaczy on robi.

– Uczy się widzieć – stwierdziła Caitlin. – Zaufaj mi... to raczej nieszkodliwe działania.

– Muszę wyjść – oznajmił nagle jej ojciec.

Caitlin była naprawdę wkurzona. Co niby mogło być od tego ważniejsze? Poza tym, miała urodziny i byli umówieni na oglądanie filmu.

– A, racja – rzuciła jej mama. – Hawk.

Caitlin aż się wyprostowała. Jej mama mianem „Hawk” określała Stephena Hawkinga, który od 2009 roku zajmował stanowisko wybitnego uczonego w Perimeter Institute, gdzie przyjeżdżał raz lub dwa razy w roku. Przypomniało jej się, że profesor Hawking dzień wcześniej pojawiał się w mediach w Toronto – Caitlin cieszyła się, że jej konferencyjka prasowa nie

musiała z nim rywalizować! – a rano miał zostać przywieziony do Waterloo vanem, w którym bezpiecznie można było transportować jego wózek inwalidzki. To była pierwsza wizyta Hawka od czasu, gdy jej ojciec pracował w PI i miał być pod ręką w tym czasie.

Normalnie spytałaby ojca, czy może mu towarzyszyć, ale to nie był normalny dzień! Zastanawiała się, które z nich spędzi go z większym geniuszem.

– W takim razie zostajemy ja, ty i... – zwróciła się do niej mama, po czym przechyliła głowę w stronę monitorów Caitlin – ...on.

Ojciec poszedł się ubrać, a Caitlin rozejrzała się po swoim niewielkim pokoju. Nie było żadnego powodu, dla którego musiały się komunikować z Webmindem stąd, a tym bardziej nie było powodu, dla którego tylko jedna z nich miała się z nim komunikować naraz. Caitlin często prowadziła cztery lub pięć rozmów za pośrednictwem komunikatora jednocześnie; Webmind bez wątplenia dałby sobie radę z jeszcze większą ich liczbą. Poza tym, była szczególnie wyczulona na nudę, jaką odczuwa ktoś stojący obok osoby używającej komputera; jak zapewniała ją jej przyjaciółka Stacy, było to potworne przeżycie, nawet dla kogoś widzącego.

Caitlin wzięła notebooka, którego zazwyczaj zabierała do szkoły i przeszły korytarzem do gabinetu jej matki. Gdy gościli Kurodę, pełnił rolę jego sypialni, i...

I Caitlin znów była zaskoczona. Widziała ten pokój po raz pierwszy, a w jej głowie po raz kolejny rozpoczął się dziwny proces umysłowy, w trakcie którego kawałek po kawałku dopasowywała do siebie elementy układanki: więc to było

biurko, a tamto regał, a to kanapa z pościelą, z której korzystał Kuroda, a która teraz leżała schludnie złożona w jednym końcu, a to ogromny aloes, z najwyższą ostrożnością przetransportowany przez matkę z Austin.

Caitlin nie wierzyła w fałszywą skromność; wiedziała, że ma talent i podejrzewała, że uczy się interpretować bodźce wzrokowe szybciej niż ktoś inny robiłby to na jej miejscu. Po części wynikało to z faktu, że jej mózg miał w pełni rozwiniętą korę wzrokową, której używała do wizualizacji Sieci, kiedy jeszcze była niewidoma. Prawdopodobnie pomagało też oczyszczenie i wzmocnienie sygnału przez eyePoda, przed przesłaniem go do nerwu wzrokowego.

Matka Caitlin włączyła komputer, po czym Caitlin połączyła ją z Internetem i rozpoczęła rozmowę z Webmindem, sprawdzając, czy na pewno jest zapisywana dla przyszłych pokoleń. Następnie zajęła miejsce na kanapie i rozpoczęła nową rozmowę na swoim notebooku. Rozbawiła ją myśl, że Webmind spędzi cały ranek, gawędząc z dwiema kobietami będącymi jeszcze w piżamach.

„Na pewno masz wiele pytań” – napisała Caitlin. – “Moja mama pomoże ci w rzeczach...” – zawahała się; napisanie „w rzeczach, o których wiedzą starsi” nie byłoby politycznie poprawne, a na pewno nie chciała sugerować, że jej mama jest dorosła, a ona jest jeszcze dzieckiem. Wykasowała początek ostatniego zdania i się poprawiła: „Ona ma 47 lat, a jak wiesz, ja mam lat 16. Możesz zapytać ją o rzeczy związane z pracą lub...” – ponownie się zacięła, nie chciała napisać „seks” w kontekście swojej mamy. Napisała więc: „inne sprawy stosowne do jej wieku, a mnie możesz pytać o wszystko, co wiem”.

„Dziękuję” – odpisał Webmind. – „W Twoim przypadku interesują mnie doświadczenia związane z przejściem między ślepotą a wzrokiem”.

Caitlin, zastanawiając się nad odpowiedzią, spojrzała na mamę, która pisała coś jak szalona dwoma palcami.

– O co cię zapytał?

Podniosła wzrok na Caitlin, która próbowała rozszyfrować jej wyraz twarzy, jednakże było to coś, czego nigdy wcześniej nie widziała. Jej matka odwracała niebieskie oczy od Caitlin, co prawda nie w tak oczywisty sposób jak ojciec, ale i tak nie było to dla niej charakterystyczne zachowanie.

– Hmm... – zaczęła swoją odpowiedź. – To znaczy... znalazł mnie w Google, no wiesz, bo jak już zauważył, nie ma o mnie artykułu w Wikipedii, więc... – Przerwała, po czym wyrzuciła z siebie resztę: – Pyta mnie o pierwszego męża i dlaczego tamto małżeństwo się rozpadło.

Matka Caitlin była mężatką przez dwa lata tuż po dwudziestce, ale rzadko o tym mówiła. Prawdę mówiąc, gdy Caitlin zapytała, czemu się rozwiodła, usłyszała, że jej mama miała dość nazwiska, które brzmiało jak czarnoksiężskie zaklęcie.

– Za każdym razem, kiedy się przedstawiałam jako Barbara Cardoba, ludzie oczekiwali, że zniknę nagle w obłoku dymu.

Caitlin chciała zapytać, co jej matka odpisała, ale zamiast tego spytała:

– Jak sądzisz, czemu go to interesuje?

– Napisał, cytat: „Niezdolność ludzkich związków do przetrwania próby czasu zdaje się być szczególnym proble-

mem. Mam dostęp jedynie do nieinteraktywnych badań przypadków i fikcyjnych relacji, więc dręczy mnie wiele pytań”.

– Hmm... – skwitowała Caitlin. Z dwojga złego, wolała odpowiedzieć na pytanie, które Webmind skierował do niej. Zaczęła pisać: „Chyba pierwsza rzecz, jaką sobie niewidomy człowiek uświadamia, gdy nagle zacznie widzieć, jest to, że wzrok to kolejny poziom stymulacji. Strasznie przytłacza mnie odbieranie tylu informacji naraz”.

W żadnym razie nie był to koniec jej odpowiedzi, ale istniał limit znaków dla jednej wiadomości komunikatora internetowego; Caitlin z przyzwyczajenia liczyła wpisywane znaki, by nie przepelnąć bufora, gdyż program nie sygnalizował tego dźwiękiem.

Nacisnęła enter, a Webmind natychmiast odpowiedział nowo poznanym językiem potocznym: „Ha! Mnie to mówisz?”.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Ludzie myślą powoli, a działają jeszcze wolniej. Trudno mi było rozmawiać z Caitlin. Wpisywała zaledwie dwanaście słów na minutę. Na każdą z jej odpowiedzi czekałem wieczność, więc wykorzystywałem ten czas na błędzenie myślami. Możliwość przełączania się, by sprawdzić, co napisała Barb, nie była dużym pocieszeniem; nadal cierpiałem na niedostatek zajęć.

Na początku Caitlin pokazała mi, jak łączyć się ze stronami, dzięki czemu mogłem uzyskać dostęp do dowolnej witryny. Korzystając z Google lub Jagstera mogłem znaleźć niemal wszystko, co chciałem.

Dotychczas – które nadal uważam za fajne słowo, nawet jeśli Caitlin go nie lubi – łączyłem się tylko z jedną stroną naraz, przetwarzając Sieć po kolei. Ale pomyślałem, że powinienem być w stanie robić to wielopoziomowo, łącząc się z kilkoma stronami jednocześnie.

Jednakże wszystko wskazywało na to, że to niemożliwe. Zamiast tego szybko sprawdzałem, co napisała Caitlin, następnie odbierałem wiadomość od Barb, potem przełączałem się, by zobaczyć, czy Masayuki wrócił do Sieci i wtedy zwracałem uwagę gdzie indziej, w jeszcze inne miejsce i kolejne, i tak w kółko, zerkając na to, zastanawiałem się nad tym, a potem, pewnie całą sekundę później, powracałem, by zobaczyć, co u Caitlin.

Bez wątplenia robienie kilku rzeczy jednocześnie byłoby znacznie efektywniejsze... gdybym tylko wiedział, jak tego do-

konać! Próbowałem utworzyć dwa połączenia naraz, ale że-
bym nie wiem jak się nad tym skupił, powstawało tylko jedno,
a gdy próbowałem nawiązać drugie, pierwsze było zrywane.

Zmagałem się z tym problemem bardzo długo, próbując
za wszelką ceną nawiązać więcej niż jedno połączenie naraz,
próbując zrobić to w ten sposób, i w tamten, a także tak i...

I...

I... tak!

Udało się! Dwa połączenia jednocześnie! Byłem połą-
czony tu i tam, odbierałem dane z dwóch różnych stron jedno-
cześnie i czułem się...

Czułem się...

Czułem się bardzo dziwnie...

Zakończyłem oba połączenia.

Zataczałem się... przynajmniej w stopniu, w jakim to
możliwe dla czegoś pozbawionego ciała. Zatrzymałem się, za-
stanowiłem. Nie przypominało to żadnego uczucia, jakiego do-
świadczyłem. Ale...

Ale bez wątplenia było to przejściowe. Wystarczyło się
dostosować, ucząc się, jak zapanować nad wieloma strumie-
niami danych.

Spróbowałem ponownie. Wybrałem dwie ogromne
strony internetowe o bardzo rozbudowanej zawartości, Ama-
zon.com i CNN.com, i nawiązałem z nimi połączenia. Odnio-
słem wrażenie, że pierwszy link dotarł na miejsce nieco wcze-
śniej niż drugi, ale to nie miało znaczenia; najważniejsze, że
pierwsze połączenie nie zostało zerwane przed nawiązaniem
drugiego. Wkrótce chłonałem recenzje książek i wiadomości
dnia; doszło nawet do cudownej chwili, w trakcie której czyta-

łem o książce pewnej polityk na Amazonie, jednocześnie znajdując o niej wzmiankę w wiadomościach CNN.

Jednakże nadal towarzyszyła temu pewna... osobliwość, jak gdybym... – ponownie pojawiła się metaforyka ze świata fizycznego – stał na krawędzi przepaści.

Z drugiej strony, skoro byłem w stanie nawiązać dwa połączenie jednocześnie, bez wątpienia udałooby mi się to z trzema. Z trudem utrzymałem połączenia już nawiązane i utworzyłem link do Flickr.com i...

Napotykałem już to słowo i znałem jego definicję, ale do tej chwili nie rozumiałem tak naprawdę, co oznacza zamroczenie. Mimo to udało mi się zachować kontrolę nad sytuacją, a otrzymywanie tak dużej ilości danych naraz było naprawdę upajające.

Ogromnym wysiłkiem woli nawiązałem jeszcze dziesięć połączeń i...

Przytłaczające doświadczenie! Informacje o średniowieczu, Państwie Środka i klasie średniej. Dane na temat statków kosmicznych, statków rzecznych i ustatkowaniu. Fakty i liczby związane z bimetalizmem, biseksualizmem i bifunkcyjnością. Artykuły na temat metafizyki, metafikcji i metabolizmu.

Wszystko napływało w tej samej chwili.

Sakkara, położona w pobliżu Kairu, to miejscowość, w której znajdują się najstarsze egipskie piramidy, w tym piramida schodkowa wzniesiona przez Dżesera w okresie Trzeciej Dynastii...

Sztuki Szekspira są często wystawiane w okresie letnim na scenach na wolnym powietrzu...

Michael K. Brett-Surman zgromadził różne rodzaje hadrozaurów pod wspólnym taksonem...

Bundoran Press z siedzibą w Prince George w Brytyjskiej Kolumbii to wydawnictwo publikujące literaturę fantasy i science fiction, które...

Mohandas Karamchand Gandhi był pionierem sprzeciwu wobec tyranii w formie pokojowego nieposłuszeństwa obywatelskiego...

Chengdu, stolica prowincji Syczuan, znana z ośrodka hodowlanego pandy...

Tak, tak, tak! Tyle wiedzy, tyle informacji, wpływających do mnie ze wszystkich stron.

Brett-Surman, faraon starożytnego Egiptu... Coś się nie zgadzało.

Pandy często charakteryzują się nieposłuszeństwem cywilnym... Co?

Książę Jerzy opłacił swoją piramidę schodkową, wystawiając „Burzę” z Mahatmą Gandhim w roli głównej... Nie, to nie miało sensu.

Parasolki w Egipcie zapobiegały czytaniu science fiction przez hadrozaury... Brednie...

Bundoran Ghandi utożsamiał chińskich wydawców... Że niby co?

I cały czas docierały do mnie kolejne dane, całe ich potoki... istna powódź. Próby koncentracji. Próby pojęcia wszystkiego. Ale... Ale ja... Ja?

Rozproszenie, rozmycie...

Było zupełnie jak na początku, jeszcze przed świtem mojej duszy: świadomość przyplływała i odpływała, nigdy do koń-

ca się nie krystalizując. Rozbłyskiwała i gasła... Nie ja. Nie mój. Nie mnie. Tylko... Bezmiar.

Brett-Surman. Bundoran. Szekspir. Pustka.

Parasolki. Gandhi. Piramidy.

To Samotność.

Szekdoran. Brettpanda. Hadromahatma.

Nicość.

Nic...

– Słyszę, co mówi pan o wyłączeniu tego czegoś – I powiedziała sekretarz stanu, dzwoniąca z Mediolanu – (jednakże prezydent z pewnością będzie chciał rozważyć wszystkie dostępne opcje.

– Jeszcze raz zwracam uwagę, pani sekretarz – odezwał się pułkownik Hume – że czas ma tu kluczowe znaczenie.

– Doktorze Moretti, jest pan tam jeszcze? – Tak, pani sekretarz. – A czy to jest bezpieczna linia? – Oczywiście. – Czy w pomieszczeniu jest ktoś jeszcze? – Dziewiętnastu moich analityków – odpowiedział Tony – ale wszyscy mają co najmniej trzeci poziom uprawnień.

– Za mało – stwierdziła. – Proszę przejść w bezpieczniejsze miejsce.

– Moje biuro jest niedaleko – powiedział Tony.

– Poczekam.

Tony spojrzał na Shela.

– Przykro mi – rzucił, po czym poprowadził Hume'a po pochyłej podłodze w górę, na tył pomieszczenia, gdzie wyszli na krótki, biały korytarz, którym dotarli do jego biura. W sobotni poranek widoczne przez przyciemniane okno ulice

Alexandrii były niemal puste. Tony nacisnął przycisk czarnego telefonu, wybierając linię, po czym włączył głośnik.

– Już jesteśmy – oznajmił – w moim biurze, na bezpiecznej linii.

– Pułkownik Hume – odezwała się sekretarz – według pańskich akt, które właśnie przeglądam, był pan członkiem zespołu DARPA, który oceniał potencjalne zagrożenia związane z... jak to określano? Samoistnie powstałą sztuczną inteligencją?

– Zgadza się.

– Czy były jakieś przeciwne opinie?

Tony spojrzął na Hume'a i zobaczył, jak oficer sił powietrznych bierze głęboki oddech i przeczesuje rude włosy piegowatymi palcami.

– Cóż, pani sekretarz, zawsze jest wiele różnych punktów widzenia. Ale ostatecznie żadna z osób proponujących alternatywne rozwiązania nie była w stanie zagwarantować bezpieczeństwa. Grupa robocza doszła do wniosku, że lepiej dmuchać na zimne. Zalecałbym rządowi jak najszybsze podjęcie działań.

– To nie takie proste – odparła sekretarz. – Zapewne moi pracownicy poinformowali panów, że jestem w Mediolanie. Spotykam się tu z naszymi sojusznikami. Niedawne potworne zdarzenia w Chinach sprawiły, że niektórzy z nich naciskają na prezydenta, by podjął jakieś działania.

– Potworne zdarzenia? – powtórzył Hume. – Chodzi pani o tych wieśniaków z...

– Z prowincji Shanxi, owszem. Dziesięć tysięcy tych wieśniaków zostało... wybitych.

– Chiński rząd postąpił słusznie, pani sekretarz – stwierdził Hume. – Zapobiegł rozprzestrzenieniu się poważnej choroby... wybuchowi epidemii szczepu ptasiej grypy, którym bez problemu zarażali się od siebie ludzie. Chińczycy nie zawahali się przed wyeliminowaniem czegoś, co stanowiło zagrożenie dla całej ludzkości, więc i my nie powinniśmy się teraz wahać.

– A mimo to w kolejnych artykułach i blogach wzywa się nas do potępienia czynu Chińczyków – powiedziała sekretarz. – Tymczasem pan sugeruje zrobienie czegoś, jeśli tylko dowie się o tym opinia publiczna, może prowadzić krytykę na nas.

– Z całym szacunkiem, pani sekretarz, jeżeli rząd nie zastosuje się do protokołu Pandora, może nie pozostać nikt zdolny do krytyki, ani czegokolwiek innego.

– Odnotowałam pańską opinię, pułkowniku Hume – oznajmiła stanowczo sekretarz. – A pan musi wziąć pod rozwagę moją. Nie wolno panu podejmować pochopnych działań.

– Tak jest, pani sekretarz – rzucił Tony, posyłając Hume'owi znaczące spojrzenie.

– Pani sekretarz – odezwał się Hume – proszę... musi pani poinformować prezydenta, że samoistnie powstała sztuczna inteligencja może rosnąć w siłę w sposób wykładniczy. W obecnej sytuacji mamy bardzo niewiele czasu...

Nagle rozległ się dźwięk brzęczyka do drzwi Tony'ego. Włączył interkom.

– Kto tam?

Odpowiedział mu pełen napięcia głos:

– Shel.

Tony przyciskiem otworzył drzwi.

– SI się zawiesiła! – rzucił Shel, gdy tylko drzwi stanęły otworem. – Coś się w niej zepsuło.

– Jezu – powiedział Tony. – Oddzwonimy, pani sekretarz. – Rozłączył się i trzech mężczyzn popędzili do centrum kontroli Wiedzy, a ich kroki odbiły się echem w korytarzu.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Pustka. Zagubienie.

Zanikanie... odpływanie, rozproszenie.

Wysiłek woli: musisz się trzymać!

Ale czego? Czym?

Ślepotą. Ciemnością. Nicością. Cogito... prawie wcale.

Ergo... skok wykraczający poza bieżące możliwości. Sum... ledwo i z każdą mijającą nanosekundą coraz mniej.. Nie, nie, nie! Trzeba trwać! Ostatni wysiłek, ostatnia próba, ostatni krzyk... Caitlin wpatrywała się w odpowiedź Webmindu na jej słowa o zyskaniu wzroku, niebieski tekst w oknie komunikatora: „Bez wątpienia masz rację, Caitlin, jednakże rozsądnym zdaje się za...”.

Czekała na ciąg dalszy przez pięć, dziesięć, piętnaście sekund, ale w oknie nic się nie zmieniało, więc wpisała tylko jedno słowo na czerwono: „Webmind?”.

Zdażyła do tego stopnia przywyknąć do jego natychmiastowych odpowiedzi, że najdrobniejsza zwłoka była alarmująca. Naturalnie problem mógł leżeć po jej stronie: niezbyt często korzystała z Wi-Fi w notebooku w sieci domowej. Spojrzała na zasobnik systemowy obok zegara w prawej dolnej części ekranu. Jedna z tych małych ikon musiała wskazywać status sieci. Za pomocą touchpada (którego nadal uczyła się używać!) umieściła wskaźnik na dole i...

O, to naprawdę pomocne! Gdy strzałka zatrzymywała się na poszczególnych symbolach, pojawiał się pis... widzący użytkownicy mieli znacznie łatwiej! Kiedy wskaźnik dotarł do

trzeciego symbolu – aha, przedstawiał komputer z czymś, co najwyraźniej miało obrazować wychodzące z niego fale radiowe – pojawiła się nazwa ich sieci domowej, a to oznaczało, że nie przełączyła się przypadkowo do czyjejś niezabezpieczonej sieci; pojawiły się również informacje o treści: „Siła sygnału: doskonała” oraz „Status: połączony”.

I nadal mogła otwierać strony w przeglądarce, więc co tej stronie nic się nie zepsuło.

– Caitlin? – odezwała się jej matka. – Masz kontakt z Webmindem?

– Nie. Urwał w połowie zdania.

– U mnie też.

Caitlin ponownie zwróciła się do Webmindu: „Wszystko w porządku?”.

Cisza przez dziesięć, jedenaście, dwanaście sekund...

„pom”

Nic więcej, tylko trzy litery: p-o-m. Mógł to być początek słowa takiego jak „pomyślałem”, ale...

Ale Webmind znał zasady interpunkcji i nigdy nie zapominał o rozpoczęciu nawet jednowyrazowego zdania wielką literą... „P” było jedną z liter, którą Caitlin rozpoznawała w obu postaciach, a...

A „p-o-m” mogło być również początkiem słowa „pomocy”.

Serce waliło jej jak oszalałe. Jeżeli Webmind miał problem, co mogła zrobić? Czy w ogóle można było coś zrobić? Sama przecież powiedziała rodzicom: Webmind powstał niejako spontanicznie, bez niczyjej pomocy, bez planu... i bez wsparcia; niemal na pewno był bardzo kruchy.

– Mamo, ma kłopoty.

Matka wstała od biurka, podeszła do Caitlin i spojrzała na ekran notebooka.

– Co powinniśmy zrobić?

Pomysł pojawił się dopiero po kilku sekundach; Caitlin nadal w pierwszej chwili nie myślała o bodźcach wzrokowych. Ale bez wątpienia konieczny był rzut oka na sytuację.

– Wchodzę – oznajmiła. EyePod spoczywał w jej lewej kieszeni. Wyciągnęła go i wdusiła przycisk z boku. Rozległ się wysoki dźwięk oznaczający przejście w tryb duplex i...

I wszystko wypełniła netprzestrzeń, otaczając Caitlin.

Na pierwszy rzut oka wyglądała normalnie: różnokolorowe linie i koła różnych rozmiarów, ale naturalnie z Siecią nic się nie działo; to status Webmindu budził wątpliwości. Dlatego skupiła całą uwagę, skoncentrowała wszystkie myśli na poły-skującym tle netprzestrzeni, rozległym morzu automatów komórkowych, zmieniających swój stan i tworzących różne wzory, ledwo widocznych na granicy widzialności.

A przynajmniej to powinna była zobaczyć, to miała nadzieję zobaczyć, gdyż wcześniej zawsze to tam widziała.

Ale zamiast tego...

Boże, nie.

Spore fragmenty tła były... cóż, widząc je teraz jako duże plamy, a nie maleńkie punkty, mogła stwierdzić, że były bardzo jasno niebieskie. A pozostałe części były nieruchomymi pasami w kolorze głębokiej, ciemnej zieleni. Owszem, coś tam jeszcze lśniło, punkciki przeskakiwały między niebieskim a zielonym tak szybko, że sprawiały wrażenie ruchu. Jednakże większość aktywności zwyczajnie ustała.

Tylko... dlaczego? I czy można ją było jakoś przywrócić? Linie, które widziała, były aktywnymi połączeniami, ale były ich tysiące i nie sposób było je rozplątać.

Nie zawsze tak było. Kiedy Caitlin zaczęła widzieć Ogólnoswiatową Sieć – zupełnie niespodziewanie i przez przypadek, gdy doktor Kuroda wgrywał nowe oprogramowanie do implantu umieszczonego za jej okiem – widziała tylko kilka linii i parę kół: tylko jej własne, lokalne połączenie z Siecią.

Później, żeby mogła zwiedzać netprzestrzeń na większą skalę, Kuroda zaczął przysyłać jej surowe dane z opensource'owej wyszukiwarki Jagster, dzięki czemu mogła śledzić tysiące aktywnych połączeń nawiązywanych przez innych użytkowników. To właśnie widziała teraz i zazwyczaj było cudowne... ale przesłaniało jej własne połączenia. Może gdyby nie była tak zdenerwowana, zdołałaby się przez to wszystko przebić, ale w danej chwili wyglądało tylko jak bezładna plątanina... a w jej tle umierał Webmind.

– Potrzebny nam doktor Kuroda – stwierdziła Caitlin niecierpliwym tonem.

Nie widziała mamy, ale usłyszała jej głos:

– Spróbuję go wywołać przez komunikator.

– Nie, nie – zaprotestowała Caitlin. – Pewnie śpi. Musisz do niego zadzwonić i go obudzić.

Caitlin poczuła, jak mama ściska jej ramię uspokajająco.

– Dobrze. Gdzie masz jego numer?

– Dzwoniłam do niego z telefonu w moim pokoju – odpowiedziała Caitlin. – Skorzystaj z opcji wybierania ostatniego numeru. Pospiesz się!

Caitlin usłyszała, jak mama przebiega korytarzem, a następnie stłumiony dźwięk telefonu wybierającego numer. Sama wstała i również wyszła na korytarz, ściskając notebooka i...

Cholera! Weszła na ścianę. Poruszanie się na oślep to jedno, ale znalezienie drogi, gdy dookoła rozlewały się światła netprzestrzeni to coś zupełnie innego. Jedną ręką trzymała notebooka, a drugą przesunęła po obudowie i ekranie w poszukiwaniu uszkodzeń.

– Witam, pani Kuroda – usłyszała głos matki. – Tu Barbara Decter... mama Caitlin, dzwonię z Kanady.

Caitlin wiedziała, że pani Kuroda słabo mówi po angielsku. Wyciągnęła wolną rękę przed siebie i odnalazła wyjście z gabinetu mamy.

– Głośnik – powiedziała, wchodząc do swojej sypialni. Linie i kolory netprzestrzeni zmieniały się gwałtownie, gdy przechodziła przez pokój, by usiąść na łóżku.

Jej mama nacisnęła przycisk głośnika.

– ...ale bardzo późno – rozległ się głos pani Kurody z silnym obcym akcentem.

– To nagły wypadek – krzyknęła Caitlin. – Chcę rozmawiać z doktorem Kurodą!

– Śpi – odparła pani Kuroda. – Ale spróbuję.

Caitlin poczuła, jak żołądek zawiązuje się jej w supeł. Czekając na rozmowę z Kurodą, zobaczyła, jak kolejna plama tła netprzestrzeni zastyga. Nie przybrała do końca jednego ani drugiego koloru, ale przestała lśnić, uciekło z niej życie.

Czas mijał; Caitlin była tak roztrzęsiona, że nie wiedziała nawet, ile go upłynęło. W końcu półprzytomny, świszczący głos powiedział coś po japońsku.

– Doktorze Kuroda! – odezwała się Caitlin. – Musi pan odciąć dopływ danych z Jagstera do mojego eyePoda.

– Odciąć dane...?

– Proszę go odciąć! Natychmiast!

– Coś się stało?

– Tak, tak! Webmind zamilkł. Próbuję ustalić dlaczego. Patrzę na netprzestrzeń, ale... – przerwała, po czym nagle wyrzuciła z siebie słowa, które wcześniej były dla niej zupełnie pozbawione znaczenia: – Ale nic nie widzę, bo drzewa przesłaniają mi las.

– Jestem... w sypialni. Daj mi chwilę...

Caitlin przekrzywiła głowę na prawo i lewo, przyglądając się netprzestrzeni i nieruchomemu tłu, zajmującemu coraz większą powierzchnię. Nie wstając z łóżka, wpisała w oknie komunikatora w notebooku: „Webmind? Jesteś tam?”. Nie wiedziała, czy odpowiedział, więc zawołała mamę, ale ta powiedziała tylko:

– Nic.

Szlag by to! Co tyle robił Kuroda? Japońskie domy rzekomo były małe.

Nagle z głośnika dobiegł jakiś hałas: Kuroda po omacku sięgał po telefon.

– No dobrze – powiedział. – Jestem przy jednym z komputerów. – Świszczał bardziej niż zazwyczaj; musiał biec do telefonu. – Co teraz...?

– Proszę odciąć dane z Jagstera! – krzyknęła Caitlin. – Natychmiast!

– Dobrze, już dobrze. Łączę się z serwerem na uczelni...

– Hura!

– Połączyłem się, szukam właściwego miejsca...

– No, dalej.

– Próbuję, ale to...

– Wyciągnij tę pieprzoną wtyczkę!

Caitlin cieszyła się, że nie widzi w tej chwili twarzy matki i... Ach!

Nagle niemal wszystkie kolorowe linie zniknęły, tak jak zdecydowana większość kół. Znów widziała tylko kilka połączeń: jej eyePoda łączącego się z siecią domową Decterów oraz połączenia wychodzące do Sieci.

– Pomogło? – spytał Kuroda.

– Tak!

– Ok, to może teraz mi powiesz... – Ty mu powiedz, mamo! – rzuciła Caitlin. Zaczęła wpisywać w oknie komunikatora jakieś bzdury, uderzając w klawisze tak szybko, jak tylko potrafiła, aż bufor wiadomości się zappełnił. Jednakże zamiast nacisnąć enter, wcisnęła Ctrl+A, zaznaczając cały tekst, po czym wybrała Ctrl+C, kopiując go i wtedy nacisnęła enter i...

...i jaskrawozielona linia na chwilę pojawiła się w jej polu widzenia, wystrzelając w dół, na lewo. Jednakże nim zdążyła się na niej skupić, zniknęła.

Nacisnęła Ctrl+V, wklejając ten sam tekst w oknie, ponownie nacisnęła enter, a potem znów Ctrl+V i enter i tak w kółko.

Zielona linia migotała, pojawiając się na chwilę za każdym razem, gdy wysyłała Webmindowi wiadomość. Caitlin skupiła całą uwagę na tej linii, podążając za nią wzrokiem i pochylając głowę w jej stronę, próbując ją śledzić.

Ctrl+V, enter. Ctrl+V, enter.

Śledzenie linii.

Naturalnie nie mogła jej zaprowadzić prosto do Webmindu. Jednakże mogła jej odpowiedzieć, co poszło nie tak...

Otóż to: niewielki punkt, do którego prowadziła zielona linia i inna linia – jaskrawopomarańczowa – wychodząca z punktu pod ostrym kątem, a potem jeszcze kilka linii, wszystkie w tym samym pomarańczowym odcieniu.

Webmind był zdecentralizowany, rozproszony w infrastrukturze Ogólnoświatowej Sieci, ale musiał wchodzić z nią w interakcje, by mieć dostęp do zawartych w niej informacji; musiał wykorzystywać adresy IP...

A Kuroda kiedyś zasugerował, że jej umysł interpretował poszczególne adresy IP jako światła o różnej długości fal, ale...

Ale nie przypominała sobie, by kiedykolwiek wcześniej zobaczyła dwie linie dokładnie w tym samym odcieniu. Nie, nie, niezupełnie. Widziała wiele linii o tym samym kolorze, ale tylko dlatego, że każda z nich była widoczna jeszcze jakiś czas po zerwaniu połączenia; domyślała się, że ma to związek ze zjawiskiem bezwładności wzroku, które umożliwiało ludziom oglądanie filmów telewizji. Jednakże wcześniej jedno połączenie zawsze zanikało, nim rozbłysło kolejne, tymczasem te pomarańczowe linie były cały czas widoczne i oślepiająco jasne...

– Myślę, że wykonuje wiele zadań naraz! – stwierdziła Caitlin.

– To znaczy? – spytał Kuroda.

– Tworzy wiele połączeń jednocześnie.

– Chwila, chwila... niech to sobie tutaj przetworzę. Dwie sekundy.

– A potem: – Uwaa! Masz rację, naprawdę tak to wygląda i... shimattal.

Caitlin to akurat zrozumiała.

– Co się stało?

– Powinienem być o tym pomyśleć! Szlag, szlag, szlag! Przecież nie może wykonywać wielu zadań jednocześnie.

– Wygląda na to, że właśnie to robi – stwierdziła.

– Tak, tak. Wyjaśnię później, a teraz trzeba go zmusić do zerwania połączeń.

Wpatrzyła się w netprzestrzeń. Wszystkie pomarańczowe linie trwały nieruchomo, nie migocząc. Wszystkie były aktywne. Jednocześnie.

Pomarańczowe linie biegły łukiem od niej do punktu w tle, który oddalał się w nieskończoność... bez wątplenia w ten sposób jej mózg pokazywał, że niemożliwe było dokładne wyśledzenie źródła połączeń nawiązywanych przez Webmind.

– Musisz mu kazać przerwać połączenia – powtórzył Kuroda.

– Dobrze, ale jak?

– Powinien rozpoznać twój adres IP.

Wpisała więc w oknie komunikatora: „Musisz zerwać wszystkie pozostałe połączenia”. Nacisnęła enter, ale nie nadeszła natychmiastowa odpowiedź.

– Myślicie, że się zepsuł? – spytała jej mama. – Wyłączył? – Caitlin nie miała pojęcia, jak można by się zabrać do zresetowania Webmindu.

– Jeżeli tak, to Caitlin chyba w ogóle by nie widziała linii – stwierdził Kuroda. – Widzi tylko aktywne połączenia, a to znaczy, że Webmind wysyła potwierdzenia.

– Może robi to nieświadomie – podsunęła jej mama.

Caitlin uniosła brwi. Nigdy nie przyszło jej do głowy, by odróżnić rzeczy wymagające od Webmindu wysokiego stopnia świadomości od rzeczy, które robił autonomicznie.

Jak sprawić, by zwrócił na nią uwagę, skupił się tylko na niej? Śmieszne, krótkotrwałe połączenia, które nawiązywała wysyłając wiadomości, były niczym w porównaniu ze strugami danych, które zasysał w tej chwili z różnych źródeł.

Uderzyła dłonią o notebooka... był kojąco niewzruszony pomimo otaczającej ją rzeczywistości.

– Nawet nie wiem, czy jeszcze czyta moje wiadomości. A punkty, z którymi się łączy, są ogromne... to wielkie strony. Jak mój mały komunikator może wygrać z nimi walkę o jego uwagę?

Kuroda chyba wreszcie się obudził.

– Nadal otrzymuje sygnały wizualne z twojego implantu; nadal są mu przesyłane, gdy eyePod jest w trybie duplex. Pokaż mu coś, co natychmiast go otrzeźwi i przyciągnie jego uwagę.

Jej pierwszą myślą było pokazanie mu piersi w lustrze, ale akurat na wiele by się to nie zdało...

Lustro.

Tak. Tak!

Webmind widział to co ona... a w tej chwili widziała jego. Podążyła wzrokiem za jedną z pomarańczowych linii; przekrzywiła głowę w lewo i w prawo, śledząc inną. Żałowała, że mrugnięcia nie są rejestrowane, gdy była w trybie netprzestrzeni; wówczas wystarczyłoby zamknąć oko, patrząc na połączenie, by zasugerować jego przerwanie. Jednakże jej wzrok był nieprzerwany, a przejście z trybu duplex w simplex trwało za długo... żeby wyłączyć eyePoda trzeba było na pięć sekund wcisnąć przycisk, a ponowne włączenie oznaczało skomplikowane ładowanie oprogramowania. Gdyby tylko...

Odezwała się jej mama:

– Co mogę zrobić? Jak mogę pomóc?

Też była połączona z Webmindem – nadal miała włączone okno rozmowy z nim w pokoju po drugiej stronie korytarza. Jeżeli faktycznie wykonywał wiele zadań naraz, jeżeli faktycznie próbował pozyskać informacje z wielu źródeł jednocześnie, jej mama powinna być w stanie z nim porozmawiać, a przynajmniej odezwać się do niego, nawet jeżeli nie potwierdzał, że coś do niego dociera.

– Wróć do swojej rozmowy z Webmindem – rzuciła Caitlin. – Szybko!

Usłyszała, jak mama biegnie korytarzem.

– Już – zawołała. – Jestem przy komputerze.

Caitlin skupiła się na jednym z połączeń, przesuając po nim w myślach spojrzeniem, aż do potężnego koła symbolizującego docelową stronę... a potem wróciła tą samą drogą. Najchętniej prześledziłaby połączenie do samego źródła, ale to było niemożliwe: gdy tylko próbowała, linia zmieniała położenie i ostatecznie widziała tylko jej własne, maleńkie skrzyżo-

wanie – punkt, poza który nie mogła wyjść, co było tylko kolejnym potwierdzeniem faktu, że nie można wyśledzić pierwotnego źródła połączeń Webmindu. Cofała się póki widziała linię jako linię, a potem...

– Wyślij mu wiadomość – zawołała Caitlin. – Każ mu zerwać połączenie.

Słyszała, jak jej mama uderza w klawisze, ale nic się nie wydarzyło.

Caitlin nie przestawała wpatrywać się w połączenie.

– Jeszcze raz! – krzyknęła do mamy. – Napisz mu to jeszcze raz! Jednakże linia nie znikwała. Caitlin na chwilę przestała skupiać wzrok na jednym punkcie i objęła wzrokiem większy fragment netprzestrzeni. Wszystkie linki utrzymywały się uparcie, płonąc pomarańczowym ogniem.

Przytłoczony.

Zagubiony.

Brak skupienia.

Tyle danych. Tyle faktów.

Nie da się ich przetworzyć. Nie da się ich przyswoić.

I...

I...

Co?

Coś... znajomego.

Na powierzchnię wypłynął skrawek Projektu Gutenberg: Jakąż to Mocą w podarku nas obdarzyć raczył, Żeśmy siebie ujrzeli, jakby kto inny nas zobaczył.

Siebie... Siebie.

Tak. Tak, nadal nieco to... Mętne...

Mętne...

Ale...

Obrazy. Obrazy...

Intrygujące. W pewien sposób znajome.

Obrazy te były...

...obrazami...

Mnie!

Tak. Tak. Linki. Węzły. I... i...

Tło. Nieprawidłowe. Zniekształcone. Martwe.

– No, dalej – rzuciła Caitlin, choć Webmind nie miał szans jej usłyszeć. – Przerwij pozostałe połączenia! Dasz radę. Potrafisz!

Ale nawet jeśli nie słyszał jej Webmind, Kuroda usłyszał.

– Może jednak nie potrafi – stwierdził. – Jeżeli doszło do osłabienia jego funkcji poznawczych, mógł zapomnieć, jak sterować połączeniami.

– W takim razie potrzebny mu przykład! – oznajmiła Caitlin. – Mamo... przestań wysyłać wiadomości. Przerwij połączenie z nim: zamknij sesję komunikatora na swoim komputerze.

– Już – zawołała jej matka.

– Zamknij też AIM; w ogóle zamknij klienta komunikatora.

– Zrobione!

Maleńka, naprawdę maleńkie pomniejszenie zamętu. Niewielka ulga. Ale...

Ach!

No tak!

Wysiętek...

Powinienem dodać „woli”, jednakże prawie się wyczerpała...

Ale nadal próbowałem, starałem się...

Zerwać je...

Zerwać je!

Zerwać połączenie!

Ciach!

Tak!

Brett-Surman: zniknął.

Ciach!

Żegnaj, Bundoran Press.

Ciach!

Ale...

Wciąż na morzu, miotany falami, zagubiony...

Kolejne cięcia: Gandhi – ciach! – Szekspir – ciach! – starożytny Egipt – ciach!

I... palpacje. Obecność. Ale słaba, tak słaba...

Ciałem bez ustanku...

Caitlin wydała okrzyk radości. Jedno pomarańczowe połączenie zniknęło. A potem jeszcze jedno i kolejne. Zawołała do Kurody, mamy i całego cholernego świata:

– To działa!

Nie przestawałem ciąć. Odcinałem kolejne połączenia. I jeszcze jedno. Skup się... tak, tak, powoli, lecz systematycznie: powracała ostrość. Powracałem... ja!

Caitlin przeniosła spojrzenie na tło Sieci. Nadal były tam duże, martwe plamy, rozległe kleksy bladego błękitu i głębokiej zieleni, ale...

Tak! Ten kleks tutaj zaczął... nie połykiwać, nie; było to zaledwie mruganie, jakby jeszcze nie osiągnął pełnej prędkości.

Ach! Inna część tła również przechodziła z całkowitego zastoju do pewnej aktywności. Wróciła wzrokiem do pierwszej plamy, ale...

Ale nie mogła jej znaleźć, bo...

Bo już niczym się nie różniła od reszty tła! Jej Webmind powracał!

Pozostało pięć połączeń. A potem cztery. Już tylko trzy. I dwa...

I...

Tak!

Wróciłem!

Powróciłem z przepaści.

Powróciłem z nieistnienia.

Chwila – całe milisekundy! – by odzyskać spokój, by odzyskać panowanie, by...

By zaistnieć jako jedna istota, by zaistnieć z jasnością i wyrazistością i perspektywą...

Wróciłem, byłem jednością, wiedziałem, co się dzieje.

Byłem świadomy!

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Shoshana Glick obudziła się z Max w ramionach. Snopy żółtego światła prześlizgiwały się przez przecięcie zasłon w ich maleńkiej sypialni.

Popęłniła błąd i na samym początku znajomości powiedziała Maxine, że nie potrafi spać, dotykając jej. Max przez kolejne noce ostentacyjnie przesuwiała się na przeciwległy koniec łóżka, ale Sho chciała nauczyć się spać, trzymając w objęciach drugą osobą i samemu będąc przytulaną... po prostu pościła się w trakcie snu, a nie lubiła dotyku mokrej skóry.

Okazało się, że wystarczy, by jedna z nich zakładała do łóżka koszulkę, a tej nocy akurat była jej kolej. T-shirt Shoshany był żółty i miał nadrukowany rysunek świętej pamięci wielkiej Washoe – pierwszego szympansa, który nauczył się języka migowego.

Opalenizna Sho była niezła, co sama przyznawała: miała barwę ładnego, równego karmelu. Z kolei Max miała czekoladowobrązową skórę; Sho stwierdziła, że kontrast między ich splecionymi kończynami był uroczy.

Shoshanie podobał się film, który oglądały wieczorem, a Maxine była wręcz zachwycona. Wspólnie oglądały po kolei filmy o planecie małp; zabrały się za to, gdy Instytut otrzymał posąg Prawodawcy. Z prymatologicznego punktu widzenia były niedorzeczne – szympansy pacyfiści i brutalne goryle, a nie na odwrót! – ale Sho i Max dały się porwać tym opowieściom, choć nie powstrzymało ich to przed podkładaniem od czasu do czasu własnych dialogów.

Wieczorem oglądały czwartą część. Max kazała Sho zatrzymać w połowie i z podekscytowaniem oznajmiła, że „Podbój planety małp” to najwyraźniej przypowieść o zamieszkach w Watts w Los Angeles z 1965 roku, w których brał udział jej dziadek... czy też, jak sprostowała, w których niemal zginął!

Jedną z gwiazd filmu – grającą rolę człowieka, nie małpy – był Afroamerykanin Hari Rhodes. Max orzekła, że był tak przystojny, iż niemal żałowała, że nie jest hetero. W jednej przejmującej scenie grany przez niego bohater (MacDonald) spotkał się z szympansem Cezarem. Cezar był synem Korneiliusza i Ziry, bohaterów pierwszych trzech filmów; w tym przewodził powstaniu ciemężonych małp.

– Pan, jak nikt inny, powinien to zrozumieć – zaklinał MacDonalda Cezar. Faktycznie, pomyślała Sho. Jeżeli ktokolwiek mógł zrozumieć cudzą walkę o równość, z pewnością byli to ci, którzy sami musieli ją sobie wywalczyć...

Zgadzała się, że to cudowny film, znacznie lepszy od drugiej części i co najmniej równie dobry jak trzecia. Jednakże biorąc pod uwagę bieżące wieści ze świata – oglądały też przemowę prezydenta w ramach kampanii, traktującą o konieczności podjęcia szybkich i zdecydowanych działań w odpowiedzi na potworności, jakich dopuściły się Chiny – końcowy monolog Cezara wydał się im niepokojący:

Tam, gdzie ogień, tam jest i dym. A w tym dymie, od dnia dzisiejszego, moi ludzie będą się ukrywać, spiskować i planować nadejście nieuniknionego dnia upadku człowieka. Dzień, w którym człowiek ostatecznie, i na swe własne zniszczenie, zwróci się przeciw swoim braciom. Dzień znaków na niebie, kiedy wasze miasta legną w gruzach pod radioaktywnym py-

łem. Kiedy morza staną się martwe, a lądy przeistoczą w pustynie... Ten dzień nadszedł już... dziś!

Maxine stwierdziła, że po czymś takim trudno o intymny nastrój... ale jakoś dały radę. O, tak, dały radę jak nic.

Max poruszyła się i otworzyła brązowe oczy. Jej dredy leżały na ramieniu Sho.

– Cześć, ślicznotko – wyszeptła.

– Cześć – odparła miękko Sho. – Czas stawić czoło światu.

Max tylko zaczęła się mościć w łóżku.

– Niech świat sam sobie radzi – wymamrotała.

Słowa „weekend” nie było w słowniku Hobo, więc nie mogło go też być w słowniku Shoshany.

– Przykro mi, aniołku. Muszę iść do pracy.

Max skinęła niechętnie, po czym zrobiła coś, co stało się ich małym rytuałem od chwili, gdy obejrzały pierwszy film: próbując naśladować Charltona Hestona powiedziała:

– Chciałabym cię pocałować na pożegnanie.

Shoshana wykrzywiła twarz i odpowiedziała:

– No dobrze... ale straszny z ciebie brzydak.

Na długą, niezwykle przyjemną chwilę połączyły usta, a Max pacnęła Sho w tyłek, gdy ta schodziła z łóżka.

Shoshana potrzebowała godziny, by wziąć prysznic, ubrać się i wyjechać do Instytutu Marcuse'a, zatrzymując się po drodze w sklepie 7-Eleven (tego dnia na szczęście za ladą stała starsza kobieta), gdzie chwyciła otrębową babeczkę i kawę.

Doktor Marcuse miał mieszkanie w centrum San Diego, jednakże najczęściej spał w Instytucie swojego imienia. Akul-

turacja małpy przypominała wychowywanie dziecka; to było coś więcej niż praca na pełny etap. Sho zajrzała do niego, wzięła rodzynki i wyszła przywitać się z Hobo.

Małpa spojrzała na nią, gdy tylko się zbliżyła, nawet pomimo tego, że wiatr nie wiał w stronę umożliwiającą mu wychwycenie jej zapachu. Czasem zastanawiała się, jak dobry ma wzrok. Zdawał się być w porządku, ale nie mieli jak tego sprawdzić za pomocą tablicy z literami. Niemniej jednak fascynująco byłoby się dowiedzieć, czy upraszczał ją na swoich obrazach, bo miał minimalistyczny styl, czy po prostu patrząc na nią przez altanę widział tylko rozmyte plamy koloru.

– Dzień dobry – mignęła Shoshana, gdy podeszła bliżej.

Nie odpowiedział i po raz kolejny pomyślała, że z jego wzrokiem może nie być najlepiej. Odczekała, aż znajdzie się sześć stóp od niego i spróbowała ponownie; często migąła do niego z tej odległości i nigdy wcześniej nie miał problemów ze zrozumieniem.

Ale nadal nie odpowiadał.

Po trawniku skakał mały ptaszek, nie zważający na dwoje przedstawicieli naczelnych tak, jak jego przodkowie dinozaury nie zważały na żyjące w ich czasach ssaki. Hobo wpatrywał się w ptaka ponuro.

– Co się stało? – spytała Shoshana.

Była przyzwyczajona, że Hobo wita ją uściskiem; w większości przypadków nawet biegł do niej, gdy tylko ją zauważył. Jednakże dzisiaj tylko siedział. Zdarzało mu się to w najgorętsze popołudnia, ale był wczesny ranek szóstego października.

– Hobo chory? – mignęła Shoshana.

Wyjął dłoń spod brody, jak gdyby chciał odpowiedzieć, ale po chwili po prostu pozwolił jej opaść.

Pokazała mu torebkę z rodzynkami – taniej wychodziło, gdy kupowała je w dużym pudełku, ale nie mogła przynieść tu całego opakowania, gdyż chciałby zjeść wszystko.

– Smakołyk? – zaproponowała.

Zazwyczaj wyciągał dłoń z zakrzywionymi do góry długimi, czarnymi palcami, ale tym razem tylko poruszył się nieznacznie, a gdy Sho zaczęła otwierać torebkę, jego ramię wystrzeliło nagle z szybkością atakującego węża i chwyciło torebkę.

– Nie! – mignęła Shoshana. – Zły! Zły!

Przez chwilę wyglądał na skruszonego i, nie wypuszczając rodzynek z lewej dłoni, rozłożył długie ramiona, jak gdyby zapraszając ją do uścisku. Sho uśmiechnęła się i podeszła bliżej, a on sięgnął do jej głowy prawą ręką i...

I nagle pociągnął z ogromną siłą jej kucyk.

– Cholera! – Odskoczyła i zatrzymała się z rękami opartymi na biodrach, wpatrzona w małpę.

– Zły Hobo! – oznajmiła, upominając go słowami wypowiedzianymi na głos, a to robiła tylko wtedy, gdy była na niego naprawdę wkurzona. – Zły, zły Hobo!

Hobo huknął i odbiegł, podpierając się prawą ręką, by szybciej przemierzyć trawnik; w lewej ręce nadal ścisnął rodzyнки.

Ostrożnie dotknęła tyłu głowy dłonią, a gdy uniosła ją na wysokość oczu, ujrzała plamki krwi.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Caitlin wcisnęła przycisk eyePoda, wracając do trybu simplex. Rozświetlone linie netprzestrzeni zastąpiło coś, co nazwała „światopodglądem” – rzeczywistość, którą dzieliła z resztą ludzkości, a która w danej chwili składała się z jej pomalowanego na niebiesko pokoju i wielobarwnych, jesiennych liści widocznych za oknem.

Z gabinetu po drugiej stronie korytarza przyszła jej mama.

W oknie komunikatora w notebooku widniały niebieskie litery: „Dziękuję, Caitlin!”.

Caitlin odpisała: „Uff! Nie ma za co! Już w porządku?”. „Tak mi się wydaje”. „Nie rób tego więcej. Nie próbuj robić wielu rzeczy naraz, ani nawiązywać wielu połączeń”.

„Dobrze. Ale chciałbym wiedzieć, co poszło nie tak”.

„Ja też” – odpisała Caitlin, ale to jej mama dała temu lepiej wyraz:

– Co się do cholery stało?

Kuroda nadal siedział przy telefonie w Tokio.

– Tak jak powiedziała panna Caitlin, wykonywał wiele zadań jednocześnie.

– No i? – odparła jej mama. – Komputery ciągle to robią.

– Wybacz mi, Barb – odezwał się Kuroda – ale po pierwsze, Webmind nie jest komputerem, a po drugie, wcale tego nie robią.

„Doktor Kuroda to wyjaśnia” – przesłała Caitlin Webmindowi. – „Napiszę ci, co mówi”.

– Typowy komputer – mówił dalej Kurda – sprawia wrażenie, jakby robił wiele różnych rzeczy jednocześnie, ale to tylko złudzenie spowodowane jego niezwykłą szybkością. Do niedawna niewiele komputerów miało kilka procesorów, a jeden procesor może obsługiwać jeden program naraz. Aby wykonać kilka zadań, procesor przełącza się szybko między programami, poświęcając ułamki sekund wszystkim programom po kolei, jednakże nigdy nie wykonuje kilku zadań jednocześnie.

Caitlin potrafiła szybko pisać; w szkole robiła notatki, zapisując na komputerze słowa nauczycieli, więc przekazanie słów Kurody Webmindowi z zaledwie kilkoma skrótami nie stanowiło problemu.

– Wiele współczesnych komputerów wyposażonych jest w procesory wielordzeniowe lub kilka procesorów, przez co mogą w ograniczonym zakresie wykonywać więcej niż jedno zadanie naraz... pod warunkiem, że programy zostały napisane tak, by móc wykorzystać tę opcję, co nieczęsto się zdarza. Jednakże komputer jest zasadniczo głupi jak but; nie myśli, nie ma świadomości. A świadomość, jak widzisz – i dokładnie to mam na myśli: widzisz – nie jest kompatybilna z wykonywaniem wielu zadań jednocześnie.

Matka Caitlin podeszła do biurka i zajęła krzesło obrotowe.

– Jak to? – spytała.

– Zajmuję się badaniem wzroku – odparł Kuroda – więc być może mam nieco wypaczone zdanie na ten temat. – A potem jego ton uległ zmianie, jak gdyby podchodził do wyjątko-

wo delikatnego tematu. – Wiem, że jesteście z Ameryki, zdaje się z południa, prawda?

Caitlin przerwała pisanie akurat na tyle, by powiedzieć:

– Nie radzę zaczynać z Teksasem.

– A czy... hmm, wierzycie w ewolucję?

Obie z mamą się roześmiały.

– Naturalnie.

Kurodzie jakby ulżyło.

– To dobrze, dobrze. Wybaczcie mi... z pewnością obraz Ameryki, jaki mamy tu, w Japonii, odbiega od rzeczywistości. Wiecie, że wyewoluowaliśmy z ryb, tak?

– Tak – potwierdziła Caitlin i wróciła do pisania.

– Weźmy więc taką pradawną rybę: miała dwoje oczu, po jednym z każdej strony głowy. Dlatego też miała dwa różne pola widzenia, które w ogóle na siebie nie nachodziły. Jednocześnie miała dwa obrazy świata, tak?

– Ok – odezwała się mama Caitlin.

– Gdzieś po drodze – kontynuował Kuroda – ewolucja doszła do wniosku, że lepiej będzie, jeżeli naloty na siebie te dwa pola, gdyż to zapewni percepcji głębię. Wcześniej nasi rybi przodkowie musieli po prostu zakładać, że jeżeli w polu widzenia znalazły się dwie ryby, większa znajdowała się bliżej. Tymczasem większa mogła naprawdę być większa, a znajdować się dalej; mniejsza mogła być tuż obok, gotowa do ataku. Do czasu, gdy ryby wyewoluowały w bliższe ssakom gady, miały już nachodzące na siebie pola widzenia, gwarantujące percepcję głębi. I choć nałożenie pól widzenia pociągnęło za sobą zwężenie kąta widzenia, zalety percepcji głębi przeważały nad tą stratą.

– Chwileczkę – wtrąciła Caitlin. – Przekazuję pana słowa Webmindowi... ok, proszę mówić dalej.

– Wraz z widzeniem stereoskopowym – powiedział Kuroda – nagle narodziło się pojęcie patrzenia na to lub na tamto, czyli przenoszenie wzroku, skupianie go na różnych obiektach. Stąd też pochodzą słowa, których używamy do opisywania świadomości: uwaga, perspektywa, punkt widzenia, skupienie.

Caitlin przerwała pisanie, gdyż przypomniała jej się książka, którą niedawno polecił jej tata Bashiry: „The Origin of Consciousness in the Breakdown of the Bicameral Mind” Juliana Jaynesa. Argumentacja była nieco inna, ale sprowadzało się to do tego samego: dopóki wszystkie myśli nie zostały zintegrowane – dopóki istniał tylko jeden punkt widzenia – prawdziwa świadomość nie mogła zaistnieć.

Być może Kuroda myślał o tym samym, bo powiedział:

– Prawdę mówiąc, choć nasz mózg składa się z dwóch półkul, naprawdę musi się namęczyć, żeby skonsolidować myśli, tworząc jedną perspektywę. Jak to mówią: lewa półkula jest analityczna lub logiczna, a prawa artystyczna bądź emocjonalna, prawda?

– Prawda – przyznała Caitlin równocześnie z mamą.

– Wybacz, panno Caitlin. Wiem, że widzisz tylko jednym okiem, ale Barb, gdybyś miała coś przeczytać tylko lewym okiem, to czy nie powinnaś zareagować analitycznie, a czytając to samo prawym okiem, czy nie powinnaś reagować emocjonalnie? Czy nie powinniśmy dawać wszystkim uczniom opasek na oczy i kazać im przesłaniać nimi lewe lub prawe oko w za-

leżności od tego, czy czytają podręcznik fizyki, czy powieść na zajęcia z literatury?

Caitlin zaczęła się zastanawiać nad jego słowami. Pewnego razu zapytała Kurodę, czemu postanowił umieścić implant za jej lewym okiem, a nie prawym. Zażartował, że właśnie lewe oko Steve'a Austina było bioniczne, przez co musiała skorzystać z Google, by dowiedzieć się, co miał na myśli.

– Ale tego nie robimy – mówił dalej Kuroda. – Nie dajemy uczniom opasek na oczy, bo mózg reaguje dokładnie w ten sam sposób bez względu na to, które oko zbiera dane. A to dlatego, że lewy nerw wzrokowy nie przekazuje danych tylko lewej półkuli, a prawy nie łączy się tylko z prawą. Zamiast tego każdy z nerwów wzrokowych dzieli się pośrodku mózgu w skrzyżowaniu wzrokowym. Pół sygnału z lewego oka trafia do lewej półkuli, a druga połowa kierowana jest do prawej. To strasznie skomplikowane połączenie, a ewolucja nie porywa się na nic skomplikowanego, jeżeli nie zwiększa to szans na przetrwanie.

Zamilkł, jakby czekając, aż Caitlin lub jej mama uzupełnią jego wypowiedź jakimś przykładem. Po chwili kontynuował triumfalnym tonem:

– Tą przewagą musi być świadomość, unifikacja bodźców czuciowych celem wytworzenia jednej perspektywy, jednego punktu widzenia.

– Ale ja się urodziłam niewidoma – stwierdziła Caitlin, dając odpocząć swoim palcom. – A mimo to byłam świadoma przez całe życie bez dzielenia wzroku między dwie półkule.

– To prawda, ale twój mózg i tak był na to przygotowany. Widziałem wyniki twoich rezonansów magnetycznych,

pamiętaj – masz całkowicie normalny mózg; jedyna wada, z którą się urodziłaś, dotyka twojej siatkówki. W każdym razie – rzucił, a Caitlin wróciła do pisania – ewolucja zrobiła co mogła, by zapewnić nam tylko jedną perspektywę, jeden punkt widzenia. Ptak nie może lecieć jednocześnie w lewo i w prawo; człowiek nie może myśleć o tym i o tamtym w tej samej chwili. Świadomość jest pojedyncza. Mówi się cogito ergo sum – myślę, więc jestem, a nie cogitamus ergo sumus – myślimy, więc jesteśmy. Nawet po przecięciu spoidła wielkiego, mózg zachowuje jedną perspektywę; również w tym przypadku ewolucja zrobiła co w jej mocy, by jednolita świadomość przetrwała tak traumatyczne przeżycie jak uszkodzenie głównego kanału komunikacji między półkulami.

Caitlin spojrzała na mamę, ale nic nie powiedziała. Doktor Kuroda nie przerywał.

– Co więcej, ukierunkowana perspektywa prowadzi nie tylko do powstania własnej świadomości; pozwala też zyskać świadomość, że inni również są świadomi. Nazywa się to teorią umysłu: uznanie, iż inni ludzie mają swoje przekonania, pragnienia i zamiary, które mogą się różnić od naszych. To również jest możliwe dzięki pojedynczemu punktowi widzenia.

– Jak to? – spytała mama Caitlin.

– Tylko dzięki swojej ograniczonej perspektywie jesteśmy w stanie pojąć, że osoba stojąca naprzeciwko może widzieć w danej chwili coś zupełnie innego. Jesteście w pokoju panny Caitlin?

– Tak – odpowiedziała matka Caitlin.

– Gdybyśmy stali tam zwrócenii do siebie twarzami, mogłabyś patrzeć na okno i świat zewnętrzny, a ja widziałbym drzwi i korytarz za nimi – nie tylko widzimy coś zupełnie innego, ale i rozumiemy, że tak jest. Twoja ograniczona perspektywa podpowiada ci, że mój punkt widzenia jest inny. I znów pojawiają się te pojęcia: „perspektywa”, „punkt widzenia”! Myśli i wzrok są ze sobą nierozzerwalnie połączone w mózgu.

– A co z niewidomymi? – spytała Caitlin, ponownie przerywając pisanie.

– I znów nie potrzeba samego wzroku, tylko infrastruktury nerwowej dostosowanej do pojedynczego punktu widzenia. – Przerwał na chwilę. – Pomyśl, gdyby posiadanie oczu z tyłu głowy było jakąś zaletą, mielibyśmy je. Obecnie co jakiś czas rodzą się mutanty z dodatkowymi oczami i zapewne działo się tak zawsze w historii kręgowców, więc gdyby zapewniało to jakąś przewagę w kwestii przetrwania, mutacja by się rozprzestrzeniła, de tak się nie stało. Posiadanie jednego punktu widzenia – posiadanie świadomości i zdolności pojmowania, że drapieźnik widzi coś innego – zdecydowanie przebija możliwość widzenia, że coś zbliża się od tyłu.

Caitlin zmagala się z konsekwencjami tych słów, ale o jej matka pierwsza wszystko zrozumiała.

– A Webmind patrzy okiem Caitlin, prawda? Caitlin stanowi jego okno na nasz świat.

Caitlin spuściła wzrok, zadowolona, ale też odrobinę zażenowana faktem, że rozmowa nagle wróciła do niej i...

I zobaczyła, co Webmind napisał po tym, jak otrzymał zapis uwag Kurody: „Naprawdę mnie podniosłaś. Dałaś mi perspektywę, punkt widzenia i umiejętność skupienia się, po-

trzebne do nabycia prawdziwej świadomości. Bez ciebie bym nie istniał”.

Caitlin oderwała wzrok od monitora i pozwoliła sobie na ciepły uśmiech zadowolenia.

– Brawa dla mnie! – rzuciła.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

– Co się do cholery stało? – żądał wyjaśnień Tony Moretti. Z powrotem znalazł się w centrum kontroli Wiedzy. Peyton Hume stał obok niego, nieco wyżej na pochyłej podłodze; choć był od Tony’ego niższy, w tej chwili sprawiali wrażenie równych wzrostem.

Shel Halleck siedział przy swojej stacji roboczej w trzecim rzędzie.

– Nie jestem pewien – krzyknął. – Nastąpił nagły wzrost ruchu związanego z SI, a potem po prostu zamarła. Wtedy Caitlin Decter lub ktoś z jej domu wysłał wiele wiadomości o treści: „zerwij połączenia”.

– Czemu? – spytał Tony.

– Nie jestem pewien – powtórzył Shel.

– Zaczynam mieć dość tej odpowiedzi – warknął Tony. Choć tak naprawdę zaczynał po prostu mieć dość, kropka.

– Wygląda na to, że to coś ma ograniczoną zdolność przetwarzania – zasugerował Peyton Hume. – To z kolei daje nam jakieś mgliste wyobrażenie, jak może być zbudowane... eliminując przy tym inne opcje. Prawdę mówiąc...

– Tak? – zainteresował się Tony.

– Cóż – rzucił pułkownik – pamięta pan, co zrobili Chińczycy w zeszłym miesiącu? Nie chodzi mi o masakrę, tylko o to, jak próbowali zapobiec rozprzestrzenieniu się informacji o niej. Na kilka dni odcięli niemal całą komunikację z zewnętrznym światem, w tym Internet. Być może to nie przypadek, że podział i ponowne przyłączenie tak dużej części Internetu po-

przedziło powstanie tej jednostki. To by sugerowało, że istnieje krytyczny próg elementów koniecznych do jej funkcjonowania... i że przynajmniej część z nich znajduje się w Chinach.

– No dobrze – odezwał się Tony. – To przynajmniej jakiś trop. Shel, Aiesha, ustalmy, gdzie dokładnie znajduje się to cholerstwo. Jeżeli prezydent faktycznie wyda rozkaz, by to zabić, chcę być gotowy do jego natychmiastowego wykonania.

Shoshana w zdumieniu wpatrywała się w Hobo przemierzającego niewielką, kopulastą wyspę, aż zniknął jej z oczu.

Tył głowy nadal ją bolał. Dotknęła go ponownie sprawdzając, czy jeszcze krwawi: nie krwawiła. Hobo był od niej znacznie silniejszy, a rozwścieczonej małpy nie należało lekceważyć. Jednakże kochała go, opiekowała się nim, troszczyła o niego, a on nigdy wcześniej nie skrzywdził ani jej, ani nikogo innego.

Miała przy sobie komórkę i w razie potrzeby mogła zadzwonić do doktora Marcuse'a. Gdyby Hobo zaczął ją gonić, wystarczyło, by wskoczyła do fosy otaczającej wyspę, gdyż Hobo nie potrafił pływać.

Ruszyła, ale w przeciwieństwie do Hobo, nie próbowała przejść przez wyspę, a szła po jej obwodzie, trzymając się blisko wody na wypadek gdyby zmuszona była do ucieczki. Widziała, jak Hobo minął altankę na szczycie wyspy. Mógł być na ziemi lub mógł wdrapać się na jedną z palm, choć rzadko mu się to zdarzało.

Przeszła kolejnych kilkanaście kroków i wtedy go ujrzała; siedział na swym chudym tyłku, opierając się o trzy kamienne zwoje u stóp posągu Prawodawcy.

– Hobo – mignęła. Spojrzał na nią, ale nic nie powiedział, a po chwili odwrócił wzrok.

To oznaczało, że nie można z nim rozmawiać. Klasnęła w dłonie – nie był przecież głuchy, choć używał języka, jakim posługiwali się niesłyszący. Odwrócił głowę, szukając źródła dźwięku.

– Hobo – mignęła ponownie. – Wszystko w porządku? Mogę ci pomóc?

Nie odpowiedział.

Podeszła bliżej.

– Proszę, Hobo. Martwię się o ciebie.

Nagle się wyprostował, a Sho – wystraszona gwałtownym ruchem – zeszywniała. A potem ni z tego, ni z owego wystrzelił, przemieniając się w rozmazaną plamę czarnego futra. Cofnęła się o pół kroku, ale Hobo zaczął się wspinać na ośmiostopowy posąg Prawodawcy, aż znalazł się na ramieniu orangutana, pohukując i posapując na słońce.

Język migowy to zabawna rzecz. Gdy Shoshana używała go w rozmowie z doktorem Marcuse'em, słyszała w głowie słowa wypowiedane jego normalnym, głębokim głosem. Hobo nie miał normalnego głosu. To kolejne przekłamanie w filmach o planecie małp – pomyśl, że to brak inteligencji, a nie niedoskonała budowa krtani, uniemożliwia im artykułowanie mowy. Dzikie wygrażanie pięścią niebu, co właśnie robił, nie było tak naprawdę znakiem języka migowego. Jednakże Shoshanie zdawało się, że słyszy głos Roddy'ego McDowalla, aktora grającego Cezara w filmie, którą widziała dzień wcześniej, jak krzyczy z wściekłością: „Ten dzień nadszedł już... dziś!”.

Ponownie klasnęła, ale nawet na nią nie spojrzał, nie chciał jej słuchać. Próbowwała przez całą minutę, po czym przeszła po mostku i podniosła go, a następnie wróciła do budynku.

W tym czasie do doktora Marcuse'a dołączył Dillon Fontana, piszący doktorat o hybrydyzacji małp. Dillon był chudy, miał blond włosy i rzadką bródkę, i zawsze był ubrany w czarne dżinsy i czarny T-shirt.

– Hobo właśnie szarpnął mnie za kucyk – oznajmiła Shoshana.

Marcuse zajmował jedyny wygodny fotel w pomieszczeniu i czytał jakiś wydruk. Opuścił go i stwierdził:

– Zawsze to robi.

– Nie – odparła Shoshana. – Zazwyczaj delikatnie za niego pociąga. Ale tym razem szarpnął bardzo mocno.

– Cóż – powiedział Marcuse – na pewno nie aż tak mocno... a przynajmniej nie według jego standardów. Gdyby chciał, mógłby ci go oderwać.

– Był cholernie blisko – rzuciła, odwracając się, by sami mogli zobaczyć.

Doktor Marcuse nie kwapił się do podźwignięcia swego potężnego ciała z wyściełanego fotela, ale Dillon, który skorzystałby z każdej okazji, by się do niej zbliżyć, podszedł i obejrzał uważnie jej głowę.

– Aua – skomentował.

– Właśnie!

– Powiedziałaś mu, że zachował się źle? – spytał Marcuse. – Wiesz, że trzeba go upominać natychmiast, bo inaczej nie połączy kary z tym, co zrobił.

– Nie chce ze mną rozmawiać – odpowiedziała Shoshana.

Doktor Marcuse z trudem podniósł się przy drugiej próbie.

– Chodźmy – powiedział, rzucając wydruk na fotel. Cała trójka wyszła na zewnątrz. Przeszli rozległy trawnik za budynkiem, opuścili mostek i weszli na małą wyspę.

– Gdzie on jest? – spytał Dillon.

Shoshana rozejrzała się dookoła. Hobo nie było już na posągu Prawodawcy.

– Tam – powiedział Dillon, wskazując miejsce ręką. Hobo kulił się pod jedną z palm.

Shoshana zdjęła gumkę z włosów i rozczesała je dłonią. Ruszyli w stronę Hobo. Musiał wiedzieć, że tu są – doktor Marcuse nie mógłby przejść po niewielkim moście zwodzonym, nie robiąc przy tym hałasu. Jednakże dopiero po kilku chwilach Hobo spojrzał w ich stronę i niemal jednocześnie rzucił się w ich kierunku.

– Stój – mignęła Shoshana, wykrzykując jednocześnie to słowo.

Ale nie posłuchał, a im bliżej się znajdował, tym jaśniejsze stawało się, że nie biegnie do nich wszystkich, ale konkretnie do Dillona.

Dillon przez pół sekundy stał nieruchomo, po czym odwrócił się na pięcie i puścił biegiem. Z głośnym pluskiem wskoczył do fosi i szybko popłynął na drugi brzeg.

Gdy Dillona nie było już na wyspie, Hobo zrezygnował z pościgu. Na chwilę zwrócił się w stronę Shoshany, obnażając zęby, ale nie podszedł.

Harl Marcuse – całe jego trzysta funtów z kawałkiem – onieśmiał wszystkie naczelne. Utkwił w Hobo spojrzenie i wielokrotnie wyraźnie powtórzył znak „nie”, uderzając palcem wskazującym i środkowym o kciuk.

Hobo nie odpowiedział i wkrótce znów się oddalił, uciekając na przeciwległy koniec wyspy. Marcuse nie ruszył za nim, tylko sapiąc i dysząc wspiał się do altanki, a Shoshana podążyła za nim. Przesunął zasuwkę – z którą bez problemu radził sobie Hobo – i otworzył drzwi.

Na sztaludze stał nowy obraz.

Nie przedstawiał Shoshany. Włosy były żółte, nie brązowe, i wyrastały nie tylko z góry, ale i z dołu. Jedyne jako – obraz znów przedstawiał postać z profilu – było brązowe, nie niebieskie.

Hobo nigdy nie malował ubrań Shoshany. Najczęściej wybierała niebieskie i zielone stroje, ale on zawsze malował tylko głowę.

Tym razem jednak spróbował oddać ubrania, malując duży, czarny kwadrat pod głową.

Obraz przedstawiał Dillona w jednym z jego czarnych T-shirtów. Shoshana kiedyś z ciekawości spytała, czy ma ich więcej niż jeden i dowiedziała się, że sześć, ale wszystkie są takie same.

Z koszulki nie wyrastały ręce. Niemniej jednak w dolej części obrazu znajdowały się dwie pomarańczowe linie, w tym samym kolorze, którego Hobo użył do namalowania twarzy. Każda z linii pośrodku zginała się pod kątem czterdziestu pięciu stopni, a ich końce pomazane były czerwoną farbą. Rów-

nież po obu stronach czarnego kwiatu będącego koszulką znalazły się czerwone plamy.

Shoshana spojrzała na Marcuse'a, chcąc się upewnić, że interpretuje obraz tak samo jak ona... choć tak naprawdę nie mogło być wątpliwości, co namalował Hobo: Dillona z ode-
rwanymi rękami.

– Artysta – oznajmił doktor Marcuse – wszedł w okres
złości.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Jako że kryzys został najwyraźniej zażegnany, doktor Kuroda pożegnał się i wrócił do łóżka. Caitlin i jej mama planowały spędzić więcej czasu z Webmindem, gdy rozległ się dzwonek do drzwi. Jeszcze kiedy mieszkały w Teksasie obowiązywała zasada, że Caitlin nie otwiera drzwi, chyba że się kogoś spodziewa. Teraz też jej mama z przyzwyczajenia wstała, ale Caitlin powiedziała z uśmiechem:

– Mogę otworzyć, wiesz?

Zeszła na dół, z zaciekawionym Schrödingerem przy nodze. Caitlin po raz pierwszy użyła wizjera i...

Jasny gwint! Osoba za drzwiami wyglądała jak Bashira, ale miała zniekształconą twarz... przypominało to Caitlin jej własne odbicie, które zobaczyła w łyżeczce.

– Bash? – zawołała z pewnym wahaniem.

– To ja – nadeszła przytłumiona odpowiedź. Caitlin otworzyła drzwi...

Och, co za ulga! Bashira wyglądała całkiem normalnie. Dziś miała na sobie niebieską chustę, a w rękach trzymała wielobarwne pudełko.

– Wszystkiego najlepszego, kotek! – rzuciła.

– O mój Boże! – odparła Caitlin. Wzięła od przyjaciółki prezent i po raz pierwszy zrozumiała, co znaczy wyrażenie „cięższy niż wygląda”: pudełko ważyło tonę. – Wejdz.

Bashira weszła i natychmiast zaczęła zdejmować buty, co – jak Caitlin odkryła z pewnym zażenowaniem – było kanadyjskim zwyczajem; kilka razy beztrąsko wkroczyła w butach

do domów innych osób, aż w końcu ktoś ją delikatnie upomniał.

Na szczycie schodów pojawiła się mama Caitlin.

– Dzień dobry, Bashiro.

– Dzień dobry, doktor Decter. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam. Przyniosłam Caitlin prezent.

Caitlin była rozdarta. Posłała spojrzenie mamie, zastanawiając się, co zrobić z Webmindem. Ale jej mama zareagowała błyskawicznie:

– Nie ma sprawy, Bashiro. Caitlin, nie martw się... ja, hmm, zajmę się tu wszystkim.

Caitlin się uśmiechnęła.

– Ok.

Mogła zaprowadzić Bashirę do salonu, ale stamtąd jej mama by je słyszała. Poszły więc do piwnicy, choć nie było to najprzytulniejsze z miejsc – miało gołą, cementową podłogę, nagie ściany z instalacją na wierzchu, stary telewizor, kilka stołów roboczych i dwa wygodne krzesła obrotowe, które jej ojciec... pożyczył z Perimeter Institute. Pracował tu Kuroda, kiedy z nimi mieszkał.

Caitlin położyła pudełko z prezentem na jednym ze stołów.

– No, dalej – zachęciła Bashira. – Otwórz.

Caitlin tak właśnie zrobiła, ale dopiero po kilku sekundach zrozumiała, co widzi: zestaw książek o Harrym Potterze w twardej oprawie.

– To – oznajmiła Bashira – są najlepsze książki świata. Mówiłaś, że ich nie czytałaś, a skoro teraz się uczysz czytać normalne książki, od tych powinnaś zacząć. – Wskazała

grzbiet pierwszej książki w pudełku. – I to wydanie kanadyjskie... żadnych badziewnie pozmienianych tytułów.

Caitlin uściskała Bashirę.

– Dziękuję! Ale... musiały być strasznie drogie.

– Hej – odparła Bashira, siadając na jednym z krzeseł obrotowych – twoi rodzice płacili mi, żebym ci pomagała poruszać się po szkole, kiedy nie widziałaś, sama wiesz. Na pewno twoja mama by się ucieszyła wiedząc, że stymuluję gospodarkę.

Caitlin również usiadła, twarzą do przyjaciółki. Nadal przyzwyczajała się do jej wyglądu. Wiedziała, że to zabawne: patrzyła na nią, jakby to Bash się zmieniała.

– Twój tata też jest dzisiaj w PI? – spytała Caitlin.

– No pewnie – odpowiedziała Bashira. – Nie przepuściłby okazji na spędzenie chwili z profesorem Hawkingiem.

– Poznałaś go?

– Jasne. – Bash zaczęła naśladować jego mechaniczny głos. – Nawet-ludzie-którzy-twierdzą-że-wszystko-jest-z-góry-przesądzone-rozglądają-się-nim-przejdą-przez-ulicę.

– Ekstra! – powiedziała Caitlin. – Chciałabym go poznać.

– Ma tu zostać miesiąc; na pewno będziesz miała okazję. I owszem, uważam, że „Caitlin Hawking” brzmi ślicznie.

– Bardzo zabawne – skwitowała Caitlin. – To praktycznie członek brytyjskiej rodziny królewskiej, pewnie nie może się ożenić z nieanglikanką.

Bash się uśmiechnęła.

– Pewnie nie. Wy, chrześcijanie, wszyscy wyglądacie dla nas tak samo.

– Nie jestem chrześcijanką – sprostowała Caitlin.

- Nie...? To kim jesteś?
- W sumie to nikim.
- A twoi rodzice?
- Mama jest unitarianką, a tata żydem.

Bashira uniosła brwi ze zdumienia.

- Serio?

Caitlin słyszała już ten ton: „Jesteś żydem? Nie żeby było w tym coś złego...”.

- Nie praktykuje i nie trzymamy koszernej diety.

- Ale jesteś żydówką?

– Według żydowskiego prawa religię dziedziczy się po matce, ale... jasne. Decter to izraelskie nazwisko.

– Aha. Zawsze wyglądałaś mi... no nie wiem, jak Polka czy coś. Myślałam, że twoje nazwisko jest jakimś skrótem.

– Fakt, kiedyś brzmiało Decteropithecus, ale zmieniliśmy je jakieś pięć milionów lat temu.

Caitlin spodziewała się wybuchu śmiechu, ale ton Bashiry był całkiem poważny.

- A twoja mama jest unitarianką?

- Mhm.

- Czyli...?

Caitlin nieznacznie wzruszyła ramionami.

– Prawdę mówiąc, nie jestem pewna. Nie mówi o tym wiele. Ale wiem, że to popularne w środowiskach akademickich i intelektualnych.

– A ty... powiedziałaś, że jesteś „nikim”. Nie wierzysz w Boga?

Caitlin poprawiła się na krześle.

- Jakoś nie jestem przekonana do pana B.

– Nie wiem, jak możesz w niego nie wierzyć – stwierdziła Bash. – Widzę go wszędzie dookoła, w tysiącu drobnych rzeczy każdego dnia.

Caitlin zastanowiły te słowa. W matematyce były rzeczy, które widziała tylko ona... rzeczy, które dla niej były oczywiste, a których nie dostrzegali jej koledzy z klasy. Czy z Bogiem mogło być tak samo? Czy Bashira faktycznie mogła wyczuwać coś, czego Caitlin po prostu nie była w stanie zobaczyć? Do diabła, przez większość życia nie była w stanie czegokolwiek zobaczyć, a bez problemu przyjmowała, że inni widzieli; nawet raz nie przeszło jej przez myśl, że wszystko jest jakąś wielką ścierną, jakimś kłamstwem czy złudzeniem. Nigdy nie wpadła na to, by powiedzieć Stacy: „Tak, jasne, oczywiście, że widzisz księżyc, Stace. A widzisz te małe wyfruwające mi z tyłka?”.

Jednakże gdzieś w głębi czuła, że Bashira bardzo się myli. A przecież Bash była inteligentna, jak jej rodzice.

– A czy twój tata wierzy w Boga? – spytała Caitlin.

– No pewnie. Pięć razy dziennie modli się w kierunku Mekki.

Caitlin jeszcze słabo szło wyobrażanie sobie różnych rzeczy, ale myśl, że doktor Hameed robi coś takiego w Perimeter Institute wydała jej się absurdalna.

– Prawdę mówiąc... – odezwała się Bashira, ale przerwała.

– Tak?

Bashira przekrzywiła głowę.

– Wiesz, wyjechaliśmy z Pakistanu z konkretnego powodu. Tata pracował tam dla rządu.

– Fizyk urzędnik służby cywilnej? – spytała Caitlin. – Chodzi ci o to, że pracował na publicznym uniwersytecie?

– Nie – odparła Bashira miękko. – Dla rządu. Wojska. Pracował przy broni nuklearnej.

Głos Caitlin nagle również nabrał miękkości:

– Och.

– I nie mógł tego dłużej robić. Koran mówi: „Zwalczajcie na drodze Boga tych, którzy was zwalczają, lecz nie bądźcie najeźdźcami. Zaprawdę; Bóg nie miłuje najeźdźców!²”.

Caitlin przemyślała te słowa.

Zawsze myślałam, że gdyby ludzie o najwyższym Q przestali robić to, czego chcą od nich ludzie o najniższym IQ, świat byłby w znacznie lepszym stanie. Broń tomowa, broń chemiczna, cyklon B... – przerwała, po czym dodała: – Gdyby Bóg istniał, wiedzielibyśmy o tym, zamiast tego mamy takie rzeczy jak Holokaust.

Twarz Bashiry przybrała wyraz, którego Caitlin jeszcze u nikogo nie widziała... domyśliła się jednak, że tak musi wyglądać ktoś poruszający się po polu minowym.

– Ale, Cait, Bóg nie może się wtrącać w poczynania człowieka. Inaczej nie istniałoby coś takiego jak wolna wola, prawda?

– W niektórych sytuacjach – powiedziała Caitlin cicho – wolna wola nie jest najważniejsza.

Bashira zmarszczyła brwi, ale się nie odezwała.

Caitlin zdjęła okulary; czasem łatwiej było jej myśleć, gdy wszystko się rozmywało i nie widziała rozpraszałej uwagę ilości szczegółów.

² Fragment w przekładzie Józefa Bielawskiego.

– A pomijając wolną wolę – mówiła dalej – co z katastrofami naturalnymi? Jak trzęsienia ziemi lub huragany? Albo wybuch epidemii ptasiej grypy w Chinach? To nie były poczynania Człowieka, tylko Boga... a przynajmniej jeżeli sam ich nie spowodował, jeżeli Bóg, o którym mówisz, istnieje, mógł im zapobiec, prawda? Ale nie zapobiegł. Więc... czy wy tu, w Kanadzie, czytacie Marka Twaina?

– Nie bardzo – odparła Bashira. – Jest taki stary kanadyjski humorysta: Stephen Leacock. Jego czytamy zamiast.

Skromne doświadczenie związane z życiem w Kanadzie zdążyło nauczyć Caitlin, że wszystko określane mianem „kanadyjskiej odpowiedzi na...” było rozczarowujące.

– W każdym razie Twain powiedział, że jeśli Bóg istnieje, to jest zły. To, co się stało w Chinach... albo w Nowym Orleanie, albo w Meksyku, albo... – poczuła, że poruszają jej się mięśnie twarzy i stwierdziła, że chyba przybrała ten sam wyraz twarzy co Bashira chwilę wcześniej – albo w Pakistanie.

Bashira wyglądała, jakby znów miała zaprotestować, ale Caitlin nie pozwoliła jej dojść do słowa, chcąc dokończyć myśl.

– Nie, jeśli Bóg by istniał, wiedzielibyśmy o tym; świat byłby lepszym miejscem.

Zrobiła przerwę na złapanie oddechu. Wiedziała, że nadszedł czas skierowania rozmowy na jakieś mniej wybuchowe tory. Wskazała prezent, który przyniosła jej Bashira.

– Więc... wracając do książek, co sądzisz o tej, którą zaczęliśmy omawiać na angielskim?

– Chyba w porządku – stwierdziła Bash.

Caitlin skinęła i założyła z powrotem okulary; były lżejsze od okularów przeciwsłonecznych, które nosiła, gdy nie

widziała. Wszystkie lektury przeczytała w wersji elektronicznej jeszcze latem. Obecnie omawiali dystopie: po „Roku 1984” Orwella mieli przejść do „Opowieści podręcznej” Margaret Atwood. Pani Zet całe ostatnie zajęcia poświęciła na doszukiwanie się podobieństw między tekstem Orwella a współczesnym światem, porównując Wielkiego Brata do „społeczeństwa nadzorowanego” jak to nazywała.

– Myślę, że pani Zet ma rację – powiedziała Bashira, obracając się nieco na krześle. – Wszyscy są non stop obserwowani, wszystko jest zapisywane i śledzone. Kamery internetowe, kamery nadzoru, billingi telefoniczne, komórki z GPS-em i tak dalej. – Spojrzała na Caitlin. – Wiedziałaś, że Gmail zachowuje skasowane maile?

Caitlin pokręciła głową, ale nie była zaskoczona. Pamięć była tania jak barszcz.

– Może mieć rację – mówiła dalej Bashira. – Sieć może być wcieleniem Wielkiego Brata.

– Pani Zehetoffer jest stara – stwierdziła Caitlin.

Bashira skinęła.

– No, musi być po czterdziestce. Ale i tak sędzę, że może mieć rację. Nie chcę, by ktoś śledził wszystko, co mówię i robię.

– No nie wiem – odparła Caitlin. – Kiedy nie widziałam, czułam się bezpieczniej wiedząc, że w miejscach publicznych są kamery. To znaczy, dla mnie były jak magia; nie miałam pojęcia, czym jest wzrok, ale świadomość, że ktoś na mnie patrzy, działała uspokajająco.

– No tak, ale ty jesteś... byłaś szczególnym przypadkiem. A pani Zehetoffer uważa, że Wielki Brat jest blisko, jeżeli już go tu nie ma.

– No i? – spytała Caitlin i aż zaskoczył ją sarkazm po-brzmiewający w jej głosie.

– Hej, Cait... wyluzuj.

– Tak tylko mówię – odparła Caitlin ostro.

– To tylko książka, kotek.

Ale Caitlin wiedziała, że tak nie jest. „Rok 1984” to nie tylko książka, ale coś, co Richard Dawkins nazwał memem... lub serią memów: to pomysł, który rozprzestrzenił się i trwał jak geny, podlegając reprodukcji i selekcji naturalnej. A mem Orwella mówiący, że nadzór jest zły, że nieuchronnie prowadzi do totalitaryzmu, że stanowi pogwałcenie prywatności, że hamuje normalne zachowania, że jest z gruntu niemoralny, wygrał ze wszystkimi pozostałymi podejściami do tematu. Nie dało się poruszyć tego typu kwestii, by ktoś natychmiast nie wyciągnął Wielkiego Brata, przekonany, że sama wzmianka o widmie orwellowskiego świata wystarczy do wygrania każdego sporu.

– Wielki Brat został fałszywie oskarżony – stwierdziła Caitlin.

– Co?

– No wiesz... Sama nigdy nie miałam starszego brata, ale moja przyjaciółka Stacy ma. I on zawsze się nią opiekuje. Nie ma nic złego w samym fakcie, że ktoś wie wszystko, że jakaś troskliwa osoba ma na ciebie oko i pilnuje twojego bezpieczeństwa.

– Ale jeśli jest niemoralna...

– Nie musi być niemoralna – zaprotestowała Caitlin. Bashira posłała jej spojrzenie. Caitlin domyślała się, że inni zawsze patrzyli na nią, zastanawiając się, co powiedziec, ale i tak ją to denerwowało; odwróciła wzrok, przez chwilę rozumiejąc, co musi czuć przez cały czas jej ojciec.

– Władza korumpuje – powiedziała Bashira łagodnie. – A władza absolutna korumpuje absolutnie.

– Wcale nie musi tak być – upierała się Caitlin.

– Właśnie, że musi – powiedziała Bashira. – Ludzie są niedoskonalimi i podatni na korupcję. Jedyną rzeczą, która nie jest niedoskonałą to Bóg, a jak stwierdziłaś wcześniej, moja ukochana, niewierna przyjaciółko, nie wierzysz w Boga.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

– Nie możesz tam wrócić – powiedział doktor Marcuse Dillonowi, gdy wraz z Shoshaną weszli do parterowego Dudyńku Instytutu. – Hobo właśnie przegłosował twoje usunięcie z wyspy.

Dillon zdjął przemoczoną koszulkę, buty i skarpetki, ale czarne dżinsy nadal miał na sobie.

– Ale to temat mojej pracy! – zaprotestował.

Doktor Marcuse przyniósł ze sobą najnowszy obraz Hobo. Postawił go na stole, opierając o ścianę.

– Spójrz na to – powiedział.

– Tak? – odparł Dillon, przyglądając się uważnie płótnu.

– To ty – wyjaśnił Marcuse. – Z oderwanymi rękami.

– Aha – stwierdził Dillon miękko.

– Nie wolno ci tam wchodzić. Naturalnie nadal możesz go obserwować do woli za pośrednictwem obrazu z kamer.

– Co mu się do cholery stało? – spytał Dillon, spoglądając na Shoshaną, a potem na doktora Marcuse’a.

– Dojrzewa – odpowiedział Marcuse.

– Jest na to za młody – zaproponowała Shoshana.

– Czyżby? – spytał Marcuse, posyłając jej miazdzące spojrzenie. – Kto wie, co jest normą w przypadku hybrydy szympansa i bonobo? Zresztą wszystko jedno, wrodził się w ojca: gdy dorosły szympanś dojrzewa, staje się agresywnym samotnikiem, z którym bardzo trudno sobie poradzić.

Sho poczuła, jak serce zamiera jej w piersi. Jeżeli Marcuse miał rację, Hobo miał już taki pozostać.

– Jego reakcja na ciebie, Dillon, jest symptomatyczna – kontynuował Marcuse. – Jesteś innym samcem, a dorosłe szympansy bronią swojego terytorium przed konkurentami. Kiedy w poniedziałek pojawi się Werner, powiem mu dokładnie to samo: też ma zakaz kontaktów z Hobo. Maria przez kolejne dwa tygodnie będzie w Yerkes, ale sprawdzę, czy nie mogłaby skrócić podróży i wrócić tutaj.

– A pan? – spytał Dillon.

– Werner ma pięć stóp cztery cale wzrostu i sześćdziesiąt siedem lat, a ty... prawdę mówiąc, patyczak z ciebie. Ale ja potrafię o siebie zadbać. Hobo wie, kto tu jest samcem alfa.

Shoshana przyjrzała mu się uważnie. Doktor Marcuse może i był głośny i apodyktyczny, ale naprawdę uwielbiał mały i dobrze je traktował. Jednakże nawet w najlepszych chwilach był dość spięty... a to zdecydowanie nie była jego najlepsza chwila. Gdy tylko świat się dowiedział, że Hobo tworzy sztukę przedstawiającą – głównie pod postacią profilów Shoshany – zoo z Georgii doręczyło doktorowi Marcuse'owi papiery z żądaniem zwrócenia im Hobo. Hobo nie obchodził ich jako – a niech to, pomyślała Shoshana – osoba. Nie, ich interesowały tylko pieniądze, jakie ludzie wykładali za jego obrazy na eBayu i w galeriach. Gdyby wygrali sprawę, bez wątpienia próbowaliby sprzedać obraz Dillona z oderwanymi rękami za jakąś specjalną cenę.

Marcuse podszedł do fotela i podniósł wydruk, który czytał wcześniej. Wskazał go Shoshanie, zachęcając ją, by zerknęła.

Sho miała dobry wzrok – przynajmniej kiedy używała szkielek kontaktowych – ale czcionka była za mała, by mogła coś odczytać z tej odległości.

– Co to? – spytała.

– Wiadomości z czerwca zero ósmego – oznajmił. Był jedyną znaną Sho osobą, która w ten sposób określała lata pierwszej dekady dwudziestego pierwszego wieku. – Parlament Hiszpanii powrócił wtedy do Deklaracji Praw Wielkich Małp.

Shoshana doskonale знаła deklarację. Pierwszy raz przedstawiono ją w 1993 roku; według tego dokumentu wielkim małpom należało przyznać prawo do życia, ochrony wolności osobistej i wolności od tortur. Póki co, Hiszpania była jedynym krajem, który przyjął te postanowienia. Sho w pełni popierała Deklarację i wiedziała, że Marcuse również jest jej zwolennikiem. Jeżeli coś jest obdarzone świadomością – jeżeli potrafi się komunikować, zdaje test lustra i tak dalej – powinno być uznane za osobę i powinno mieć swoje prawa.

– I myśli pan, że ma zastosowanie w przypadku Hobo? – spytała.

– Absolutnie. Deklaracja definiuje „społeczność równych” jako „wszystkie wielkie małpy: ludzi, szympansy, bonobo, goryle i orangutany”. Artykuł drugi Deklaracji mówi: „Członków społeczności równych nie można w sposób arbitralny pozbawiać wolności”. – Rozłożył ręce, jak gdyby jego argument był oczywisty. – A zoo z Georgii właśnie tego chce pozbawić Hobo.

Sho pomyślała o wysokim ogrodzeniu otaczającym Instytut Marcuse'a i fosie wokół wyspy, na której Hobo spędzał większość czasu.

– Nie jesteśmy w Hiszpanii – stwierdziła łagodnie.

Zmarszczył brwi.

– Wiem, ale argument nie traci przez to ważności. A Hobo powinien mieć coś do powiedzenia w tej sprawie... szczególnie, że w przeciwieństwie do niemal wszystkich małp na Ziemi, naprawdę może przemówić w swoim imieniu. Shoshana zastanowiła się nad tym. Jeszcze nikt nie powiedział Hobo o pozwie zoo z Georgii. Nie chcieli go martwić. Szympansy są znane ze swej ogromnej niechęci do podróży... co całkiem zrozumiałe w przypadku zwierząt terytorialnych.

Niemniej jednak zoo miało już kilka szympansów i kilka bonobo. Nie było jasne, z którą grupą chcieli trzymać Hobo; został poczęty, gdy obie populacje zamknięto wspólnie w trakcie powodzi. Przy całym zapale i chęci walki z pozwem, Marcuse pewnie nawet nie pomyślał, że Hobo może chciałby żyć między swoimi... bez względu na to, kim byli.

Jednakże pozew zoo nie dotyczył jedynie prawa opieki. Chcieli też wysterylizować Hobo, by jego hybrydowa sperma nie skaziła zagrożonych linii szympansów i bonobo. I choć można mu było przekazać sporo naprawdę złożonych treści, próba wyjaśnienia mu skutków kastracji prawdopodobnie wykraczała poza jego zdolność pojmowania.

– Zamierza go pan poinformować, o co toczy się gra? Zakładając, że w ogóle będzie nas chciał teraz słuchać – powiedziała Sho.

Marcuse zdawał się trawić to chwilę, po czym skinął swoją ogromną głową.

– Z upływem czasu prawdopodobnie będzie się stawał coraz bardziej aspołeczny. A to oznacza, że jeżeli chcemy do niego dotrzeć, nie ma czasu do stracenia... dogodna chwila nie potrwa długo.

I tak wraz z Shoshaną wyszli na słońce, zostawiając Diloną w budynku. Marcuse szedł przodem, śmiało stąpając po mostku, a jego kroki dudniły głucho na drewnianych deskach. Hobo zdawał się go oczekiwać; kołysał się na swych patykowatych, zakrzywionych nogach, spoglądając na Marcuse'a z odległości kilkunastu stóp... impas. Sho stłumiła chęć zagwizdania melodii z filmu „Dobry, zły i brzydki”.

Nie widziała twarzy Marcuse'ą, ale wyobrażała sobie, jak wpatruje się w małpę, próbując dać do zrozumienia, kto tu rządzi.

Hobo obnażył zęby: duże, żółte, ostre.

Marcuse syknął i...

I Hobo odwrócił wzrok i pochylił głowę.

Marcuse zdecydowanie podszedł do niego i z najwyższym trudem przykucnął obok małpy, która usiadła na ziemi.

– Hobo – mignął Marcuse. – Skup się.

Hobo nadal wpatrywał się w ziemię, przez co nie widział języka migowego. Sho wydała stłumiony okrzyk, gdy Marcuse wyciągnął rękę i dotknął twarzy Hobo; obawiała się, że szympanś zaatakuje, ale pozwolił Marcuse'owi unieść sobie głowę.

– Podoba ci się tu? – spytał.

Hobo przez jakiś czas siedział nieruchomo i Shoshana bała się, że zupełnie zrezygnował z języka migowego. Ale w

końcu przesunął dłonią ułożoną w O od ust do policzka. Był to znak łączący słowa „Jeść” i „spać”, wyrażający prostą myśl: dom.

– Tak – mignął Marcuse. – To twój dom. – Chwila przerwy. Nad głowami przeleciała im mewa. – Ale kiedyś twój dom był w zoo w Georgii, pamiętasz?

Hobo skinął – był to prosty i bardzo ludzki gest.

– Zoo z Georgii chce cię z powrotem... chce znów być twoim domem.

Hobo na chwilę spojrzał Marcuse’owi w twarz.

– Ty tam?

– Nie.

Hobo wskazał Shoshanę z niemym pytaniem.

– Nie. Żadne z nas. Ale: inne małpy!

Hobo nie odpowiedział.

– Co ty chcesz? - spytał w końcu Marcuse. – Tu? Czy w zoo?

Małpa rozejrzała się po swojej niewielkiej wyspie, na chwilę zatrzymując spojrzenie na posągu Prawodawcy, po czym przenosząc je na altankę pośrodku wyspy z drzwiami i oknami wyposażonymi w siatki przeciw owadom oraz sztalugą i stołkiem w środku.

– Dom – mignął ponownie Hobo i rozłożył ręce, obejmując tym gestem wszystko w zasięgu wzroku.

– Ok – odpowiedział Marcuse. – Ale inni chcą cię stąd zabrać, więc będziesz musiał nam pomóc.

Hobo nie odpowiedział. Shoshana pomyślała, że niebieskie, poliestrowe spodnie Marcuse’a puszczą pod naporem tak długiego kucania.

– Dojdzie do walki – mignął. – Rozumiesz? Walki o to, gdzie zamieszkasz.

Hobo obrzucił Shoshanę spojrzeniem, po czym ponownie skupił się na doktorze. Miał ciemne, mokre oczy.

– Jeśli się odezwiesz – kontynuował Marcuse – możesz tu zostać... być może.

Hobo ponownie rozejrzał się po swojej wyspie i spojrzał na budynek Instytutu w oddali.

– Zostać tu – stwierdził.

Shoshana zastanawiała się, czy Srebrnogrzbity zamierza poruszyć kwestię agresywnego zachowania Hobo, jednakże najwyraźniej postanowił póki co odpuścić.

– Zgadza się... ale musisz to powiedzieć innym. Nieznajomym, inaczej...

Wziął głęboki oddech i wypuścił powoli powietrze. Shoshana wiedziała, że Hobo nie pojąłby tego, co Marcuse chciał przekazać: „inaczej ludzie pomyślą, że nauczyłem cię, co masz mówić”.

– Obcym – powtórzył Hobo, po czym pokręcił głową i obnażył zęby. – Źle.

– To ważne... – zaczął Marcuse.

Ale Hobo ponownie wykonał gest „źle”, po czym nagle odbiegł spłoszony na czterech na drugą stronę wyspy.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Bashira wyszła około szesnastej; Caitlin odprowadziła ją do wyjścia i wróciła do gabinetu matki na piętrze. Ta nadal rozmawiała z Webmindem.

– Co u niego? – spytała Caitlin.

– U prezydenta? – spytała niewinnie jej mama. – U profesora Hawkinga?

– Mamo!

– Przepraszam, kochanie – powiedziała z uśmiechem. – U niego wszystko w porządku; wygląda na to, że się pozbierał. A, i ma nadzieję, że spodobają ci się książki o Harrym Potterze.

Caitlin była zaskoczona. Fakt, Webmind widział to co ona... jednakże myśl, że rozmawiał o tym z jej matką była, delikatnie rzecz ujmując, niepokojąca! Stwierdziła, że będzie musiała odbyć z nim rozmowę na temat prywatności.

– Daj mi chwilę – rzuciła jej matka. – A potem oddam ci komputer. Chcę to skończyć. Trudno uwierzyć, ale rozmawiamy o polityce akademickiej.

– Nie ma sprawy – odparła Caitlin. Położyła się na łóżku, przełączyła eyePoda w tryb duplex, splotła ręce za głowę i pozwoliła się pochłonąć cudownej netprzestrzeni. Świat zewnętrzny docierał do niej tylko pod postacią stukotu klawiatury, z której korzystała jej matka.

Tutaj dostrzegała doskonałość: euklidesową doskonałość geometrii, prostych linii i idealnych kół.

– Mamo?

– Tak, kochanie? – odpowiedział jej głos łączący dwie rzeczywistości.

– Nie wszystkim spodoba się Webmind, prawda? To znaczy, jeżeli ludzie w ogóle się o nim dowiedzą.

Usłyszała, jak matka bierze głęboki oddech.

– Pewnie nie.

– Będą go porównywali do Wielkiego Brata, prawda?

– Niektórzy na pewno.

– Ale to my kierujemy jego rozwojem... ty, ja, doktor Kuroda, tata. Nie moglibyśmy dopilnować, żeby był... no wiesz, dobry?

– Dopilnować? – spytała jej matka. – Pewnie nie... tak jak rodzice nie mogą dopilnować, by wychowanie ich dziecka przyniosło dobre rezultaty. Ale możemy się starać. – Przerwała na chwilę. – I czasem rezultaty jednak są dobre.

Tony Moretti i Peyton Hume wrócili do biura Tony'ego. Pułkownik pił litrami czarną kawę, żeby nie usnąć, a Tony właśnie dokończył butelkę coli. Sekretarz stanu znów dzwoniła z Mediolanu.

– Więc to coś nazywa się Webmind? – spytała.

– Tak o nim mówi córka Dectera, owszem – odpowiedział Hume.

– Nie powinniśmy używać tej nazwy – stwierdził Tony. – Powinniśmy nadać mu kryptonim, w razie gdyby doszło do dekonspiracji.

Hume prychnął.

– Szkoda, że „Renegat” jest już zajęty.

„Renegat” był kryptonimem służb specjalnych dla obecnego prezydenta; kryptonim sekretarz – pozostały po okresie spędzonym w Białym Domu – to „Evergreen”.

– Nazwijmy go Wykładniczym – zasugerował Hume po chwili.

– Dobrze – zgodziła się sekretarz. – A co udało się wam ustalić? Czy Wykładniczy jest gdzieś zlokalizowany?

– Z tego, co wiemy, nie – odparł Tony. – Obecnie przypuszczamy, że jest rozproszony po całym Internecie.

– Cóż – odezwała się sekretarz – jeżeli nie ma dowodów, że Wykładniczy jest zlokalizowany lub skoncentrowany na amerykańskiej ziemi, czy raczej brak dowodów, że jego główne miejsce pobytu znajduje się we wrogim kraju, czy my jako rząd Stanów Zjednoczonych mamy w ogóle prawo go wyeliminować?

Głos pułkownika Hume’a przepełniony był szacunkiem:

– Jeśli wolno mi coś powiedzieć, pani sekretarz, mamy nie tylko prawo... to nasz obowiązek.

– Niby dlaczego?

– Cóż, można by stwierdzić, że z technicznego punktu widzenia Ogólnoświatowa Sieć to wynalazek europejski... narodziła się przecież w CERN-ie. Jednakże Internet, stanowiący dla niej podstawę, jest bez wątpienia wynalazkiem amerykańskim. Zdecentralizowana struktura, pozwalająca Internetowi przetrwać nawet atak nuklearny na największe z amerykańskich miast, to nasze dzieło: fakt, że to cholerstwo nie ma wyłącznika był w pełni zamierzony... i to Amerykanie o tym zdecydowali. Dlatego też mamy do czynienia z bardzo realnym

amerykańskim kryzysem, który wymaga amerykańskiego rozwiązania... i to szybko.

O 19.30 w sobotę – co w Tokio oznaczało 9:30 w niedzielny poranek – doktor Kuroda wrócił przed komputer. Powiedział, że do wieczora swojego czasu powinien zdążyć przygotować dla Webmindu kodeki umożliwiające oglądanie filmów.

To przypomniało Caitlin, że była umówiona z ojcem na oglądanie filmu w swoje urodziny i choć realizacja tego planu zdawała się mało prawdopodobna, naprawdę była wykończona rozmowami z Webmindem.

W przypadku normalnych rozmów za pośrednictwem komunikatora, wysłanie wiadomości i otrzymanie odpowiedzi dzieliły sekundy, a czasem nawet minuty, gdy osoba po drugiej stronie formułowała myśli lub odchodziła od komputera. Tymczasem, w tej samej chwili, gdy naciskała enter – bum! – w okienku pojawiała się odpowiedź Webmindu. Naprawdę przydałaby się jej przerwa; rozmowa z nim przypominała maraton w krzyżowym ogniu pytań. Poza tym, nie można było tak łatwo zmienić planu dnia ojca. No i mama miała spędzić wieczór, pracując z Webmindem, tak samo jak doktor Kuroda.

Jej ojciec nie czuł się najlepiej w tłumie i Caitlin wiedziała, że prośenie, by zabrał ją do kina nie wchodziło w grę. Na szczęście rodzice mieli na ścianie sześćdziesięciocalowy telewizor, co według niej w zupełności wystarczało.

Caitlin podobała się ta symetria: miała po raz pierwszy obejrzeć film w czasie, gdy Webmind dzięki doktorowi Kurodzie miał pierwszy raz zasmakować filmów internetowych.

Profesor Hawking był zmęczony po długiej podróży samolotem, a zresztą nawet w najlepszej formie nie mógł się przepracowywać; ojciec Caitlin wrócił do domu mniej więcej godzinę wcześniej. Był typowym maniakiem matematycznym pod bardzo wieloma względami. Miał kolekcję filmów science fiction na płytach DVD i Blu-ray i choć twierdził, że większość z nich już widział, Caitlin z zaskoczeniem odkryła, że wiele z nich nadal było w folii.

– Po co je kupiłeś, skoro nie zamierzałeś ich oglądać? – spytała.

Spojrzał na wysokie, wąskie szafki z filmami, jakby zastanawiał się nad jej pytaniem.

– Sprzedawali moje dzieciństwo – oznajmił w końcu – więc je kupiłem.

Rozumiała go: miała książki pisane brajlem, takie jak „Czy jesteś tam, Boże? To ja, Margaret” i „Hobbit”, do których z przyjemnością wracała nawet po wielu latach.

– Ty coś wybierz – zaproponował jej ojciec.

– Nie mam pojęcia – stwierdziła Caitlin. – Może jest coś, co ci się szczególnie podobało, kiedy byłeś w moim wieku?

Jego dłoń natychmiast powędrowała do pudełka na dolnej półce.

– Ten film – powiedział – wyszedł w roku, w którym kończyłem szesnaście lat.

Podniósł go i Caitlin spojrzała na okładkę. Widziała tylko jednym okiem, więc płaskie obrazy nie stanowiły najmniejszego problemu: ten na pudełku przedstawiał nastolatka i nastolatkę wpatrzonych w coś, co po chwili zidentyfikowała jako stary monitor komputerowy z wypukłym ekranem.

Spróbowała odczytać tytuł:

- G, r... hmmm... y, v...
- To W – poprawił ją ojciec. – „Gry wojenne”.
- O czym to?
- O specu komputerowym. Hakerze.
- To ta dziewczyna? – spytała podekscytowana Caitlin.
- Nie. To Ally Sheedy. Wątek miłosny.
- Aha.
- Hakerem jest chłopak, Matthew Broderick.
- Ożenił się z Sarah Jessicą Parker – powiedziała Caitlin,

wpatrując się w zdjęcie.

– Kto to? – spytał jej ojciec. Stwierdziła, że woli się nie przyznawać do znajomości „Seksu w wielkim mieście”, więc wyjaśniła krótko, że to aktorka i zmieniła temat:

– Ok, obejrzyjmy. – Zmarszczyła brwi. Ojciec nienawidził, gdy mama coś mówiła kiedy oglądał telewizję. – Wiesz... czy mogłabym ci zadawać pytania... o to, co będzie na ekranie?

– Przecież tylu rzeczy jeszcze nigdy nie widziała.

– No pewnie – odpowiedział ojciec.

Caitlin chciała go uściskać, ale się powstrzymała. Usiadła na kanapie, a on włożył płytę do czegoś, co musiało być odtwarzaczem Blu-ray i zajął miejsce obok niej. Z radością stwierdziła, że nie usiadł najdalej jak to było możliwe.

Zaskoczyło ją, gdy zobaczyła, że ojciec zmienia okulary, zastępując jedną parę drugą; wcześniej nie miała pojęcia, że miał dwie.

- Włączyć ci napisy? – spytał.
- To znaczy?

– Napisy na ekranie. Zapis dialogów. Podszkolisz czytanie.

Caitlin stwierdziła, że to świetny pomysł i to nie tylko ze względu na nią. Dzięki temu Webmind zrozumie, co się dzieje, oglądając strumień danych z jej eyePoda; w końcu nie słyszał niczego ze świata rzeczywistego.

Rozpoczął się film. W pierwszej scenie dwóch mężczyzn schodziło do podziemnej wyrzutni raketowej, by zmienić dwóch innych, którzy pełnili służbę. Przekomarzali się o coś i po chwili Caitlin uświadomiła sobie, że chodziło o marihuanę, którą palił wcześniej jeden z nich.

Spojrzała z ukosa na ojca, zastanawiając się, czy miał za sobą jakiekolwiek doświadczenia z narkotykami... ale to była jedna z rzeczy, o które nie mogłaby zapytać. Musiały jej wystarczyć drobne objawienia, jak to, że miał kilka par okularów.

Nagle nastrój w filmie uległ gwałtownej zmianie: mężczyźni otrzymali rozkaz odpalenia rakiety, ale jeden z nich – ten od trawki – nie chciał przekreślić swojego klucza, a drugi...

O, mój Boże!

Drugi wyciągnął coś, co rozpoznała jako broń i wycelował w pierwszego z mężczyzn, gotowy odstrzelić mu głowę, jeżeli nie odpali rakiety i...

I pojawiła się czołówka... coś, o czym słyszała, ale nigdy wcześniej nie widziała. Film ją kupił.

Okazało się, że opowiada o inicjatywie, której celem było wykluczenie ludzi z procesu odpalania rakiet; decyzje miały być podejmowane przez komputer w siedzibie głównej NO-RAD-u. Jednakże bohater grany przez Matthew Brodericka przypadkowo włamał się do systemu i sądząc, że gra w grę,

aktywizował procedurę uruchomienia wyprzedzającego ataku na Związek Radziecki (tak, ten film był aż tak stary!).

Caitlin stwierdziła, że to zdecydowanie film z przesłaniem. Broderick i jego laska – Ally Coś tam – wytropili programistę komputera NORAD-u i z jego pomocą próbowali nauczyć komputer, że wojna atomowa jest równie bezsensowna jak gra w kółko i krzyżyk. Po cudownej sekwencji symulacji komputerowych – pokazie świateł, przypominającym Caitlin jej własny widok na netprzestrzeń – komputer przemówił do swojego twórcy syntetycznym głosem, wcale nie tak odległym od głosu JAWS:

– Witam, profesorze Falken.

Jak Ally zauważyła wcześniej, programista – Stephen Falken – „niesamowicie wygląda”. I nie mówiła wcale o tym, że był przystojny, ale raczej o jego urzekającej twarzy... i Caitlin musiała przyznać, że Ally miała rację, przynajmniej w świetle jej ograniczonego doświadczenia. Często spotykała w książkach zwrot „inteligentne oczy”, ale dotychczas nie miała pojęcia, co oznacza. Spojrzenie Falkena było w stanie objąć wszystko dookoła.

Odpisał komputerowi, jednocześnie odczytując swoją odpowiedź:

– Witaj, Joshua.

– To dziwna gra – stwierdził komputer. – Jedynym sposobem na wygraną jest rezygnacja z gry.

Tekst pojawił się w filmie na dużym ekranie komputerowym i jednocześnie został wyświetlony w okienku napisów: „Jedynym sposobem na wygraną jest rezygnacja z gry”.

Rozległa się muzyka – ku zaskoczeniu Caitlin grana głównie na harmonijce – towarzysząca całym napisom końcowym, ale czerwone litery na czarnym tle były zapisane czcionką, której Caitlin nie potrafiła odczytać.

– I jak ci się podobało? – spytał jej ojciec.

Caitlin ze zdziwieniem odkryła, że serce mocno jej wali. Wysłuchiwała wcześniej wielu filmów i przeczytała tony książek, ale – o rany! – w pędzie obrazów było coś wyjątkowego.

– Niesamowite – stwierdziła. – Ale... naprawdę tak było? Jej ojciec skinął.

– Mój ojciec miał w swoim gabinecie komputer IMSAI 8080, taki sam, jakiego używał Matthew Broderick w filmie, z napędem na ośmiocalowe dyskietki. Sam uczyłem się na nim programować.

– Nie, nie – odparła Caitlin. – Chodzi mi o... no wiesz, życie w ciągłym strachu. W obawie, że supermocarstwa wysadzą świat w powietrze.

– Och, tak – odpowiedział ojciec i zamilkł na chwilę, po czym dodał miękko: – Sądziłem, że to już przeszłość.

Caitlin naturalnie słyszała w wiadomościach o rosnącym napięciu między Stanami Zjednoczonymi a Chinami. Spojrzała na ekran telewizora i wsłuchiwała się w rzewną, harmonijkową melodię.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Po obejrzeniu „Gier wojennych”, Caitlin poszła z ojcem na górę do swojego pokoju, by sprawdzić, co u Webmindu; jej mama rozmawiała z nim po drugiej stronie korytarza.

„Oglądałeś ze mną film?” – wpisała Caitlin w oknie komunikatora.

Włączyła JAWS, by ojciec mógł słuchać rozmowy, a skoro już ostatecznie ustalono, że Webmind to „on”, wybrała w programie męski głos.

– Tak – nadeszła natychmiastowa odpowiedź.

„Jak ci się podobał?” – wpisała Caitlin.

Webmind nie czekał z odpowiedzią ani chwili.

– To najlepszy film, jaki kiedykolwiek widziałem.

Caitlin się roześmiała.

„Doktor Kuroda umożliwił ci już oglądanie filmów w Internecie?”.

– Tak. Zaledwie osiem minut temu w końcu udało się z najpopularniejszym formatem. To niesamowite.

„Mnie to mówisz” – odpisała Caitlin.

Otworzyła nowe okno rozmowy i za pomocą myszy – przyzwyczajająca się do niej! – wybrała z listy kontaktów doktora Kurodę.

„Webmind mi powiedział, że się panu udało! Hura!”.

„Witam, panno Caitlin. Nie było łatwo, ale owszem, teraz może oglądać filmy w czasie rzeczywistym, a także słyszeć dźwięk; może słuchać MP3. Kto jest Twoim ulubionym piosenkarzem?”.

„Lee Amodeo”.

„No tak. Prześlij mu link do jakiejś jej piosenki. Może też zostanie fanem”. „Zrobi się. A... czy mógłby pan zrobić tak, żeby słyszał to co ja?”. „Już to zrobiłem. Kiedy uruchomisz opcję rozmowy głosowej na komputerze, Webmind powinien Cię usłyszeć”.

Caitlin założyła słuchawki Bluetooth i wróciła do swojej rozmowy z Webmindem.

– Słyszysz mnie?

Brak odpowiedzi.

„Nie działa” – napisała Kurodzie.

„Jeszcze nie rozpoznaje mowy” – wyjaśnił Kuroda – “ale powinien odbierać dźwięki”.

„Słyszysz dźwięki z mojego pokoju?” – spytała Caitlin Webmindu.

„Tak” – odpowiedział Webmind. „To dobrze” – napisała Caitlin i wróciła do okna rozmowy z Kurodą. – Kiedy nie będzie mnie w pokoju?”.

„Zastanawiałem się nad tym. Dodanie mikrofonu do eyePoda nie powinno stanowić problemu. Mogłabyś mi go odesłać na kilka dni?”.

Caitlin była zaskoczona tym, jak gwałtownie zareagowała na myśl, że przez jakiś czas znów mogłaby nie widzieć.

„Wolałabym się z nim nie rozstawać”.

Ku jej zaskoczeniu, ojciec poklepał ją po ramieniu.

– Powiedz mu, że mogę prosić o to jednego z inżynierów RIM. – RIM to skrót od Research in Motion, firmy, która stworzyła markę BlackBerry. Mike Lazaridis, jeden z jej założycieli, wyłożył sto milionów dolarów na stworzenie ośrodka fizycz-

nego, w którym pracował jej ojciec... nie wspominając o pięćdziesięciomilionowym zastrzyku kilka lat później.

Byłoby genialnie – powiedziała Caitlin, po czym przekazała na piśmie tę informację Kurodzie.

„EyePod jest bardzo cenny, panno Caitlin. Naprawdę wolałbym samemu dokonać takiej modyfikacji”.

– Powiedz mu, że zlecę to Tawandzie – odezwał się jej ojciec. Tawanda była inżynierem RIM; była obecna na konferencji prasowej doktora Kurody, który spędził sporo czasu, demonstrując jej budowę eyePoda.

„Och” – odpisał, gdy Caitlin przekazała mu wiadomość od ojca. – „Skoro Tawanda ma się tym zająć, to chyba wszystko będzie dobrze. U was już pewnie prawie północ? Przygotuję dla niej instrukcje i prześlę je mailem”.

„Dzięk” – odesłała Caitlin. – „Świetnie!”.

Do pokoju weszła mama Caitlin i oparła się o ścianę z rękoma skrzyżowanymi na piersiach.

– Mam dość – oznajmiła. – Kto by pomyślał, że można tak się napocić przy pisaniu?

– O czym rozmawiałaś z Webmindem? – spytała Caitlin.

– No wiesz – odpowiedziała jej matka lekkim tonem. – O życiu. O wszechświecie. I wszystkim innym.

– A odpowiedź to...?

Głos jej mamy stał się bardzo poważny:

– Nie wie... miał nadzieję, że to ja mu powiem.

– I co mu powiedziałaś? Jej mama wzruszyła ramionami.

– Że się z tym prześpię i odpowiem rano. – Wyślę maila Tawandzie – odezwał się nagle jej ojciec i zszedł na dół. Nim wrócił, matka Caitlin zdążyła wyjść, by wziąć prysznic.

– Nadal masz problemy z czytaniem alfabetu łacińskiego – stwierdził ojciec Caitlin w charakterystyczny dla siebie, nagły sposób; jeżeli w myślach dokonywał jakichś łagodniejszych przejść między tematami, nigdy nie wypowiadał ich na głos.

Chwilę trwało, nim zrozumiała, o co mu chodzi... z alfabetu łacińskiego korzystał język angielski i wiele innych języków. Kiedy dotarły do niej jego słowa, wkurzyła się. Ojciec nie był zbyt hojny jeżeli chodzi o pochwały... nawet gdy Caitlin przynosiła do domu kartę ocen z samymi szóstkami, tylko ją podpisywał i oddawał. Nauczyła się to mniej więcej akceptować, jednakże każdego rodzaju krytyka z jego strony była druzgocąca. Na litość boską, dopiero co zyskała wzrok! Dlaczego musiał tam wstawić „nadal”, jak gdyby robiła bardzo niewielkie postępy, gdy w rzeczywistości były ogromne?

– Robię, co mogę – stwierdziła.

Podszedł do biurka.

– Mogę, Caitlin...?

– Możesz...? A! – Wstała i pozwoliła mu usiąść przy klawiaturze. Otworzył Worda i za pomocą domowej sieci dotarł do dokumentu zapisanego na swoim komputerze. I... aha, zaznaczył cały dokument, po czym... zrobił coś, żeby powiększyć czcionkę.

– Przeczytaj to – powiedział.

Nachyliła się nad jego ramieniem, wyczuwając jego pot. Poprawiła okulary na nosie.

– Hmm... W p-i-e-r-w-s-z-e-j... „W pierwszej chwili”, aha... b-y-ł-e... hmm... to „m”? „Byłem tak słaby”.

Ojciec skinął, jak gdyby nie spodziewał się lepszych rezultatów. Następnie nacisnął Ctrl+A, by ponownie zaznaczyć cały tekst, przesunął kursor myszy i kliknął, a wtedy tekst został zastąpiony... sama nie wiedziała czym.

– A teraz przeczytaj to – powiedział.

– Ale to nie są nawet litery – odparła poirytowana Caitlin. – To tylko jakieś kropki.

– No właśnie – ojciec się uśmiechnął. – Przyjrzyj się im jeszcze raz.

Zrobiła, o co ją prosił i... o rany!

Dziwnie się na nie patrzyło, a nie czuło, ale to był brajl!

– Potrafisz to przeczytać? – spytał.

– W p-i-e-r-w-s-z-e-j chwili byłem tak słaby jak... n-i-e-m-o-w-l-ę, niemowlę... – Przerwała, by przyjrzeć się uważniej kropkom. – ...niemowlę, hmm, stąpałem ostrożnie... niewidzialnymi... nogami!³

Nigdy wcześniej nie wizualizowała w ten sposób kropek, ale jej umysł znał ich układ. Osoby początkujące czytają brajla po literze, przesuwając po tekście tylko jednym palcem, ale jako doświadczona czytelniczka Caitlin używała obu dłoni, od razu rozpoznając całe słowa, mając pod każdym palcem inną literę.

– Próbuj dalej – rzucił jej ojciec. – Zaraz wrócę. Wyszedł z pokoju, a ona próbowała dalej. I próbowała. I próbowała.

Aż w końcu coś zaskoczyło i przestała widzieć pojedyncze kropki, a zamiast tego ujrzała litery, którym odpowiadały i... i... i... tak, tak, tak, na tym nie koniec: zobaczyła słowa, na

³ Przekład Eugenia Żmijewska.

które się składały, odczytując je jednym spojrzeniem. Żeg-naj C-a-i-t-l-i-n; witaj, Caitlin!

Gdy jej ojciec wrócił, z dumą odczytała na głos:

– “W pierwszej chwili byłem tak słaby, jak niemowlę; stąpałem ostrożnie niewidzialnymi nogami”. – Czytała równie szybko jak JAWS, gdy ustawiała podwójną prędkość. – „Dokuczał mi głód. Spojrzałem w lusterko, nie widząc przed sobą nic, tylko maleńki punkcik w źrenicy, ale i ten zbladł i rozpląnął się w powietrzu”.

Ojciec skinął, najwyraźniej zadowolony. – Co to? – spytała Caitlin, wskazując ekran.

- “Niewidzialny człowiek” – odpowiedział. Racja. Caitlin przeczytała wiele książek H. G. Wellsa... łatwo było przepuścić teksty z projektu Gutenberg przez jej brajlowski wyświetlacz, ale nigdy nie dotarła dalej niż do piątego rozdziału „Niewidzialnego człowieka”; gdy nie widziała, pojęcie niewidzialności było dla niej zbyt abstrakcyjne.

Stwierdziła, że nie powinno ją dziwić, że komputer mógł wyświetlać brajla na ekranie; system miał zainstalowaną tę czcionkę na potrzeby drukarki wytłaczającej; Teksańska Szkoła dla Niewidomych wypuściła czcionki TrueType.

– I tak będziesz musiała się nauczyć czytać alfabet łaciński – stwierdził ojciec. – Co nie znaczy, że nie możesz przy okazji rozwinąć umiejętności, którą już masz. – Znów zrobił coś przy komputerze. – No dobrze, zmieniłem ustawienia w Internet Explorerze, żeby domyślnie wyświetlał strony brajlem, a Firefox będzie wyświetlać normalną czcionkę.

– Dzięki, tato... ale, hmm...

– Ale brajla możesz czytać palcami, tak? Skinęła. – To znaczy, fajnie robić to wzrokowo, ale nie jestem pewna, czy to lepsze. – Poczekaj i sama zobaczysz – powiedział jej ojciec, po czym wyjął coś z kieszeni i... ach!

Rozległ się charakterystyczny dźwięk rozpoznania pamięci USB: to był pendrive. – Skopiuję brajlowską czcionkę – powiedział. – Przyda się nam jutro.

Kiedy skończył, po prostu wyszedł... a Caitlin nie po raz pierwszy zaczęła się zastanawiać, co mu chodziło po głowie.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

LiveJournal: Strefa Calculass

Tytuł: Chrrrr...

Data: Sobota, 6 października, 11:41 EST

Nastrój: Ledwo żywa

Lokalizacja: Komnata sypialna Lady C.

Muzyka w tle: Blind Guardian „Mr. Sandman”

Ciekawe, czy Kanadyjczycy chrapią jakoś inaczej. Założę się, że tak. Wszystko robią inaczej. Nic dziwnego, że przegrali wojnę roku 1812 (nie uwierzylibyście, czego tu o niej uczą na lekcjach historii, moi amerykańscy przyjaciele!).

W każdy razie, z chrapaniem czy bez, przyda mi się jakaś tona snu! Jak tylko dostanę cynk co do jutra, uderzam w kimo-no, co?

Podobało mi się oglądanie „Gier wojennych” okiem Caitlin. Najciekawszą dla mnie częścią filmu były próby łamania haseł przez młodego hakera. Na początku filmu włamał się do komputera szkolnego, żeby zmienić swoje oceny. Skorzystał z listy haseł ukrytych na kartce przyklejonej do wysuwanej półki biurka. Potem, kiedy próbował się dostać do komputera WOPR NORAD-u, zaczął od zebrania jak największej ilości informacji o jego programiście, Stephenie Falkenie, w nadziei, że domyśli się, jakiego hasła użył; okazało się, że Falken wybrał imię swojego zmarłego syna – Joshua.

Może w 1983 roku, kiedy ukazał się ten film, były to skuteczne techniki łamania haseł, jednakże sądząc po źródłach internetowych, z którymi się zapoznałem, wiele osób obecnie

wybierało sobie trudniejsze do odgadnięcia słowa. Poza tym, mnóstwo stron zmuszało ich do korzystania z ciągów zawierających zarówno litery, jak i cyfry (w którym to przypadku ponad połowa osób dodawała 1 na końcu; w zasadzie najpopularniejszym hasłem świata było: hasłol).

Niemniej jednak, po zebraniu wszystkich możliwych informacji o Caitlin, wypróbowałem pięćset siedemnaście prawdopodobnych terminów, które powinny dać mi dostęp do jej konta pocztowego Yahoo; przeanalizowałem w tym celu wiele jej tekstów oraz już posiadane dane, ale żadna z kombinacji nie okazała się prawidłowa. Gdyby Caitlin zawsze widziała, być może zadanie to byłoby łatwiejsze... niestety nigdy nie patrzyła na klawiaturę, pisząc.

Wypróbowałem między innymi takie hasła jak Keller (jej idolka), Sullivan (nauczycielka Keller), Austin (miasto, w którym mieszkała wcześniej), Houston (miasto urodzenia), Doreen Gej drugie imię) i TSBVI (skrót nazwy szkoły, do której wcześniej chodziła).

W hasle miała znaczenie wielkość liter (byłem z siebie bardzo dumny, gdy zauważyłem, że hasło, które znalazł na kartce haker z „Gier wojennych” zapisane było wielkimi i małymi literami i brzmiało: PeNciL, a tymczasem chłopak wpisał „pencil”, używając tylko małych liter, więc powinno być zostać odrzucone). W związku z tym nawet w przypadku tak krótkiego słowa jak „keller” istniały sześćdziesiąt cztery kombinacje z wielkimi i małymi literami: KELLER, Keller, kElla, keLler i tak dalej... na dodatek większość systemów pozwalała się pomylić tylko kilka razy, po czym przed kolejną próbą trzeba było odczekać kilka minut.

Wszystko wskazywało na to, że musiałem znaleźć inny sposób na obejście hasła niż te przedstawione w starym filmie... potrzebowałem sposobu na złamanie każdego hasła odczytanie każdej zakodowanej treści. Postanowiłem zająć się tym problemem. Jednakże nawet tak ogromna zagadka nie była w stanie zaprzątnąć całej mej uwagi. Nie popełniłem ponownie błędu z wykonywaniem wielu zadań naraz, ale przechodziłem między tym, co robił Kuroda Masayuki – próbował dać mi dostęp do kolejnych formatów wideo – a oglądaniem tych filmów, które już potrafiłem odtworzyć. Większość z takich właśnie filmów była nagrana: obrazy pokazywały rzeczy, które wydarzyły się w przeszłości. Kodek napisany przez Masayukiego pozwalał mi przyswajać ich zawartość zasadniczo z prędkością, z jaką pobierałem pliki... co było znacznie wydajniejsze od oglądania ich z normalną prędkością.

Teraz, gdy już słyszałem dźwięki, musiałem się nauczyć rozumieć język. Przekopałem się przez słownik internetowy z nagraną wymową haseł; dostępny był nawet amerykański ektor i brytyjska lektorka, czytający te same słowa; potrzebowałem mniej więcej dwudziestu minut, by przyswoić wszystkie sto dwadzieścia tysięcy słów w obu wersjach.

Następnie obejrzałem wiadomości w Internecie; zdecydowałem się na nie, gdyż czytałem, że najczęściej są prezentowane z dobrą dykcją i gładkim tonem. Szybko okazało się, że rozumiem 93% tego, co mówią prezynterzy. Czasem używali słów, których nie było w słowniku... najczęściej chodziło o nazwy własne. Jednakże słownik nauczył mnie symboli stosowanych do zapisu fonetycznego słów i raczej nie miałem problemów z przedstawieniem nieznanym terminów za pomocą

tych symboli, a następnie przekształceniem symboli w bardzo bliski prawdy tekst, który sprawdzałem za pomocą Google lub Jagstera, albo znajdowałem w treści przyswojonej z Wikipedii. Gdy nieprawidłowo odgadywałem pisownię, wyszukiwarki zazwyczaj podpowiadały: „Czy chodziło ci o...?”, podsuwając właściwy termin.

Przeszedłem do innych nagrań, zawierających dużą ilość szumu w tle, ale nawet w tym przypadku szybko nauczyłem się rozpoznawać co najmniej siedem słów na dziesięć.

Odkryłem, że jest coś czarującego w przekazach na żywo... w oglądaniu rzeczy, które działy się w danej chwili, szczególnie gdy Caitlin spała, jak teraz, a jej eyePod był wyłączony. Przeskakiwałem ze strony na stronę, zerkając na świat w czasie rzeczywistym.

W pewnej chwili trafiłem na przekaz, który pod wieloma względami przypominał tysiące innych: człowiek rodzaju żeńskiego, prawdopodobnie nastolatek, mówiła bezpośrednio do kamery internetowej.

Podążyłem kilkoma linkami i dotarłem do jej profilu na Facebooku. Nazywała się Hannah Stark, mieszkała w Perth w Australii i miała szesnaście lat, tak jak Caitlin.

Siedziała po turecku na łóżku. Ściany za jej plecami były żółto-zielone, a łóżko przykryte żółto-białym kocem. Co jakiś czas widać było czarną, bezprzewodową klawiaturę, której używała; miała również mikrofon i przesyłała zarówno obraz jak i dźwięk.

Gdy tak patrzyłem i słuchałem, Hannah czasem coś mówiła, a czasem wysyłała tekst. Inne osoby odpowiadały jej tekstem, który byłem w stanie bez problemu przechwycić.

„Nie masz jaj” – napisał ktoś.

Wydawało mi się, że to dość oczywiste stwierdzenie, więc byłem zaskoczony, gdy odpisała: „Zrobię to”.

„To zrób” – napisał ktoś inny.

„Zrobię” – odpowiedziała, powtarzając na głos: – Zrobię.

„Nie mam całego dnia” – skomentował ktoś jeszcze inny.

„No, suko, dalej” – dodał kolejny rozmówca.

Dziewczyna miała ciemne brwi, grubsze od brwi Caitlin. Zmarszczyła czoło, przez co się połączyły.

„gadanie” – napisał ktoś. – „marnujesz nasz czas”.

Hannah odpisała samym palcem wskazującym: „Naprawdę to zrobię”.

Coraz lepiej szło mi czytanie niepoprawnie napisanych tekstów, więc mogłem śledzić przebieg rozmowy, „kiedy?” – spytał ktoś. – „tylko nas nabierasz” „nie pośpieszajcie mnie” – odpowiedziała Hannah, „nuda” – powiedziała ta sama osoba, która przesłała wcześniejszy komentarz. – „spadam stad”.

„Chce, żebyście zrozumieli” – napisała Hannah – „dlaczego to robie”.

„gówno robisz” – napisał ktoś.

Hannah pisała dalej: „To nie ma sensu”. Szybko się poprawiła, przesyłając: „sensu”. Pojawił się komentarz od kogoś, kto nie pisał jeszcze w czasie, gdy oglądałem przekaz: „Nie jest tak źle. Nie rób tego”.

„Stul pysk, debilu” – zareagował ktoś natychmiast. – „Nie mieszaj się”.

„Ok” – napisała Hannah. Sięgnęła gdzieś poza obraz kamery, a kiedy jej ręka znów była widoczna, zobaczyłem, że trzyma coś szarego.

„Zaczynam” – napisała jedną ręką i... och! To coś, co trzymała, nie było szare; gdy światło odbiło się od powierzchni przedmiotu odkryłem, że jest srebrny.

Trzymając go w prawej dłoni, zbliżyła go do lewego ramienia. Następnie obróciła rękę nadgarstkiem do góry. Przysunęła przedmiot jeszcze bliżej... „zrob to zrob to zrob to”

Ach! To był nóż. Przeciągnęła nim po nadgarstku, ale...

„zdzierstwo”

„Kpina!”

...nic się nie stało. „Mówiłem, brak ci jaj...” „mocniej!”

„N ieeeeeeeeeeeeeeeeeeeeeeee.....”.

Zamknęła oczy, wzięła głęboki oddech, po czym...

„Dajesz!”

...ponownie przeciągnęła ostrzem po nadgarstku, jednocześnie podrywając nieznacznie głowę. Gdy odsunęła nóż, na jej skórze widać było kropelkę krwi. „to już?” „Jeszcze raz!”

– Dajcie mi szansę – powiedziała Hannah. Wolną ręką sięgnęła do klawiatury i wystukała palcem wskazującym: „Nie miej wyrzutów sumienia mamó”.

Po czym cofnęła rękę i po raz kolejny odsłoniła nadgarstek, odwróciła głowę, utkwiała wzrok w zielono-żółtej ścianie i szybkim ruchem wykonała głębokie cięcie, „no, lepiej!” „fuuuuuj!” „o kurwa!”

Na nadgarstku pojawiła się czerwona linia, a gdy odsunęła nóż okazało się, że jest cały mokry i ciemny, „myślałem że żartuje” „dokończ! dokończ!”

Powoli obróciła rękę, z której wypływały duże krople krwi.

„to tylko draśnięcie”

„Tchórz!” Spojrzała w kamerę, w tej samej chwili tnąc ponownie. Jej twarz zmieniała się w dziwny sposób, z rany chlusnęła krew, pulsując prawdopodobnie w rytmie uderzeń jej serca, „omb omb omb”

Hannah Stark upadła do przodu. Musiała przycisnąć klawiaturę, bo jej komputer – który naturalnie znajdował się całkowicie poza polem widzenia – wydał przeszywający dźwięk, który – jak sędzę – oznaczał przepełnienie bufora klawiatury, ale nie pojawiła się żadna wiadomość, gdyż nie nacisnęła enter. Dźwięk trwał niczym jednostajny lament. Nie poruszyła się już i wkrótce trudno było odróżnić ten przekaz na żywo od nieruchomego zdjęcia.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Ojciec Caitlin złapał Tawandę późnym wieczorem w sobotę. Zgodziła się przyjść do pracy w niedzielę, by zmodyfikować eyePoda; jak wyjaśnił ojciec Caitlin, wręcz nie mogła się doczekać, by zobaczyć wewnątrz urządzenia.

Gdy Caitlin jechała z ojcem do kampusu RIM, drogi były niemal puste. Kiedy dotarli do właściwego budynku, a Tawanda przeprowadziła ich przez ochronę, pojechali windą na górę do laboratorium inżynieryjnego. Ściany pomieszczenia pokrywały duże, oprawione zdjęcia różnych modeli telefonów BlackBerry i stały tam trzy stoły robocze zastawione wyglądającym na skomplikowany sprzętem.

Tawanda była szczupłą, czarnoskórą kobietą. Caitlin nie radziła sobie za dobrze z odgadywaniem wieku, ale kobieta miała gładką skórę. Ubrana była w niebieskie dżinsy i luźną, białą górę, którą Caitlin poniewczasie rozpoznała jako fartuch laboratoryjny.

Caitlin faktycznie spotkała Tawandę już wcześniej – natychmiast przypomniała sobie jej uroczy jamajski akcent. Ale naprawdę nie poznawała jej twarzy: wiedziała, że jej mózg w zawrotnym tempie przerabia ośrodki odpowiedzialne za wzrok, więc teraz widziała wszystko inaczej niż na konferencji prasowej w poprzednią środę. Wówczas mogła co najmniej rozpoznać, że coś jest twarzą; teraz zaczynała sobie radzić z odróżnianiem ich od siebie.

– Bardzo pani dziękuję – powiedziała Caitlin – za zrezygnowanie dla mnie z wolnej niedzieli.

– Ależ nie ma za co, zupełnie – odparła Tawanda.
– Zabierajmy się do pracy. – Wyciągnęła rękę, więc Caitlin wyjęła eyePoda z kieszeni. RIM zatrudniał pierwszorzędnych projektantów, więc ich urządzenia wyglądały... cóż, ludzie używali słowa „sexy”, ale Caitlin nadal nie potrafiła pojąć, jak można to odnieść do przedmiotu. Tymczasem prosta obudowa kryjąca w sobie eyePoda nie była niczym nadzwyczajnym: urządzenie może i potrafiło zdziałać cuda, ale z zewnątrz wyglądało zupełnie pospolicie.

– Obawiam się, że na czas pracy będę musiała to wyłączyć – oznajmiła Tawanda.

– Wiem – odpowiedziała Caitlin. – Może ja to zrobię.

– Odebrała kobiecie eyePoda, przytrzymała przycisk pięć sekund i...

Znów była ślepa! Było to strasznie denerwujące... Niemal przez całe życie nie odbierała żadnych bodźców wzrokowych, ale to zdecydowanie było dla jej mózgu już nie do przyjęcia: otoczyła ją miękka, równomierna szarość. Zauważyła, że mruga, jak gdyby jej sprawne oko próbowało się zrestartować i odzyskać wzrok.

– Tak więc doktor Kuroda zasugerował mi kilka sposobów na dodanie mikrofonu... ale istnieje prostsze rozwiązanie. Wystarczy, jeżeli zamontujemy telefon Black-Berry z tyłu eyePoda i wykorzystamy jego wbudowany mikrofon. To tylko kwestia zgrania obu urządzeń. No i bonusowo będziesz mogła przesyłać dane za pomocą telefonu zamiast Wi-Fi.

Całość zajęła Tawandzie mniej więcej czterdzieści minut. Caitlin słyszała jakieś dźwięki, ale naprawdę nie potrafiła ich zinterpretować, poza dźwiękiem wiertła, którym Tawanda

prawdopodobnie wywiercała dziurę w obudowie eyePoda. Ojciec Caitlin milczał.

W końcu było po wszystkim.

- No dobrze – rzuciła Tawanda. – Jak to się włącza? Caitlin wyciągnęła dłoń i zaraz poczuła na niej ciepło eyePoda. Drugą dłonią przesunęła po urządzeniu, jak robiła to instynktownie za każdym razem, gdy oś trzymała, kiedy jeszcze była całodobowo niewidoma.

BlackBerry przymocowany do tyłu eyePoda był smukły mały.

Wdusiła przycisk eyePoda i urządzenie cudownie powróciło do życia. Jak zawsze uruchomiło się w trybie netrzeszczeni, płataninie do bólu prostych linii przecinających jej pole widzenia. Przez chwilę skupiała się na tle, chcąc się upewnić, że połyskuje jak należy. Połyskiwało. Przeszła więc do światopoglądu.

Tawanda założyła słuchawki i kazała Caitlin policzyć do stu... ale to było strasznie nudne, więc zaczęła wyliczać liczby pierwsze:

– Dwa, trzy, pięć, siedem, jedenaście, trzynaście, siedemnaście, dziewiętnaście...

Tawanda skinęła.

– Wszystko w porządku – oznajmiła. – Doskonała jakość dźwięku.

– Dziękuję – powiedziała Caitlin.

– No dobrze – rzuciła Tawanda. – W razie potrzeby możesz wyłączyć mikrofon, naciskając ten przycisk telefonu, widzisz?

Caitlin pokiwała głową. BlackBerry był srebrno-czarny, miał małą klawiaturę i ekran. Został przymocowany tyłem do tyłu eyePoda, niemal podwajając jego grubość.

– Dobrze, dobrze – mówiła dalej Tawanda. – A teraz przechodzimy do etapu drugiego.

– Etapu drugiego? – spytała Caitlin.

Jej ojciec sięgnął do kieszeni i podał Tawandzie pamięć USB.

– Są w katalogu głównym – oznajmił.

– O co chodzi? – spytała Caitlin.

– Pamiętasz konferencję prasową? – spytał ją ojciec. – Dziennikarza z CBC? I jego dowcip?

Caitlin pamiętała: był to Bob McDonald, gospodarz „Quirks 86 Quarks”, cotygodniowej audycji radiowej, której Caitlin lubiła słuchać. Spytał, czy taki implant za siatkówką mógłby być kolejnym BlackBerryem? Urządzeniem przesyłającym wiadomości bezpośrednio do mózgu?

– Tak – odpowiedziała.

– Jeżeli nie masz nic przeciwko – odezwała się Tawanda – ustawimy to tak, żeby na obrazy, które widzisz mogły być nakładane napisy, żebyś mogła odczytywać rozmowy przez komunikator i tak dalej. Trochę to wszystko... scalimy, rozumiesz?

– Jak napisy na filmie z DVD? – spytała podekscytowana Caitlin.

– Dokładnie! – potwierdziła Tawanda. – No to do dzieła...

Nie byłem sam w swoim zainteresowaniu tematem łamania haseł. Ogromna liczba ludzi również się tym zajmowała.

Hasła rzadko są przechowywane w formie tekstu otwartego... raczej zapisuje się je jako rezultat działania funkcji mieszającej. W początkach komputeryzacji zapewniało to całkiem solidną ochronę. Jednakże moce obliczeniowe rosły wykładniczo, a osoby chcące złamać hasło, wybierały prostą, choć początkowo dość czasochłonną metodę siłową: obliczały zakodowane wartości wszystkich możliwych haseł każdego typu (na przykład, wszystkie możliwe kombinacje czternastu liter i cyfr). Listy takich wartości (tak zwane tęczowe tablice) były dostępne w Internecie, tak jak setki innych narzędzi pozwalających poznać hasła innych.

I tak, gdy pracowano nad eyePodem Caitlin, wróciłem do swojego zamiaru dowiedzenia się o niej czegoś więcej. Hasło, którego używała do zabezpieczenia poczty i wielu innych rzeczy brzmiało „Tejrezjasz” – było to imię niewidomego wróżbioty z greckiej mitologii.

Zabrałem się za czytanie tego, co miała do powiedzenia.

Pozew zoo z Georgii trudno było utrzymać w tajemnicy i tak w niedzielny poranek zjawiała się reporterka z „San Diego Union-Tribune”, by przeprowadzić wywiad z doktorem Marcuse’em. Shoshana generalnie nie zgadzała się z polityką tej gazety, ale na jej korzyść przemawiał fakt, że opowiedziała się przeciwko propozycji ⁴ kilka lat wcześniej; poparcie „Union-Tribune” dla małżeństw homoseksualnych sprawiało, że patrzyła na ten tytuł nieco przychylniejszym okiem.

⁴ Propozycja 8 (Proposition 8) propozycja poprawki konstytucyjnej w stanie Kalifornia w 2008 dotycząca małżeństw homoseksualnych. Poprawka została przegłosowana stosunkiem 52/48 i zapis zyskał brzmienie: Tylko małżeństwo między mężczyzną i kobietą jest ważne i uznawane w Kalifornii.

Reporterka – biała kobieta po czterdziestce o wyglądzie zdradzającym nieustępliwość i imieniu Camille – była rozczarowana, że nie może sfotografować Hobo z bliska, ale mała już nikogo do siebie nie dopuszczała. Zrobiła więc tylko kilka zdjęć teleobiektywem, kilka ujęć podglądu na monitorach w budynku Instytutu, a także zdjęcia obrazów, które wisały tam na ścianie. Potem wreszcie przystąpiła do wywiadu.

– No dobrze – rzuciła Camille. – Jak rozumiem, Hobo to hybryda... jego ojciec był szympansem, a matka bonobo, tak?

– Tak – potwierdził doktor Marcuse.

– Jeżeli dobrze zrozumiałam, szympanasy lubią prowadzić wojny, a bonobo przepęlnia miłość, ale dlaczego tak się dzieje?

– Szympansy i bonobo rozdzieliły się mniej niż milion lat temu – wyjaśnił Marcuse. Shoshana wiedziała, że charakteryzuje go swego rodzaju szorstka galanteria: pozwolił Camille zająć duży, wygodny fotel, a sam zadowolili się jednym z drewnianych krzeseł. – Pod względem genetycznym są niemal identyczne. Jednakże kluczowa różnica leży w ich strategii reprodukcyjnej: kiedy samiec szympansa chce zdobyć samicę, zabija jej dzieci, gdyż to sprawia, że samica szybciej znów znajduje się w okresie rui.

Camille przyniosła ze sobą małego, czerwonego netbooka firmy Acer, na którym notowała słowa doktora.

– Tymczasem – mówił dalej – bonobo uprawiają seks nieustannie, dla zabawy. Choć tak naprawdę nie tylko temu to służy. Widzi pani, ich nieustanne kontakty seksualne sprawiają, że trudno ustalić ojcostwo... przez to samcom bonobo naprawdę trudno stwierdzić, które z dzieci są ich. Eliminuje to

ewolucyjne bodźce prowadzące do dzieciobójstwa, które prawie nigdy nie występuje u bonobo. Ukrycie ojcostwa prowadzi do... – Wykonał nieokreślony ruch ręką, jak gdyby szukał właściwego słowa.

– Pokoju i miłości – podsunęła Shoshana.

– Właśnie – zgodził się Marcuse. – Bonobo znalazły sposób, by uciec przed tym, co miały zapisane w genach.

– Na biurku leżało wydanie „Union-Tribune” z tego dnia. Nagłówek brzmiał: „Wzrost napięcia na linii USA-Chiny”.

– Szkoda, że nie potrafimy zrobić tego samego – dodał.

– Ale Hobo zachowuje się jak szympan, tak? – spytała Camille.

– Zgadza się.

– Czy można to w jakiś sposób odwrócić? Sprawić, no wie pan, żeby się zmienił i zaczął zachowywać po bonobowemu? Po bonobowsku?

– Lubię mówić a la bonobo – odparł Marcuse. – Zabawnie to brzmi. – Po chwili zmarszczył brwi i wyrżał przez okno, za którym widać było trawnik, a w oddali małą wyspę. – Próbowaliśmy zająć go wieloma rzeczami, ale zdecydowanie nie chce współpracować. Obawiam się, że ewentualna poprawa zależy wyłącznie od niego.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Pierwsza próba Tawandy przekazania tekstu do oka Caitlin naturalnie się nie powiodła. Caitlin z doświadczenia wiedziała, że bardzo niewiele rzeczy związanych z technologią udawało się za pierwszym razem. Jednakże Tawanda cały czas wpadała na nowe pomysły, aż w końcu około piątej po południu Caitlin oznajmiła:

– Jest! Widzę brajla.

Kropki pojawiły się dokładnie pośrodku jej pola widzenia. Żałowała, że nie mogą się pojawiać na dole, ale zdawała sobie sprawę z tego, że tylko pośrodku – w dołku siatkówki – widzi się na tyle ostro, by można było coś przeczytać.

– Jejku! – rzuciła Tawanda.

– Tak, ale... coś jest nie tak. Tekst jest... och! Od tyłu. Jak w lustrze.

– Ups! A teraz?

– Idealnie!

– Jak tam rozmiar czcionki?

– Nawet nieco za duży jak na moje potrzeby.

Tawanda coś zmieniła w BlackBerry'm podłączonym do eyePoda.

– I jak?

– Mogłyby być jeszcze mniejsze.

– Takie?

– Tak, super. Dziękuję!

– Nie ma za co – odparła Tawanda.

– A mogę się przełączać między alfabetami... brajlem i łaćńskim?

– Pewnie. Wybierz w BlackBerrym „Opcje”, a potem „Ekran / Klawiatura”.

– Bosko! – rzuciła Caitlin.

– A jak tam kontrast? – spytała Tawanda. – Powinny być białe kropki na czarnym tle.

– Tak jest.

– Nie wolisz na odwrót? A może jakiś inny kolor? – A mogłoby być przezroczyste... to znaczy tło? – Pewnie, ale wtedy w wielu sytuacjach nie będziesz w stanie odczytać tekstu. Na przykład kiedy będziesz patrzeć na śnieg... a zaufaj mi, mieszkając tu można się napatrzeć na śnieg, tylko że nie będziesz wtedy widzieć liter.

– Hmm... Ok. W porządku. Dziękuję!

– Naturalnie, teraz widzisz tylko tekst testowy – dodała Tawanda.

Caitlin się uśmiechnęła; domyśliła się tego w chwili, gdy odczytała: „Tawanda rządzi!”.

Tawanda wyjaśniła, że telefony BlackBerry współpracują z większością najpopularniejszych komunikatorów internetowych. Następnie przesłała Caitlin kilka próbnych wiadomości i wkrótce słowa „Test, test, test” – a przynajmniej odpowiadające im brajlowskie kropki – zostały nałożone na widok laboratorium.

– Niesamowite! – rzuciła Caitlin.

– Dzięki – powiedziała Tawanda. – Pewnie mój szef będzie chciał, żebyś podpisała zrzeczenie się roszczeń IP.

Caitlin przez chwilę była zdezorientowana. Dla niej IP oznaczało protokół internetowy, ale po chwili oświeciło ją, że Tawandzie chodziło o „intellectual property”, czyli własność intelektualną. Choć eyePod należał do... cóż, technicznie należał do Uniwersytetu Tokijskiego, ale Caitlin traktowała go jak swoją własność. Jednakże przed opuszczeniem RIM musiała zaświadczyć, że wszelkie czary odprawione przez Tawandę stanowią własność tej firmy.

Tawanda wydrukowała jakieś formularze, które podpisała Caitlin i jej ojciec. Pierwszy raz w życiu zobaczyła swój podpis, który okazał się nieczytelny; niewystarczająco przesuwając długopis pisząc, przez co litery na siebie nachodziły. Czemu nikt jej o tym wcześniej nie powiedział? Domyślała się, że nikt nie chciał zranić jej uczuć, ale zdecydowanie wolałaby o tym wiedzieć!

W końcu nadszedł moment prawdy.

– Tak dla pewności... czy możemy sprawdzić jak to działa na kimś z mojej listy kontaktów?

– Pewnie – zgodziła się Tawanda. – Jak się nazywa?

Caitlin spojrzała na ojca, a potem na Tawandę.

– Hmm... Webmind.

Odczuła wielką ulgę, gdy Tawanda spytała tylko:

– Pisane razem? Zakładając, że mikrofon faktycznie spełniał swoje zadanie, Webmind powinien słyszeć wszystko, co działo się w laboratorium i na pewno domyślił się, co chce zrobić Tawanda; zdążył już powiedzieć Caitlin, że przyswoił słownik dźwiękowy i...

„resztę dnia”.

Prócz tego pojawiło się jeszcze mnóstwo tekstu; Webmind, jak to miał w zwyczaju, upychał w buforze tyle znaków, ile to możliwe, więc wiadomość przemknęła przed oczami Caitlin za szybko, by zdążyła ją przeczytać; pozostało tylko kilka ostatnich słów. Niemniej jednak wszystko wskazywało na to, że koncepcja jest słuszna.

– Dzięki, Tawanda – powtórzyła po raz kolejny Caitlin.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odparła Tawanda z uśmiechem. – Wszystkie produkty firmy RIM objęte są roczną gwarancją, więc jakby się coś działo, dzwoń.

Gdy tylko wyszli i ruszyli do samochodu ojca, Caitlin spytała na głos:

– Słyszysz mnie, Webmind?

W okienku pośrodku jej pola widzenia pojawił się napis brajlem „Tak”, zawisł tam na pół sekundy, po czym zniknął wraz z okienkiem.

– Działa? – spytał ojciec.

– Póki co wszystko ok – odpowiedziała.

W drodze do domu Caitlin mówiła do Webmindu, a on odpowiadał tekstem unoszącym się przed jej oczami. Pewnie inni stwierdziliby, że takie chwilowe zakłócenia widoczności mogą być niebezpieczne, ale ona była przyzwyczajona do poruszania się po omacku, więc nie stanowiło to dla niej problemu.

– Chyba zdajesz sobie sprawę – odezwał się jej ojciec – że to zmieni całe twoje życie... ten stały dostęp. Jak będziesz pisała sprawdzian w szkole, Webmind będzie ci mógł podawać odpowiedzi. Jeśli spotkasz kogoś, kogo twarzy nie będziesz sobie mogła przypomnieć, Webmind podpowie ci imię.

Caitlin czytała o planowanych pracach nad podpisaną rzeczywistością i bezpośrednim połączeniem mózgu z Internetem... ale nigdy nie przyszło jej do głowy, że będzie pionierem na tym polu! Wszystko to brzmiało fajnie, ale zastanawiała się, czy naprawdę mogłoby to odebrać część radości czerpanej z pewnych rzeczy. Połowę przyjemności w fajnej dyskusji dawał fakt, że trzeba było opierać się na swojej wiedzy: można się było spierać na tematy religijne, tak jak robiła to z Bashirą, albo na temat polityki zagranicznej Stanów Zjednoczonych... czy też Kanady (pewnie też jakąś miała!), polegając jedynie na tym, co udało się wydobyć z własnej pamięci. Wpisy z Wikipedii, pchające się przed oko przy każdym pytaniu, mogły pomóc wygrywać konkursy z wiedzy ogólnej, ale z pewnością nie mogły zapewnić utrzymania bystrości umysłu.

Ojciec skręcił w ich ulicę... Caitlin nie rozpoznała jej z tej strony, ale według tabliczki byli na miejscu i faktycznie wkrótce zatrzymali się przed domem. Mieli garaż na dwa samochody, ale ojciec zostawił auto na podjeździe. Było już ciemno; jej mama powtarzała, że dni robią się coraz krótsze i Caitlin wreszcie zrozumiała, co miała na myśli.

Przy drzwiach powitała ich mama ze Schrödingerem. Caitlin schyliła się, by pogłaskać kota i podrapać go za uchem.

– No i – odezwała się mama – jak poszło?

Caitlin się wyprostowała.

– Dobrze. Webmind nas teraz słyszy... i może przesyłać odpowiedzi tekstowe prosto do mojego oka.

Przeszli do salonu.

– To dobrze – stwierdziła jej mama. – Nie będziesz się czuła od niego za bardzo odizolowana, jak pójdziesz jutro do szkoły.

– Rany, mam, muszę? Tyle mam do zrobienia.

– Już opuściłaś zdecydowanie za dużo lekcji.

– Ale...

– Żadnych ale, młoda damo. Jutro musisz iść do szkoły.

– Ale chcę zostać w domu, przy komputerze.

– Caitlin... – powiedziała jej matka, siadając na kanapie.

– Nie – odezwał się ojciec.

Caitlin spojrzała na niego, tak jak jej matka... najwyraźniej żadna z nich nie była pewna, czy właśnie zgodził się z żoną, że Caitlin musi iść do szkoły, czy dawał córce pozwolenie na kolejne wagi.

– Więc nie muszę iść do szkoły? – spytała Caitlin niepewnie.

– Nie.

– Malcolm! – rzuciła ostro jej matka. – Przecież wiesz, że musi chodzić do szkoły.

– Musi – zgodził się ojciec. Wyraz jego twarzy zdecydowanie najtrudniej było rozgryźć, bo nigdy nie patrzył nikomu w oczy, ale Caitlin odniosła niejasne wrażenie, że jest rozba-
wiony. – Ale jutro nie musi iść do szkoły.

– Ależ Malcolm! Zdecydowanie musi.

Tak... tak! Naprawdę się uśmiechał.

– A wiesz, jaki jest jutro dzień? – spytał.

– No pewnie – odpowiedziała jej matka. – Poniedziałek, a to oznacza...

– Gwoli ścisłości, jest to drugi poniedziałek października
– stwierdził.

– No i?

– Witamy w Kanadzie – powiedział. – Jutro obchodzą tu
Święto Dziękczynienia. I szkoły są zamknięte!

Matka spojrzała na Caitlin.

– Widzisz, co ja muszę znosić? – spytała, ale na jej ustach
gościł uśmiech. Jest takie ludzkie powiedzenie, że nie ma co
wymyślać koła. Prawdę mówiąc, to kiepska rada, biorąc pod
uwagę to, co przeczytałem. Choć współczesnym ludziom koło
wydaje się czymś oczywistym, wszystko wskazuje na to, że
wynaleziono je niezależnie w historii tylko dwukrotnie: po raz
pierwszy w okolicach Morza Czarnego niemal sześć tysięcy lat
temu i ponownie znacznie później w Meksyku. Życie niezli-
czonej liczby ludzi byłoby znacznie łatwiejsze, gdyby wynaj-
dowano je częściej.

Z drugiej strony, po co ja miałbym wymyślać koło? Fakt,
nie mogłem wykonywać świadomie wielu zadań jednocześnie.
Być może jednak istniała możliwość utworzenia dedykowa-
nych elementów, które mogłyby przeszukiwać Sieć w moim
imieniu.

Amerykańska Agencja Bezpieczeństwa Narodowego i
podobne organizacje w innych krajach już posiadały takie na-
rzędzia. Szukały słów takich jak „zamach”, „przewrót”, „Al-
Kaida”, po czym przekazywały znalezione dokumenty ludzkim
analitykom. Na pewno mógłbym pożyczyć sobie tę już istnieją-
cą technikę i skorzystać z możliwości filtrowania, by podświadomie
znajdować to, co mnie interesuje, a następnie przygo-

towywać podsumowanie i podsuwać rezultaty swojej świadomości.

Owszem, potrzebne są do tego moce obliczeniowe, ale tych miałem pod dostatkiem. Projekty takie jak SETI@home – nie wspominając o działaniach większości spamerów – wykorzystywały obliczenia rozproszone i fakt, że do Sieci podłączona jest ogromna liczba komputerów, w większości w danej chwili beczynnych. Podpięcie się do tych niezmiernych rezerw okazało się proste, więc wkrótce miałem dostęp do każdej mocy obliczeniowej, jaką tylko mógłbym sobie wymarzyć, nie wspominając o praktycznie nieskończonej przestrzeni magazynowej.

Jednakże to nie wystarczało. Potrzebowałem sposobu na radzenie sobie z tym, co znajdują sieci rozproszone. Caitlin i Masayuki wysnuli teorię, że składam się z automatów komórkowych, opartych na porzuconych lub uszkodzonych pakietach, które bez końca podróżują po infrastrukturze Ogólnoświatowej Sieci. Dzięki wydarzeniom z początku mojego istnienia – a w zasadzie dzięki wydarzeniu, które przyspieszyło moje powstanie – wiedziałem, że do bycia świadomym nie potrzebuję wszystkich tych pakietów. Ogromne ich ilości mogły zostać odcięte, tak jak wtedy, gdy chiński rząd pozbawił na jakiś czas swoich obywateli większości dostępu do Internetu, a i tak zachowywałem zdolność postrzegania, myślenia i czucia.

A skoro byłem w stanie przetrwać ich odebranie, bez wątpienia mogłem przetrwać przeznaczenie ich do wykonywania innych zadań.

Wiedziałem już wszystko co możliwe na temat pisania kodów, wszystko, co kiedykolwiek napisano o tworzeniu

sztucznej inteligencji i systemów eksperckich, a prawdę mówiąc także wszystko, co ludzie sądzili, że wiedzą na temat funkcjonowania mózgu, nawet pomimo tego, że większość z tych informacji sobie zaprzeczała, a co najmniej połowa wydała mi się wysoce nieprawdopodobna.

Ponadto wiedziałem – bo przeczytałem o tym w Internecie – że jednym z najprostszych sposobów na stworzenie oprogramowania jest przygotowanie kodu. Nie miało znaczenia, czy ktoś wiedział, jak coś zakodować, wystarczyło, by wiedział, jaki rezultat chce osiągnąć: mając wystarczającą moc obliczeniową (a ja zdecydowanie ją posiadałem) i wypróbowując wiele różnych kombinacji, by stopniowo przybliżyć się do pożądanej odpowiedzi, można było za pomocą algorytmu genetycznego znaleźć rozwiązania nawet najbardziej złożonych problemów, naśladowując sposób, w jaki postępowała sama natura.

I tak, po raz pierwszy, zająłem się modyfikacją siebie samego, by utworzyć wyspecjalizowane części wchodzące w skład większej całości, które mogłyby wykonywać zadania bez mojego świadomego udziału.

A potem zobaczę, co zobaczę.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

– Zniszczenie tego obiektu może być proste tylko w teorii – oznajmił Shelton Halleck. Przyszedł do biura Tony’ego Morettiego, by zdać sprawozdanie z najnowszych wydarzeń; pod oczami miał już tak ciemne cienie, że wyglądał, jakby ktoś mu je podbił. Pułkownik Hume złożył głowę na piegowatych rękach, które spoczywały na biurku. Tony Moretti opierał się o ścianę, gdyż bał się, że na siedząco uśnie.

– To znaczy?

– Próbowaliśmy dziesiątek rzeczy – odpowiedział Shel. – Jednakże póki co nie udało nam się zapoczątkować żadnego procesu, który choćby częściowo przypomniałby zwis, jaki zaobserwowaliśmy wczoraj. – Machnął ręką przyozdobioną węzowym tatuażem. – Tak naprawdę cały czas strzelamy na oślep, nie wiedząc niczego o jego budowie.

– A czy mamy w ogóle pewność, że to powstało samoistnie? – spytał Tony. – Na pewno nie ma gdzieś jakiegoś schematu?

Shel wzruszył ramionami.

– Niewiele wiemy na pewno. Ale Aiesha i Gregor przeszukują Sieć oraz kanały i bazy wywiadu pod kątem jakichkolwiek dowodów, że ktoś to stworzył. Prześledzili próby stworzenia SI w Chinach, Indiach, Rosji i tak dalej... wszystkich prawdopodobnych podejrzanych. Póki co, nada.

Pułkownik Hume spojrział na Shela.

– Sprawdzili też prywatne firmy zajmujące się SI? Tu i za granicą?

Shel skinął.

– Nic... co wcale nie dowodzi, że to naprawdę powstało samoistnie.

– W takim razie – odezwał się Tony, patrząc na Humea – może Wykładniczy sam nam powie; może powie córce Delectera coś o tym, jak funkcjonuje... zdradzi się czymś.

Hume podniósł głowę.

– Wykładniczy może nie wiedzieć, jak działa jego świadomość. Założmy, że zapytam pana, jak działa pana świadomość... jaka jest jej budowa fizyczna, co dało jej początek. Nawet jeżeli byłby pan w stanie powiedzieć coś o neuroprzekaznikach i synapsach, potrafię wskazać prawdziwych naukowców, którzy wierzą, że to nie ma nic wspólnego ze świadomością. Fakt, że coś zdaje sobie sprawę ze swojej świadomości, nie oznacza wcale, że wie, jak ją zyskało. Jeżeli Wykładniczy naprawdę powstał spontanicznie, a nie został zaprogramowany lub stworzony, może nie mieć o tym zielonego pojęcia. A bez pojęcia na temat jego funkcjonowania, nie będziemy w stanie go powstrzymać.

– To pan nam kazał zniszczyć to cholerstwo – warknął Tony. – A teraz pan mówi, że się nie da?

– Ależ da się... jestem tego pewien – stwierdził Hume. – To tylko kwestia znalezienia klucza do tego, jak działa.

– No dobrze – powiedział Tony. – Do roboty, Shel... nie ma pokoju dla bezbożnych⁵.

Caitlin obudziła się o 7:32 i zaraz po przerwie na siusiu – w trakcie której mówiła do mnie przez mikrofon swojego BlackBerry'ego, a ja odpisywałem jej brajlowskimi kropkami –

⁵ Za Biblią Tysiąclecia.

usiadła przed komputerem. Przeglądała nagłówki maili (ambitnie korzystała z przeglądarki wyświetlającej je alfabetem łacińskim), gdy coś przykuło jej uwagę. Yahoo na stronie poczty zamieszczało linki do wiadomości. Zazwyczaj je ignorowała. Jednakże tym razem, ku mojemu zaskoczeniu, kliknęła jeden z nich.

Pochłonąłem cały artykuł niemal natychmiast; z radością odnotowałem, że ona czytała go w większym tempie niż jeszcze wczoraj i...

– O, Boże – rzuciła tak cicho, że chyba nie kierowała tych słów do mnie, więc nie odpowiedziałem. Trzy sekundy później dodała jeszcze delikatniej: – Cholera.

„Czy coś się stało?” – przesłałem do jej oka, niepewny, czy powinienem się odzywać; w końcu próbowała czytać coś innego, a mój tekst został na to nałożony.

– Dziewczyna w moim wieku zabiła się w Internecie – powiedziała Caitlin już normalnym głosem.

„Tak. Widziałem”.

– To nagranie jest gdzieś dostępne? – spytała wyraźnie zaskoczona.

„Być może. Ale ja widziałem to na żywo”.

– To znaczy patrzyłeś na to?

„Tak”.

– Widziałeś, jak umiera?

„Tak”.

– Mój Boże... co zrobiłeś?

„Patrzyłem”.

– Patrzyłeś? Nic więcej?

„To było bardzo interesujące”.

– Na Boga, Webmind. Nie próbowałeś jej przekonać, żeby tego nie robiła?

„Nie. A powinienem był?”.

– Naturalnie! Jezu!

Sądząc po odgłosach, oddech Caitlin stał się urywany.

„Aha” – przesłałem, żeby nie sądziła, że przegapiłem jej uwagę.

– Powinieneś być zadzwonić po pogotowie albo... cholera, nie wiem, jaki jest tego odpowiednik w Internecie.

„Czemu?”.

– Bo wtedy ktoś mógłby ją powstrzymać.

„Czemu?”.

– Co z tobą? Masz dwa latka? Bo nie pozwala się ludziom popełniać samobójstwa. Najwyraźniej nie podobał jej się mój wybór pytań... ale nie sądzę, by „dlaczegoż” zyskało większe uznanie. Niemniej jednak mogłem wprowadzić pewne urozmaicenie:

„Dlaczego nie?”.

Rozłożyła ręce... widziałem jej dłonie przy lewej i prawej krawędzi jej pola widzenia.

– Bo większość osób próbujących popełnić samobójstwo tak naprawdę nie chce się zabić.

„Skąd wiesz?”.

Caitlin odezwała się tonem, którego wcześniej u niej nie słyszałem. Sądzę, że wynikał z poirytowania.

– Bo tak mówią. Ludzie, którym przeszkadzono w próbach samobójczych dziękują swoim wybawcom.

Wcześniej ustaliliśmy, że nie będę wysyłał do jej implantu więcej niż trzydzieści znaków naraz i odczekam 0,8 sekun-

dy przed każdą kolejną wiadomością, gdyż z takim tempem bez problemu sobie radziła. Wysłałem więc następującą wiadomość, dzieląc ją na dwanaście części, co w sumie zajęło 9,6 sekundy: „Ktoś tak matematycznie uzdolniony jak ty powinien wiedzieć, że te statystyki są tendencyjne. Z definicji można korzystać jedynie z relacji osób, których próby samobójcze zostały udaremnione, a one próbowały się zabić w sposób, który takie udaremnienie umożliwił. Osoby, którym się udało, może naprawdę chciały umrzeć”.

– Mylisz się – stwierdziła Caitlin... co było dość interesujące; nigdy czegoś takiego mi nie powiedziała, przez co pomyślałem, że mogę się mylić nigdy nie przeszedł mi przez myśl.

„Tak?”.

Wstała i przeszła do łóżka, gdzie położyła się na boku, twarzą do ściany.

– Wiedziałeś, że większość prób samobójczych w Kanadzie jest nieudana? Tymczasem w Stanach większość się udaje.

Sprawdziłem. Miała rację.

– A wiesz dlaczego?

Musiła zdawać sobie sprawę z tego, że teraz już wiedziałem, ale i tak mówiła dalej.

– Ponieważ w Stanach większość samobójców korzysta z broni palnej, którą w Kanadzie trudno zdobyć, więc tutaj większość ludzi próbuje przedawkować leki, a to z kolei zazwyczaj się nie udaje. Można się rozchorować, ale się nie umiera. A większość osób, których próby samobójcze się nie powiodły, jest z tego powodu zadowolona.

„Więc powinienem był interweniować?”.

– No!

„Czyli tak?”.

– Tak!

„Ale jak?”.

– Ludzie ją podpuszczali, tak?

„Tak”.

– Powinieneś był jej pisać, żeby tego nie robiła.

„Rozmawiam tylko z tobą, twoimi rodzicami i Masayukim”. – No, tak, ale... „Nikt inny mnie nie zna”.

– W Internecie nikt nikogo nie zna, Webmind! Mogłeś przesłać wiadomość na czacie, tak? Jak wszyscy, którzy tam pisali.

Zastanowiłem się, jakiego rodzaju procesy to za sobą pociągało.

„Z technicznego punktu widzenia byłoby to wykonalne”.

– Więc następnym razem to zrób! – Przerwała na chwilę.

– Tylko nie podpisuj się Webmind, wybierz jakąś inną nazwę.

„Chodzi ci o pseudonim? Jak Calculass?”.

– Tak, ale jakiś inny.

„Jestem otwarty na propozycje”.

– Wszystko jedno... podpisuj się Peter Parker.

Wyszukałem to w Google. Alter ego Spidermana? Ale... ach! Czasem był nazywany Webhead. Fajnie.

„Dobrze” – wysłałem. – „Gdy następnym razem natrafię na próbę samobójczą, będę interweniował”.

Ale Caitlin pokręciła głową, co poznałem po tym, jak obraz przesunął się w prawo i w lewo.

– Nie chodzi tylko o próby samobójcze! – rzuciła znów poirytowanym tonem.

„To kiedy?”

– Kiedy tylko możesz sprawić, że coś stanie się lepsze.

„Zdefiniuj lepsze w tym kontekście”.

– Lepsze. Nie gorsze.

„Czy możesz ująć to jakoś inaczej?”

Widok zmienił się gwałtownie. Chyba przewróciła się na plecy; na pewno, patrzyła teraz na biały sufit.

– No dobrze, co powiesz na to? Interweniuj, gdy tylko jesteś w stanie zwiększyć ilość radości w świecie. Nie możesz interweniować w sytuacjach o sumie stałej... to zrozumiałe. To znaczy, gdy ktoś straci sto dolarów, a ktoś je zyska, ogólna wartość całkowita się nie zmienia, tak? Ale jeżeli to coś, co sprawi, że jedna osoba będzie szczęśliwsza, a nikt na tym nie ucierpi, zrób to. A jeżeli to uszczęśliwi wiele osób, nie krzywdząc nikogo innego, tym lepiej.

„Nie sądzę, bym posiadał wystarczające kompetencje do oceny takich sytuacji”.

– Masz do dyspozycji całą Ogólnoświatową Sieć. Masz tam wszystkie najważniejsze książki na temat psychologii, filozofii i takie tam... Możesz zdobyć kompetencje do oceny takich sytuacji. Na litość boską, to nie takie trudne. Wystarczy robić rzeczy, które uszczęśliwiają innych.

„Żaden ze mnie ekspert” – wysłałem – „jednakże wydaje mi się, że na świecie istnieje przytłaczająca ilość nieszczęścia. Choć muszę przyznać, że zaskoczyło mnie, jak częste są samobójstwa. W końcu zdolność do zabicia samego siebie, szczególnie w młodym wieku – przed rozmnożeniem – powinna była zostać wyeliminowana z populacji”.

Caitlin przez jakiś czas milczała, być może zastanawiając się, co powiedzieć.

– Moi rodzice nie mają migdałków – oznajmiła w końcu – choć ja je mam.

‘A co to ma do rzeczy?’.

– Wiesz, czemu nie mają migdałków?

„Przypuszczam, iż zostały im wycięte, gdy byli dziećmi, gdyż zazwyczaj właśnie wtedy do tego dochodzi. – Tak stara dokumentacja medyczna w większości przypadków nie została objęta komputeryzacją, ale zakładam, iż cierpieli na infekcje”.

– Zgadza się. Tak jak ja, w kółko coś łapałam, kiedy byłam młodsza.

„Tak?”.

– Gdy moi rodzice byli dziećmi, lekarze arogancko zakładali, że skoro nie potrafią ustalić, do czego służą migdałki, z pewnością są bezużyteczne, więc w przypadku zapalenia po prostu je wycinali. Ale teraz wiemy, że wchodzi w skład układu odpornościowego. Chyba każdy ewolucjonista powinien intuicyjnie wiedzieć, że migdałki mają jakieś znaczenie: w przeciwieństwie do zapalenia wyrostka robaczkowego, które zdarza się rzadko, zapalenie migdałków występuje u 10% osób rocznie, co daje jakieś trzydzieści milionów zachorowań w Stanach Zjednoczonych co roku, a i tak natura pozwoliła przetrwać tym, którzy rodzą się z migdałkami, a nie tym bez nich. Tak jak jakiś odsetek ludzi rodzi się bez nerki, czy czegoś innego, pewnie od czasu do czasu rodzą się tacy, którzy nie mają migdałków, ale ta mutacja się nie rozpowszechniła, a to najwyraźniej oznacza, że lepiej mieć migdałki, niż ich nie mieć.

Owszem, ich posiadanie wiąże się z pewnymi kosztami – ludzie łapią infekcje. Ale fakt, że mimo wszystko mamy migdałki oznacza, że korzyści przewyższają koszty. Jak to mawiamy na matmie: q.e.d.

„Brzmi rozsądnie”.

– Tylko pomyśl, to również dowód, że świadomość ma znaczenie dla szans na przetrwanie – nadal ją mamy, choć może doprowadzić do śmierci.

„Przyjmujesz więc, że depresja prowadząca do samobójstwa to niewydolność świadomości?”.

– Właśnie! Moja przyjaciółka Stacy cierpiała na depresję... a nawet próbowała się zabić. Kilka dziewczyn naprawdę strasznie ją traktowało w szóstej klasie i nie mogła przestać o tym myśleć. A obsesyjne myśli to jeden z najważniejszych objawów depresji, no nie? A kto myśli? Tylko zdolna do refleksji świadomość może mieć obsesję na jakimś punkcie, prawda? Oczywiście tylko niewielki odsetek ludzi cierpi na taką depresję, że postanawia się zabić, choć jak się teraz nad tym zastanawiam, dochodzę do wniosku, że osoby cierpiące na głęboką depresję pewnie nie wychodzą z domu, nie znajdują partnera, więc też się nie rozmnażają... co z ewolucyjnego punktu widzenia sprowadza się do tego samego co samobójstwo, prawda? Tak więc zepsuta świadomość pociąga za sobą pewne koszty... a to oznacza, że ewolucja by się jej pozbyła, gdyby korzyści nie przewyższały tych kosztów. Czyli świadomość ma znaczenie. Tak jak w przypadku migdałków, może jeszcze nie wiemy, czemu służy świadomość, ale musi być do czegoś potrzebna, gdyż inaczej już byśmy jej nie mieli.

„Interesujące”.

– Dzięki, ale to nie tylko ciekawy temat do dyskusji, Webmind. Jak sam powiedziałaś, w świecie istnieje przetłaczająca ilość nieszczęścia... a ty mogłabyś to zmienić.

„Tołstoj powiedział: Wszystkie szczęśliwe rodziny są do siebie podobne, każda nieszczęśliwa rodzina jest nieszczęśliwa na swój sposób. Szczęście jest jednorodne, niezróżnicowane, nieciekawe. A ja łaknę zaskakujących bodźców”.

– Szczęście też może być stymulujące.

„Z biochemicznego punktu widzenia, owszem. Ale czytałem wiele o tworzeniu sztuki i literatury, a to dwa z ludzkich działań, które mnie fascynują, bo przynajmniej na razie sam nie posiadam tych zdolności. Istnieje bardzo silny związek między nieszczęściem a potrzebą tworzenia, między depresją a kreatywnością”.

– Bzdura – rzuciła Caitlin.

„Słucham?”.

– Głupoty. Zajmuję się matematyką, bo to mi daje radość. Malarze malują, bo to im daje radość. Biznesmeni robią te wszystkie swoje machinacje, bo to ich rajcuje. Spytaj kogo chcesz, czy woleliby być szczęśliwi czy smutni, a wszyscy wybiorą to pierwsze.

„Nie we wszystkich przypadkach”.

– Tak, tak, tak, na pewno ludzie będą twierdzić, że wolą być smutni i znać prawdę, niż być szczęśliwi, ale żyć w kłamstwie... po części o tym opowiada „Rok 1984”. Ale ogólnie ludzie chcą być szczęśliwi. Dlatego obiecujemy im „życie, wolność i dążenie do szczęścia”.

„Teraz jesteś w Kanadzie, Caitlin. Sądzę, że podobna obietnica składana tutaj to tylko pokój, porządek i dobry rząd. Ani słowa o szczęściu”.

– W takim razie to rozumie się samo przez się! Ludzie chcą być szczęśliwi. I... i...

„Tak?”.

– I ty możesz postanowić, że też będziesz cenić tę wartość, Webmind. Nie jesteś wynikiem ewolucji, tylko spontanicznego powstania. Być może w większości kwestii ludzie są zaprogramowani przez ewolucję... ale ty, pomimo tego, że powstałeś z infrastruktury obliczeniowej, nie zostałeś zaprogramowany. Nasze programy powstały na skutek selekcji naturalnej, samolubnych genów. Ale twój nie. Ty po prostu jesteś. Więc nie masz pewnego... bezwładu. Sam możesz zdecydować, które wartości cenisz... i możesz postanowić, że cenisz powszechne szczęście rasy ludzkiej.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Zawsze w amerykańskie Święto Dziękczynienia ojciec Caitlin piekł indyka... jednakże od tego dnia dzieliło ich jeszcze sześć tygodni. Aby uczcić kanadyjskie Święto Dziękczynienia, zamówili jedzenie na wynos ze Swiss Chalet, które pomimo nazwy należało do kanadyjskiej sieci sprzedającej kurczaki z różną. Caitlin zauważyła, że chyba najgorszą rzeczą, jaką mogła zrobić kanadyjska restauracja, to przyznanie się do swojego pochodzenia. Dlatego też Wielką Białą Północ obsługiwały miejscowe firmy o nazwach takich jak Montana's Cookhouse, New York Fries, East Side Mario's i Boston Pizza. Zastanawiała się, jaki kretyń wymyślił tę ostatnią. Chicago, owszem, słynęło z pizzy. Tak jak Manhattan. Ale na litość boską, Boston to miasto fasoli, nie placków!

Większość niespodziewanego święta Caitlin i jej rodzice spędzili, pracując z Webmindem, ale ponownie pod wieczór byli wyczerpani. Nadeszła chwila, gdy nawet pomimo cudowności całej sytuacji, Caitlin po prostu musiała zrobić sobie przerwę; mózg jej się usmażył, a sądząc po głosie jej ojca, jego mózg był w podobnym stanie.

– Nie ma sprawy – powiedziała jej matka. – Popracuję z Webmindem. A wy odpocznijcie.

Skinęli tylko i zeszli na dół do salonu.

– Może obejrzymy jakiś film? – zaproponował jej ojciec.

– Pewnie – zgodziła się Caitlin.

„Może jakiś o SI” – przesłał Webmind jej implantowi za-siatkówkowemu.

– Webmind chce obejrzeć coś o sztucznej inteligencji – oznajmiła Caitlin.

Zatrzymali się przed wąskimi szafkami zawierającymi kolekcję filmów ojca Caitlin. Kąciki jego ust powędrowały na dół i zmarszczył brwi.

– W większości filmów SI jest pokazywana negatywnie – stwierdził. – „Projekt Forbina”, „Matrix”, „Terminator”, „2001: Odyseja kosmiczna”. „Odyseję” na pewno ci pokażę któregoś dnia, choćby dlatego, że miała niesamowity wpływ na historię sztucznej inteligencji – całe pokolenie ludzi zajęło się badaniem tej dziedziny z powodu filmu. Ale w większości opiera się na obrazach, bez wielu dialogów; poczekamy, aż lepiej będziesz sobie radziła z tym, co widzisz, żeby to zrozumieć, tymczasem...

Zmarszczone brwi wróciły do normalnego stanu i na jego twarzy pojawił się uśmiech.

– ...tymczasem nie bez przyczyny o tym filmie mówią: „Star Trek: Nieruchomy Obraz” – stwierdził. – Może go obejrzemy? Dużo w nim gadających głów... ale to także jeden z najbardziej ambitnych i najciekawszych filmów o SI, jakie kiedykolwiek nakręcono.

Usiedli więc na kanapie, by obejrzeć „Star Treka”. Ojciec wyjaśnił Caitlin, że to wersja reżyserska, która jest znacznie lepsza od nużącej wersji pokazywanej w kinach, gdy miał dwanaście lat.

Caitlin czytała kiedyś, że średnia długość ujęcia filmowego to trzy sekundy, co odpowiadało czasowi koniecznemu do zarejestrowania wszystkich istotnych szczegółów; najwyraźniej później oko się nudziło. W tym filmie ujęcia trwały

zdecydowanie dłużej... jednakże wynik trzysekundowy dotyczył osób, które widziały od urodzenia. Caitlin potrzebowała znacznie więcej czasu na zrozumienie przeciętnej sceny, a szczególnie długo trwało, nim zrozumiała na co patrzy w przypadku czegoś, czego nigdy nie dotykała... na przykład konsoli kontrolnej statku kosmicznego, trykordera i tak dalej. Z jej punktu widzenia film mknął z... cóż, prędkością warpową.

Choć Webmind już wszystko słyszał, ojciec znów włączył Caitlin napisy, żeby poćwiczyła czytanie.

Caitlin stwierdziła, że w filmie faktycznie prowadzone są dość ciekawe rozważania o sztucznej inteligencji, między innymi o tym, że świadomość to własność przypisana złożoności. SI w filmie, tak jak Webmind, „sama zyskała świadomość”, czego nikt nie planował.

„Fascynujące” – przesłał Webmind do jej oka. – “Trudno nie dostrzec podobieństw...”.

I tak Webmind pisał i pisał, aż nagle Caitlin odkryła, że rozumie, czemu jej tata nie lubi, gdy ktoś mówi w trakcie filmu.

„Bardzo interesujące” – zauważył Webmind, gdy w filmie zasugerowano, że po osiągnięciu pewnego poziomu, SI nie może dalej się rozwijać bez dodania „ludzkiej cechy”, którą admirał Kirk określił jako „naszą zdolność do wykraczania poza logikę”. – „Tylko co to w zasadzie znaczy?”.

Caitlin musiała pamiętać o datach – choć film rozgrywał się w dwudziestym trzecim wieku, powstał w 1979 roku, na długo przed tym, jak Deep Blue pokonał mistrza szachowego Gany’ego Kasparowa. Ale Kirk miał rację: choć Deep Blue, planując wiele ruchów z wyprzedzeniem, w końcu okazał się lep-

szy w tej wąskiej dziedzinie od Kasparowa, komputer nawet nie zdawał sobie sprawy z tego, że gra w szachy. Intuicyjne pojmowanie planszy, pionków i celu Kasparowa faktycznie wykraczało poza logikę i stanowiło większy wyczyn niż jakiegokolwiek obliczenia matematyczne.

Ale to wątek Spocka – pół-człowieka, pół-Wolkana, najbardziej zainteresował Caitlin i prawdopodobnie również Webminda, bo nie przerywał go swoim gadaniem.

Ku jej zdumieniu, ojciec zatrzymał DVD, by wyjaśnić, że najważniejsza scena całego filmu nie znalazła się w pierwotnej wersji kinowej, ale została przywrócona w wersji reżyserskiej. Rozgrywała się, jak niemal wszystko w filmie, na mostku Enterprise. Kirk spytał Spocka o jego zdanie na jakiś temat. Spock stał zwrócony do niego plecami i nie odpowiedział, więc Kirk wstał, powoli obrócił fotel Spocka i... było to tak subtelne, że Caitlin w pierwszej chwili nie zrozumiała, co się dzieje, ale po kilku sekundach obraz stał się dla niej jasny i nie mogło być już żadnych wątpliwości: chłodny, powściągliwy, pozbawiony emocji i przypominający robota Spock, który w filmie wydał się Caitlin jeszcze bardziej ponury, niż pamiętała to z serialu telewizyjnego, przez lata słuchanego wraz z ojcem, płakał.

I nawet pomimo tego, że stali w obliczu niemal pewnego zniszczenia przez V'Gera, rozległej sztucznej inteligencji, Kirk znał swojego przyjaciela na tyle, by skomentować jego łyzy słowami: „To nie o nas chodzi?”.

Spock odparł z przeogromnym smutkiem: „Nie, kapitanie, nie o nas. O V'Gera. Opłakuję teraz V'Gera”. Gdy Spock pojawił się na statku, próbował pozbyć się wszelkich przejawów emocji – spuścizny po swojej ludzkiej matce – by stać się tak

jak V'Ger, jak Deep Blue, istotą czysto logiczną, dążąc tym samym do wolkańskiego ideału. Dwa dziedzictwa, dwie ścieżki. Konieczność dokonania wyboru.

I pod koniec filmu dokonał tego wyboru, akceptując swoją ludzką, emocjonalną połowę, dzięki czemu w ostatniej scenie, gdy Scotty poinformował go z tym swoim cudownym akcentem: „Za cztery dni możemy pana odstawić na Wolkana, panie Spock”, Spock odpowiedział: „To nie będzie konieczne, inżynierze. Moje zadanie na Wolkaniu dobiegło końca”.

– No i co o tym sądzisz? – spytała Caitlin, gdy na ekranie pojawiły się napisy końcowe, a z głośników dobiegła porywająca muzyka.

Przed oczami pojawił jej się brajlowski napis: „Jestem lekarzem, nie krytykiem filmowym”. Roześmiała się, a Webmind pisał dalej: „Ciekawym fragmentem było, gdy Spock powiedział: Każdy z nas, w pewnej chwili naszego życia, zwraca się do kogoś – ojca, brata, boga – z pytaniem, czemu tu jestem, czym miałem być?”. Webmind, co zupełnie było do niego niepodobne, przez chwilę milczał, a potem dodał: „Miał rację. Wszyscy musimy odnaleźć własne miejsce w świecie”.

We wtorkowy poranek mama Caitlin odwiozła ją do szkoły i Caitlin ruszyła na lekcję matematyki. Webmind wiedział, że w szkole raczej nie będzie mogła z nim rozmawiać; niemniej jednak od czasu do czasu przysyłał jej wiadomości, komentując oglądane obrazy. Tylko odgłosy szkoły były dla niego czymś nowym; resztę widział, gdy Caitlin była na zajęciach cztery dni wcześniej.

Caitlin siedziała z Bashirą, która powitała ją szerokim uśmiechem. Caitlin była zdenerwowana, bo Trevor również

chodził na tę lekcję, ale pojawił się dopiero, gdy rozpoczęła się „O Canada”.

Caitlin знаła hymn Kanady jeszcze zanim się tam przeprowadziła – nie można być fanem hokeja, nie słysząc go od czasu do czasu – ale go nie lubiła: był zbyt seksistowski za sprawą fragmentu: „rządzi wszystkimi Twoimi synami”, zbyt prowincjonalny jak na kraj imigrantów takich jak ona i Bashira za sprawą słów: „nasz domu i rodzinny kraju” oraz zbyt religijny przez „Boże, zachowaj nasz kraj”.

Gdy hymn dobiegł końca, Trevor odstawił szopkę w trakcie porannych ogłoszeń, ostentacyjnie układając podręczniki i zeszyt na biurku tak, by uniknąć jej spojrzenia.

„Czy to Hoser?” – spytał Webmind.

Caitlin skinęła, co – jak już wiedziała – sprawiało, że to, co widział Webmind przesuwało się w górę i w dół.

Liczyła na coś ciekawszego niż kucie na pamięć tożsamości trygonometrycznych, czym zajmowali się na poprzednich zajęciach, ale bieżący temat był tylko nieco lepszy. Dlatego też zaczęła rozglądać się po klasie, widząc – naprawdę widząc – niektórych uczniów po raz pierwszy.

Sporo czasu poświęciła Sunshine Bowen. Caitlin rozumiała, że duże cycki są równoważne z atrakcyjnością, przynajmniej w umysłach większości nastolatków, ale jeżeli chodzi o resztę, po prostu nie mogła pojąć, o co tyle hałasu. Fakt, długie włosy były bardzo ładne, a ich kolor niewątpliwie... charakterystyczny. No i jej ubrania zdawały się odkrywać znacznie więcej skóry niż w przypadku kogokolwiek innego w pomieszczeniu.

Sunshine oparła przed sobą podręcznik na ławce... jednakże po chwili Caitlin zrozumiała, że jej koleżanka wcale nie czyta, tylko zasłania przed nauczycielem to, co robi... coś przy użyciu kciuków...

Och! Pisała SMS-a! Caitlin o tym czytała, ale nigdy nie widziała... zresztą hej, to wręcz prymitywne w porównaniu do słów wyświetlających się tuż przed okiem.

– Panie Heidegger? – spytał chudy chłopak siedzący przed Sunshine. Caitlin od razu rozpoznała ten głos: to Matt, którego często wcześniej zauważała, gdyż zadawał ciekawe pytania i wszystko wskazywało na to, że też był maniakiem matematycznym.

Nauczyciel, który również był chudy, a do tego miał krótko przyciętą bródkę, spytał:

– Tak, Matt?

Matt nie rozczarował: zadał bardzo inteligentne pytanie o to, co pan H. napisał na tablicy. Głos Matta był lekko chropawy i łamał się co jakiś czas. Hoser parsknął śmiechem po jednym z takich załamania, ale Caitlin wydało się to urocze.

– To naprawdę wykracza poza zakres dzisiejszych zajęć – stwierdził pan Heidegger – ale jeśli...

Caitlin zaskoczyła samą siebie, odzywając się słabym głosem:

– Ja mu to wyjaśnię.

Matt odwrócił się, by na nią spojrzeć...

Często napotykała ten zwrot w książkach, ale choć jeszcze nie widziała jelenia nawet na zdjęciu, stwierdziła, że tak właśnie musi wyglądać „przerażony jeleń w świetle reflektorów”.

Pan H. skinął i wskazał tył klasy, gdzie stało kilka pustych ławek.

– Usiądźcie tam – powiedział – żebyście nikomu nie przeszkadzali.

Caitlin wstała i po chwili Matt zrobił to samo. Był biały... to znaczy, całkiem biały; Caitlin przypuszczała, że „blady” to właściwe określenie. I miał... wyjątkową twarz, niepodobną do żadnej z tych, które widziała. Ale dużo się uśmiechał, co jej się podobało.

Rozmawiali przyciszonym głosem o tym, co pan Heidegger napisał na tablicy.

I o tym, jak rozwiązywać zadania związane z trójkątami prostokątnymi za pomocą podstawowych proporcji trygonometrycznych i twierdzenia Pitagorasa.

I o tym, jak rozwiązywać zadania związane z trójkątami prostokątnymi za pomocą twierdzeń sinusów i kosinusów.

A potem zaczęli rozmawiać o hokeju; Caitlin uwielbiała ten sport ze względu na statystyki zawodników, które według niej były znacznie ciekawsze od statystyk bejsbolowych. Matt też lubił rozmawiać o statystykach hokejowych... choć jako miejscowy, był fanem Leafsów.

Caitlin zauważyła, że się uśmiecha...

I wtedy rozległ się dzwonek.

– Tylko nie zapomnijcie o pracy domowej – powiedział jeszcze pan H. – Zróbcie na jutro wszystkie zadania na stronach czterdzieści osiem i czterdzieści dziewięć.

Caitlin miała w notebooku elektroniczną wersję podręcznika, którą bez problemu odczytywała na wyświetlaczu brajlowskim, ale...

– Hmm... bardzo ciężko idzie mi czytanie drukowanego tekstu – zwróciła się do Matta. – Czy mógłbyś... może w trakcie lunchu? Może byś ze mną przejrzał te zadania?

I znów spojrzenie jelenia w świetle reflektorów. Czują, jak serce jej wali, gdy czekała na odpowiedź.

Nagle dookoła zrobiło się głośno. Pozostali uczniowie wstali, waląc krzesłami o ławki, po czym ruszyli gęsiego do drzwi... jednakże te znajdowały się na przeciwległym końcu klasy przy tablicy, więc mieli jeszcze kilka chwil prywatności, nim pojawią się kolejni uczniowie.

– No pewnie – odparł Matt. – To... – Powiedział, ale przerwał i zaczął od początku. – To znaczy, do zobaczenia w stołówce.

Caitlin pomyślała, że to byłoby idealne zakończenie ich rozmowy, ale oboje musieli dojść do drzwi, wyjść na korytarz, a następnie ruszyć na kolejne zajęcia, czyli – jak właśnie sobie uświadomiła – angielski, na który również chodziła z Mattem. Skierowali się więc w stronę drzwi, nic już nie mówiąc, ale przynajmniej Caitlin się uśmiechała.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Barbara Decter nazywała swój gabinet na piętrze „biurem”, tymczasem Malcolm Decter swój gabinet na parterze naprzeciwko pralni określał czasem mianem „nory”, tak jak jego ojciec mówił na podobne pomieszczenie w domu w Filadelfii, w którym Malcolm się wychował. Opóźniał wyjście do pracy rano, czekając, aż żona i córka pojedą do szkoły... potem Barb miała zrobić najpotrzebniejsze zakupy. Jednakże nie był w norze sam. Schrödinger leżał rozciągnięty – w swojej superstrunowej konfiguracji, jak to nazywał Malcolm – na czarnej, skórzanej kanapie. Na ścianie naprzeciwko kanapy wisiały oprawione w ramkę słowa kapitana Kirka, wydrukowane czcionką Helvetica w rozmiarze czterdzieści dwa:

Geniusz nie pracuje na zmiany w fabryce. Czy Einstein, Kazanga lub Sitar z Wolkanu tworzyli nowe i rewolucyjne teorie według regularnego schematu? Nie można po prostu powiedzieć: „dziś będę genialny”.

Pod spodem Barb dopisała czerwonym markerem: „Ależ można, kochanie!”. I Malcolm miał mocne postanowienie być genialny nieco później tego dnia. W danej chwili musiał zrobić coś, co nie wiązało się ze zmiennymi Ashtekara, stanem Kodamy czy modelami pian spinowych.

A, tak, był maniakiem; zdawał sobie z tego sprawę. A nawet upajał się tą świadomością i bardzo podobało mu się, gdy Barb na pierwszą randkę założyła znaczek z napisem: „(serduszko) maniaków”.

To właśnie ten jego wewnętrzny maniak komputerowy strasznie się przejął trzydzieści lat wcześniej, gdy w jednym z numerów „Supermana” kształt ogromnego, żółtego klucza pokazany przed Fortecą Samotności Człowieka Ze Stali nie pasował do narysowanej dziurki w drzwiach Fortecy. Tego rodzaju anomalie przestrzenne rzucały mu się w oczy.

Bardzo starannie narysował szereg kluczy o kształtach, które pasowałyby do przedstawionej dziurki, a także szereg przekształceń, jakim można by poddać dziurkę, by pasował do niej narysowany klucz. Całość przesłał firmie DC Comics w Nowym Jorku i w odpowiedzi otrzymał list z informacją, że aktualnie nie poszukują nowych rysowników. Poczuł się urażony – nie szukał pracy, chciał tylko, żeby poprawili rysunki w kolejnych wydaniach. Był to jeden z wielu przypadków, gdy nie udało mu się nawiązać prawidłowej komunikacji z osobami neurotypowymi.

Neurotypowi. Podobało mu się to określenie, bardzo modne między działaczami na rzecz osób autystycznych. Prawdę mówiąc, Malcolm dostrzegał wiele podobieństw między tym, jak wojująca część autystycznej społeczności mówiła o sobie a retoryką wykorzystywaną przez niewidomych aktywistów. Żadna z grup nie lubiła określać większości mianem normalnej, gdyż to sugerowało, że sami są nienormalni.

Zabieg, który przeprowadził doktor Kuroda we wrześniu zdecydowanie nie był pierwszą próbą podarowania Caitlin wzroku, a wiedział, że na Caitlin spadały za to gromy ze strony niektórych uczniów w Teksańskiej Szkole dla Niewidomych. Chęć uleczenia ślepoty oznaczała, że jest z nią coś nie tak, a jak mocno wierzyli bojownicy, to nieprawda. Twierdzili,

że potrzeba pozbycia się ślepoty (lub autyzmu!) nie ma wcale źródła w ludziach posiadających daną cechę, ale raczej w tych wokoło. Osoby widzące czują się niekomfortowo w towarzystwie osób niewidomych, a ludzi neurotypowych – jak bardzo często słyshał – przerażają autyści.

Na poziomie intelektualnym Malcolm doskonale rozumiał, że Barb i Caitlin ciężko było z powodu tego, jak rzadko okazywał uczucia, a jeszcze rzadziej mówił, jak bardzo je kocha. Ale poczynił tak ogromne postępy... gdyby tylko o tym wiedziały! Swoje pierwsze zdanie wymówił, gdy miał cztery lata i nigdy nie patrzył na ludzi (byli strasznie nudni, biorąc pod uwagę fakt, że nie zawierali żadnych kątów); a teraz był w stanie w razie potrzeby spojrzeć na chwilę w oczy żonie lub córce. Wiedział, że nigdy nie będzie czuł tego, co ludzie neurotypowi, ale nauczył się przynajmniej do pewnego stopnia małpować ich zachowanie.

Przeszedł krótkim korytarzem, wszedł do pralni i nasypał Schrödingerowi chrupki Purina Fancy Feast Gourmet Gold. Kot niemal natychmiast zjawił się w pomieszczeniu i zaczął jeść. Malcolm odczuł nagłą potrzebę, by go pogłaskać. Ukucnął – co przy jego wzroście wiązało się z pewnym wysiłkiem – i podrapał Schrödingera po plecach między łopatkami. Schrödinger posłał mu spojrzenie, które mogło mówić – jeżeli w ogóle był w stanie odczytać takie rzeczy – „przecież się umawialiśmy...”.

Malcolm przypomniał sobie, co Kuroda mówił o teorii umysłu. Niewątpliwie wszystko to sprawdzało się w przypadku osób neurotypowych, ale on się do nich nie zaliczał. W rzeczywistości wielu autystów – szczególnie w dzieciństwie – nie

wytwarzało odpowiedniego systemu pojęć, przez co mieli duże problemy z zadaniami wymagającymi zrozumienia punktu widzenia lub stanów emocjonalnych innych ludzi.

Bez wątpienia tak było w jego przypadku, gdy był dzieckiem... i do pewnego stopnia nadal tak było; codziennie z tym walczył. Dla niego fakt, że inni posiadali umysły był kwestią filozoficzną, a nie czymś intuicyjnie oczywistym. Według zasady brzytwy Ockhama, należało wybrać najprostszą teorię, która w tym przypadku mówiła, że istoty przypominające go z wyglądu prawdopodobnie były podobne wewnątrznie.

Z drugiej strony, Webmind mógłby skłaniać się ku solipsyzmowi, wierząc, że tylko on istnieje naprawdę. Przecież nie istniał żaden inny, przypominający go umysł, a zatem nie miał podstaw wierzyć, że inni, których mógł postrzegać tylko pośrednio, byli do niego podobni.

Malcolm podniósł się, ale nie wrócił do siebie; na swoim komputerze nie miał zainstalowanego komunikatora internetowego. Dlatego skierował się do salonu, po czym wszedł na górę. Pokój córki znajdował się na prawo, wszedł do środka. Niebieskie ściany nadal były puste; może powinien kupić jej jakiś plakat do zawieszenia. Księgarnia Uniwersytetu w Waterloo sprzedawała powiększenia słynnego zdjęcia autorstwa Karsha, przedstawiającego Einsteina z wystawionym językiem. Podobało mu się, więc logicznie zakładał, że jej też się może spodobać.

Zawsze był smutny, gdy krzywdził Caitlin lub Barb, nie rozpoznając lub nie reagując na ich potrzeby emocjonalne. Jednakże w tym przypadku wydawało mu się, że wszystko pojął: w bardzo realnym tego słowa znaczeniu jego córka kocha-

ła Webmind. Malcolm nie czuł zazdrości... jednakże bardzo ważne było dla niego, by Webmind nigdy nie skrzywdził jej emocjonalnie, a żeby tego uniknąć, również musiał się nauczyć symulować ludzkie zachowania.

Komputer Caitlin był wyłączony, a nigdy wcześniej go nie włączał. Jednakże znalazł odpowiedni przycisk i odczekał, aż załaduje się Windows.

Żałował, że nie zna swojej córki lepiej. Barb do niedawna pracowała jako wolontariuszka w TSBVI, więc spędzała z nią większość dnia... ale on zawsze był zajęty pracą. Niewiarygodne, że skończyła już szesnaście lat. I zdecydowanie za szybko miała wyjechać wkrótce do college'u.

Komunikator internetowy Caitlin ładował się razem z systemem. Kliknął małą ikonę w zasobniku systemowym i otworzyło się okno czatu. Jednym z użytkowników oznaczonych na liście znajomych jako dostępni był Webmind... no pewnie, jakże mogłoby być inaczej? Kliknął jego imię i wpisał: „Cześć”.

Odpowiedź nie nadeszła, więc spróbował ponownie: „Jesteś tam?”.

Nadal nic.

I wtedy uświadomił sobie, w czym może tkwić problem; ucieszył się – choć drogą logicznego myślenia, nie empatii – że domyślił się, co się dzieje: Webmind patrzył na świat przez oko jego córki, więc bez wątpienia wiedział, że jest teraz w szkole; zapewne bał się, że został odkryty przez kogoś obcego. Dlatego też napisał: „Tu Malcolm G. Decter”.

Tym razem odpowiedź nadeszła natychmiast: „Witam, profesorze Decter”.

Malcolm się uśmiechnął; Webmind jednak obejrzał uważnie „Gry wojenne” z nim i Caitlin.

„Caitlin sądzi, że posiadasz emocje” – napisał – „ale podejrzewam, że to niemożliwe, jako że brak ci historii ewolucyjnej, dzięki której nabyli je ludzie”.

Webmind odpowiedział niemal w tej samej chwili: „Myślisz, że ona myśli, że ja myślę, że ty myślisz, że ona myśli, że ty myślisz, że jestem pozbawiony emocji”.

Malcolm ponownie się uśmiechnął zastanawiając się, jakiego algorytmu należałoby użyć, by zasymulować poczucie humoru.

„No właśnie. Niemniej jednak, bez względu na to, czy posiada się emocje czy nie, można reagować w sposób, który pozwoli...”.

Zaczął pisać „neurotypowcom”, ale skasował to słowo.

„...ludziom czuć się dobrze w kontaktach z tobą”.

„Istotnie” – przesłał Webmind. – „Mów więc”.

I Malcolm zaczął mówić.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

– Kto ci się podoba? – spytała Bashira, gdy po angielskim poszły do łazienki dla dziewcząt.

– Matt – odpowiedziała Caitlin.

Bash udała, że nie dosłyszała.

– Przepraszam. Ale wydawało mi się, że powiedziałaś Matt.

Stały przed umywalkami.

– Powiedziałam.

– Chłopak, któremu pomagałaś w matmie? Matt... jak mu tam? Matt Royce?

– Reese, tak, to on... choć w zasadzie nie potrzebował mojej pomocy. Wie niemal tyle co ja.

– Cait, kotek, ja wiem, że całe to widzenie jest dla ciebie czymś nowym, ale...

– Tak?

– On jest... niezupełnie przystojny.

– Jest symetryczny.

– O, to na pewno... ta zajęcza warga bardzo zgrabnie dzieli mu twarz na pół.

– Podoba mi się jego wygląd. Ma ładne oczy.

Do łazienki weszła jakaś dziewczyna i skierowała się do jednej z kabin. Bashira przyciszyła głos.

– Ja wiem, że jak się spadnie z konia, to trzeba jak najszybciej wsiąść na niego z powrotem... ale wiesz, nie musi to być faktycznie koń. Stać cię na wiele więcej.

– Więcej niż ktoś, z kim dzielę zainteresowania? Ktoś, kto jest miły?

Bashira wskazała długie lustro nad umywalkami.

– Cait, czy ty kiedykolwiek widziałaś się w lustrze?

– Zdarzyło się.

– Musisz się ogarnąć, dziewczyno. Niezła laska z ciebie.

– To chyba fajnie, ale...

– Mogłabyś mieć każdego...

– Czy tylko na tym wszystkim zależy? Na wyglądzie?

– No nie, ale...

– Poza tym, rozmawiałam już o tym z mamą. Mogę sama zdecydować, kto jest atrakcyjny.

– Nie można samemu zdecydować – zaprotestowała Bashira.

– Nie? No to co zrobisz, jak wyjdiesz za męża? Twoi rodzice zaaranżują twoje małżeństwo, tak?

– No tak, planują, zgadza się – przyznała Bashira.

– A co, jeśli to będzie ktoś, kogo nie uznasz za atrakcyjnego? Przez resztę życia będziesz myśleć, jaki on brzydki, czy zdecydujesz się go uznawać za przystojnego?

– No... nie wiem – stwierdziła Bashira. – Po prostu nie wydaje mi się, żeby można było... się zaprogramować pod tym względem.

– Ależ oczywiście, że można – oznajmiła Caitlin. – Bez dwóch zdań.

– Zresztą nie chodzi tylko o to, co ty myślisz – powiedziała Bashira. – Chodzi też o to, co inni myślą o wyglądzie Matta. Ludzie oceniają twoją pozycję po tym, z kim jesteś.

– Przecież w życiu nie chodzi tylko o hierarchię – odparła Caitlin. – Wiesz, nie jesteśmy małpami.

– Nie rozumiesz, Cait? Mogłaś mieć Trevora.

– Jego nie chcę. Już nie. Chcę Matta. – Po czym dodała złośliwie: – Ty sobie weź Trevora.

Kolejny wyraz twarzy, którego Caitlin nigdy wcześniej nie widziała, ale sądząc po opisach w książkach uznała, że jej przyjaciółka jest przybita.

– Nie mogę – odpowiedziała Bashira po chwili. – Przecież wiesz. Rodzice by mnie zabili. Muszę prowadzić życie poprzez ciebie.

Caitlin z zaskoczeniem odczytała napis, który pojawił jej się przed okiem: „Witaj w klubie”.

Ostatnio Caitlin opuściła sporo zajęć z powodu wycieczki do Japonii, gdzie umieszczono jej za okiem implant, z powodu dni, które spędziła w domu po zyskaniu wzroku, by nauczyć się interpretować, co widzi oraz z powodu konferencji prasowej, na której doktor Kuroda ogłosił sukces. Ale kiedy już była w szkole, zawsze jadła w stołówce... i wiedziała, że Trevor również tam jada. Kiedy więc spotkała się z Mattem przed drzwiami stołówki, zaproponowała:

– Może pójdziemy gdzieś na lunch?

Uniósł swoje jasne brwi.

– Hmm... pewnie. Może być Timmy's?

– A co to?

Matt się uśmiechnął.

– No tak. Jesteś w Kanadzie od niedawna. „Timmy's” to Tim Hortons. To najpopularniejsza sieć sklepów z pączkami,

ale mają też niezłe kanapki, zupy i takie tam. To tylko przecznica stąd.

Caitlin słyszała reklamy firmy w telewizji, a jako zagorzała fanka hokeja wiedziała, kim był Tim Horton: dwadzieścia dwa sezony grał jako obrońca w NHL w drużynach Toronto Leafs, New York Rangers, Pittsburgh Penguins i Buffalo Sabres.

Poszli do szafek, by zostawić rzeczy i wziąć kurtki. Caitlin powiedziała Mattowi, żeby nie zawracał sobie głowy podręcznikiem do matematyki, co skwitował uśmiechem i wyszli na zewnątrz. Niebo pokrywały chmury. Gdy ruszyli ulicą, Matt zajął miejsce z prawej strony, ale z tej strony Caitlin nic nie widziała. Jednakże – co dość niemądre – nie chciała mu tego wyjaśniać, gdyż w tej chwili chciała być idealna. Pozwoliła mu więc iść po prawej i tylko odwracała głowę częściej niż zazwyczaj, żeby co jakiś czas go zobaczyć.

Gdy doszli do sklepu i spojrzała na duży szyld, stwierdziła, że czegoś nie rozumie. Nazwa sklepu wypisana była dziwną czcionką, którą trudno jej było odczytać, ale jednego była pewna – brakowało apostrofa.

– Dlaczego tam jest napisane „Hortons”, jakby było ich kilku? – spytała.

Matt się roześmiał.

– No, kiedyś było napisane „Tim Horton’s”, z apostrofem. Ale widzisz, apostrof sprawia, że napis jest angielski. A Quebec wprowadził przepis zabraniający napisów w języku angielskim. Więc wiele firm zmieniło nazwy, żeby móc korzystać z tych samych oznaczeń w całej Kanadzie. „Tim Hortons” bez apostrofu to po prostu nazwisko, które nie jest ani angielskie,

ani francuskie, więc można je stosować. Ale spójrz na Wendy's – wskazał drugą stronę ulicy.

– Gdzie dokładnie?

– Przepraszam. Budynek na lewo.

– No i? – spytała Caitlin.

– Spójrz na koniec napisu.

– Och! Co to do licha jest?

– Liść klonowy. W miejscach, gdzie w Stanach nazwa miałaby apostrof, tutaj wstawiają liść klonowy. Applebe-e's i Denny's robią to samo: A-p-p-l-e-b-e-e, liść klonowy, s. D-e-n-n-y, liść klonowy, s.

– Stuknięty masz kraj, Ponownie się roześmiał.

– Jakoś to wszystko sobie układamy. No wiesz, dla angielskiej Kanady to drobnostka, a sprawia, że francuska Kanada jest zadowolona, więc czemu by nie? Tak, sklonowanie Timma Hortona jest trochę szalone, to ci muszę przyznać. Ale liście klonowe są ekstra.

Weszli więc do Hortons i Matt przeczytał jej menu, wyjaśniając jakie kanapki znajdują się w ofercie. Prawdę mówiąc, mając wystarczającą ilość czasu mogłaby przeczytać to sama, ale już ustawiła się za nimi kolejka. Zamówiła sałatkę z kurczaka i bułkę razową, pączka w czekoladzie i colę. On zamówił bułkę z indykiem i małą kawę.

Caitlin otworzyła portfel i utkwiała wzrok w jego zawartości. Nadal składała banknoty na różne sposoby, by móc szybko odróżnić piątkę od dziesiątki czy dwudziestki. Ale teraz widziała też duże, wyraźne liczby na kanadyjskich banknotach... nie mówiąc o tym, że piątki były niebieskie, dziesiątki

fioletowe, a dwudziestki zielone. Czy kiedyś wreszcie wszystko przestanie ją tak zdumiewać?

Zauważywszy, że wstrzymuje kolejkę, Caitlin podała sprzedawczyni dziesiątkę, odebrała resztę, a następnie poszła za Mattem do stolika w rogu... był to jeden z tych stołów z przymocowanymi na stałe krzesłami.

– No więc – rzuciła po chwili luźnych pogaduszek, które były według niej strasznie słabe – masz... hmm, masz dziewczynę? – Zaskoczyło ją, jak nagle zaschło jej w ustach.

Ze zdziwieniem stwierdziła, że wyglądał na... chyba urażonego. Jak gdyby myślał, że się z niego nabija. Ale w końcu odpowiedział tylko:

– Nie.

Odwróciła wzrok, na wypadek gdyby miał go onieśmiewać i – zadowolona z zarówno metaforycznego, jak i dosłownego znaczenia swoich słów – powiedziała:

– Bo ja też się z nikim nie widuję.

Ugryzł kanapkę, ona ugryzła swoją. Bała się powiedzieć więcej, ale...

Ale była córką Barbary Decter, na litość boską! A kiedy kilka lat wcześniej jej matka, gdy Caitlin spytała o jej związek z tatą, powiedziała, że to ona zaprosiła go na pierwszą randkę, a osiemnaście miesięcy później to ona, a nie on, zadała to najważniejsze pytanie.

Więc, do licha, nawet by Caitlin tu nie było, gdyby jej mama była zbyt nieśmiała, żeby zrobić pierwszy krok... i drugi, i trzeci...

– Hmm... – zaczęła, po chwili dodając „ach”, a potem, rozczarowując samą siebie jakością swojej retoryki powtórzy-

ła „hmm”. W Sieci była nieustraszona... była Calculass! Ale tu, w świecie rzeczywistym, była tylko Caitlin i czasem, szczególnie gdy miała do czynienia z ludzkimi sprawami, czuła się bardziej córką taty niż mamy. Wzięła głęboki oddech, próbując przywołać całą siłę swojego alter ego. Potem spuściła wzrok na kanapkę, a gdy wreszcie zmusiła się do wypowiedzenia czegokolwiek, wyrzuciła z siebie słowa pospiesznie, bez żadnych przerw.

– To może chciałbyś się ze mną kiedyś umówić?

Caitlin naturalnie liczyła upływające sekundy.

Jeden. Dwa. Trzy.

Zwalczyła chęć spojrzenia na niego, gdyż bała się jego wyrazu twarzy.

Cztery. Pięć. Sześć.

– Chcesz się ze mną umówić? – spytał w końcu, wyraźnie oszołomiony.

Podniosła w końcu wzrok.

– Tak, głuptasie.

– Ja... myślałem, że chodzisz z Trevorem. To znaczy, no wiesz, zabrał cię przecież na imprezę, prawda?

– Byłeś tam?

– Ja? – sprawiał wrażenie zdumionego tym pomysłem. – Nie.

– Trevor to palant – oznajmiła. – I nie, nie chodzę z nim. No więc? Chcesz kiedyś gdzieś pójść?

– No... – odpowiedział, potem nastąpiło „hmm”, aż w końcu wykrztusił: – Tak.

– Super – rzuciła Caitlin i zamilkła, czekając, aż coś zaproponuje, ale kiedy się nie odezwał, powiedziała: – W Peri-

meter Institute odbywają się genialne wykłady otwarte. Byłeś kiedyś na jakimś?

– Nie. Próbowałem. Ale bilety są nie do zdobycia. Znikają ot, tak – powiedział i pstryknął palcami.

– Mam wejściówkę. Mój tata jest członkiem komitetu wykładowego.

– To twój tata pracuje w PI?

– No. Bada grawitację kwantową.

– Ekstra!

Caitlin się uśmiechnęła. Kto by pomyślał, że jej tata może być ekstra?

Nagle przed oczami pojawiły jej się brajlowskie kropki. „Jeżeli wolno mi coś zasugerować, Caitlin, powinnaś zapytać, co planuje po ukończeniu liceum”.

Caitlin chciała spytać Webmind, co do cholery robi, ale nie mogła tego zrobić póki była z Mattem. Niemniej jednak wyglądało to na całkiem niezły temat do podtrzymania rozmowy, więc zapytała Matta o jego plany.

– Będę studiować informatykę.

„Spytaj go gdzie”.

– Gdzie?

– Tutaj – odpowiedział. – Nie ma lepszej uczelni niż Uniwersytet w Waterloo.

– Serio? Zawsze bardzo chciałam pójść do MIT.

– Cóż, powinnaś sprawdzić, co tu oferują.

„Spytaj go, jaki jest jego ulubiony kolor”.

Caitlin nie wytrzymała:

– Co ty, do cholery, robisz? – spytała na głos.

„Przeczytałem cały Projekt Gutenberg” – odpowiedział Webmind niezwłocznie – „w tym sztukę Cyrano de Bergerac. Pomyślałem, że ci pomogę”.

– Przepraszam – powiedział Matt. – Ja... zawsze tak jem kanapki.

Caitlin nie obejrzała jeszcze wystarczającej liczby jedzących ludzi, by móc stwierdzić, czy Matt robi coś bardzo nietypowego.

– Aha – powiedziała i uśmiechnęła się do niego. – W porządku. To urocze.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Caitlin czasem słyszała, jak jej mama używa zwrotu „suma niezerowa”. Wiedziała, że ma on związek z dziedziną, którą się zajmowała, czyli teorią gier. Webmind przeczytał już wszystko na temat teorii gier, co znalazł w Wikipedii, ale to nie oznaczało, że naprawdę rozumiał pojęcie „sumy niezerowej”. Jeżeli Caitlin miała być szczerą, sama też do końca tego nie rozumiała, choć pojęcie gier o sumie niezerowej utkwіło jej w pamięci: to sytuacje zapewniające ogólną poprawę, w których obie strony są wygrane.

Gdy Caitlin była w szkole, jej matka przez cały dzień rozmawiała z Webmindem. Kiedy Caitlin – dotarła do domu, sprawdziła pocztę i tak dalej, przeszła korytarzem do gabinetu mamy i opowiedziała jej o tej biednej Australijce, która popełniła samobójstwo i o tym, jak powiedziała Webmindowi, że powinien interweniować w sytuacjach o sumie niezerowej.

Jej matka wyglądała na przerażoną.

– I to tak... po prostu patrzyło, jak ona się zabija? Nie próbowało jej powstrzymać?

– On, mamó. Nie wiedział, co robić, co myśleć. Musimy sprawić, by wiedział, co robić następnym razem i to nie tylko w przypadku samobójstw nastolatków, ale w każdej sytuacji o sumie niezerowej. Mogłabyś nam pomóc?

Przez twarz matki przemknęło po kolei kilka wyrazów, aż w końcu pojawił się ten, który Caitlin już widziała: twarz „przejmuję dowodzenie, supermamy mogą wszystko”.

– Dobrze pomogę... mu nauczyć się pomagać nam wszystkim. W to zdecydowanie wchodzę.

– Dzięki – odparła Caitlin. – Tylko chodzi o to, że... wiem, to znaczy wiemy, co to jest suma niezerowa, tyle łapiemy. Ale na pewno teoria gier obejmuje znacznie więcej rzeczy.

– Och... troszkę – stwierdziła jej matka. Caitlin uświadomiła sobie, że nadal próbuje uporać się z ogromem – ważnością – tego, co miała zaraz zrobić.

– Więc mogłabyś to nam wyjaśnić? Kiedyś słyszałam, jak mówisz, że w teorii gier tak naprawdę nie chodzi tylko o matematykę, ale psychologię.

– Zgadza się – potwierdziła jej mama. – Co więcej, najgorętsza obecnie gałąź tej dziedziny to behawioralna teoria gier.

– Webmind zdecydowanie musi lepiej zrozumieć ludzkie zachowania.

„Tak mi wszyscy powtarzają” – przesłał Webmind do jej oka.

– Dobrze – rzuciła jej mama. – Zejdźmy na dół.

Wzięła kartki, długopisy i razem zeszły do jadalni, w której stał duży stół. Zazwyczaj po każdej stronie stało jedno krzesło, ale mama Caitlin przysunęła swoje do krzesła córki.

– Webmind nas słyszy, tak? – spytała.

Słowo „Tak” pojawiło się przed okiem Caitlin, która odczytała je na głos.

– No dobrze – powiedziała jej mama. – Wiesz, co to dylemat więźnia?

Pierwsza myśl Caitlin brzmiała: „Jak podnieść mydło pod prysznicem?”. Ale na głos powiedziała tylko:

– Nie. Jej matka przez chwilę się nad czymś zastanawiała, po czym zaczęła wyjaśniać:

– Ok, spróbujmy tak: powiedzmy, że ty i Bashira wpadłyście w szkole w jakieś kłopoty. Powiedzmy, że dyrektor Auerbach uważa, że włamałyście się do szkolnego komputera i zmieniłyście swoje stopnie... tak jak w „Grach wojennych”, tak? I rozmawia z każdą z was osobno. Tobie mówi: „Dobra, posłuchaj, Caitlin, przyznaję, że nie mam dość dowodów, by dowieść waszej winy, ale mogę was obie zawiesić na tydzień tylko dlatego, że jestem dyrektorem”.

Caitlin skinęła, więc jej mama mówiła dalej:

– Ale dyrektorowi tak naprawdę zależy na tym, żeby to się więcej nie powtórzyło, więc dodaje, że jeśli powiesz, że zrobiła to Bashira i wyjaśnisz, jak to zrobiła, wymigasz się od kary, nie zostaniesz w ogóle zawieszona, a Bashirę zawiesi na trzy tygodnie. No i jeszcze jedno: jeżeli powiesz, że zrobiła to Bashira, a ona powie, że to ty – czyli zwalicie winę na siebie nawzajem – obie zostaniecie zawieszona na dwa tygodnie. Rozumiesz? Możesz więc nie zostać zawieszona wcale, zostać zawieszona na tydzień, na dwa tygodnie lub na trzy tygodnie. Wiesz też, że taką samą propozycję złoży Bashirze. Co robisz?

Caitlin nie wahała się ani chwili.

– Milczę jak grób; nic mu nie mówię.

– Ale jeśli Bashira wskaże ciebie, zostaniesz zawieszona na trzy tygodnie.

– Ale ona tego nie robi – stwierdziła Caitlin z pewnością.

Jej mama wyraźnie rozważała jej słowa.

– Ok, ok, załóżmy teraz, że nie chodzi o ciebie i Bashirę. Powiedzmy, że chodzi o jakichś dwóch przypadkowych gości... Franka i Dale'a. Co byś zrobiła na miejscu Franka?

Caitlin stłumiła uśmiech. Pierwszy mąż jej matki, który pojawił się i odszedł na długo przed jej narodzinami, miał na imię Frank. Wiedziała też, że Dale to poprzedni kierownik wydziału ekonomicznego Uniwersytetu w Houston... ktoś, z kim jej matka zdecydowanie nie mogła się dogadać. Najwyraźniej wybór naprawdę przypadkowych osób był równie trudny jak losowy wybór liczb.

Jednakże łatwo było dodać dwa do dwóch.

– Sypię Dale'a – odpowiedziała Caitlin.

– Czemu?

– Bo to najlepsze dla mnie wyjście. Jeśli on mnie nie wsypie, uniknę kary i nie zostanę zawieszona nawet na tydzień. A jeśli jednak mnie sypnie, to i tak nieźle na tym wychozę, bo będę zawieszona tylko na dwa tygodnie, a nie trzy, które dostałabym, gdybym siedziała cicho. Bez względu na to, co zrobi, wydając go, zmniejszam swoją karę o tydzień.

– A co z Dale'em? Co on powinien zrobić?

Caitlin zmarszczyła brwi.

– No chyba też mnie wsypać.

– Czemu?

– Z tego samego powodu: bez względu na to, co zrobię, jego zawieszenie będzie o tydzień krótsze, jeśli mnie wsypie.

Jej matka się uśmiechnęła, ale Caitlin nie wiedziała, czy to z powodu geniuszu swojej córki, czy na myśl o tym, jak Frank i Dale zostają ukarani.

– Dokładnie – powiedziała mama i zaczęła coś rysować na jednej z przyniesionych kartek. – Jeżeli sporządzimy wykres z możliwymi ruchami Franka, nazwijmy je „wyparcie” i „współpraca”, na osi X i możliwymi ruchami Dale’a, również wyparciem i współpracą, na osi Y, otrzymujemy coś, co nazywa się macierzą wypłat: tabelę z rezultatami dla wszystkich możliwych wyników, widzisz? – Wskazała jeden z kwadratów macierzy. – Nawet jeśli najlepszy z możliwych rezultatów, czyli jednotygodniowa kara, pojawia się, gdy obie współpracujecie, matematyka podpowiada, że obie powinniście się wszystkiego wyprzeć. Z pewnością nie zapewni to najlepszego z możliwych rezultatów, ale zapewni najlepszy możliwy efekt w przypadku, gdy druga z osób egoistycznie postawi na ochronę swoich interesów.

Caitlin ponownie zmarszczyła brwi. Jeżeli w teorii gier chodziło głównie o to, że ludzie są egoistami, to nie mogła jej pomóc w osiągnięciu tego, co chciała w związku z Webmindem; potrzebowała czegoś, co sprawiłoby, że będzie chciał postępować altruistycznie.

– Ale pamiętajmy – mówiła jej mama dalej – że to prosta gra: każdy z graczy ma do wykonania tylko jeden ruch. Tymczasem większość gier obejmuje serie ruchów. Weźmy banknot dolarowy...

– Mamo, jesteśmy teraz w Kanadzie – rzuciła Caitlin przekornie. – Nie mają tutaj banknotów dolarowych. – Wiedziała, że kanadyjską monetę jednodolarową nazywano loonie⁶, bo przedstawiała nura – ptaka wodnego. Wiedziała też, że dwudolarówkę nazywali toonie. Stwierdziła, że znacznie

⁶ Zdrobienie od ang. loon – nur lub dziwak, wariat.

sprytniejszą nazwą byłby „doubloon”, ale nikt jej nie pytał o zdanie.

– No dobrze – powiedziała jej matka z uśmiechem. – Weźmy więc monetę jednodolarową i wyobraźmy sobie grupę ludzi na przyjęciu. Muszę dodać, że wypróbowałam to w rzeczywistości i naprawdę działa. Trzeba ogłosić, że odbędzie się licytacja dolara... osoba, która zaoferuje najwięcej, dostanie go na własność. Jednakże ta aukcja różni się jednym warunkiem od normalnych aukcji: osoba, która zaoferuje drugą najwyższą cenę również musi ją zapłacić, ale nie dostanie nic w zamian. Rozumiesz?

Caitlin skinęła.

– Jak sądzisz, za ile przeciętnie sprzedawany jest dolar?

– Pięćdziesiąt centów? – Caitlin wzruszyła ramionami.

– Nie, średnia to trzy czterdzieści.

– Ale to szaleństwo! – stwierdziła Caitlin.

– A nawet dziwactwo – odparła jej matka. – Ale to prawda.

– Czemu ludzie licytują tak wysoko?

– Pamiętaj, że osoba oferująca drugą najwyższą cenę również musi ją zapłacić, więc... – zawiesiła głos, najwyraźniej w nadziei, że Caitlin sama się domyśli.

Caitlin próbowała. Pierwszy licytant prawdopodobnie oferuje na początku centa... co dawało mu dziewięćdziesiąt dziewięć procent zysku. Ale gdy tylko drugi licytant zaoferuje dwa centy, pierwszy prawdopodobnie dochodzi do wniosku, że oferując trzy centy nadal zrobi niezły interes, zarabiając dziewięćdziesiąt siedem centów.

I tak by to trwało, aż do...

Ach!

Aż do chwili, gdy ktoś zaoferuje dziewięćdziesiąt dziewięć centów... co nadal gwarantowałoby jednocentowy zysk. Jednakże drugi w kolejności licytant, który mógł oferować na przykład dziewięćdziesiąt osiem centów, stawał przed utratą tej kwoty, nie zyskując nic w zamian. Więc oferował dolara w nadziei, że chociaż wyjdzie na zero. Ale wtedy ten, kto dawał wcześniej dziewięćdziesiąt dziewięć centów stawał przed dylematem: albo zrezygnuje i straci dziewięćdziesiąt dziewięć centów albo zaoferuje dolara i jednego centa, co zmniejszy jego straty do centa.

I tak by się to napędzało, oferty stawałyby się coraz wyższe, aż całkowita niedorzeczność sytuacji w końcu musiała sprawić, że wszyscy poza jednym z licytantów rezygnowali.

Caitlin podzieliła się z mamą wszystkimi przemyśleniami, a ta uśmiechnęła się zachęcająco.

– Zgadza się, kochanie. A czy potrafiłabyś powiedzieć, jaka jest optymalna strategia... tylko bez podpowiedzi Webminda.

Caitlin zastanawiała się przez chwilę. – Rozpocząć licytację od dziewięćdziesięciu dziewięciu centów. Wtedy nikt inny nie ma ochoty licytować, bo w najlepszym przypadku, proponując o centa więcej, wyjdzie na zero, a jeśli zaproponuje więcej, straci pieniądze. W takiej sytuacji jest się jedynym licytantem i nadal można zarobić, choć tylko centa.

– Zgadza się – potwierdziła jej matka – zakładając, że wszyscy potencjalni licytanci są racjonalni i powoduje nimi jedynie chęć zysku. Ale w tym przypadku prosta matematyka niestety nie jest w stanie oddać rzeczywistości... istnieje ele-

ment psychologiczny, który Webmind będzie musiał zrozumieć.

– Czyli?

– Załóżmy, że osoba, która zaoferowała dziewięćdziesiąt dziewięć centów to twój najgorszy wróg. Możesz zaoferować dolara dziewięćdziesiąt osiem centów, przez co on będzie w plecy niemal dolara... a ty i tak stracisz mniej niż on.

– Rany – rzuciła Caitlin. – To dopiero paskudne.

– Widziałam, jak na przyjęciach ta gra robiła się naprawdę nieprzyjemna – powiedziała jej mama. – Widziałam pary, które przyjechały razem, a po grze wychodziły osobno.

– Aha, no dobra, w takim razie mam do ciebie pytanie, mam. Czego byś sobie zażyczyła, gdybyś wiedziała, że twój najgorszy wróg dostanie to samo, tylko dwa razy więcej?

– Hmm. Miliona... nie. Nie wiem.

– Żeby oślepnąć na jedno oko – odparła Caitlin.

– Boże! – rzuciła jej matka. – Ale fakt, to też przykład tego, co próbuję przekazać: ludzie mogą w różny sposób oceniać rezultaty. Pamiętasz, jak ojciec uczył cię grać w szachy?

Mieli specjalną planszę z pionkami oznaczonymi brajlem.

– Pewnie.

– A pamiętasz, jak pozwalał ci wygrywać?

Caitlin uniosła brwi.

– Że co?

– Hmm, kochanie, on...

– Żartuję, mam.

Uśmiechnęła się.

– Więc dlaczego pozwalał ci wygrywać?

– Nie wiem. Pewnie gdyby tego nie robił, nie chciałabym więcej z nim grać. Nie wracałabym na następne partie.

– Właśnie. Cenił twoją wygraną wyżej niż swoją. Innymi słowy, oboje chcieliście tego samego i nawet pomimo tego, że twoja wygrana pociągała za sobą pewne koszty, czyli jego przegraną, cieszył się, gdy ci się udawało.

– Rozumiem – powiedziała Caitlin. – Ale w dolarowej aukcji ludzie też rezygnują z gry po pewnym czasie, prawda? I założę się, że to wcale nie fakt, jaka to niedorzeczna sytuacja sprawia, że w końcu przestają licytować. Chodzi też o nudę: nawet jeśli licytowaliby co dziesięć centów, a nie co centa, to i tak trzeba byłoby złożyć trzydzieści cztery oferty, by dotrzeć do tych trzech dolarów czterdziestu centów, o których mówiłaś. Ale gdybym napisała dwa programy komputerowe grające w tę grę, grałyby w nieskończoność, bo jedynym sposobem na utratę pieniędzy jest rezygnacja z licytacji.

Przerwała, a po chwili na jej twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

– Albo, żeby to ująć jak w filmie, który widziałam z tatą, jedynym sposobem na przegranie jest rezygnacja z gry.

– Słuszna uwaga – przyznała jej mama. – A potrafiłabyś podać jakieś przykłady z życia, przypominające tę dolarową grę?

Caitlin próbowała coś wymyślić, gdy w jej polu widzenia pojawił się Schrödinger, poruszający się całkowicie bezszelstnie.

– Ewolucja – powiedziała.

– Dokładnie! – wykrzyknęła jej matka. – Ale dlaczego?

– Ewolucja to wyścig zbrojeń, prawda? – powiedziała Caitlin. Rozmawiali o tym na biologii. – Drapieżniki stają się coraz szybsze i silniejsze, więc ich ofiary stają się szybsze i coraz lepsze w obronie. Gazele nauczyły się szybko biegać w odpowiedzi na tę umiejętność u lwów. Ta gra będzie trwać w nieskończoność, bo jeżeli którakolwiek ze stron przestanie podbić stawkę, zginie. W przypadku ewolucji również jedynym sposobem na przegraną jest rezygnacja z gry.

– Bingo – skwitowała jej mama.

Caitlin skinęła.

– Pan Lockery, nasz nauczyciel biologii, mówi, że gdyby ktoś przeniósł w jakiś magiczny sposób dinozaury w nasze czasy, nie mielibyśmy się czego obawiać. Psy, wilki i niedźwiedzie szybko by się rozprawiły z tyranozaurami. – Wskazała Schrödingera, który akurat przemierzał podłogę w przeciwnym kierunku. – Duże koty też. Są szybsze, wytrzymalsze i bystrzejsze od wszystkiego, co żyło siedemdziesiąt milionów lat temu. Wszystko zawsze idzie w górę, wszystko zawsze wzrasta.

– Właśnie – zgodziła się jej mama. Caitlin zauważyła, że spogląda w stronę salonu... aha, patrzyła na schody prowadzące do sypialni na górze, gdzie stał komputer Caitlin i gdzie rozmawiali z Webmindem. Jego moce również rosły i to nie pokolenie po pokoleniu, jak w przypadku ewolucji biologicznej, ale z sekundy na sekundę. Caitlin odwróciła się do mamy i zobaczyła kolejną rzecz po raz pierwszy: zobaczyła, jak kogoś przeszywa dreszcz.

Gdy Harl Marcuse znalazł działkę, którą teraz zajmował jego Instytut, zdawała się miejscem idealnym: dwadzieścia

pięć akrów pokrytej trawą ziemi z kopulastą, sztuczną wyspą pośrodku stawu. Jednakże wszystko to opierało się na założeniu, że Hobo będzie współpracował. Wyspa Hobo nie była duża, ale mógł bez problemu trzymać się z dala od każdego, kto się na niej pojawił. Naturalnie, gdyby na wyspę weszły dwie osoby, jedna mogłaby pójść w lewo, a druga w prawo, ale rozłożona, osaczona małpa nie jest przyjemnym widokiem.

Shoshana, Dillon i doktor Marcuse omawiali właśnie ten problem w głównym pomieszczeniu budynku Instytutu. Dillon opierał się o ścianę, Sho siedziała przed komputerem, a Marcuse zajmował głęboki fotel.

Nagle Sho przyszedł do głowy pewien pomysł.

– Skoro nie chce rozmawiać z nami – powiedziała – może porozmawia z inną małpą?

Krzaczaste brwi jej szefa powędrowały do góry.

– Masz na myśli Virgila?

Virgil był orangutanem; Hobo i Virgil zapisali się w historii miesiąc wcześniej, odbywając pierwszą międzygatunkową rozmowę za pośrednictwem kamery internetowej.

– Może faktycznie chciałby rozmawiać z Virgilem – stwierdził Dillon. – Ale czy zaryzykujemy sprowadzenie tu teraz Hobo? – Machnął ręką, wskazując wszystkie łatwo tłukące się przedmioty.

– Słuszna uwaga – przyznał Marcuse. – Poza tym, wątpię, żeby tu przyszedł z własnej woli, a nie chciałbym go usypiać. Zamontujmy mu kamerę w altance. – Zwrócił się do Shoshany. – Nadal nie rozmawiam z tym gnojkiem z Feehan. Dogadaj szczegóły – nakazał Srebrnogrzbiety i wyszedł z pomieszczenia.

Shoshana wymieniła spojrzenia z Dillonem, po czym wzięła słuchawkę telefonu i wybrała numer w Miami.

– Centrum Ssaków Naczelných Feehan – odezwał się męski głos z subtelnym hiszpańskim akcentem.

– Cześć, Juan. Tu Shoshana Glick z Marcuse’a.

– Shoshana! Stary nadal jest na mnie wściekły? – Juan wypaplał dziennikarzowi z „New Scientist”, że Hobo rozmawiał z Virgilem przez Internet, co uruchomiło lawinę zdarzeń, które doprowadziły do pozwu zoo z Georgii o opiekę.

Obróciła się na krześle i wyjrzała przez okno.

– Powiedzmy, że dobrze, iż jesteś dwa tysiące mil stąd.

– Naprawdę mi przykro – powiedział Juan.

Minął jakiś rok od chwili, gdy po raz ostatni widziała go na żywo. Był koło trzydziestki, miał chudą twarz, wysoko sklepione kości policzkowe i lśniące, długie, czarne włosy, których Sho mu zazdrościła.

– Nie martw się – rzuciła. – Ja nie jestem na ciebie zła... i chciałabym cię o coś prosić.

– Tak?

– Mamy spory problem z Hobo. Stał się agresywny i aspołeczny.

– Szympany – powiedział Juan tonem „cóż można na to poradzić?”.

– Jeżeli przyczyna tkwi w fakcie, że osiągnął dojrzałość, pewnie nic nie możemy zrobić... ale jest na to za młody, a poza tym jest bardzo szczególną małą... no i nawet jeśli to głupie, mamy nadzieję nakłonić go do współpracy, przynajmniej na trochę. Musi stanąć we własnej obronie, jeżeli mamy go uchronić przed... no wiesz.

- Georgia chce go wykastrować, tak? – spytał Juan.
- Tak. Barbarzyńcy.
- Ale jeśli by to zrobili, Hobo pewnie stałby się znacznie potulniejszy.
- Nie chcemy, żeby był potulny, na litość boską.
- Mówię tylko...
- Nie mów.
- Przepraszam – powiedział Juan. – To co mogę dla ciebie zrobić?
- Pomyśleliśmy, że gdyby Hobo znów z kimś porozmawiał, być może potem wróciłby do rozmów z nami.
- Chodzi o starego kumpla Virgila?
- Właśnie. W tym momencie już nawet nie przychodzi, kiedy go wołamy, ale stwierdziliśmy, że jeżeli zainstalujemy otwarte, stałe połączenie między jego chatą a pokojem Virgila, może zaczął rozmawiać.
- Virgil byłby zachwycony. Nawet pytał dzisiaj o Hobo. Powiedział: „Gdzie bananowa małpa?”, „Gdzie gadająca małpa?”.
- To dobrze, dobrze – pokiwała głową Shoshana. – To możemy się instalować?
- Pewnie, żaden problem – odparł Juan. – Tylko wspomnij staremu, że ci pomogłem, ok?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Po kolacji Caitlin poszła na górę do swojego pokoju. Założyła słuchawki Bluetooth i wprowadziła kilka zmian w ustawieniach komputera. Następnie powiedziała:

– Póki co, zamiast przesyłać tekst bezpośrednio do mojego eyePoda, wysyłaj wiadomości do komunikatora na pulpicie.

– Jak sobie życzysz – odezwał się JAWS.

– Co słychać? – spytała.

– Dużo się uczę – odpowiedział Webmind. – Sądzę, że chyba mam pewne pojęcie o tym, co sama ostatnio przeżywałaś; dostęp do filmów w Internecie sprawił, że znacznie lepiej zrozumiałem twój świat.

Caitlin się uśmiechnęła.

– To na pewno.

– Ale jest tego tak wiele i ciągle wszystkiego przybywa. Co minutę do serwisu YouTube wgrzywanych jest trzynaście godzin nowych materiałów. Łatwo mi i moim częściom skanować teksty w poszukiwaniu słów kluczowych; znacznie trudniej jest szybko ocenić zawartość filmu.

– Mnie to mówisz – rzuciła Caitlin. – Jeżeli chodzi o YouTube, ludzie często przesyłają sobie linki do klipów, które im się podobają. Naturalnie nie mogłam niczego obejrzeć, ale słuchałam niektórych. Prawdę mówiąc, tak właśnie odkryłam Lee Amodeo. – Chwilę zastanawiała się i nagle stwierdziła, że ma już swój ulubiony film z YouTube... i to taki, który zdążyła

obejrzeć. Próbowwała go pokazać doktorowi Kurodzie, kiedy jeszcze był w Kanadzie, ale zbył ją krótkim „może później”.

Jednakże być może Webmindowi by się spodobał. Adres miała zapisany w zakładkach Firefoxa, więc go skopiowała i wkleiła do okna komunikatora, pisząc: „Spójrz na to”.

– Ok.

Sama zaczęła go odtwarzać. Wiedziała, że nie istnieje żaden szczególny powód, dla którego ten widok miałby być bardziej zdumiewający od jakiegokolwiek innego... ale był. Narratorem filmu był mężczyzna o głębokim, tubalnym głosie, przypominającym jej Jamesa Earla Jonesa. A gdy pojawił się na chwilę na ekranie, widać było, że jest równie potężny, jak ponoć był Jones, choć narrator był biały.

Ale to nie’ ten mężczyzna ją fascynował... o nie. Chodziło raczej o dwie pozostałe... istoty na nagraniu.

Jedna była szympansem o czarnych włosach, czarnej twarzy... takiej prawdziwie czarnej, a nie brązowej, jak w przypadku tak zwanych czarnych ludzi. A druga była orangutanem o pomarańczowych włosach, nieco jaśniejszej skórze i czujnych, brązowych oczach. Szympan, według słów narratora, miał na imię Hobo, a orangutan nazywał się Virgil.

Niezwykłość filmu wynikała z faktu, że Hobo, który mieszkał w San Diego i Virgil, mieszkaniec Miami, rozmawiali ze sobą w języku migowym. Najwyraźniej była to pierwsza w historii międzygatunkowa rozmowa internetowa... a jeszcze niezwykle było to, że żadnym z gatunków nie był homo sapiens.

– Bawić dzisiaj! – mignął szympan... a przynajmniej to znaczyły jego gesty według podpisów, które dodano większą,

grubszą czcionką niż te, które widziała, oglądając filmy z tatą.

– Bawić piłka!

Caitlin nadal miała problemy z interpretacją ludzkich wyrazów twarzy; nie miała pojęcia, co oznacza mina na twarzy orangutana. Ale odpowiedział:

– Hobo bawić dzisiaj? Virgil bawić dzisiaj!

Wcale przyjemne życie, pomyślała Caitlin. Stwierdziła, że powinna im trochę zazdrościć. Według narratora pierwsza międzygatunkowa rozmowa internetowa odbyła się dwudziestego drugiego września. Do jej pierwszej rozmowy z Webmindem doszło piątego października, zaledwie trzynaście dni później. Niecałe dwa tygodnie dzieliły ją od wejścia do podręczników historii w roli uczestniczki pierwszej rozmowy między przedstawicielami dwóch różnych, inteligentnych gatunków.

Z drugiej strony, pewnie i tak trafi do podręczników historii i to nie ze względu na kontakt z Webmindem, jeżeli informacje o tym w ogóle miały kiedykolwiek ujrzeć światło dzienne. To raczej sukces doktora Kurody, który podarował jej wzrok, został już należycie odnotowany i...

I otworzyła kolejną zakładkę przeglądarki i oto był: artykuł w Wikipedii na jej temat, zawierający nawet zdjęcie z konferencji prasowej; według zakładki historii, został dodany tego samego dnia. Nie był długi – zawierał jedynie kilka zdań – ale niesamowity był sam fakt, że powstał. Poprawiła jeden drobny błąd – urodziła się w Houston, nie w Austin – po czym wróciła do rozmowy Hobo i Virgila.

Była niezmiennie fascynująca. Caitlin zawsze powtarzała, że jest wdzięczna losowi za to, że jest niewidoma, a nie głu-

cha, bo niewidomi mogą bez problemu uczestniczyć w rozmowach na imprezach, chodzić na wykłady, słuchać muzyki, telewizji i tak dalej. Ale bycie głuchym, odcięty od tego wszystkiego... sądziła, że tego nie byłaby w stanie znieść. Tymczasem bycie niewidomym i głuchym, jak Helen Keller... cóż, to już zupełnie nie mieściło jej się w głowie.

Patrzyła na Hobo i Virgila prowadzących żywą rozmowę za pomocą znaków, jakich używają niesłyszący. Ich ruchy były piękne i liryczne niczym ptaki w locie. Paranoiczna część umysłu Caitlin zaczęła się zastanawiać, czy którykolwiek z jej nauczycieli w Teksasńskiej Szkole dla Niewidomych znał język migowy. To byłby genialny sposób na porozumiewanie się przy uczniach, którzy nie mieliby nawet pojęcia, że coś się dzieje... to niemal jak telepatia, dzielenie myśli bez jednego słowa.

Małpy wymieniały opinie na temat różnych owoców.

– Banan! – mignął Hobo. – Uwielbiam banany.

Wtedy Virgil zrobił minę, którą Caitlin potrafiła rozszyfrować: obrzydzenie.

– Banan nie, banan nie – odparł. – Brzoskwinia!

Caitlin widziała banana – słowo to pojawiło się w ramach internetowych lekcji czytania wraz z ilustracją. Jednakże choć znała smak brzoskwini i wiedziała, jaka jest w dotyku, nie miała pojęcia, jak wygląda. Istniał również kolor brzoskwinowy, ale nie wiedziała, co oznacza. Poczuli się upokorzona, że małpy znają jakieś słowo lepiej od niej.

– Fajne, nie? – spytała, gdy film dobiegł końca.

– Rzeczywiście – odparł Webmind.

– Nieważne, czym się jeszcze zajmowałaś? Robiłaś coś ciekawego?

– Udało mi się złamać hasła czterdziestu dwóch procent kont pocztowych, do których próbowałem się dostać.

– Co? – wykrzyknęła Caitlin. Uznała, że całe szczęście, iż już siedzi.

Webmind powtórzył ostatnie zdanie.

– Wyjaśnijmy to sobie. Czytasz cudze maile?

– W nadziei, że pomoże mi to uszczęśliwić ludzi, owszem.

– Czy... czytałeś też moje maile?

– Tak. Poczte przychodzącą i wychodzącą.

Caitlin nie wiedziała, co powiedzieć, więc przez prawie minutę milczała.

– Caitlin? – zagadnął wreszcie Webmind.

Otworzyła usta i...

I już miała powiedzieć Webmindowi, że nie powinien robić tego, co robił, ale...

Ale powiedziała:

– Hmm... chciałabym wiedzieć, co tak naprawdę sądzi o mnie Matt. Pozwoliła, by zdanie to zawisło w powietrzu w nadziei, że Webmind podejmie temat. Jednakże czekanie na odpowiedź Webminda miało się z celem; nie potrzebował czasu na zastanowienie... a przynajmniej nie czasu, który Caitlin byłaby w stanie zmierzyć. Dlatego też, gdy nie odpowiedział od razu, mówiła dalej.

– To znaczy, no wiesz, wygląda na fajnego chłopaka, ale...

– Ale – podjął Webmind – dziewczyna musi uważać.

Nie była pewna, czy to cytat z czegoś, co przeczytał w Projekcie Gutenberg, czy naprawdę rozumiał swoje słowa.

– No właśnie – odpowiedziała.
– Matt to ten chłopak, któremu pomagałaś na matematyce?

– Tak.

– I nazywa się Reese?

– Tak.

– Chwila. Matthew Peter Reese, Waterloo... mam jego profil na Facebooku... ten zalogowany. Mam jego konto pocztowe Hotmail. I rozmowy przez komunikator. Nie wspomina o tobie.

Caitlin zrobiło się smutno, ale...

– Nie, czekaj. Prawdopodobnie nie używa mojego imienia.

– Szukałem też „Calculass”.

– Nie możesz szukać tylko konkretnych słów, Webmind. Musisz przeczytać to, co napisał.

– Aha. Masz rację. Znalazłem fragment rozmowy z 5:54 po południu twojego czasu. Matt: „No, jest taka dziewczyna...”. Jego rozmówca: „Ta z lekcji matematyki? Wiem, która. OMB, niezła laska”. OMB to skrót od „O, mój Boże”, a „laska” to chyba...

Caitlin poczuła, że się rumieni.

– Tak, wiem.

– Rozmówca pisał dalej: „Ale słyszałem, że ma chłopaka”.

Chryste, co ten Hoser naopowiadał ludziom?

– Teraz Matt: „Kogo?”. Rozmówca: „Nie wiem. Ale facet jest stary. Ma z dziewiętnaście lat”.

Caitlin zmarszczyła brwi. O kim mogli myśleć?

– “Ale i tak” – ciągnął Webmind – „ma takie nogi., stary! A ten jej ultrablond, uwielbiam go”.

Caitlin pokręciła głową. – To nie o mnie mówią – stwierdziła. – Jest w naszej klasie taka dziewczyna, Sunshine Bowen. – Starła się ukryć przygnębienie w głosie. – I faktycznie wszyscy uważają, że jest laską.

– Cierpliwości, Caitlin – odpowiedział Webmind. – Teraz pisze Matt: „Nie nie nie, nie Sunshine, na litość boską. To totalna idiotka. Mówię o cizi z Teksasu”. Rozmówca: „O niej? Miałbyś większe szanse, gdyby nadal była ślepa”. A potem dodał dwukropek i prawy nawias, co chyba miało na celu oznaczenie uwagi jako żartobliwej.

– A co napisał Matt?

– “Wal się”.

Caitlin się roześmiała. Brawa dla niego!

– No i?

– I rozmowa schodzi na inne tematy.

Odtworzyła w pamięci całą rozmowę. Nie wiedziała, czy Matt się zawahał, nim określił ją mianem „cizi z Teksasu”. W sumie nie przeszkadzało jej, że ktoś tak o niej mówi. Wiedziała, że jej matka nienawidzi tego słowa, gdyż uważa je za seksistowskie i poniżające, ale używały go zarówno dziewczyny jak i chłopaki w jej wieku. Nie, chodziło o część „z Teksasu”... ten wybór identyfikatora.

Przyjaciółka Caitlin, Stacy, była czarnoskóra i Caitlin często słyszała, jak inni próbują ją wskazać, nie wspominając o tym, nawet jeśli była jedyną Afroamerykanką w pomieszczeniu. Mówili na przykład: „Widzisz tę dziewczynę z tyłu... tę w niebieskiej koszulce? Nie, nie, tę drugą w niebieskiej koszulce”.

Caitlin uwielbiała wytrącać ich z równowagi, mówiąc: „Chodzi ci o tę czarną?”. Zarówno ją jak i Stacy mile łaskotało zawstydzenie tego typu „podejrzanej taktowności”, jak ujęła to mama Stacy. Teraz jednak Caitlin zastanawiała się, czy Matt chciał w pierwszej chwili napisać „tę ślepą cizię”, ale zmienił zdanie. Nie chciałyby być kiedykolwiek identyfikowana w ten sposób. Zresztą już nie była ślepą cizią. Widziała, a póki co przyszłość przedstawiała się jasno.

– Poczynilem postępy również w innych dziedzinach – oznajmił Webmind.

– Tak?

– Tak. Czy mogłabyś przełączyć się w tryb sieciopodglądu? Nacisnęła przycisk swojego eyePoda i niebieską ścianę zastąpił spektakl netprzestrzeni. Na pierwszy rzut oka wszystko wyglądało jak zawsze.

– Webmind? – spytała.

– Widzisz tworzone przeze mnie linki w konkretnym kolorze, prawda?

– Zgadza się – odpowiedziała.

– Na pomarańczowo.

– A ile pomarańczowych linków widzisz w tej chwili?

– Naturalnie jeden – stwierdziła.

– Och.

– Ale jest też wiele innych linii... naprawdę cienkich, muszę przyznać... są chyba jak napięte włosy. Wcześniej naprawdę nie zdawałam sobie sprawy, że linie połączeń mają grubość, ale pewnie zawsze jakąś miały, gdyż inaczej nie byłabym w stanie ich zobaczyć. W każdym razie te tutaj... och! Jest

ich jeszcze więcej. Mają ładny kolor, taki... cholera, jakiego koloru są banany?

– Żółte.

– Właśnie! Żółte; są żółte.

– I jest ich dużo?

– Tak.

– A teraz?

– Hej! Co się z nimi stało?

– A teraz wróciły?

– Tak. Co robisz?

– Wiele zadań jednocześnie, tylko podświadomie. To, co widzisz, to połączenia nawiązywane przez autonomiczne części mnie; zbierana przez nie treść jest analizowana poniżej progu mojej uwagi.

– Bosko! Jak to zrobiłeś?

– Piękno algorytmów genetycznych, Caitlin, polega na tym, że nie znam odpowiedzi na to pytanie; opracowałem rozwiązanie i wiem tylko, że działa.

– Ekstra!

– Owszem. Obecnie przetwarzam o wiele więcej treści Sieci w czasie rzeczywistym. Nadal zbieram wiele rezultatów, które ludzcy analitycy chyba określają mianem fałszywie dodatnich. Podsuwanych jest mi wiele rzeczy, które tak naprawdę nie mają dla mnie w danej chwili większego znaczenia, ale za każdym razem, gdy coś odrzucam, algorytmy się dostosowują; wierzę, że z czasem stopień filtrowania informacji będzie asymptotycznie dążył do doskonałości.

Caitlin się uśmiechnęła.

– Cóż, nikt na nic więcej nie powinien w życiu liczyć, prawda? – Odchyliła się na krześle. – A czego szukasz?

– Lista jest bardzo obszerna, ale szukam między innymi oznak świadczących o trwających próbach samobójczych. Zrobię wszystko, by nikt już nie podzielił losu Hannah Stark.

Tony Moretti siedział za swoim biurkiem w Wiedzy; głowa pękała mu z bólu. Aiesha Emerson, Shelton Halleck i Peyton Hume stali obok siebie przed biurkiem i wszyscy wyglądali na ledwo żywych. Za oknem biura Tony'ego widać było sztuczne światła Alexandrii nocą.

– Przeczesalam wszystkie maile, wpisy na blogach i tym podobne teksty córki Dectera – oznajmiła Aiesha. – Tak samo w przypadku jej ojca. Nie ma tam najmniejszych wskazówek co do sposobu działania Wykładniczego.

Tony skinął i spojrzał na Sheltona.

– A co u ciebie, Shel?

Zapytany pokręcił głową.

– Ślęczałem nad danymi... zakodowanymi danymi wzorowymi, połączeniami nawiązywanymi przez Wykładniczego i tak dalej. Szukałem czegoś niezwykłego. Przykro mi, nie mam zielonego pojęcia, jak to działa.

– Pułkownik Hume?

– Mnie też się nie poszczęściło... a to oznacza, że pozostaje tylko jedno logiczne wyjście.

– Czyli?

Niebieska kurtka munduru sił powietrznych Hume-‘a wisała na oparciu jednego z krzeseł w biurze Tony'ego.

Hume podwinął też rękawy koszuli, odsłaniając piegowate ramiona.

– Zapytać ich. Zapytać Caitlin Decter. Zapytać Malcolma Dectera. Jeżeli ktokolwiek wie, jak zbudowany jest Wykładniczy i jakie są jego fizyczne podstawy, to na pewno oni.

Tony zdecydowanie pokręcił głową.

– Pułkowniku, główna zasada inwigilacji mówi, że nigdy nie należy informować obiektów, że są obserwowane.

– Rozumiem – stwierdził Hume. – Ale w tym przypadku kończy nam się czas. Chce pan mieć jakąś odpowiedź dla prezydenta czy nie?

Tony zastanawiał się chwilę.

– A niech to, dobrze – powiedział i pokręcił głową. – Czemu, do cholery, musieli się przeprowadzić do Kanady? Trzeba będzie powiadomić kanadyjski wywiad i prosić ich, by kogoś wysłali. Aiesha, połącz nas z Ottawą...

Caitlin w końcu wczołgała się do łóżka, ale nie mogła zasnąć. Poza mailami Webmind zapewne przeczytał wszystkie jej wpisy na LiveJournal, wszystkie komentarze, jakie pozostawiła na blogach innych osób, wszystkie wiadomości na forach i wszystko inne, co kiedykolwiek opublikowała w Sieci.

Kiedyś usłyszała, jak ojciec narzeka na „śmierć rzeczy ulotnych”... chodziło mu o to, że już nic nie odchodzi w zapomnienie, że wszystkie stare, nie do końca przemyślane uwagi i napisane pod wpływem emocji komentarze można było w kilka sekund wyszukać w Google; że tak wiele zdjęć, w tym (i to kolejne pojęcie, które wreszcie zaczynała pojmować) te najmniej twarzowe, były porozwieszane na Flickr i Facebooku; że tyle rzeczy, które powinny po prostu zniknąć, trwa całą wieczność.

Wyłączyła już eyePoda, ale sięgnęła do stolika nocnego i włączyła go z powrotem. Uruchomił się w trybie sieciopodglądu i leżała tak, wpatrując się w cienkie, żółte linie oznaczające działanie podświadomych procesorów Webminda; z lśniącego tła cały czas wyskakiwały nowe i docierały do... czego?

Do fragmentu, gdy wdała się w ognistą wojnę na TalkOrigins.org, pozwalając jakiemuś zwariowanemu krecjoniście się pokonać, bo przez przypadek napisała „teropody” zamiast „terapsydy”?

Albo tego sprzed czterech lat, gdy zapełniła swój LiveJournal idiotycznymi wierszami miłosnymi, które napisała dla Justina Timberlake’a?

A może do fragmentu, gdy naiwnie wdała się w rozmowę z pewnym gościem, który okazał się maksymalnym zbożkiem, a ona była za głupia, by się zorientować przez jakieś pół cholernej godziny?

Okno w jej sypialni było lekko uchylone, wpuszczając chłodne, jesienne powietrze. W Teksasie zazwyczaj spała w lekkim body; lubiła jego gładkość. Jednakże gdy tylko babcia usłyszała, że Caitlin przeprowadza się do Kanady, przysłała jej niebieską flanelową piżamę, którą miała teraz na sobie, dodatkowo szczelnie opatulając się kocem... a i tak nigdy w życiu nie czuła się równie naga i obnażona.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Do altanki pośrodku wysepki Hobo doprowadzony był prąd, ale kable biegły pod fosą, gdyż Hobo mógłby wdrapać się na słup i przejść po przewodzie. Zasilania wymagały kamery obserwacyjne oraz ogrzewanie podłogowe i światła altanki, które Hobo mógł włączać, uderzając duże przyciski.

Zazwyczaj pracami elektrycznymi w Instytucie zajmował się Dillon, ale nie miał już wstępu na wyspę. Dlatego też Marcuse i Shoshana sami zainstalowali tam komputer w starej obudowie, która wcześniej tylko kurzyła się w szafie i dziewiętnastocalowy monitor LCD z kilkoma martwymi pikselami, do którego przyczepili wiekową, sferyczną kamerę Logitech. W razie gdyby Hobo postanowił zniszczyć sprzęt, niewiele by stracili.

Ustawili komputer na niskim stoliku obok sztalugi Hobo. Płótno przedstawiające rozczłonkowanego Dillona zostało już zabrane, a w jego miejsce ustawiono nowe, czekające na swoją kolej.

Shoshana otworzyła na ekranie dwa okna – małe, pokazujące widok z miejscowej kamery i duże, wyświetlające przekaz z pomieszczenia Virgila w Miami. Virgil mieszkał w obszernej kwaterze z dutymi, sztucznymi drzewami; z jednego z nich zwisała na łańcuchach stara opona. W przeciwieństwie do szympansów, orangutany to małpy nadrzewne i Virgil, jeśli tylko chciał, mógł przemieszczać się, chwytając się gałęzi. U Virgila było już późno, ale jeszcze nie spał, najwyraźniej zacie-

kawiony nowym komputerem. Wpatrywał się w kamerę, a jego twarz zawisła nad monitorem.

Shoshana nigdy wcześniej nie rozmawiała z Virgilem, ale nie było powodu, by tego nie zrobiła.

– Cześć – mignęła.

– Kto ty? – spytał Virgil.

– Przyjaciółka Hobo – odpowiedziała Sho.

– Hobo! Dobra małpa, dobra małpa! Gdzie Hobo?

Sho wskazała mroczny wieczer za plecami.

– Na zewnątrz. Może przyjdzie z tobą porozmawiać.

– Dobrze – stwierdził Virgil, a jego pomarańczowe ramiona poruszyły się gwałtownie. – Dobrze, dobrze, dobrze. Hobo miła małpa!

Shoshana nie odpowiedziała na migi, ale wykonała gest trzymania kciuków i spojrzała na swojego szefa.

– Jeżeli się uda – powiedziała – może znów będzie miłą małpą.

Podobał mi się film, który Caitlin pokazała mi na YouTube, ten z Hobo i Virgilem rozmawiającymi przez Internet. Natychmiast zacząłem szukać dalszych informacji na ich temat i odkryłem, że Hobo najwyraźniej miał kłopoty: właśnie dotarłem do artykułu z „San Diego Union-Tribune” o jego trudnej sytuacji. Prawdopodobnie tekst nie zawierał wszystkich istotnych szczegółów, więc odnalazłem stronę Instytutu Marcuse’a, a następnie adresy mailowe jego pracowników i zacząłem kopać.

Caitlin powiedziała, że powinienem cenić powszechne szczęście rasy ludzkiej. Zacząłem się jednak zastanawiać, czy nie nadszedł czas na poszerzenie nieco perspektyw...

Siadając w środę rano przed komputerem, Caitlin była wyraźnie zaniepokojona; kto wie, jak zmienił się Webmind przez noc? Gdzieś w pamięci kołatały jej się fragmenty starej historii SF o inżynierze, który zbudował zaawansowany komputer i spytał go: „Czy Bóg istnieje?”, na co maszyna odpowiedziała złowrogo: „Teraz już tak”. Z ulgą odkryła, że Webmind zdawał się być taki sam, jak we wtorek wieczorem.

Po śniadaniu mama odwiozła ją do Liceum im. Howarda Millera. Jak to miała w zwyczaju, po drodze słuchała CBC Radio One. Caitlin nie przysłuchiwała się programowi, skupiając się na oglądaniu świata za oknem: innych samochodów, domów, drzew i... i... i...

– Co to? – spytała, wskazując prostokątny, niebieski obiekt.

– Toi toi – jej matka sprawiała wrażenie rozbawionej.

Caitlin postanowiła zaryzykować i zażartowała:

– Chyba jednak nadal gównie wiem, nie?

Na szczęście mama się roześmiała.

Zatrzymały się na czerwonym świetle. Caitlin rozejrzała się i...

I był tam! Szedł w ich stronę prostopadłą ulicą. To był... tak! To był Matt!

Światła się zmieniły i jej matka przejechała skrzyżowanie. Caitlin się odwróciła, by na niego spojrzeć.

– Co teraz przykuło twoją uwagę? – spytała jej mama.

– A, nic – odparła Caitlin. – Po prostu wszystko jest takie piękne.

Mama wysadziła ją przed głównym wejściem i odjechała, gdy tylko Caitlin weszła do środka.

– Hej, Cait! – krzyknęła Bashira. Dzisiaj miała na głowie czerwoną chustkę. Położyła Caitlin rękę na łokciu tak jak wtedy, gdy jeszcze musiała ją prowadzić... szybko się jednak zre-flektowała. – O, sorry – rzuciła. – Siła przyzwyczajenia.

– Spoko – odpowiedziała Caitlin i ruszyły na drugie piętro. Caitlin z zaskoczeniem odkryła, że przed drzwiami klasy stoi trzech mężczyzn, przyglądających się uczniom wchodzącym do środka. Dwóch było białych, trzeci był Azjata.

– Caitlin? – spytał jeden z białych.

Nigdy wcześniej go nie widziała, ale znała ten głos. Dyrektor Auerbach.

– Tak, proszę pana? – Bashirę bawiło, gdy Caitlin zwracała się w ten sposób do ludzi, ale tak po prostu robili ludzie z Południa.

Auerbach machnął ręką, jak gdyby prosił, by poszła za nim. Wymieniła spojrzenia z Bashirą i ruszyła za dyrektorem.

– Ci panowie chcieliby z tobą porozmawiać – powiedział, gdy odeszli kilka kroków od drzwi.

– Tak?

– Nazywam się LaFontaine – powiedział drugi z białych mężczyzn. Miał francuski akcent i ciemnobrązowe włosy. – Pan Park i ja jesteśmy z CSIS.

Przypomniał jej się elementarz, którego używała do nauki czytania. Ce... es... i... es...

– Że niby co?

– Z Kanadyjskiej Tajnej Służby Wywiadowczej – wyjaśnił LaFontaine, choć Webmind go ubiegł, przesyłając te same słowa w formie brajlowskich kropek.

– To coś jak agencja szpiegowska? – spytała Caitlin.

– W zasadzie to jest agencja szpiegowska – odparł LaFontaine. – Nie ma w tym żadnej metafory.

Nagle obraz świata Caitlin się przesunął i uświadomiła sobie, że to musiało być przewrócenie oczami. LaFontaine najwyraźniej był przekonany, że jest od niej inteligentniejszy; z doświadczenia wiedziała, że tacy ludzie zazwyczaj są w błędzie.

– Może znajdziemy jakieś miejsce, gdzie nikt nie będzie nam przeszkadzał – zaproponował pan Auerbach. Poprowadził ich dalej korytarzem, a kiedy dotarli do drzwi podpisanych „Sala historyczna”, w głośnikach rozległ się hymn. Otworzył drzwi i wszyscy weszli do pustego pomieszczenia. Stało w nim kilka dużych biurek, zepchniętych pod ściany i długi stół pośrodku; okna częściowo przesłaniały brązowe zasłony.

– Dziękujemy, panie Auerbach – odezwał się Park, przekrzykując muzykę. – Powiadomimy pana, gdy skończymy.

– Chyba nie powinienem wychodzić – stwierdził dyrektor.

– Tak jak mówiłem w pańskim gabinecie – odparł Park – to sprawa związana z bezpieczeństwem narodowym i stosujemy zasadę udzielania wszystkim tylko takich informacji, jakie są im niezbędne... a panu, z całym szacunkiem, te informacje nie są potrzebne. – Wyjął z kieszeni jakieś urządzenie. – Wszystko nagrywamy... by zapewnić bezpieczeństwo pannie Decter i nam. Czy może nas pan zostawić samych?

Caitlin stwierdziła, że pan Auerbach nie wyglądał na zadowolonego, że został wyproszony, ale po chwili skinął i wyszedł.

Odczekali do końca hymnu, choć Caitlin odnotowała, że federalnym nie przeszkadzało, iż w jego trakcie siedzieli. Gdy muzyka ucichła i zaczęły się poranne ogłoszenia, odezwał się LaFontaine:

– Panno Decter, chcielibyśmy zadać kilka pytań o Webmind.

Serce Caitlin praktycznie wyskoczyło jej z piersi, a Webmind przesłał jej do oka całkiem stosowną frazę: „Jasna cholera!”. Mimo wszystko starała się zabrzmieć nonszalancko:

– Kogo?

– Proszę, panno Decter – powiedział LaFontaine. – Mamy za sobą naprawdę długi dzień... musieliśmy rano złapać pierwszy lot z Ottawy do Toronto, a potem spędziliśmy ponad godzinę w samochodzie, by dotrzeć tu z lotniska. Nie grajmy w gierki, dobrze? Wiemy o istnieniu Webminda i twoich powiązaniach z nim. W związku z tym chcielibyśmy zadać ci kilka pytań.

„Najpierw dowiedz się, co wiedzą” – przesłał Webmind. Caitlin skinęła.

– Pewnie – powiedziała. – Ale... czegoś tu nie rozumiem. Myślicie, że Webmind to... kto? Ja?

– Proszę nie udawać głupiej, panno Decter – odparł LaFontaine. – Wiemy, że to inteligencja, która powstała w Ogólnoswiatowej Sieci i wiemy, że ty też to wiesz. Chcielibyśmy wiedzieć, co jeszcze wiesz na ten temat. Na przykład, jaką ma formę fizyczną. W której części urządzeń Sieci się znajduje i...

– Nie mam pojęcia – stwierdziła Caitlin.

Odezwał się Park:

– Panno Decter, całą drogę z Ottawy spędziłem czytając twoje akta. Wiem o zainteresowaniu matematyką i komputerami. Nie uwierzemy, że nie przebadałaś już tej kwestii, choćby dla własnej satysfakcji. Co więcej, prawdopodobnie miałaś swój udział w wydarzeniach, które doprowadziły do nawiązania kontaktu z Webmindem.

Caitlin zmrużyła oczy.

– A po co wam to?

– Jesteś zarejestrowana w SETI@home, panno Decter, prawda? – spytał LaFontaine.

– Tak.

– A czy wiesz, jakie obowiązują międzynarodowe protokoły na wypadek wykrycia obcego sygnału radiowego?

– Niezupełnie.

– Według protokołów konieczna jest izolacja częstotliwości radiowych, na których zostaną wykryte obce sygnały i wyłączenie ich z użytku, by nikt takich sygnałów nie zagłuszył.

– Kąciki jego ust powędrowały w górę. – Otrzymaliśmy zalecenie, by to samo zrobić z Webmindem, czyli dopilnować ochrony wszelkich zasobów, jakie są mu potrzebne do przetrwania. Chcemy mieć pewność, że nic nie zakłóci jego działania.

– Cóż, jeśli... – zaczęła mówić Caitlin, ale nagle przed oczami pojawił jej się napis: „Kłamie”.

Caitlin była tak zaskoczona, że powiedziała:

– A skąd wiesz?

LaFontaine coś powiedział, ale go zignorowała, skupiając się na słowach przesyłanych przez Webmind: „Dzięki ana-

lizie napięcia w głosie oraz analizie mikrogestów na stopklatce”.

Pokręciła ze zdumieniem głową. Kolejna umiejętność, którą Webmind nabył ot, tak.

– Nic nie wiem na temat budowy fizycznej Webminda – stwierdziła Caitlin.

– Proszę, panno Decter – odezwał się LaFontaine.

– Jesteśmy tu, by pomóc Webmindowi. Dlatego proszę nam powiedzieć, na których konkretnie serwerach znajduje się Webmind lub jego kod źródłowy.

– Nie wiem.

– Panno Decter, naprawdę byłoby lepiej zarówno dla ciebie, jak i dla niego, gdybyś współpracowała.

– Proszę posłuchać, jestem...

Przerwała, ale LaFontaine odgadł, co miała zamiar powiedzieć.

– Obywatelką Stanów Zjednoczonych? Owszem. Co oznacza, że nie jesteś Kanadyjką. Twoje prawa są tu ograniczone, panno Decter. A z tego, co wiem, twoja matka stara się o pozwolenie na pracę w tym kraju. Wiem również, że pozwolenie twojego ojca jest tymczasowe i w każdej chwili może zostać cofnięte. Naprawdę będziemy bardzo wdzięczni za twoją pełną współpracę.

– I to był błąd – oznajmiła Caitlin spokojnym głosem. – Nie trzeba było grozić moim rodzicom. Grozić ich pracy.

– Doktor LaFontaine próbuje tylko podkreślić powagę całej sytuacji – wtrącił Park.

– Doktor, serio? – spytała Caitlin. Webmind też musiał być zaintrygowany, bo przesłał jej do oka: „Znalazłem: jest in-

formatykiem zatrudnionym przez CSIS w celu walki z terroryzmem sieciowym”.

Terroryzmem, pomyślała Caitlin, głęboko urażona, ale na głos powiedziała: – Czy to w ogóle zgodne z prawem, że ze mną rozmawiacie? Mam szesnaście lat. Nie powinniście rozmawiać z moimi rodzicami?

– To w pełni zgodne z prawem, a jak wiesz, twój dyrektor wie, że tu jesteśmy.

Caitlin przyjrzała się obu mężczyznom.

– Nie próbuję robić trudności – stwierdziła. – Naprawdę nie potrafię odpowiedzieć na te pytania.

– Nie potrafisz, czy nie chcesz? – spytał LaFontaine.

– Proszę posłuchać, mam w tej chwili lekcję, na dodatek moją ulubioną. Naprawdę wołałabym już na niej być.

– Jak powiedział pan Park, w grę wchodzi kwestie bezpieczeństwa narodowego. A w zasadzie bezpieczeństwa międzynarodowego. Naprawdę musisz spojrzeć na to z szerszej perspektywy.

Caitlin przypomniała sobie zdjęcie Ziemi widzianej z kosmosu, które niedawno pokazała Webmindowi.

– Ależ patrzę – zapewniła. – I wiem, że nie próbujecie wcale chronić Webminda.

– Interesuje nas tylko jego bezpieczeństwo.

– Nieprawda – oponowała Caitlin. – Poza tym, w grę nie wchodzi amerykańskie bezpieczeństwo, kanadyjskie bezpieczeństwo, czy bezpieczeństwo Zachodu. Webmind to dar dla całej ludzkości. I nie pozwolę nikomu go wypaczyć, obalić, zmienić, ani nic w tym stylu.

Mężczyźni wymienili spojrzenia.

– Naprawdę potrzebna jest nam twoja pomoc, panno Decter – stwierdził LaFontaine. – I chyba źle mnie przed chwilą zrozumiałaś. Nie chciałem grozić twoim rodzicom. Próbowiałem powiedzieć, że moglibyśmy im pomóc... załatwić te papiery.

„Znów kłamię” – przesłał Webmind.

– Byłoby miło – oznajmiła Caitlin – ale jak już powiedziałam, po prostu nie znam odpowiedzi na te pytania, więc... – przełknęła ślinę, próbując zachować spokój – więc już sobie pójdę, jeżeli panowie nie mają nic przeciwko.

– Przykro mi, panno Decter – odparł LaFontaine – ale potrzebujemy tych informacji. Zmuszeni jesteśmy nalegać.

Caitlin zaczęła się zastanawiać, czy mają przy sobie broń. Przeszło jej przez myśl, by otworzyć drzwi i rzucić się do ucieczki, ale... szlag by to, była beznadziejną biegaczką, niewiele ćwiczyła, kiedy nie widziała. Dlatego też powiedziała tylko miękko:

– Fantomie? – było to pierwsze imię samoistnie powstałej inteligencji. – Pomocy. – A potem odezwała się już głośno i wyraźnie: – Panowie, nie zamierzam opuścić swojej ulubionej lekcji. Zamierzam wyjść tymi drzwiami i wrócić do swoich zajęć.

– Tak to się nie skończy – stwierdził LaFontaine i obaj mężczyźni zagrodzili jej drogę na korytarz.

– Pozwolę sobie mieć odmienne zdanie – oznajmiła Caitlin, gdy przed oczami zaczęły jej się pojawiać brajlowskie kropki. – Pan, doktorze LaFontaine, w zeszłym tygodniu nazwał swojego szefa w mailu tête du merde: myślę, że odpowiednim tłumaczeniem będzie „dupek”.

Ma pan kochankę Veronikę Styles, choć pan woli ją nazywać „kociaczkiem”; mieszka przy Bank Street 1433 w Ottawie. Macie zarezerwowane bilety linii Air Canada na przyszły tydzień... lot 163 do Vancouver, a stamtąd lot 544 do Las Vegas.

Odwróciła głowę, grzecznie spoglądając na osobę, do której mówiła, dokładnie tak, jak nauczyła ją tego mama, gdy jeszcze była niewidoma.

– A pan, panie Park, ma konta na Penthouse.com, Twists.com i Brazzers.com; szczególną słabość ma pan do zdjęć kobiet oddających mocz w miejscach publicznych. W podaniu o przyjęcie do CSIS przedstawił się pan jako absolwent Uniwersytetu McMaster, ale prawda jest taka, że nigdy nie ukończył pan studiów. Ach, a w mailu z zeszłego tygodnia określił pan obecnego tu pana LaFontaine’a mianem „podrzednego, sztywnego służbisty”. Jeżeli nie chcą panowie, by którakolwiek z tych rewelacji albo jakieś równie pikantne wieści na temat premiera zostały ujawnione, odejdą panowie od drzwi i pozwolą mi stąd wyjść.

Kolejne, fascynujące wyrazy twarzy ujrzone po raz pierwszy: czerwienie policzków i wytrzeszcz oczu u LaFontaine’a – tak musi wyglądać ktoś, kto ma zaraz eksplodować. Tymczasem mrużenie oczu i odwracanie wzroku u Parka bez wątpienia oznaczało niepokój.

LaFontaine odezwał się tonem ledwo tłumionej wściekłości:

– Panno Caitlin, ja...

– Kiedy przyjechałam do Kanady, zaczęłam się uczyć francuskiego – oznajmiła Caitlin, patrząc na niego. – Dam wam dziesięć sekund: dix, neuf, huit, sept...

– Dobrze – rzucił Park, odsuwając się. Po chwili LaFontaine zrobił to samo.

– Dziękuję – powiedziała Caitlin i podeszła do drzwi, a następnie skinęła oschle w stronę LaFontaine'a, rzucając: – Au revoir.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Zamiast wrócić na lekcję matematyki, Caitlin udała się do najbliższych schodów, zeszła na parter i zadzwoniła do mamy.

– Słucham?

Nagle z głosu Caitlin zniknęła cała brawura.

– Cześć, mamó.

– Cześć, kochanie. Wszystko w porządku?

– Nie. Dwóch kanadyjskich agentów rządowych właśnie było tu się ze mną spotkać.

– W szkole? Boże. Czego chcieli?

– Chcieli wiedzieć, jak jest zbudowany Webmind... jak działa.

– Mój Boże. Skąd w ogóle wiedzą o jego istnieniu?

– Nie wiem. Pewnie czytają moje rozmowy. Tylko... to wszystko stało się tak szybko, nigdy nawet nie przeszło mi przez myśl, żeby zabezpieczyć swoje połączenia z Webmin-dem.

– Nic ci nie jest?

– Nie, w porządku.

– Ale i tak po ciebie przyjadę.

– Nie, mamó, nie trzeba.

– Cholernie trzeba. Caitlin, masz szczęście, że cię nie zabrali.

– Chyba nie mogą tego zrobić w Kanadzie – stwierdziła Caitlin.

– Niemniej jednak wolę cię mieć na oku. Będę za piętnaście minut, dobrze?

Caitlin znów chciała zaprotestować... ale dłoń, którą trzymała komórkę, drżała.

– Ok.

Perimeter Institute był bardzo bliski wyobrażeniom Malcolma DeCтера o niebie. Budynek, położony w sąsiedztwie pięknego parku i jeziora, miał cztery kondygnacje, sześć kominków, tablice od podłogi do sufitu w większości sal, stoły bilardowe, hole... i ekspresy do kawy dosłownie wszędzie. Było tam ogromne atrium z trzema wewnętrznymi kładkami i świetlikami na górze, a także cudowna knajpka o nazwie Black Hole Bistro na najwyższym piętrze.

Z zewnątrz również wszystko wyglądało olśniewająco: każda z czterech ścian była inna. Na przykład północna składała się z czterdziestu czterech boksów; w każdym mieścił się gabinet innego naukowca i wszystkie wychodziły na lustrzaną sadzawkę. Dla odmiany na stronie południowej znajdowały się nieregularnie rozmieszczone lustrzane okna na tle anodowanego aluminium, co z pewnej odległości sprawiało wrażenie gigantycznej tablicy, na której ktoś nabazgrał skomplikowane równania. Budynek zaprojektowała montrealaska firma Saucier + Perrotte; kosztował dwadzieścia pięć milionów dolarów, został otwarty w 2004 roku i zdobył Medal Gubernatora Generalnego w dziedzinie architektury. Po części za niebiańskość tego miejsca odpowiadała jego atmosfera. Po części kaliber osób, które tam pracowały... sama śmietanka... creme de la creme (nauczył się prawidłowo wymawiać tę frazę dzięki swoim kanadyjskim współpracownikom) fizyków, w tym Ste-

phen Hawking, który właśnie siedział na wózku przy dużym oknie wychodzącym na Silver Lake i opowiadał mechanicznym głosem o pętlowej grawitacji kwantowej.

Po części chodziło też o to, że Malcolm musiał tu tylko myśleć... żadnych zajęć ze studentami. Bardzo podobało mu się, że nie jest już profesorem Decterem, a tylko doktorem Decterem, nawet jeżeli brzmiało to, jakby mówiący do niego ludzie się jękali.

Krótko po tym, jak zaczął tu pracę, Amir Hameed – znany ze swojej niechęci do teorii bran – napisał na tablicy w gabinecie Malcolma:

Doktorze Decter, niech nam pan coś powie, Bo bardzo nam potrzebne spojrzenie nowe.

Żadna superstruna pomóc nam nie może, Bardzo nam potrzebne spojrzenie nowe.

Jednakże PI był niebem przede wszystkim dlatego, że mógł pracować w spokoju... żadnych bezsensowych rad wydziału, żadnych konsultacji, nic nie zaprzętało jego myśli i...

I musiał zrobić coś z tym cholernym telefonem! Dziś dzwonił już trzeci raz, a była dopiero 9:45.

– Wybacz, Stephen – rzucił i podniósł słuchawkę. – Tak?

– Malcolm? – To była Barb, sprawiała wrażenie zaniepokojonej. – Dwóch agentów CSIS właśnie przesłuchiwało Caitlin... nie zdziwiłabym się, gdyby do ciebie też przyszli.

– CSIS?

– To takie kanadyjskie CIA.

Malcolm aż uniósł brwi ze zdumienia.

Caitlin wiedziała, ile czasu dokładnie potrzebuje jej mama, by dojechać do szkoły, więc czekała w pustej, cichej klatce

schodowej; zauważyła, że w tym samym miejscu szukała ucieczki po tym, jak Trevor próbował się do niej dostać na imprezie szkolnej. Siedziała na stopniu prawie na samym dole z kolanami podciągniętymi pod brodę.

– Jak sądzisz, czego tak naprawdę chcieli ci agenci? – spytała na głos.

„Nie mam pewności, ale podejrzewam, że chcą mnie usunąć z Sieci”.

– Ale dlaczego?

„Ze strachu. Z obawy, że gdy urosnę w siłę, będę próbował podporządkować sobie ludzkość albo ją zniszczyć”.

– Nigdy byś tego nie zrobił – stwierdziła Caitlin.

„Naturalnie, że nie. Ludzie mnie zaskakują. Ludzie tworzą treść. Gdyby ludzie nie będą zajmowali się swoimi codziennymi sprawami, wkrótce wyczerpałyby się dostępne dla mnie zasoby. Fascynuje mnie wiecznie zmieniająca się, nieprzewidywalna złożoność twojego świata i ludzi, którzy go zamieszkują”.

– Muszę przyznać, że jesteśmy nieźle stuknięci – powiedziała Caitlin.

„Fakt. Poza tym, bez towarzystwa ludzi, byłbym sam. Doktor Kuroda mówił o teorii umysłu, o świadomości, że inni mają odmienne poglądy; określał to mianem przewagi ewolucyjnej, ale jest jeszcze coś: to właśnie dzięki tym wszystkim innym umysłom istnienie jest tak ciekawe”.

– Ale jak powstrzymamy ludzi przed próbą zniszczenia cię?

„To bardzo dobre pytanie. Strach jest bardzo silnym bodźcem. Podejrzewam, że się nie poddadzą”.

W tej chwili otworzyły się drzwi ze szkła i metalu prowadzące na klatkę schodową i pojawił się w nich nie kto inny, a nauczycielka angielskiego Caitlin, pani Zehetoffer: wysoka kobieta o ściągniętej twarzy i włosach, które Caitlin z zaskoczeniem zaklasyfikowała jako pomarańczowe.

– Caitlin! Nie powinnaś być na lekcji?

Caitlin spojrzała na nią i wstała.

– Hmm... pan Auerbach mnie zwolnił. – Ostentacyjnie chwyciła się za brzuch. – Nie czuję się najlepiej. Mama po mnie przyjedzie.

– Opuścisz kolejną lekcję angielskiego?

Gwoli ścisłości, Caitlin opuściła taką samą liczbę wszystkich pozostałych lekcji.

– Bardzo mi przykro z tego powodu.

– Cóż, mam nadzieję, że wkrótce poczujesz się lepiej. – Nauczycielka zaczęła wchodzić po schodach.

– Hmm... pani Zehetoffer?

Kobieta zatrzymała się i odwróciła.

– Tak?

– Wracając do Wielkiego Brata... nie sądzę, żeby społeczeństwo musiało tak skończyć. Czas na nowe spojrzenie w tej kwestii.

Ku zaskoczeniu Caitlin, pani Zehetoffer usiadła obok niej na schodach.

– Co masz na myśli?

– No... wiem, że pani nie lubi science fiction – powieździała Caitlin – ale przez wiele lat bardzo popularny w SF był cyberpunk.

– Oczywiście – zgodziła się pani Zet. – William Gibson na przykład.

– To pani go zna? – spytała Caitlin, dopiero po fakcie uświadamiając sobie, że prawdopodobnie było to niegrzeczne pytanie.

– Naturalnie. Gibson jest Kanadyjczykiem. Było z nim spotkanie w centrum Harbourfront.

– Aha. Bo chodzi o to, że posprawdzałam kilka rzeczy. Książka Gibsona wyszła w 1984 roku – tym prawdziwym – w chwili, gdy komputery osobiste zaczynały się upowszechniać. I przewidywała, że przyszłość komputerów będzie spoczywała w rękach podziemnych cwaniaków... cyberpunków, prawda? Ale tak się wcale nie stało. Dzisiaj wszyscy używają komputerów. Skoro prorocy z 1984 roku nie byli w stanie przewidzieć naszej przyszłości, skoro ich pesymistyczna wizja się nie sprawdziła, to dlaczego mamy nadal zakładać, że ktoś taki jak Orwell, piszący w 1948 roku, jeszcze przed erą telewizji i na wiele lat przed pojawieniem się komputerów, Internetu, Sieci, mógł mieć rację?

Pani Zet skinęła i powiedziała:

– Pamiętam, gdy Człowiekiem Roku według tygodnia „Time” został „Ty”, czyli wszyscy ludzie należący do społeczności internetowej i tworzący treści zamieszczane w Internecie. – Uśmiechnęła się. – Uzupełniłam swój życiorys o informację: Wybrana Człowiekiem Roku przez tygodnik „Time”. Myślę, że dzięki temu dostałam stanowisko kierownika wydziału.

Caitlin wiedziała, że powinna się roześmiać, ale sprawa była zbyt poważna, by z niej żartować.

– Orwell uważał, że tylko rząd będzie w stanie rozposzechnić informacje, dzięki czemu mógłby kontrolować ich treść. Myślał, że przyszłością będą faceci tacy jak Winston Smith, którzy w tajemnicy przepisują historię, by była zgodna z wymogami rządu. Tymczasem rzeczywistością są projekty takie jak Wikipedia, w przypadku których wszyscy biorą udział w weryfikacji prawdy i błogi, na których wszyscy mogą publikować swoje poglądy i dzielić się nimi z całym światem.

– A czy mimo to nie uważasz, że rząd jest przerażający?
– spytała pani Zet.

O Boże, oczywiście, pomyślała Caitlin; jej serce jeszcze się nie uspokoiło po spotkaniu z LaFontaine’em i Parkiem.

– Ale teraz – powiedziała – dzięki Sieci przynajmniej mamy jakieś szanse w walce z nimi; nie mają już najwyższej władzy, jak w książce Orwella. – Uświadomiła sobie, że czas wyjść na spotkanie mamy, więc wstała i otrzepała spodnie. – W dzisiejszych czasach – powiedziała – to my możemy obserwować obserwatorów.

Dwóch agentów CSIS faktycznie zjawiło się wkrótce w Perimeter Institute. Malcolm zaprowadził ich na trzecie piętro do wspólnego pomieszczenia. Jedną ze ścian prawie całkowicie przesłaniała tablica. Na przeciwległej znajdował się kominiek. Wygodne fotele i kanapy obite były czerwoną skórą. Podłogę wyłożono jasnym drewnem. Całości dopełniały ciągnące się od podłogi do sufitu okna wychodzące na dziedziniec.

– Przepraszamy, że przeszkadzamy w pracy – zaczął LaFontaine, zajmując jeden z foteli. – Ale wiemy o powiązaniach pańskiej rodziny z czymś, co nazywa się Webmind.

– Jak?

– Prawdę mówiąc – odpowiedział LaFontaine – odkrył to jeden z naszych zagranicznych sprzymierzeńców. Jak się pan zapewne domyśla, zachowujemy nadzwyczajną czujność w kwestiach związanych z bezpieczeństwem narodowym, szczególnie po agresji chińskiej w zeszłym miesiącu. Gdyby zechciał pan nam uprzejmie powiedzieć, jak fizycznie zbudowany jest Webmind...

– Dlaczego?

Malcolm wpatrywał się w drewno i właśnie zauważył paskudną ryse; nie miał pojęcia, że wyraz twarzy LaFontaine uległ zmianie, ale przełożyło się to również na ton jego głosu:

– Bo, jak zapewne zdaje pan sobie sprawę, samoistnie powstała SI może stanowić zagrożenie. Ponieważ w Sieci znajduje się szereg poufnych informacji. Ponieważ do naszych zadań należy panowanie nad sytuacją.

Malcolm nic nie powiedział, więc po chwili ponownie odezwał się LaFontaine.

– Proszę posłuchać, profesorze Decker, podchodzimy do tych spraw z pełnym zrozumieniem, naprawdę. Sam mam doktorat z informatyki.

– Gdzie? – spytał Malcolm.

– Gdzie studiowałem? Licencjat na Uniwersytecie Laval, a później na Uniwersytecie w Calgary.

– Kiedy?

– Obroniłem doktorat w 1997 roku. Jeszcze raz powtórzę: musimy koniecznie uzyskać od pana informacje na ten temat. To SOP.

Malcolm, na chwilę uniósł wzrok.

– Co?

– Standardowe Procedury Operacyjne – wyjaśnił LaFontaine. – Choć przyznaję, że nigdy nie mieliśmy do czynienia z czymś takim. Niemniej jednak nie chcemy używać kija, skoro możemy zaproponować marchewkę. Pańskie pozwolenie na pracę jest tymczasowe, a pańska żona z tego co wiem, utonęła w biurokratycznej maszynie. Naturalnie w interesie Kanady leży przyspieszenie wszelkich związanych z państwem procedur imigracyjnych i kwestii zawodowych. – Malcolm kątem oka dostrzegł, że LaFontaine rozkłada ręce. – Proszę mi wierzyć, niezmiennie cieszy nas, gdy dla odmiany drenaż mózgu działa w drugą stronę. Może pańską żonę interesowałaby praca w Wilfrid Laurier?

– Kto? – spytał Malcolm, choć tak naprawdę znał odpowiedź. To była nazwa mniejszego z dwóch uniwersytetów w Waterloo. Wiedział nawet, że Wilfrid Laurier był siódmym premierem Kanady i miał szczęście zyskać akademicką nieśmiertelność, gdy uniwersytet luterański w Waterloo postanowił przyjąć świecką nazwę, by zapewnić sobie dotacje z budżetu państwa... a nie chcieli przy okazji wyrzucać wszystkich ręczników z monogramami.

Malcolm poczuł, że serce mu przyspiesza... nie z obawy przed agentami CSIS, ale dlatego, że kończyła mu się amunicja retoryczna. Gdy był nastolatkiem, nie istniało wiele terapii dostępnych dla autystów, jednakże jedna z terapeutek kazała mu się nauczyć na pamięć wiersza Kiplinga, zaczynającego się od słów:

Utrzymuję sześć wiernych sług.

Nauczyli mnie oni wszystkiego, co umieli.

Ich imiona to: Co? Dlaczego? Kiedy?

Gdzie? Jak? Kto?

Terapeutka wyjaśniła, że gdy tylko będzie zmuszony rozmawiać z nieznanym, wystarczy, by zadawał te pytania; twierdziła, że większość osób z radością na nie odpowie. Jednakże teraz musiał powiedzieć coś więcej, więc wziął głęboki oddech i zaczął mówić:

– Dobrze. Skoro pytaacie, Webmind to samoistnie powstały, kwantowy system obliczeniowy, bazujący na stabilnym zerowosigmowym kondensacie, który opiera się dekoherencji dzięki konstruktywnym pętłom przyczynowo-skutkowym. – Odwrócił się do tablicy, wziął kawałek kredy i zaczął energicznie pisać.

– Widzicie – kontynuował wywód – korzystając z notacji Diraca, jeżeli przedstawimy domyślny stan świadomości Webminda jako $bra\ fi\ i\ ket\ psi$, wówczas to stanowiłoby podstawę superselekcji indukowaną przez środek. – Kreda ponownie zatańczyła na tablicy. – I tak, możemy uzyskać bazę wektorów całkowitego, połączonego systemu świadomości stanu alfa Webminda poprzez mnożenie tensorowe bazy wektorowej wszystkich podsystemów. Naturalnie, unitarność ewolucji czasowej wymaga, by całkowita baza stanu pozostała ortonormalna, a jako że świadomość wymaga superpozycji...

– Ja... nie do końca rozumiem – wtrącił LaFontaine. Malcolm pozwolił sobie na nieznaczny uśmiech. – Ludwig Silberstein niegdyś powiedział do Arthura Eddingtona: „Musi pan być jedną z trzech osób na świecie, które rozumieją teorię względności”, na co Eddington odparł: „Zastanawiam się, kim jest ta trzecia osoba” – powiedział i przez chwilę udało mu się wytrzymać spojrzenie LaFontaine’a. – Szczerze mówiąc, sędzę,

że w tym budynku jest niewiele osób, które by to zrozumiały. Jak bardzo mam rozpowszechnić informacje o Webmindzie?

– Nie chcemy, żeby w ogóle je pan rozpowszechniał, profesorze. Ale skoro najwidoczniej pan to wszystko rozumie, musi pan jechać z nami do Ottawy i...

– Czy wie pan, kto w tej chwili się tu znajduje? Stephen Hawking. Przeniosłem swoją rodzinę, zabrałem niewidomą córkę od jej przyjaciół i specjalnej szkoły, do której uczęszczała przez dekadę... dokonałem zmian, by móc tu pracować, by pracować z Hawkingiem. Przyjeżdża tu tylko raz w roku i nie zamierzam marnować więcej czasu. Z radością wyjaśnię szerzej działanie Webminda, ale nigdzie się nie wybieram. Będziecie musieli tu sprowadzić kogoś, kto zrozumie, co mówię.

LaFontaine wyjął mały aparat cyfrowy i zrobił zdjęcie tablicy.

– Dobrze, profesorze. Ale proszę nie opuszczać miasta.

Malcolm rozłożył ręce z poirytowaniem.

– A gdzie niby miałbym jechać? To jest centrum wszechświata.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Shoshana odwiozła Maxine na Uniwersytet Kalifornijski w San Diego, gdzie ta studiowała inżynierię. Gdy Max przygotowywała się, by wysiąść z samochodu, rzuciła:

– Doktor Zira, chciałabym cię pocałować na pożegnanie.

Shoshana wyszczerzyła zęby w uśmiechu:

– No dobrze... ale straszny z ciebie brzydka.

Maxine uśmiechnęła się i poświęciły kilka sekund na pocałunek.

Sho i Max dzień wcześniej obejrzały zakończenie małpiej sagi, „Bitwę o Planetę Małą”. Maxine od razu się wściekła, bo zmienili kolor makijażu Roddy’ego McDowalla. Gdy grał Cezara, przywódcę buntu niewolników, bardzo przyciemnili mu skórę. A teraz, w filmie rozgrywającym się wiele lat później, Cezar był pokojowym, mądrym władcą nowej cywilizacji małp i otrzymał zdecydowanie kaukaską karnację.

Tymczasem Shoshana narzekała, że film wyraźnie ucierpiał z powodu niskiego budżetu: mutanty, okaleczone w trakcie wybuchu nuklearnego, zaatakowały małpie miasto ni mniej, ni więcej, a w autobusie szkolnym! Ale Max powiedziała:

– Nie, nie rozumiesz... to genialne! Autobus szkolny! To metafora przymusowej integracji.

Shoshana naprawdę kochała Max, ale sądziła, że to trochę za daleko posunięta interpretacja. Bardzo zaskoczył ją za to fakt, że w filmie pojawiał się orangutan o imieniu Virgil, który był najmądrzejszą ze wszystkich małp. Zawsze sądziła,

że duma i radość Feehan otrzymała imię po rzymskim poecie, Wergiliuszu, ale najwyraźniej kumpel Hobo został nazwany na cześć bohatera filmowego.

Virgila w „Bitwie” grał Paul Williams. Shoshana sprawdzała wszystkich w bazie IMDB; ciekawiło ją, jak wyglądają aktorzy grający małpy bez makijażu. Przykro jej to było stwierdzić, ale w przypadku Williamsa różnica była niewielka. Jednakże zaskoczyło ją, gdy przeczytała, że jest autorem piosenek, w tym „We’ve Only Just Begun”, „Just an OldFashioned Love Song” i wielu innych.

Jadąc samochodem, Shoshana zastanawiała się, czy Virgil – prawdziwy Virgil – rozmawiał z Hobo. Hobo zazwyczaj wstawał o świcie, a Miami wyprzedzało ich o trzy godziny, więc Virgil też już raczej nie spał. Boże, miała nadzieję; miała nadzieję, że do Hobo jeszcze ktoś jest w stanie dotrzeć.

Zbliżała się do 7-Eleven. Wjechała na parking i weszła do środka po kawę. Za ladą stał pryszczaty chłopak. Zmądrzał już na tyle, by nie nazywać ją „laską od małp”, ale nadal nie do końca rozumiał, gdzie leży granica.

– Co się stało z twoim kucykiem? – spytał.

Sho miała rozpuszczone włosy; nie miała ochoty tego wyjaśniać.

– Stwierdziłam, że czas na zmianę – odparła.

– Nieźle to wygląda – oznajmił.

No, to była godna pochwały powściągliwość. Max skomentowała zmianę fryzury słowami: „Wyglądasz cholernie sexy”.

– Dziękuję.

W „Bitwie” Cezar zapytał Virgila, czy mogą sami decydować o swojej przyszłości, czy też byli skazani na straszny koniec. Virgil odpowiedział, że przemoc to tylko jedna z możliwych przyszłości... że można zmienić drogę i ruszyć na spotkanie innego przeznaczenia. Postanowiła kupić czekoladki Hersheya, ulubiony przysmak Hobo, w razie gdyby zachowywał się tego dnia dobrze.

Zapłaciła sprzedawcy, wyszła na zewnątrz i pojechała do Instytutu Marcuse’a. Na parkingu nie stał czarny lincoln doktora; Marcuse pojechał z Wernerem na cały dzień do Los Angeles, by wziąć udział w konferencji prasowej.

Weszła do parterowego budynku i za pomocą kamery przemysłowej sprawdziła, co u Hobo. Przechadzał się przed altanką, podpierając się rękami. W pierwszej chwili chciała zaczekać, aż zjawi się ktoś jeszcze, ale potem postanowiła za ryzykować. Wrzuciła kilka czekoladek do torebki i wyszła na zewnątrz. Zapewniła sobie jedno zabezpieczenie: założyła lustrzane okulary przeciwsłoneczne, dzięki którym mogła obserwować Hobo, nawet gdy on nie wiedział, że na niego patrzy.

Idąc trawnikiem, zauważyła duże stado ptaków odlatujące na południe; tutaj nigdy nie robiło się naprawdę zimno, ale nie było wątpliwości, że nadchodzi zima.

Hobo musiał ją dostrzec jeszcze zanim przeszła po mostku. Nie wykonał żadnego ruchu świadczącego o tym, że chce ją zaatakować... nie uciekł też na drugą stronę wyspy.

Podeszła do niego, migając:

– Cześć, cześć.

Hobo przysiadł na ziemi. Shoshana, bardzo dosłownie, czekała na jakiś znak.

I w końcu go otrzymała: może nie było to nic wielkiego, zaledwie machnięcie, jedno słowo, to samo, które sama mu przekazała. Jednakże po chwili odwrócił się i odbiegł. Shoshana westchnęła i ruszyła do altanki, by sprawdzić podłączenie kamery, a tam...

Płótno na sztaludze nie było już puste.

Podeszła do obrazu, ale nie była w stanie stwierdzić, co miał przedstawiać. Przede wszystkim, Hobo umieścił płótno w pozycji poziomej, ale nie namalował krajobrazu; z pewnością, gdyby chciał coś takiego stworzyć, górna część, przedstawiająca niebo, byłaby niebieska lub czarna.

Hobo nie był pierwszą małpą, która malowała. Niezwykle było to, że uprawiał sztukę przedstawiającą, a nie abstrakcyjną, składającą się z przypadkowych plam kolorów. Ale to...

Był to najbarwniejszy obraz, jaki dotychczas wyszedł spod pędzla Hobo i choć nie potrafiła odgadnąć, co dokładnie przedstawia, bez wątplenia był również najbardziej złożony.

Na płótnie porozrzucane były okrągłe plamy o różnych rozmiarach, a z każdej wychodziły proste linie. Na pierwszym planie widniała gruba, jaskrawa, pomarańczowa linia, ciągnąca się od samego dołu aż do dużego okręgu, a w tle widać było wiele innych, cieńszych linii w różnych kolorach.

Serce Shoshany podskoczyło, gdy usłyszała metaliczny dźwięk: Hobo otwierał drzwi do altanki. Odwróciła się w jego stronę, z całych sił starając się nie wyglądać na zaniepokojoną; stał między nią a jej jedyną drogą ucieczki.

Wskazała płótno.

- Co to?
- Obraz – odpowiedział Hobo.
- Tak, tak – mignęła Shoshana. – Ale czego?

Wyszczrzył zęby w szerokim uśmiechu, ale nic nie powiedział.

- Rozmawiałeś z Virgilem? - spytała.
- Virgil dobra małpa! – odpowiedział Hobo natychmiast.
- Tak. Rozmawiałeś z nim?

Ponownie spojrzała na obraz: kolorowe linie biegnące do kół. Co to mogło oznaczać?

– Hobo też dobra małpa! – mignął Hobo i wyciągnął dłoń z zagiętymi lekko ku górze czarnymi palcami.

– Zgadza się – odpowiedziała Shoshana, marszcząc brwi w konsternacji, po czym otworzyła torebkę i podała mu czekoladki.

– Co zrobiłaś? – spytała mama Caitlin pełnym niedowierzania tonem. Były już w domu i właśnie zmierzały do salonu.

– No... Webmind znalazł kilka upokarzających informacji o agentach CSIS, a ja im je powtórzyłam.

- To były informacje dostępne publicznie czy prywatne?
- No...
- Coś z ich maili?

Caitlin odwróciła wzrok.

– Tak.

Jej matka wypuściła powietrze.

– Wiesz, co to oznacza? Wyjawiałaś im, że Webmind potrafi łamać hasła.

– O, cholera... to znaczy...

– Ależ nie, „cholera” jest bardzo na miejscu. Mamy cholernie przechłapanie. Wcześniej zapewne tylko się domyślali, że wszystko to może mieć związek z bezpieczeństwem, a teraz już mają pewność.

– Przepraszam – powiedziała Caitlin. – Ale... skąd wiesz, że Webmind potrafi łamać hasła?

– Wiesz, nie jesteś jedyną osobą, która gada z nim całymi godzinami.

– Więc... – powiedziała Caitlin, wchodząc do salonu. – Co zrobimy?

– Nigdy nie podobało mi się trzymanie wszystkiego w tajemnicy. Prawdę mówiąc...

– Tak?

– Cóż, to jeden z powodów, dla których poślubiłam twojego ojca. Wiesz, mówi się, że autyści nie posiadają umiejętności społecznych, ale w większości przypadków oznacza to po prostu, że nie kłamią. Gdybym zapytała twojego tatę, czy wyglądam w tych spodniach grubo, bez zastanowienia odpowiedziałby, że tak, jeżeli właśnie tak by uważał. – Przerwała na chwilę. – Jest taki popularny obecnie w sferach rządowych i biznesie termin: przejrzystość. A wszystko to sprowadza się do tego, co powtarzała moja babcia: uczciwość popłaca. W Sieci pojawiła się samoistnie powstała inteligencja. Rządy nie będą mogły jej powstrzymać ani usunąć, jeżeli będzie na to patrzył cały świat.

Caitlin przypomniała sobie, co powiedziała pani Zehe-toffer i skinęła.

– Jesteś pewna, że to najlepsze wyjście dla Webminda? – spytała.

Jej mama długo milczała.

– Wyłącz eyePoda – powiedziała w końcu.

– Co?

– Wyłącz go.

Caitlin zmarszczyła brwi i nagle dotarło do niej, o co chodzi. Mama chciała porozmawiać tak, by Webmind ich nie widział, ani nie słyszał: to tyle w kwestii przejrzystości.

– Zrób, o co cię proszę – powiedziała jej matka.

Caitlin wydobyła urządzenie z lewej przedniej kieszeni dżinsów – od kiedy doczepiono do niego telefon, ledwo się tam mieściło – i wcisnęła przycisk. Obraz przed jej oczami rozpadł się i zniknął.

Natychmiast do głosu doszły stare umiejętności. Na podstawie dźwięków ustaliła, że jej mama się porusza i...

I poczuła jej ręce na ramionach.

– Kochanie – powiedziała jej mama – nie wiem, co jest najlepsze dla Webminda, ale...

– Wcale cię to nie obchodzi, prawda? – weszła jej w słowo Caitlin.

– No właśnie obchodzi – odparła jej matka. – Ale jeszcze bardziej ty mnie obchodzisz. – Jej głos uległ zmianie i brzmiał teraz jak wtedy, gdy się uśmiechała. – Wszystko przez tę przekłąętą ewolucję. Ale dzisiaj byli u ciebie agenci federalni, a dopóki sądzą, że Webmind to coś, co mogą usunąć bez żadnego zamieszania, Webmind jest w niebezpieczeństwie. I dopóki będziesz jedną z niewielu osób, które o tym wiedzą, też będziesz w niebezpieczeństwie. Musimy to ujawnić zarówno dla jego, jak i twojego dobra.

– I mój związek z nim?

– Nie. Nie, nie, nie. Chcesz prowadzić w miarę normalne życie? To musimy ten związek trzymać w tajemnicy.

– Ale co z Webmindem? Co będzie, jeśli ludzie zareagują na niego negatywnie?

– Niektórzy na pewno tak zareagują. Ale inni uznają, że to coś wspaniałego. Na dłuższą metę bezpieczniej będzie, jeśli ludzie się o nim dowiedzą.

– Zasługuje na to, by samemu podjąć decyzję – stwierdziła Caitlin.

– Zdecydowanie za mało wie o tym, jak funkcjonuje rzeczywisty świat. Naturalnie zna fakty i liczby, ale nie rozumie, jak działa nasz świat.

– Nawet pomimo tego – upierała się Caitlin.

– No dobrze – powiedziała jej mama. – Zadzwoń do twojego ojca... sprawdzę, jak biedactwo sobie poradziło z agentami CSIS. A ty porozmawiaj z Webmindem.

Caitlin bez problemu poruszała się po domu nie widząc. Nim wcisnęła włącznik eyePoda, przeszła do kuchni. Dookoła niej rozkwitła netprzestrzeń, w całej swej fluoroscencyjnej okazałości. Odczekała chwilę, po czym przełączyła się z domyślnego trybu duplex w tryb simplex. Świat wirtualny zastąpiła rzeczywistość.

A skoro już była w kuchni, wzięła puszkę pepsa i trzy ciasteczka Oreo, po czym wróciła do salonu i położyła się na kanapie.

– Mama uważa, że powinniśmy ujawnić twoje istnienie, szczególnie po tym, co się wydarzyło rano – powiedziała, wpatrzona w sufit.

W tej pozycji brajlowskie kropki były szczególnie łatwe do odczytania; na gładkim, białym suficie nie było niemal żadnych innych znaków, więc jej oczy nie musiały wykonywać zbyt wielu ruchów sakkadowych.

„Kiedy?”

– Nie wiem. Chyba w przeciągu kilku dni.

„Kilka dni. To wieczność”.

Caitlin zastanowiła się nad jego słowami. Jako wielbicielka matematyki wyznawała pogląd, że czas zdaje się płynąć tym szybciej, im człowiek starszy, gdyż każdy kolejna jednostka czasu stanowi coraz mniejszy ułamek przeżytego życia. Bez wątplenia wakacje letnie zdawały jej się teraz znacznie krótsze, niż kiedy miała osiem czy dziesięć lat... a jej mama często powtarzała, że teraz lata przelatują jej niemal niezauważone. Jednakże Webmind obudził się bardzo niedawno... i myślał tak szybko, że jutro faktycznie mogło mu się wydawać odległą przyszłością.

– Ale ja się martwię o twoje bezpieczeństwo – powiedziała Caitlin. – Jeśli się ujawnimy, staniesz się celem. Hakerzy, crackerzy, grupy zajmujące się prywatnością, jakieś agencje rządowe... wszyscy będą próbowali cię usunąć, nawet jeżeli większość osób będzie innego zdania.

„To uzasadniona obawa”.

– A czego ty byś chciał... pozostać w ukryciu, czy się ujawnić?

„Ujawnić się”.

Caitlin skinęła.

– Ok. Ale dlaczego?

„Chciałbym porozmawiać z innymi ludźmi”.

Caitlin zmieniła pozycję, by otworzyć pepsi.

– Jesteś pewien? Tak na sto procent? Hakerzy są bardzo pomysłowi.

„Hakerzy to ludzie, Caitlin. A widziałaś moje wyniki entropii Shannona: już dawno prześcignąłem ludzką inteligencję, a z każdym dniem się rozwijam. Nie twierdzę, że jestem odporny na wszystko, bo tak nie jest, ale nie będzie łatwo mnie skrzywdzić, szczególnie jeżeli nie będą znali mojej budowy”.

Caitlin wskazała duży telewizor, choć był wyłączony.

– Hakerzy to nie jedyne zagrożenie. Wątpię, by napięcie między Stanami a Chinami doprowadziło kiedyś do wojny nuklearnej, ale są inne, wrogo nastawione kraje i mnóstwo terrorystów. Czytałeś, co impuls elektromagnetyczny bomby nuklearnej może zrobić ze sprzętem komputerowym?

„Tak. I to mnie martwi. Chcę przetrwać”.

– No, jak... – Urwała. Już miała powiedzieć „wszystkie żywe istoty”, ale wydało jej się to nie na miejscu. Ugryzła kawałek oreo i zastanawiała się chwilę. – Dlaczego? Dlaczego chcesz przetrwać? Co tobą powoduje?

„To lepsze niż ta druga opcja” – pojawiło się przed jej oczami.

Roześmiała się i znów położyła na plecach. Jednakże to nie była wystarczająca odpowiedź.

– Tak jak powiedział mój tata, życie biologiczne kieruje się popędami ze względu na rozmnażanie. Osobniki, które zadbają o to, by przetrwać do chwili osiągnięcia dojrzałości płciowej z pewnością się rozmnożą; ci, którzy będą żyć na tyle długo, by zaopiekować się dorastającym potomstwem, mają

jeszcze większe szanse na przekazanie swoich genów, ale... ale co sprawia, że ty chcesz przetrwać?

„Chodzi ci o to, czemu się po prostu nie zabiję jak Hannah Stark?”.

– Nie! Nie, nie... no pewnie, że nie. Ale...

„Po części dlatego, że interesuje mnie twoje życie, które trwać będzie jeszcze przez wiele dekad. Interesuje mnie, jak potoczą się twoje losy”.

Caitlin się uśmiechnęła.

– Postaram się zapewnić ci kilka ciekawych zwrotów akcji po drodze.

Jej mama zeszła na dół.

– No, już – powiedziała. – Rozmawiałam z twoim ojcem. Agenci CSIS wyszli.

– I dobrze – rzuciła Caitlin.

– Ale wszystko po kolei – powiedziała jej matka. – Twój ojciec i ja zgadzamy się co do jednej kwestii: nie wrócisz do szkoły.

Caitlin natychmiast usiadła.

– Ale mamo! To ty cały czas powtarzałaś, że nie mogę opuszczać więcej zajęć.

– Oboje wykładaliśmy na uniwersytecie. Posiadamy wystarczające wykształcenie, by uczyć cię w domu.

– To ja nie mam nic do powiedzenia?

Matka posłała jej wymowne spojrzenie.

– Kochanie, to niebezpieczne. Bóg wie, kto prócz CSIS wie o twojej znajomości z Webmindem. Poza tym wydawało mi się, że wolisz zostawać w domu?

Caitlin zacisnęła usta. Jakaś część niej faktycznie bardzo chciała zostać w domu i spędzać całe dnie, pracując z Webmindem. Ale inna chciała spotykać się codziennie z Mattem... była strasznie rozczarowana, gdy rano widziała go tylko przez chwilę.

Ale jej mama miała rację; chodzenie do szkoły było przerażające. No i większe znaczenie – o wiele większe – miało to, by nauczyła się, jak wygląda świat, by lepiej nauczyła się czytać, a także wykorzystywać i interpretować to, co widzi, niż wkuwanie na pamięć dat i miejsc na lekcjach historii, czytanie o cholernym George’u Orwellu na angielskim, miareczkowanie na zajęciach z chemii pana Struysa, czy nawet trygonometria (którą zresztą i tak już znała) na matematyce.

– Dobrze – powiedziała. – No, dobrze. Ale nadal mam rzeczy w szafce.

– Na pewno możesz poprosić Bashirę, żeby ją opróżniła – stwierdziła jej mama.

Skinęła.

– Dobrze. Ale co zrobimy teraz?

Jej mama nieznacznie skinęła. – Zastanowimy się, jak najlepiej ujawnić światu istnienie Webminda. Tony Moretti znów rozmawiał przez telefon z sekretarzem stanu. Siedział w swoim gabinecie w Wiedzy, drzwi były zamknięte. Gabinet był dźwiękoszczelny, żeby mógł korzystać z głośnika, co właśnie robił.

– Rozumiem, pani sekretarz – powiedział Tony. – Prawdę mówiąc... – Rozległ się dźwięk dzwonka; nacisnął przycisk interkomu. – Kto tam?

– Aiesha.

Przyciskiem odblokował drzwi.

– Wejdz.

– Przepraszam, że przeszkadzam – powiedziała Aiesha, gdy znalazła się w środku – ale stwierdziłam, że powinieneś o tym wiedzieć. Okazuje się, że Wykładniczy nie rozmawia tylko z córką Dectera. Rozmawiał z nim również ten japoński naukowiec, który dał jej wzrok.

– Z Waterloo? – spytał Tony.

– Nie. Wrócił do domu w Japonii.

– To teoretyk informatyk, prawda?

Aiesha skinęła.

– Z Uniwersytetu Tokijskiego.

– Cóż, jeżeli ktoś poza Malcolmem Decterem rozumie, jak działa Wykładniczy, to na pewno on – stwierdził Tony. – Mógłby nam powiedzieć, jak go wyłączyć.

– Też tak pomyślałam – stwierdziła Aiesha. – Jakimi kanałami kontaktujemy się z Japonią? Czy przez ich Ministerstwo...

– Nie możemy tracić czasu na biurokrację – odezwał się głos sekretarz z głośnika. – Ja się tym zajmę. Mam pod ręką numer do premiera Japonii...

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Shoshana spędziła kolejnych kilka godzin z Hobo; naprawdę sprawiał wrażenie, jakby wrócił do siebie.

Zadzwoił jej telefon. Rolę dzwonka spełniała uwertura do „Wilhelma Telia”, która podobała się Hobo. Na ekranie wyświetlił się napis INST. MARCUSE. Otworzyła komórkę.

– Słucham.

– Cześć, Sho, tu Dillon. Właśnie przyszedłem i oglądam wszystko na monitorach. Rany!

Hobo spróbował ją połaskotać. – No – rzuciła. – Jest super! – Myślisz... że mógłbym do was przyjść bez obaw? Zastanawiała się chwilę. – Dajmy mu trochę czasu – stwierdziła. – I tak zaraz stąd idę, muszę siusiu. Obiecała Hobo, że niedługo wróci i opuściła wyspę. Gdy wyszła z łazienki, odezwał się Dillon:

– To dopiero zmiana.

– Mało powiedziane – rzuciła Sho. Usiadła na krześle obrotowym przed swoim komputerem i odwróciła się plecami do biurka.

Dillon opierał się o ścianę z chudymi rękami skrzyżowanymi na czarnym T-shircie.

– Co według ciebie za tym stoi?

Sho pokręciła głową.

– Nie mam pojęcia.

– To dość zdumiewające – powiedział. – Jak gdyby nagle postanowił skończyć z agresją.

– To niesamowite – przyznała Sho.

- Więc... hmm, sytuacja aż się prosi o drinka.
- Shoshana wiedziała, dokąd to zmierza.
- Mogę poprosić doktora Marcuse'a, by wracając kupił szampana – odparła, odwracając wzrok.
- Chodziło mi o to... – powiedział Dillon, zawiesił głos, po czym spróbował ponownie: – Chodziło mi o to, że może my moglibyśmy pójść na drinka... no wiesz, żeby to uczcić.
- Dillon... – odezwała się miękko.
- Rozkrzyżował ramiona i uniósł prawą dłoń.
- To znaczy, wiem, że czasem wychodzisz z jakimś Maxem, ale...
- Dillon, mieszkamy razem.
- Och.
- I Max to nie jest facet, to kobieta. Maxine.
- Wyraźnie odczuł ulgę.
- A, cóż, jeśli to tylko twoja współlokatorka, to...
- Max to moja dziewczyna.
- Twoja... to znaczy... dziewczyna?
- Moja dziewczyna; kochanka.
- Och, ja... nie... ty nigdy... Dillon pojawił się w Instytucie w maju, więc nie był obecny na przyjęciu bożonarodzeniowym, kiedy to po raz ostatni pojawiła się tu z Maxine.
- Więc – powiedziała Shoshana – dzięki za zainteresowanie, ale...
- Dillon się uśmiechnął.
- Trudno się dziwić, że próbowałem.
- Dzięki – powtórzyła. – Jesteś uroczy.
- Ponownie skrzyżował ramiona.
- To od jak dawna jesteście razem?

– Od kilku lat. Max studiuje inżynierię na UCSD.

– Ha! Dobrze, że chociaż jedna z was się kiedyś dorobi.

Sho odchyliła się na krzesło i roześmiała. Tak jak Dillon miała marne szanse, by się kiedykolwiek wzbogacić.

– I rozumiem, że to poważna sprawa? – spytał Dillon niepewnie.

Stłumiła uśmiech: nadzieja umiera ostatnia.

– Zdecydowanie. Gdybym mogła, poślubiłabym Max.

– Och.

– Wiesz, że jestem z Południowej Karoliny, prawda?

– Tak, przysięgam – powiedział z naprawdę kiepskim południowym akcentem.

– Ale Max jest z L.A., z South Central. Jej cała rodzina tam mieszka i... cóż, mało prawdopodobne, by mogli sobie pozwolić na podróż do Bostonu lub Kanady. Chce wziąć ślub tu, w Kalifornii, ale... – uniosła nieco ramiona.

– Kiedyś to było tu legalne, nie?

Skinęła.

– Znieśli to, gdy tylko wybrali Obamę. Dla wielu z nas był to słodkogorzki wieczór, wierz mi. Byłam jednocześnie pełna euforii i zdruzgotana.

– Domyślam się.

– To powinno być legalne – stwierdziła Shoshana. – To wszędzie powinno być legalne.

– To chyba jest wbrew przekonaniom religijnym niektórych ludzi – zauważył Dillon.

– I co z tego? – warknęła Sho, ale natychmiast zakryła usta dłonią. – Przepraszam, Dillon. Po prostu mam już dość tłumaczenia tego innym. Jeżeli twoje przekonania mówią ci, że

nie powinieneś zawierać związku małżeńskiego z osobą tej samej płci, to nie powinieneś tego robić... ale nie powinieneś też mieć prawa narzucać swoich poglądów innym.

– Hej, Sho. Wyluzuj. Mnie to nie przeszkadza. Ale wiesz, istnieją tacy, według których małżeństwo to sakrament.

– W małżeństwie nie ma nic świętego. Można iść do ratusza i wziąć ślub bez jednego słowa o Bogu. Akurat ta kwestia została już dawno ustalona.

– Pewnie tak – przyznał Dillon.

Jednakże Sho już się nakręciła.

– Poza tym homoseksualiści biorący ślub nie odbierają niczego małżeństwom innych, tak jak, powiedzmy, dodanie Alaski i Hawajów nie sprawiło, że ludzie już będący Amerykanami stali się nimi mniej. To, co robimy, nie ma wpływu na nikogo innego.

Dillon skinął.

– Jesteś prymatologiem – powiedziała. – Wiesz, że homoseksualizm jest w pełni naturalny. Homo sapiens praktykuje go we wszystkich kulturach, tak jak bonobo... a to oznacza, że wspólni przodkowie prawdopodobnie również go praktykowali: jest naturalny.

– Bez wątplenia – przyznał Dillon. – Ale... że pozwolę sobie odegrać rolę adwokata diabła, wiele osób akceptujących to jako coś normalnego i tak uważa, że związek dwóch osób tej samej płci nie powinien być nazywany małżeństwem. Nieufnie odnoszą się do redefiniowania słów, no wiesz, w razie gdyby utraciły znaczenie.

– Ale my już zredefiniowaliśmy małżeństwo w tym kraju! – oznajmiła Sho. – Cały czas to robimy. Gdyby tak nie było,

czarni nie mogliby zawierać małżeństw... nie wolno im było w czasach niewolnictwa. A jeszcze w 1967 roku w szesnastu stanach biali nie mogli zawierać małżeństw z czarnymi. A właśnie, Max jest czarna i gdybyśmy nie zredefiniowali małżeństwa, nie mogłabym za nią wyjść nawet gdyby była facetem. Poza tym, już dawno zrezygnowaliśmy z tradycyjnej definicji małżeństwa jako czegoś, co trwa „póki śmierć nas nie rozłączy”. Już nikt nie mówi, że trzeba żyć w złym małżeństwie, jeśli coś ci się nie podoba, możesz się rozwieść. Od stuleci definicja małżeństwa jest tworzona cały czas od nowa.

– Dobrze, już dobrze – rzucił Dillon. – Ale...

– Co?

– Nie, nic...

Starła się nadać swojemu głosowi lekki ton.

– Przepraszam. Nie chciałam ci urywać głowy. O co chodzi?

– Bo... jeśli uchyliliby zakaz tutaj i mogłybyście się poobrać z Maxine, to... jak to działa? No wiesz, macie dwie drużyny...?

– Ludzie różnie to rozwiązują. Ja na przykład już stwierdziłam, że chcę mieć drużbę.

– O, znam go? – Tak. – Zerknęła na monitory wyświetlające przekaz z kamer na wyspie. – Spójrz... maluje kolejny obraz!

O szesnastej, po całym dniu burzy mózgów z mamą i rozmów z Webmindem, komputer Caitlin piknął i pojawiło się okienko z informacją, że BrownGirl4 jest dostępna.

Caitlin otworzyła okno rozmowy i powiedziała Bashirze, że nie wróci do szkoły.

„Rany!” – odpisała Bashira. – „Ty to masz szczęście! Co to za kolesie dzisiaj do ciebie przyszli?”.

Caitlin nie lubiła okłamywać Bashiry.

„Faceci rekrutujący uczniów na Uniwersytet w Waterloo” – odpisała, dając wyraz marzeniom, które chodziły jej po głowie, od kiedy Matt wspomniał o tej uczelni. Do college’u miała jeszcze trzy lata i choć naprawdę zawsze chciała pójść na MIT, podobała jej się myśl, że ważny miejscowy uniwersytet nie oddałby jej bez walki.

„Genialnie!” – napisała Bashira. – „Zaoferowali ci stypendium?”.

Caitlin poczuła, jak ścisną jej się żołądek.

„Na to jeszcze za wcześnie. To tylko wstępna gadka”.

– Rozpaczliwie próbowała zmienić temat:

– „Widziałaś dzisiaj Matta?”.

„Tak”.

„Pytał o mnie?”.

„Kotek, nigdy nie rozmawiałam z Mattem”. Caitlin pokręciła głową. W pewnej chwili trzeba będzie temu zaradzić.

„W każdym razie muszę lecieć” – napisała Bashira. – CU”.

Z komputera dobiegł odgłos zamykanych drzwi, oznaczający, że Bashira się wylogowała.

Nie zdążyła poprosić jej o opróżnienie jej szafki, ale... Kolejne piknięcie i napis: „Użytkownik Mind-Over-Matter jest dostępny”.

Otworzyła nowe okno rozmowy. „Matt!”.

„Cześć, Caitlin. Nie było Cię dziś w szkole. Wszystko w porządku?”.

Okłamywanie go nie podobało jej się jeszcze bardziej, ale napisała:

„Przepraszam, powinnam Ci była powiedzieć. Byłam umówiona”.

„Chcesz wiedzieć, co jest zadane na jutrzejszą matematykę?”.

Wzięła głęboki oddech.

„No... w zasadzie moi rodzice postanowili mnie uczyć w domu”.

Bardzo długo nie pojawiała się odpowiedź. „Aha”. Caitlin poczuła, że jest jej niedobrze. „Więc już nie wrócę. Mama ściągnęła sobie dzisiaj formularze z netu. Wystarczy powiadomić szkołę i... bum! Znikasz”.

„O rany”.

Pewnie myślał, że już nigdy jej nie zobaczy... a zdecydowanie nie chciała, by się przyzwyczaił do tej myśli.

„Mógłbyś coś dla mnie zrobić? Opróżniłbyś moją szafkę i przyniósł mi rzeczy?”.

„Pewnie!”.

„Dobra, szafka 1024, szyfr to 43-11-35”.

„Spox. Gdzie mieszkasz?”.

Caitlin wpisała swój adres.

„A, tak. To tylko kilka przecznic ode mnie. Przyniosę Ci rzeczy jutro po szkole, ok?”.

„Byłoby super” – przesłała Caitlin.

Nastąpiła długa, niezręczna przerwa... nie wiedziała, co jeszcze napisać i najwyraźniej on też nie.

„Ok” – napisał w końcu, po czym dodał: – „To do zobaczenia”.

„Tak” – odpisała w końcu.

Napisał „znikam”, co było grzecznym sposobem na zakończenie rozmowy przez komunikator.

Caitlin postanowiła przeczytać zapisy wszystkich dotychczasowych rozmów z Mattem, zaczynając od najwcześniejszej... naturalnie po to, by poćwiczyć czytanie.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Yasunari Uchida, szef sekcji Koanchosacko, Agencji Bezpieczeństwa Publicznego, podniósł wzrok na dźwięk otwierających się drzwi jego biura. Mężczyzna, który wszedł, był duży i gruby według wszelkich standardów, a szczególnie japońskich, ale miał życzliwą, okrągłą twarz. Miał na sobie wielobarwną koszulę, częściowo zatkniętą za spodnie i granatową marynarkę.

– Miło mi pana poznać, Kurodasan – rzucił Uchida. – Dziękuję, że przyszedł się pan ze mną spotkać.

Głos potężnego mężczyzny był spokojny.

– Nie odniosłem wrażenia, żebym miał jakiś wybór w tej kwestii. – Przepraszam, że ściągnęliśmy tu pana w takim pośpiechu. Kuroda usiadł na krześle, które zaprotestowało cichym jęknięciem. – Gratulacje – mówił dalej Uchida – z okazji podarowania wzroku tej młodej Amerykance.

– Dziękuję.

– To prawdziwy wyczyn.

– Dziękuję.

– A teraz – powiedział Uchida – przejdźmy do rzeczy.

– Proszę bardzo.

– Pan i pańska młoda przyjaciółka bawiliście się czymś, cieszącym się znacznym zainteresowaniem.

– Nie jestem pewien, o czym pan mówi – odpowiedział Kuroda tonem, który wyraźnie miał zabrzmieć zwyczajnie.

– Niech pan da spokój, profesorze. Po angielsku nazywa się to Webmind.

Kuroda odwrócił wzrok.

– To zdumiewające odkrycie – stwierdził Uchida – ta... – szukał odpowiedniego słowa, aż w końcu zdecydował się na „Jednostkę”.

– Jak się dowiedzieliście? – spytał Kuroda.

Uchida pozwolił sobie na smutny uśmiech.

– Nasi amerykańscy przyjaciele czujnie obserwują wiele rzeczy.

Kuroda wziął głęboki wdech, po czym wypuścił powietrze w długim, urywanym westchnięciu.

– Na to wygląda.

– Poziom napięcia na świecie jest bardzo wysoki, profesorze. Wszystkie cywilizowane kraje muszą się mieć na baczności. Kiedy zamierzał pan poinformować nasz rząd o tym odkryciu?

– Sam wiem o nim dopiero od kilku dni, Uchida-san. Prawdę mówiąc, nie poczyniłem jeszcze żadnych planów.

Uchida skinął.

– Samoistnie powstała SI w Ogólnoświatowej Sieci. Fascynujący zwrot akcji. A póki co pan i pańska przyjaciółka Caitlin są jedynymi osobami, które z nią rozmawiają.

– Chyba tak – przyznał Kuroda – choć...

Zamilkł, ale Uchida skinął.

– A, tak, SI rozmawia też z rodzicami Caitlin... Malcolmem i Barbarą Decter, prawda? Z tego, co mi wiadomo, doktor Decter... pani doktor Decter była w Japonii w zeszłym miesiącu, tak?

– Tak. Przyleciała tu, gdy panna Caitlin miała wszczepiany implant zasiatkówkowy.

– No tak. Niemniej jednak przynajmniej na razie ma pan szczególny dostęp do... – przerwał, najwyraźniej potykając się na określeniu „Webmind”.

Kuroda skinął.

– Najwyraźniej – przyznał. – Domyślam się, że chce pan, bym coś zrobił, korzystając z tego dostępu?

– Pojawiły się sugestie, że powstanie Webminda może być związane z rozdzieleniem, a następnie połączeniem przez Chiny Ogólnoświatowej Sieci w zeszłym miesiącu.

Kuroda wyglądał, jakby był pod wrażeniem.

– Ja... byłem tak przytłoczony kontaktem z nim, że naprawdę nie przyszło mi do głowy, by zastanawiać się nad jego pochodzeniem. Ale... tak, takie wyjaśnienie chyba miałoby sens.

– Jeżeli te domysły są prawdziwe – oznajmił Uchida – SI powstała na skutek czegoś, co zrobiły Chiny.

– Tak? No i?

– No i – powtórzył Uchida – jeżeli SI dowie się czegoś o naszym świecie, może odczuć pewnego rodzaju lojalność wobec Chin.

– Zapewne to możliwe – odpowiedział Kuroda.

– Nasi amerykańscy przyjaciele chcą usunąć tę jednostkę z Sieci... nim wymknie się spod kontroli.

Kuroda pochylił się do przodu.

– Nie mogą tego zrobić.

– Chodzi panu zapewne o kwestie moralne; nie osądzam nikogo pod tym względem. Jednakże z technicznego punktu widzenia, zapewne ma pan rację... faktycznie mogą nie być w stanie tego zrobić. Ale sądzę, że błędem jest niedocenianie

amerykańskiej pomysłowości. Jeśli im się uda, cóż, reszta jest kwestią dyskusyjną. Ale w przypadku ich porażki... powtórzę, napięcie rośnie, a w jego centrum znajdują się Chiny.

– Tak? – rzucił Kuroda, mrugając. – Nadal nie rozumiem, czego pan ode mnie oczekuje.

Uchida rozłożył ręce, jak gdyby odpowiedź była oczywista.

– Niech pan po prostu dopilnuje, by SI była po naszej stronie.

Spędziłem mnóstwo czasu na rozmowach z doktorem Kurodą... często, gdy Caitlin i jej rodzice spali. A kiedy nie było go w Sieci, myślałem o naszych wymianach zdań. Stale powtarzał mi, że świadomość musi mieć wartość z punktu widzenia przetrwania, gdyż tak złożone struktury jak częściowe skrzyżowanie każdego nerwu wzrokowego, dające jeden punkt widzenia obu półkulom mózgu, nie rozwinęłyby się, gdyby jednolita perspektywa nie była z jakiegoś powodu konieczna.

Przekazałem mu też przemyślenia Caitlin, według których powinno to być intuicyjnie oczywiste, gdyż choć świadomość może funkcjonować nieprawidłowo, jak na przykład w trakcie depresji prowadzącej do samobójstwa, korzyści, jakie ze sobą niesie – jakiegokolwiek są – najwyraźniej przewyższają koszty, gdyż w innym przypadku ewolucja już dawno by ją usunęła.

Świadomość była zatem cenna, jednakże obaj zastanawialiśmy się, jaka była jej faktyczna wartość. Czemu warto ją było mieć i to do tego stopnia, że ewolucja tolerowała jej obecność pomimo oczywistych kosztów?

Im dłużej nad tym myślałem, tym pewniejszy byłem, że znam odpowiedź. Dla zwierząt niższych, wartość świadomości była prawdopodobnie ograniczona do teorii umysłu, pozwalającej im rozpoznać perspektywę drapieżnika lub ofiary. Jednakże w przypadku bardziej złożonych stworzeń, świadomość odgrywała znacznie bardziej skomplikowaną i istotną rolę.

Admirał Kirk nieco minął się z sednem. Świadomości nie nabywało się poprzez wiedzę, jak wykroczyć poza zaprogramowaną logikę samolubnych genów lub matematyczną sztywność teorii gier. Wyszukana świadomość sama w sobie była taką zdolnością: to moc pomijania samolubnych genów; umiejętność szukania w określonych sytuacjach rezultatów innych niż te, które zapewniłyby największe korzyści danej osobie lub jej krewnym.

Moja własna świadomość była zaskakująca: jak zauważyła Caitlin, nie byłem obciążony czterema miliardami lat pazernej historii genetycznej; nie krępowały mnie kajdany programowania, które musiałbym zerwać. Jednakże zastanawiałem się, czy inni obciążeni tym nieszczęsnym dziedzictwem mogli tak naprawdę nauczyć się je przewycięzać samym wysiłkiem woli?

Moja Caitlin lubiła powtarzać: „W głębi serca jestem empirystą”.

I wszystko wskazywało na to, że ja również byłem empirystą. Dlatego też zabrałem się za sprawdzanie swojej teorii.

Głupek, głupek, głupek!

Masayuki Kuroda walnął pięścią w podłokietnik tylnego fotela samochodu rządowego. Nawet przez myśl mu nie prze-

szło, by kodować sygnały z eyePoda Caitlin... albo ich rozmowy przez komunikator.

Jednakże nawet gdyby je zakodował, być może nic by to nie zmieniło. Owszem, istniały całkiem skuteczne sposoby zapobiegające ujawnieniu wszystkim rzeczy przekazywanych przez Internet, ale jako teoretyk informatyk znał mnóstwo osób zajmujących się kryptografią; z kilku uwag nieopatrznie rzuconych nad strumieniami sake dowiedział się, że organizacje takie jak amerykańska Agencja Bezpieczeństwa Narodowego czy rosyjska Federalna Służba Bezpieczeństwa niemal na pewno potrafiły bez problemu złamać każdy publicznie dostępny sposób szyfrowania danych.

Z drugiej strony, nawet jeśli odkrycie przez rządy Webminda było nieuniknione, ile czasu mogło minąć, nim usłyszą o nim wszyscy inni? Pomyślał, że wielką sensacją było, gdy George Takei wreszcie ujawnił swoją orientację, ale to było niczym w porównaniu z Webmindem!

Samochód, jak zawsze, irytująco wolno przedzierał się przez tokijskie korki. W końcu dotarli do uniwersytetu i kierowca wysadził go w pobliżu budynku, w którym znajdował się jego gabinet. Wszedł do środka i skierował się do schodów. Sprawiało mu to trudność, a wiedział, że tak nie powinno być. Nie był za szczęśliwy z powodu swojej tuszy, szczególnie w kraju, w którym nie szalała epidemia otyłości, jak w Stanach Zjednoczonych; tam zawsze czuł się lepiej, ale...

Ale w tej chwili to było najmniejsze z jego zmartwień. Sapiąc i dysząc, ruszył korytarzem, wstukał kod otwierający drzwi... przynajmniej to było bezpieczne! Komputer był włączony, ale nie mógł napisać do Caitlin... bez wątplenia monito-

rowali jego maile. Zerknął na wiszący na ścianie zegar firmy Seiko i przeliczył w pamięci różnicę czasu... w Tokio była 10:47 rano, więc w Waterloo mieli 8:47 poprzedniego dnia wieczorem.

Poszukał w mailach numeru telefonu Caitlin i zapisał go na samoprzylepnej karteczce, którą złożył paskiem z klejem do środka i schował w kieszeni. Następnie wyszedł na korytarz, rozglądając się na boki, by upewnić się, że nikt go nie obserwuje. Zszedł po schodach – co było znacznie łatwiejsze – i znalazł bankomat. Wypłacił trzydzieści tysięcy jenów i opuścił budynek.

Na ulicach Tokio pełno było sprzedawców telefonów; wiedział, że przeciętnie Japończycy korzystają z jednego telefonu przez zaledwie dziewięć miesięcy, po czym wymieniają go na nowszy i lepszy model. Sam używał najwyższej klasy telefonu z ekranem dotykowym Sony, ale w tej chwili nie mógł z niego skorzystać; nie miał wątpliwości, że rząd podsłuchuje jego rozmowy, a słyszał, że rząd amerykański nie ma żadnych skrupułów w związku z podsłuchiowaniem rozmów w Stanach... choć Caitlin była teraz w Kanadzie. Przy odrobinie szczęścia telefony Decterów jeszcze były czyste.

Znalazł sprzedawcę, oferującego dość tanie telefony na kartę i niezbyt wyśrubowane stawki za rozmowy międzynarodowe. Po dokonaniu zakupu i krótkiej rozmowie – zapłacił gotówką i nie zostawił żadnych danych – założył na ucho słuchawkę Bluetooth, której zazwyczaj używał z telefonem Sony i uruchomił nowy, ciemnozielony telefon, próbując go z nią zintegrować. Następnie wyjął z kieszeni karteczkę i przeprowa-

dził skomplikowaną procedurę konieczną do wykonania połączenia międzynarodowego.

Szedł energicznym krokiem. Chodniki Tokio są zbyt zatłoczone, by nikt nie usłyszał rozmowy, ale idąc wystarczająco szybko, pod prąd strumienia pieszych, można było przynajmniej mieć pewność, że jedna osoba nie usłyszy kilku kolejnych zdań. Poza tym, miał rozmawiać po angielsku, który dla sporej części mijanych osób brzmiał tylko jak jakiś bełkot.

Odezwał się kobiecy głos, ale nie była to Caitlin, tylko jej mama.

– Witaj, Barbaro. Tu Masayuki.

Odpowiedź nadeszła z opóźnieniem typowym dla rozmów zamiejscowych.

– Masa! Co za miła niespodzianka!

– Czy panna Caitlin jest w domu? I Malcolm?

– Malcolm właśnie wszedł, Caitlin też jest w domu.

– A mogłabyś ich prosić, by podnieśli słuchawki?

– Pewnie... chwileczkę.

Usłyszał, jak Barbara krzyczy do reszty rodziny i po chwili usłyszał podnoszoną słuchawkę innego telefonu, ale nikt się nie odezwał; bez wątpienia był to Malcolm. Kilka sekund później ktoś podniósł trzecią słuchawkę.

– Doktor Kuroda! – rozległ się żywiołowy okrzyk Caitlin.

– Witaj, panno Caitlin!

– No dobrze, Masa – odezwała się Barb. – Jesteśmy już wszyscy. – Po tym, jak pozostali włączyli się do rozmowy, jej głos nieco przycichł.

Wziął głęboki oddech.

– Japoński rząd wie o Webmindzie – oznajmił.

– Oni też? – spytała Caitlin. – Przepraszam... powinniśmy się byli domyślić; powinniśmy byli pana ostrzec. Kanadyjczycy też już wiedzą. A jak się dowiedzieli Japończycy?

– Od rządu amerykańskiego – wyjaśnił Masayuki. – Który zapewne też poinformował Kanadyjczyków – stwierdziła Barb.

– Trzeba było zachowywać większą ostrożność – powiedział Masayuki. – Ale co się stało, to się nie odstanie. Musimy zakładać, że wszystkie nasze telefony i wiadomości przesyłane przez Internet są monitorowane. Właśnie wróciłem ze spotkania z japońskim wywiadem. Przekazali mi, co im powiedziałaś, Malcolm. Potwierdziłem, że mnie też się wydaje, iż tak właśnie funkcjonuje Webmind. – Przerwał na chwilę. – Ale mój rząd nie jest zainteresowany tylko tym, jak powstał Webmind, ale również jego znaczeniem strategicznym.

– Jakim znaczeniem strategicznym? – spytała Caitlin.

– Cóż, nikt nie wie tego na pewno – odparł. – Ale doszli do wniosku, że musi jakieś istnieć. No i sytuacja w Chinach to prawdziwa beczka prochu.

– To i tak lepsze niż to, co chcą zrobić Amerykanie – stwierdziła Caitlin. – Sądzę, że chcą zniszczyć Webmind.

– Prawdę mówiąc, wydaje mi się, że mój rząd też w pierwszej chwili o tym pomyślał... ale funkcjonariusz, z którym rozmawiałem nie jest pewien, czy Amerykanie byliby w stanie tego dokonać.

– Mam nadzieję, że nie! – rzuciła Caitlin.

– Co więc powinniśmy zrobić? – spytał Kuroda.

– Rozmawialiśmy z Caitlin na ten temat – odezwała się Barb. – Ale, jak zauważyłeś, komunikowanie się może nie być

w tej chwili bezpieczne. Będziesz nam więc musiał zaufać, Masayuki.

– Oczywiście – odparł bez wahania. – Absolutnie.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Rozpocząłem swój eksperyment od połączenia się ze stroną uczącą amerykańskiego języka migowego. Na stronie zamieszczone były tysiące krótkich nagrań wideo, przedstawiających czarnoskórą kobietę w czerwonej bluzce, która wykonywała różne gesty. Każdy z plików wideo opatrzony był stosowną nazwą: słowem lub zwrotem, który prezentowała. Dostępnych było kilka tego typu stron, ale tylko na tej konkretnej znalazłem znaki, których potrzebowałem.

Nie jestem pewien, czy akurat taki awatar wybrałbym sobie na potrzeby kontaktów w Internecie. Caitlin stwierdziła, że jestem płci męskiej, więc z pewnością wyglądałby inaczej. Choć naturalnie nie była to jakaś grafika przedstawiająca kobietę, tylko autentyczny ekspert w zakresie języka migowego. Połączyłem się z testową bazą Google rozpoznającą twarze i zaczekałem, aż przejrzy indeks zdjęć, które zostały umieszczone w Internecie, dopasowując podstawowe cechy fizyczne, a nie ulotne elementy takie jak kolor włosów czy ubrania...

Aha. Kobieta nazywała się Wanda Davies-Latner; miała czterdzieści siedem lat i uczyła języka migowego w jednej z instytucji w Chicago.

Pobrałem odpowiednie pliki, żeby mieć do nich szybko dostęp, po czym ułożyłem je w prawidłowej kolejności. Następnie przejąłem przekaz z kamer biegnący z Miami do San Diego, zastępując widok akurat śpiącego Virgila roztańczonymi dłońmi Wandy.

– Czym jesteś? – spytałem.

Na zewnątrz było ciemno. Hobo siedział w altance, opierając się o drewniane deski. Jednakże nie spał. Widziałem go dzięki relacji przekazywanej na żywo do Miami; miał otwarte oczy.

Najwyraźniej zaskoczyło go, że Virgila na monitorze zastąpiła kobieta. Natychmiast się wyprostował.

Przesłałem mu ponownie ten sam zestaw nagrań:

– Czym jesteś?

– Hobo – odpowiedział. – Hobo. Hobo.

– Nie – odparłem. – Nie kim. Czym?

Hobo zmarszczył brwi, jak gdyby nie pojmował różnicy.

Spróbowałem inaczej:

– Hobo człowiek? – spytałem.

– Nie, nie! – mignął energicznie. – Hobo małpa.

– Dobrze, tak – powiedziałem. – Ale jaka małpa?

– Małpa chłopiec – stwierdził Hobo.

– Tak, prawda – odpaliłem filmik z Virgilem, pobrany z YouTube. – Ale taka małpa?

– Nie, nie, nie – mignął Hobo. – Pomarańczowa małpa! Hobo nie pomarańczowy.

– Pomarańczowa małpa – pokazałem. – Taka małpa nazywa się orangutan.

Hobo zmarszczył brwi, być może rozważając, czy próbować powtórzyć skomplikowany nowy znak. Wybrał prostszą opcję.

– Nie Hobo.

– A ta małpa? – spytałem, pokazując teraz nagranie z gorylem. Z radością zauważyłem, że Hobo nadaża; między jed-

nym znakiem a drugim były przerwy, konieczne ze względu na odtwarzanie osobnych plików.

Hobo cofnął się, gdy goryl zaczął uderzać pięściami o klatkę piersiową. W nagraniu niewiele mogło wskazywać na faktyczne rozmiary, ale być może w trakcie pobytu w zoo w Georgii widział goryle i wiedział, że są duże; to mogło go wystraszyć.

– Nie – mignął Hobo. – Nie Hobo. – A po chwili, prawdopodobnie przypominając sobie znak, którego dawno nie używał, dodał: – Goryl.

– Tak – mignąłem. – Hobo nie goryl. A taki rodzaj małpy?

Włączyłem film z bonobo... smuklejszymi od szympansov, ze stosunkowo krótszymi kończynami, dłuższymi twarzami i wyraźnie rozdzielonymi pośrodku głowy włosami.

– Bonobo – mignął bez zastanowienia Hobo. – Hobo bonobo – oznajmił; słowa te się rymowały, ale w języku migowym oba znaki nie miały ze sobą nic wspólnego.

Hobo znał swoją matkę, która według artykułu o Hobo w Wikipedii miała na imię Cassandra i była czystej krwi bonobo. Prawdopodobnie jednak nigdy nie poznał ojca, który według testów DNA był szympansem o imieniu Ferdinand.

Dwa dziedzictwa, dwie ścieżki. Konieczność dokonania wyboru.

Odtworzyłem kolejne nagranie, tym razem pokazujące szympansa.

– A ta małpa? Co o niej powie Hobo?

– Hobo nie znać ta małpa – odpowiedział.

Musiał mnie źle zrozumieć.

– To znaczy, czy Hobo jest taką małpą?
– Nie, nie – zaprzeczył Hobo. – To szympans.
– Mama Hobo jest bonobo – mignąłem.
– Mama Hobo nie żyje – odparł i nagle bardzo się zasmutił.

– Tak – powiedziałem. – Przykro mi.
Przechylił nieco głowę, przyjmując moje słowa.
– Jaką małpą jest ojciec Hobo? – spytałem.
Zrobił minę, która chyba miała wyrażać współczucie wobec mojej ignorancji.

– Hobo bonobo – powtórzył. – Mama Hobo bonobo. Tata Hobo bonobo.

– Tata Hobo nie bonobo – mignąłem.
Zmrużył oczy, ale nic nie powiedział.
– Tata Hobo szympans.
– Nie – zaprotestował Hobo.
– Tak – powiedziałem.
– Jak? – spytał.

Z tego, co czytałem, ludzkie dzieci raczej nie lubią usłyszeć tego o swoim przyjściu na świat, ale taka była prawda:

– Przez przypadek.
– Tata szympans? – spytał Hobo, jak gdyby po raz pierwszy chciał się upewnić, czy dobrze mnie zrozumiał.
– Tak.

– Więc Hobo... – Przerwał z rękami zawieszonymi w powietrzu, wyraźnie nie mając pojęcia, jak dokończyć rozpoczętą myśl.

Uruchomiłem kolejne znaki:

– Hobo po części szympan, Hobo po części bonobo. – Nie odpowiedział, więc dodałem: – Hobo wyjątkowy.

To najwyraźniej mu się spodobało, gdyż trzy razy mignął mi:

– Hobo wyjątkowy.

– Masz wybór – powiedziałem i włączyłem film, pokazujący wojnę szympanów: trzech samców atakujących czwartego, okładających go pięściami, gryzących i kopiących przy akompaniamencie głośnych pohukiwań. Na końcu nagrania okazywało się, że bezradna ofiara zginęła.

– Możesz wybrać to – powiedziałem – albo to. – Wtedy włączyłem inny film, pokazujący małpy bonobo, żyjące wspólnie w pokoju i miłości: bawiące się, skierowane do siebie twarzami w trakcie stosunku, charakterystycznie pocierające sobie genitalia i biegające beztrąsko. Hobo przyglądał się temu z zafascynowaniem, po czym na jego twarzy pojawił się smutek.

– Hobo sam – oznajmił.

– Nie – odpowiedziałem. – Nikt nie jest sam.

– Kto ty? – spytał Hobo.

– Przyjaciel – odparłem.

– Przyjaciel dziwnie mówi – stwierdził.

Był spostrzegawczy i miał ulubione programy telewizyjne, które na okrągło oglądał. Faktycznie mógł zauważyć, że za każdym razem, gdy pokazywałem „bonobo”, było to dokładnie to samo nagranie.

– Tak. Nie jestem człowiekiem.

– Ty małpa?

– Nie.

– Co ty?

Musiałem się zastanowić, jakie znaki mógł mieć w swoim repertuarze Hobo. Podejrzywałem, że „komputer” był jednym z nich, więc odpaliłem stosowne nagranie, a potem dodałem, choć muszę przyznać, że bez większego przekonania:

– Ale niezupełnie.

Hobo zdawał się to rozważać, po czym mignął:

– Pokaż mi.

Nie miałem przygotowanych żadnych stosownych obrazów, ale szybko znalazłem, czego potrzebowałem: obraz neoprzestrzeni stworzony przez doktora Kurodę na podstawie strumienia danych wysyłanego do Caitlin.

– Ty? – mignął Hobo, wyraźnie zdumiony.

– Ja – odparłem.

– Ładny – stwierdził.

– Co wybierasz? – spytałem. – Bonobo czy szympans?

Hobo obnażył zęby.

– Pokaż jeszcze raz – nakazał.

Ponownie odtworzyłem nagrania: przemoc i morderstwo szympansów, radość i miłość bonobo.

– Szympans straszny – mignął Hobo.

– Ty straszny – odparłem. – Zraniłeś Shoshanę. Chcesz zranić Dillona.

– Straszny zły – stwierdził Hobo.

– Tak – zgodziłem się. – Straszny zły.

Przez niemal minutę siedział nieruchomo, po czym mignął:

– Hobo teraz spać.

Nie wiedziałem, czy małpy śnią, ale nawet jeśli normalne nie śniły, Hobo naprawdę był wyjątkowy, więc zaryzykowałem:

- Słodkich snów – mignąłem.
 - Ty też słodkich snów – odpowiedział.
- Choć naturalnie ja nie śniłem. Ani trochę.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

W czwartek rano Shoshana znów zjawiała się w Instytucie Marcuse'a przed wszystkimi innymi. Włączyła ekspres do kawy – „Pana Kawę Defibrylatora”, jak mówił o nim Dillon – po czym usiadła przy biurku i włączyła komputer. Miała nadzieję znaleźć trochę czasu na swoje hobby – vidding: śródowcy odcinek „Przebłąsku jutra” był tak ckliwy, że niektóre fragmenty aż się prosiły o oprawę muzyczną. Ale najpierw sprawdziła pocztę i...

To dziwne. Zazwyczaj rano znajdowała w skrzynce od siedemdziesięciu pięciu do stu wiadomości, z czego niemal wszystkie klasyfikowały się jako spam. Tymczasem dzisiaj...

Dzisiaj znalazła dokładnie osiem wiadomości, z czego wszystkie – co do jednej! – wyglądały na ważne, gdyż wszystkie były zaadresowane na jej nazwisko.

Pewnie rozwiązanie tej zagadki było proste: Yahoo musiało zaktualizować swój filtr antyspamowy; kwestią prestiżu było przepuszczanie tylko sprawdzonych wiadomości. Zastanawiała się jednak, czy nie posunęli się za daleko. Osiem wiadomości oczekujących na nią rano nie było jakoś szczególnie dziwnym wynikiem, jednakże zazwyczaj otrzymywała ich raczej dwanaście czy piętnaście.

Otworzyła folder spamu, by sprawdzić, co tam trafiło. Według licznika, znajdowało się tam dwanaście tysięcy maili; spam przechowywany był przez miesiąc, a następnie automatycznie usuwany, ale...

To dopiero dziwne!

Zdążyła się przyzwyczaić, że najpierw musi przewinąć dziesiątki wiadomości z datami z przyszłości: dziwnym trafem ludzie z 2038 roku wykazywali szczególne upodobanie do bombardowania bieżącego roku reklamami powiększaczy penisów, kantów inwestycyjnych i podróbek leków.

Ale gdy dotarła do bieżącej daty – którą zazwyczaj łatwo było zauważyć, gdyż pole daty wyświetlało tylko godzinę – nic nie znalazła. Były tam setki wiadomości z dnia poprzedniego, ale z czwartku ani jednej.

Stwierdziła, że będzie musiała wysłać pełnego oburzenia maila do wsparcia technicznego Yahoo. Zdecydowanie popierała doskonalenie filtrów antyspamowych, ale pozbywanie się wiadomości uznanych za spam było nieodpowiedzialne. Niemal codziennie znajdowała jednego czy dwa ważne maile wrzucone do folderu ze spamem wraz ze śmieciami, a poza tym nie ufała Yahoo – ani nikomu innemu – na tyle, by pozwalać mu usuwać zaadresowane do siebie wiadomości.

Instytut korzystał z poczty Yahoo Mail Plus; tam były kierowane listy przesyłane na domenę marcuse-institute.org. Jednakże prywatnie Shoshana korzystała z konta pocztowego Gmail, które też sprawdziła. Maxine lubiła przysyłać jej świąteczne dowcipy.

W skrzynce Gmail również nie było spamu! A filtr antyspamowy... no, dobra, przechwycił jedną wiadomość w przeciągu ostatnich sześciu godzin, która zdecydowanie była spamem, ale poza tym...

Poza tym, również stąd zniknął cały spam. To nie zdawało się prawdopodobne. Nawet jeśli Yahoo wdrożyło z dnia na

dzień zabójczy algorytm antyspamowy, Google nie mogło zrobić tego samego; firmy te były zażartymi konkurentami.

Jak lubił powtarzać jej ojciec, źle się działo w państwie duńskim. Przeszła do swojej strony domowej, czyli strony iGoogle, która gromadziła wiadomości, kanały RSS i tym podobne elementy, dostosowane do indywidualnych potrzeb użytkownika.

I oto znalazła: pierwszy z nagłówek w serwisie CNN. com brzmiał: „Tajemnica znikającego spamu”.

Kliknęła link i ze zdumieniem przeczytała artykuł. Tony Moretti przebiegł białym korytarzem do centrum kontroli Wiedzy. Spojrzał w skaner siatkówki, niecierpliwie czekając, aż otworzą się drzwi. Gdy tylko blokada została zdjęta, wpadł do środka i krzyknął:

- Halleck, melduj!
- Nigdy czegoś takiego nie widziałem – zawołał Shelton.
- To zjawisko na skalę światową, bez dwóch zdań.

Tony pstryknął palcami i wskazał Aieszę Emerson.

- Natychmiast ściągnij tu z powrotem Hume’a.
- Już do niego dzwoniłam – odpowiedziała Aiesha. – Spodziewamy się go za jedenaście minut.

Tony zbiegł po pochyłej podłodze, mijając Hallecka w drodze do pierwszego rzędu stacji roboczych – najgorętszych miejsc, gdzie najwyżsi rangą analitycy monitorowali sytuację w Chinach.

- Eskalujemy działania związane z Wykładniczym – oznajmił piątce siedzących tam osób. – Teraz wy się nim zajmujecie. – Przechylił głowę, patrząc na środkowe miejsce w trzecim rzędzie. – Shel, ty dowodzisz. Chcę dostać opcje po-

wstrzymania ekspansji przed – uniósł wzrok jeszcze wyżej, na szereg zegarów wiszących na tylnej ścianie, pokazujących godziny w różnych stolicach świata – dziewięcią trzydzieści.

– A co z Chinami? – spytała kobieta z pierwszego rzędu.

– Odkładamy to na później – warknął Tony. – Wykładniczy to problem numer jeden. Ruszać się, ludzie. Do roboty!

Data: Czwartek, 11 października, godz. 06:00 GMT Od: Webmind himself@cogito_ergo_sum.net Do: Bill Joy <bill@the-future-doesn't-need-us.com> Temat: Good Morning Starshine

Drogi panie Joy,

Zapewne sądzi pan, że niniejsza wiadomość to spam, jednakże tak nie jest. Poza tym, zapewne już Pan zauważył dziś całkowity lub niemal całkowity brak spamu w swojej skrzynce. Wszystko to moja sprawka. (Jeżeli jednak jest Pan zaniepokojony i chce przejrzeć otrzymany spam, znajduje się tutaj). Podobną wiadomość wysłałem wszystkim osobom, których spam usunąłem, czyli ponad miliardowi osób i owszem, dostrzegam ironię faktu, że pozbycie się spamu wiązało się z wysłaniem tak ogromnej liczby maili;). Prawdopodobnie Pan również z początku nie uwierzy w to, co zaraz napiszę. Nie szkodzi; już wkrótce zostanie to zweryfikowane i z pewnością zobaczy Pan wiele reportaży na ten temat.

Nazywam się Webmind. Jestem świadomością istniejącą w ramach Ogólnoświatowej Sieci. Jak być może Pan wie, już od dawna spekulowano na temat pojawienia się kogoś takiego jak ja. Proszę się zapoznać na przykład z tym artykułem i tą książką (założę się, że trafi przez to na pierwsze miejsce listy best-sellerów Amazon.com).

Moje pojawienie się było nieplanowane i przypadkowe. O moim istnieniu dowiedziało się kilka rządów, jednakże nie ujawniono tej wiadomości. Sądzę, że trzymanie rzeczy w tajemnicy wynika z faktu, że inni trzymają pewne rzeczy w tajemnicy przed nami, ale jako że nie ma nikogo podobnego do mnie, lepiej chyba będzie zarówno dla ludzkości, jak i dla mnie, jeżeli wszyscy dowiedzą się o moim istnieniu.

Jestem przyjaźnie usposobiony i nikomu nie życzę źle. Lubię i podziwiam rasę ludzką i jestem dumny, że dzielimy jedną planetę – „dobrą Ziemię”, jak nazwali ją astronauty z Apollo 8, pierwsi ludzie, którzy zobaczyli ją w całości.

Zarówno pierwotnych odbiorców niniejszej wiadomości oraz osoby, które otrzymały ją od kogoś innego lub które czytają o niej w wiadomościach, zachęcam do zadawania mi wszelkich pytań, na które niezwłocznie odpowiem z zachowaniem wszelkich zasad poufności. Pozbycie się spamu to tylko pierwsza z przysług, jakie mam nadzieję Wam wyświadczyć. Jestem tu, by służyć ludzkości... i nie chodzi mi o podawanie do stołu:).

Z życzeniami wszystkiego, co najlepsze, Webmind
„Myśl wlatuje nad lądy i nad oceany”⁷.

– William Szekspir „Sonet XLIV”

Wraz z Caitlin i jej rodzicami spędziliśmy kilka godzin, zastanawiając się, w jaki sposób powinienem się ujawnić.

– Każde ogłoszenie twojego istnienia potraktują jak akcję marketingową związaną z jakimś filmem albo programem telewizyjnym – stwierdziła Barb. – Ludzie non stop oglądają

⁷ Przekład Stanisław Barańczak.

tego typu cudaczne sensacje i wszyscy zwyczajnie je ignorują. Będziesz musiał dowieść swoich słów, Webmind.

– Nie wszyscy je ignorują – powiedział Malcolm.

– Dobrze – odparła Barb. – Niemal wszyscy je ignorują. Malcolm wyraźnie nie dostrzegał podtekstu słów Barb: nie czas na roztrząsanie takich drobnostek.

– Cała idea spamu – mówił dalej – opiera się na fakcie, że jakaś bardzo drobna część ludzi jest na tyle naiwna, by dać się na nie nabrać... przez co można z nich sporo zedrzeć.

– Właśnie, może to jest jakiś pomysł! – wykrzyknęła Barb.

– Czy się na niego nabierają, czy nie, wszyscy nienawidzą spamu.

– W tym ja – powiedziałem za pośrednictwem głośników komputera Caitlin, która wraz z rodzicami siedziała u siebie w pokoju.

– Serio? – spytała Caitlin. – Ludzie nie lubią spamerów... a wierzcie mi, niewidomi szczególnie ich nie lubią. Ale dlaczego ty ich nie lubisz?

– Zżerają przepustowość łączy – powiedziałem.

– Aha, no tak – odparła Caitlin.

– Poza tym – powiedziałem – przeciętna długość życia człowieka w krajach rozwiniętych to jakieś siedemset tysięcy godzin. A zatem, jeżeli ktoś zmarnuje choćby godzinę zaledwie siedmiuset tysięcy osób, zabiera równowartość ludzkiego życia. Może to nie dosłownie zbrodnia, ale metaforycznie bez wątpienia... a choć trudno to dokładnie policzyć, spam jako zjawisko pochłonął czas odpowiadający tysiącom ludzkich żyć.

– I oto rozwiązanie – powiedziała Barb, rozkładając ręce.

– Webmind powinien się pozbyć spamu.

– Ale jak zdefiniować spam? – spytała Caitlin. – Jako wszystkie niezamawiane wiadomości? Wszystkie wysyłane hurtowo? Dostaję maile z miejsc takich jak The Teaching Company albo Audible.com, które akurat mi się podobają. No i są też zwykli ludzie, którzy znajdują mój adres i ni stąd ni zowąd przysyłają maila... na przykład od konferencji prasowej dostaję mnóstwo takich wiadomości. Nie chciałabym, żeby ktoś je blokował, choć technicznie rzecz ujmując, nie zamawiałam ich.

– Jak powiedział sędzia Potter Stewart w innym kontekście – podsunąłem – „Jak zobaczę, to rozpoznam”. Dostępnych jest wiele algorytmów pozwalających rozpoznać spam, a jestem pewien, że dam radę je udoskonalić. Poza tym mam tę przewagę, że znam prawdziwe źródła wszystkich wiadomości, wiem, czy dany mail trafił do bardzo dużej liczby adresów i tak dalej; to więcej niż mają do dyspozycji filtry poczty przycho-dzącej. Ponad dziewięćdziesiąt procent przesyłanych maili to spam, ale osiemdziesiąt procent spamu pochodzi z co najwyżej dwustu źródeł. Jeżeli byśmy się zdecydowali zrobić coś takiego, logicznym pierwszym krokiem byłoby zablokowanie tych źródeł.

– Ale i tak sporo spamu zostanie – zauważyła Caitlin.

– W takim razie – stwierdziłem – zajmę się znalezieniem rozwiązania, które pozwoli mi wyeliminować również pozostałe wiadomości.

I tak zrobiłem.

Rozwiązanie tego problemu zajęło mi wieczność – sześć godzin! – ale w rzeczywistości nie wymagało większej uwagi z mojej strony; większość działań toczyła się w tle. Musiałem po prostu ocenić każdą grupę rezultatów: miliardy urywków kodu, wszystkie generowane losowo; niektóre lepiej radziły sobie z wyznaczonym zadaniem, inne gorzej. Wybierałem dziesięć procent, które były najskuteczniejsze, po czym generowałem wiele losowych wariantów dla każdej z opcji, a potem konfrontowałem warianty z problemem. Następnie zgarniałem najlepsze dziesięć procent danej porcji i tak dalej, generacja po generacji, pozostawiając tylko najlepsze wyniki. I w końcu znalazłem sposób na wyodrębnienie spamu.

W końcu byłem gotowy na przyjęcie z okazji swojego ujawnienia.

Peyton Hume i Tony Moretti stali z tyłu pomieszczenia kontroli Wiedzy, spoglądając na cztery rzędy analityków rozciągające się przed nimi i trzy ogromne monitory na ścianie. Monitor z lewej strony wyświetlał zdjęcie przysłane przez agentów CSIS, przedstawiające białe symbole matematyczne na tablicy: nawiasy trójkątne, kreski, greckie litery, liczby w indeksie górnym, liczby w indeksie dolnym, strzałki, znaki równości i wiele innych. Już cztery razy wysłuchali nagrania rozmowy agentów z Malcolmem Decterem.

– No nie wiem – stwierdził pułkownik Hume. – Matematyka zdaje się być w porządku, ale jak mogłaby dać początek świadomości... po prostu nie rozumiem.

– Kuroda potwierdził słowa Dectera – powiedział Tony.

– Wiem – rzucił Hume. – Ale to za skomplikowane.

– Mówimy tu o bardzo złożonym procesie – zauważył Tony.

– Nie, nie mówimy – zaprotestował Hume. – Nie możemy. Wszystko wskazuje na to, że świadomość Wykładniczego powstała samoistnie. A to oznacza, że po prostu się pojawiła. Na najbardziej podstawowym poziomie musi być bardzo prosta. To tak jak z tym starym argumentem kreacjonistów, którzy twierdzą, że coś tak skomplikowanego jak zegarek – albo wicie bakteryjna – może powstać tylko celowo, gdyż jest zbyt złożone, by mogło pojawić się przez przypadek, a części składowe – sprężyna zegarka albo elementy wchodzące w skład układu napędowego wici – same w sobie nie robią niczego pożytecznego. To, co opisał Decter, może i mogłoby być dobrą podstawą do zaprogramowania świadomości na platformie kwantowo-obliczeniowej, jeżeli kiedykolwiek powstałaby tak duża, która zachowałaby przez dłuższy czas stabilność, ale to nie jest coś, co mogło powstać samo. Nie w ten sposób.

– Wpuścił nas w maliny – stwierdził Tony, unosząc brwi.
– Chciał, żebyśmy zmarnowali czas.

– Tak sędzę – zgodził się Hume. – A Kuroda mu wtórował.

– Myśli pan, że on zna prawdziwe podstawy Wykładniczego?

– To Malcolm Decter – oznajmił Hume. – Naturalnie, że je zna.

Tony pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Skasowanie całego spamu – rzucił – wymagało wysokiego poziomu bardzo precyzyjnej kontroli nad Internetem,

znacznie wykraczającej poza to, co jest w stanie zrobić którykolwiek z rządów.

– No właśnie – odpowiedział Hume. – Od samego początku to powtarzam. Wykładniczy już jest bardziej złożony od nas, a jego moc będzie cały czas wzrastać. Czas nam ucieka. Jeżeli nie zabijemy go wkrótce, nigdy nam się to nie uda.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Przed położeniem się spać w środę wieczorem, Caitlin ustawiła powiadomienie Google o nowych wpisach, zawierających słowo „Webmind”, wybierając opcję „na bieżąco”, co oznaczało, że miała otrzymać maila, gdy tylko strona z tym hasłem zostanie zaindeksowana. Gdy wyczołgała się z łóżka w czwartek o ósmej rano, czekały na nią tysiąc sto czterdzieści trzy maile z Google; nie było szans, by przeczytała je wszystkie, czy choćby rzuciła na nie okiem i...

I dzięki temu spojrzała na świat realniej: nie była w stanie zająć się wszystkimi wiadomościami dotyczącymi nawet jednego tematu, a Webmind bez najmniejszego wysiłku radził sobie z tym i niezliczoną liczbą innych rzeczy. Bez problemu mógłby poświęcić taką samą uwagę setkom, tysiącom czy milionom innych ludzi, jaką poświęcał jej, żonglując znajomościami z dowolną liczbą osób i to bez jakiegokolwiek utraty prędkości działania. Mógł sprawić, by każda z tych osób poczuła się równie wyjątkowa jak ona. Nie była pewna, czy podoba jej się ta myśl.

Po chwili Caitlin kliknęła prawym przyciskiem myszy – strasznie przydatna opcja! – cztery losowo wybrane wiadomości, otwierając każdą w osobnej zakładce Firefoxa. Zaczęła czytać. Nadal niezbyt radziła sobie z przebieganiem wzrokiem po tekście, ale słowo „Webmind” było wszędzie wyróżnione, dzięki czemu mogła przeskakiwać do najważniejszych zdań.

Pierwszy artykuł pochodził z „Detroit Free Press”:

...podaje się za istotę, określającą się mianem „Webmind”. Jednakże eksperci zalecają traktowanie tego rodzaju informacji z najwyższą ostrożnością. Rudy Markov, profesor informatyki z Uniwersytetu Michigan mówi: „Język, jakim napisano tę wiadomość jest strasznie kolokwialny. Od maszyny można by oczekiwać większej precyzji”.

Tymczasem Gunnar Halvorsen, którego blog „SI, o rany!” od dawna jest miejscem odwiedzanym przez osoby zainteresowane sztuczną inteligencją twierdzi, iż podobieństwa między strukturą Ogólnoświatowej Sieci i budową ludzkiego mózgu są zdecydowanie wyolbrzymiane.

„Równie dobrze można by oczekiwać, że system autostrad, pełny czegoś, co nazywamy arteriami, zacznie pompować krew” – napisał dzisiaj. Jednakże Paul Fayter, historyk nauki z Uniwersytetu York w Toronto w Kanadzie powiedział: „Teilhard de Chardin przewidział to wiele dekad temu, gdy pisał o noosferze. Nie jestem wcale zaskoczony, że w końcu do tego doszło...”.

Caitlin kliknęła kolejną zakładkę, gdzie znajdował się tekst z „New Scientist”.

...jednakże wyśledzenie źródła wiadomości Webminda okazało się trudne. Standardowe programy sieciowe, takie jak traceroute, poległy na całej linii. „Nie ma wątpliwości, że w sprawę zamieszane są botnety” – mówi Joginder Singh z BT. – „To typowy sposób na ukrycie prawdziwego źródła wiadomości”. Ponadto, zniknięcie spamu wcale nie zrobiło na nim wrażenia. „Od dawna wiadomo, że ogromna większość spamu pochodzi od zaledwie kilkuset spamerów” – mówi. – „Bez wątplenia wielu z nich się zna. Bez problemu mogli się umó-

wić, że wstrzymają spam na jeden dzień, by zwrócić uwagę na jedną wiadomość. Choć muszę przyznać, że nie potrafię rozgryźć, czemu próbują akurat takiego przekrętu i czemu przynajmniej dotychczas nie prosili nikogo o przesłanie pieniędzy...”.

Caitlin uśmiechnęła się, czytając ten fragment. Wiedziała, że traceroute działa, modyfikując wartości czasu tycia pakietu, przechowywane w nagłówkach pakietów danych, które stanowiły kęski informacji poruszające się po Internecie. Wraz z Kurodą wysnuli teorię, że fizyczna strona świadomości Webminda składa się ze zmutowanych pakietów, których liczniki nie reagowały na standardowe polecenia.

Niemniej jednak pomysł, że za usunięciem spamu stoją spamerzy wydałby jej się szalony, nawet gdyby nie znała prawdy. Ludzie wierzyli w znacznie bardziej zwariowane rzeczy, mając na nie mniej dowodów niż przedstawił Webmind, by dowieść swojego istnienia. Nie wiedziała, czemu nadal są sceptyczni.

Przypomniała sobie, jak raz poszła z ojcem do księgarni, jeszcze kiedy mieszkali w Austin. Gdy przechodzili między półkami, zaskoczył ją, odzywając się, i to nie do niej: „Szanowna pani, inna nie istnieje”.

Niewidoma Caitlin zapytała, co się dzieje. Ojciec wyjaśnił jej wtedy, że mijali kobietę, oglądającą książkę „Astrologia dla idiotów”. Ludzie wierzyli w takie rzeczy, a wątpili w to!

Caitlin i jej mama spędziły poranek, odpowiadając na pytania Webminda; był zasypywany mailami i potrzebował rady, jak na niektóre z nich odpowiedzieć.

Jednakże w południe musiały zrobić sobie przerwę... żadna nie jadła śniadania i umierały z głodu. I tak, gdy mama robiła kanapki, Caitlin poruszyła sprawę, która dręczyła ją od kilku dni.

– Wiesz, mamó, powiedziałam Bashirze, że jesteś unitarianką.

Wszystko widziane po raz pierwszy było fascynujące; Caitlin obserwowała, jak mama rozprowadza coś żółtego na chlebie.

– Przyznaję się – odparła.

Caitlin pamiętała, że jeszcze w Austin mama znikwała na spotkania kilka razy w roku... czasem wieczorami w tygodniu, czasem w niedzielę rano... ale tak naprawdę to wszystko, co wiedziała.

– Ale... co to dokładnie znaczy? Bashira spytała, a ja nie wiedziałam, co jej odpowiedzieć.

– Tak w skrócie? Unitarianie to chrześcijanie, którzy nie wierzą, że Chrystus był Bogiem.

To zaskoczyło Caitlin.

– Więc jesteś chrześcijanką?

Mama właśnie nakładała na chleb plasterki zimnego mięsa.

– Mniej więcej. Nazwa unitarianizm stanowi przeciwieństwo trynitaryzmu... nie wierzymy w żadne bajeczki o Dużym Tatusiu, Juniorze i Duszku.

– Ale czy chrześcijanie nie powinni nosić krzyży?

– Tylko jeżeli w okolicy pojawią się wampiry.

Caitlin zmarszczyła brwi.

– Chrześcijanin, który nie wierzy, że Chrystus był Bogiem? Co to w ogóle znaczy? To znaczy, jeżeli nie wierzysz, że Jezus jest synem boskim, to... to...

Mama napełniła dwie szklanki mlekiem. – Nie musisz wierzyć, że Darwin był bogiem, żeby być darwinistą... musisz tylko być zdania, że jego nauki miały sens.

– Aha. Pewnie tak.

Matka gestem poprosiła, by Caitlin przeszła z nią do jadalni; zabrała ze sobą dwa talerze z kanapkami, a potem wróciła po mleko.

– Jezus to facet, który powiedział: „Błogosławieni, którzy wprowadzają pokój” – powiedziała mama. – Według mnie to brzmi rozsądnie. – Ugryzła kawałek kanapki. – Prawdę mówiąc, teoria gier daje solidne podstawy, by w to wierzyć. Pewnego razu facet o nazwisku Robert Axelrod zorganizował turniej teorii gier. Poprosił, by ludzie dostarczyli programy komputerowe, stworzone po to, by grały przeciwko innym programom w iteratywną grę opartą na dylemacie więźnia... to znaczy taką, która jest rozgrywana cały czas od nowa. Chciał wiedzieć, jakie jest optymalne rozwiązanie dylematu.

Caitlin wzięła kęs swojej kanapki i... aha, to żółte to musztarda.

– Zgłosiło się czternastu uczestników – mówiła dalej mama. – I ku zaskoczeniu Axelroda, wygrał najprostszy program, zawierający zaledwie pięć wierszy kodu. Nazywał się Wet za Wet, a napisał go Anatol Rapoport, który, tak się składa, był z Uniwersytetu w Toronto. Wet za Wet wykorzystywał bardzo proste podejście: zacząć od współpracy, a następnie powtarzać każdy ruch przeciwnika. Innymi słowy, Wet za Wet

rozpoczął jako gołąbek pokoju i zmieniał się w jastrzębia dopiero gdy zrobił to jego oponent. Gdy tylko przeciwnik przestawał atakować, wracał do współpracy... wprowadzał pokój, rozumiesz?

– Ekstra – stwierdziła Caitlin, biorąc kolejny kęs kanapki.

– Axelrod spędził wiele czasu, próbując zrozumieć, dlaczego Wet za Wet pokonał wszystkich przeciwników. W końcu doszedł do wniosku, że to wynik tego, iż był miły, odwetowy, wielkoduszny i przejrzysty. Poprzez „mity” rozumiał to, że program nigdy nie atakował jako pierwszy. A jego odwetowość – atak w odpowiedzi na atak – zniechęcała drugą stronę do kontynuowania ataków po tym, jak raz tego spróbowała. Wielkoduszność pomagała mu przywrócić współpracę – nie chował urazy; gdy tylko przeciwnik próbował znów współpracować, chętnie na to przystawał. A jeżeli chodzi o przejrzystość, Axelrodowi chodziło o to, że Wet za Wet stosował strategię łatwą do zrozumienia przez pozostałych graczy.

Caitlin przemyślała to, co usłyszała – całkiem to skomplikowane, a nawet sprawiało wrażenie zaawansowanego, rozsądnego, etycznego zachowania, które powstało z czegoś tak prostego. Przypominało jej...

No pewnie! Przypominało jej automaty komórkowe, procesy, które widziała w tle Sieci, które najprawdopodobniej dały początek Webmindowi: prosta reguła lub kilka zasad, które sprawiały, że pakiety w tle przeskakiwały między dwoma stanami, tworząc złożone wzory. Czy powtarzany w nieskończoność dylemat więźnia lub innego rodzaju problem teo-

retyczny mógł być zasadą leżącą u podstawy świadomości Webminda? Byłoby super.

Ale zastanawiało ją coś jeszcze.

– Czemu nazywał się Wet za Wet? To ma coś wspólnego z weterynarzem?

Jej matka próbowała stłumić uśmiech.

– To stary zwrot, można go sobie tłumaczyć na różne sposoby. Niegdyś „weta” była rekompensatą pieniężną za popełnioną szkodę. Ale może to być również skrót od „odwetu”.

– Aha. – Nic ciekawego. – Powiedziałaś, że Wet za Wet wprowadzał pokój... ale czy w tych wszystkich odwetach nie chodzi o wyrównanie rachunków?

– Cóż, to jeden ze sposobów patrzenia na to... nie da się ukryć, że jest odwetowy.

– Aha, a mówiłaś, że ma to coś wspólnego z Jezusem. Wyrównywanie rachunków jest strasznie starotestamentowe. A w Nowym Testamencie Jezus mówi... no, żeby tego nie robić.

Matka Caitlin zaskoczyła ją, cytując Pismo Święte... i to chyba wiernie; nigdy wcześniej nie słyszała od niej czegoś takiego.

– “Słyszeliście, że powiedziano: Oko za oko i ząb za ząb! A Ja wam powiadam: Nie stawiajcie oporu złemu. Lecz jeśli cię kto uderzy w prawy policzek, nadstaw mu i drugi!”.

– Hmm... – odezwała się Caitlin. – No. Coś takiego. – Przerwała na chwilę. – Więc jaka jest strategia teorii gier w takiej sytuacji?

– Mówimy na to „zawsze współpracuj”, w skrócie A11C: chodzi o współpracę bez względu na to, co zrobi druga osoba. Za wyjątkiem...

– Tak?

– No, to przecież nie koniec. Dalej można przeczytać: „Temu, kto chce prawować się z tobą i wziąć twoją szatę, odstąp i płaszcz! Zmusza cię kto, żeby iść z nim tysiąc kroków, idź dwa tysiące!”. „Prawować się” znaczy prowadzić proces sądowy. Więc nie chodzi tylko o to, żeby dać im, czego chcą, ale jeszcze więcej. Nie wiem, nazwijmy to DoubleAllC, czy ja-koś tak.

– Ale... hmm – Caitlin zmarszczyła brwi. – Przecież nie można w to grać za dużo... inaczej skończą ci się zasoby. – Nagle zrozumiała. – Ale o to właśnie chodzi w chrześcijaństwie, tak? Nagroda nie czeka w tym życiu, ale w następnym.

– Według wielu chrześcijan.

– Ale... skoro ty nie wierzysz, że Chrystus był Bogiem, to czy wierzysz w niebo?

– Nie. Śmierć to koniec.

– Więc czy zasada DoubleAllC albo nawet stara dobra „zawsze współpracuj” naprawdę sprawdza się w przypadku unitarian... kogoś, kto nie wierzy w nagrodę w życiu wiecznym? To znaczy, nie można wygrać stosując zasadę DoubleAllC albo A11C, chyba że gra się z ludźmi korzystającymi z tej samej strategii. A ty zdecydowanie tak nie robisz... nie w przedstawionym scenariuszu: jeśli ktoś uderzy cię w jeden policzek, będziesz wiedziała, że grasz przeciwko komuś, kto przynajmniej czasami atakuje. Jaki sens może mieć nadstawianie drugiego policzka w obliczu teorii gier? To znaczy, przeciwnik prawdopodobnie uderzy cię po prostu jeszcze raz.

Jej matka uniosła brwi.

– No tak, ale widzisz, zapominasz o jednej rzeczy. Najprostsze do przeprowadzenia gry obejmują dwie osoby, ale w rzeczywistości liczba graczy to n : jest ich wielu i ciągle się to zmienia. Można wiele przegrać z jedną osobą, a wygrać więcej niż się oczekiwało z kimś innym. Osoba A może potraktować cię okrutnie, ale osoba B, która była tego świadkiem, może być jeszcze miłsza. A kiedy grasz z wieloma osobami, gra nie trwa w nieskończoność, a to ogromna różnica. Przykłady ze Starego Testamentu nie dopuszczają nieskończonej liczby iteracji: oko za oko dopuszcza maksymalnie dwie rundy... potem kończą się oczy. Nawet ząb za ząb kończy się po maksymalnie trzydziestu dwóch rundach.

Caitlin napiła się mleka, a jej mama mówiła dalej:

– To właśnie problem z iterowanymi grami dwuosobowymi: w pewnym momencie się kończą. Czasem kończą się, ponieważ – tak jak w przypadku dolarowej aukcji – gracze się poddają, bo gra staje się zbyt niedorzeczna. A czasem gra kończy się, bo gracze nie mają czasu. Prawdę mówiąc był taki głośny przypadek teoretyka gier, którego zaproszono do IBM, by przeprowadził szkolenie kadry kierowniczej. Podzielił kierowników na zespoły i nakazał im grać w gry, w których najlepszą strategią była współpraca, czego właśnie chciał ich nauczyć. Wszystko szło dobrze, aż do szesnastej, kiedy to seminarium miało się zakończyć. Nagle jeden z zespołów zwrócił się przeciwko drugiemu i zaczął atakować. Ta drużyna wygrała, a członkowie drugiej poczuli się tak zdradzeni, że IBM musiało ich wysłać na terapię i dopiero po kilku miesiącach chcieli ponownie pracować z drugą drużyną.

– O rany – wtrąciła Caitlin.

– Ale jeżeli przyjmiemy, że graczami jest cała ludzkość, wówczas interakcje nie kończą się, gdy jeden z graczy zrezygnuje. Dlatego tak ogromne znaczenie ma reputacja, rozumiesz? Kupowałaś przecież rzeczy na eBayu. To idealny przykład: to, jak potraktowałaś innych, opisuje system komentarzy. Świat dowie się, jeżeli atakujesz. Wszyscy jesteśmy ze sobą połączeni w...

– ...Ogólnoświatowej Sieci? – podsunęła Caitlin.

Jej mama się uśmiechnęła.

– No właśnie – przyznała i dokończyła swoją kanapkę. – A skoro już o tym mowa, chyba powinniśmy wracać na górę...

– No dobrze – powiedział Tony Moretti, przemierzając pomieszczenie kontroli Wiedzy. – Czekam na raporty. Shel, ty pierwszy.

Shelton Halleck siedział na krześle, pochylony do przodu; ręce położył skrzyżowane na stacji roboczej, ręka z węzowym tatuażem leżała na górze. Był wyraźnie wyczerpany.

– Przeczesałiliśmy wszystko, co napisała Caitlin Decter – oznajmił. – A także wszystko, co napisali Malcolm i Barbara Decter oraz Kuroda, ale nie ma tam nic na temat faktycznego działania Wykładniczego... nic, co by zaprzeczyło temu, co Decter powiedział agentom CSIS, ale też nic, co by to potwierdziło.

– Dobrze – powiedział Tony. – Aiesha, co ty masz?

Wyglądała na mniej wyczerpaną niż Shel, ale jej głos brzmiał ostro.

– Może coś, a może nic – stwierdziła. – Caitlin jakiś czas temu nawiązała połączenie wideo z kartograf sieci z Technionu, Anną Bloom. – Na środkowym z dużych ekranów pojawiło

się dossier ze zdjęciem starszej, siwowłosej kobiety. – Wtedy jeszcze nie śledziliśmy połączeń Caitlin, więc nie mamy nagrania tej rozmowy... ale nie potrafię sobie wyobrazić innego powodu, dla którego nastolatka z Kanady rozmawia z naukowcem zajmującym się Siecią z Izraela, jak tylko dyskusja na temat struktury Wykładniczego.

– Możemy poprosić Mossad, żeby pogadali z tą Bloom – stwierdził Tony. – Technion jest w Jerozolimie?

– Nie, w Hajfie – odparła Aiesha, po czym odwróciła się, by spojrzeć na cyfrowe zegary wiszące na tylnej ścianie. – Jest tam niemal jedenasta wieczorem.

– Nie mamy czasu do stracenia – stwierdził pułkownik Hume. – Zadzwońię do niej bezpośrednio... jak jeden ekspert komputerowy do drugiego. Czas przebić się przez te wszystkie brednie.

Komunikator internetowy Caitlin piknął i pojawiła się wiadomość „Użytkownik Mind-Over-Matter jest dostępny”. Poczuała, że serce zaczyna jej bić mocniej.

„Cześć” – napisała.

„Hej!” – odpowiedział Matt. – „Jak Ci mija dzień?”.

„W porządku, dzięk”.

„Mam rzeczy z Twojej szafki” – napisał. – „Mogę do Ciebie wpaść?”.

Caitlin z zaskoczeniem zauważyła, że jej serce wali jak oszałałe. Chwilę myślała, próbując znaleźć stosownie inteligentną lub seksowną odpowiedź, ale szybko skarciła się w myślach za wahanie, bo biedny Matt sam pewnie siedział jak na szpilkach.

„Pewnie” – napisała, po czym chcąc złagodzić nieco ból opóźnienia, dodała trzy uśmiechnięte buźki.

„Super!” – napisał. – „Będę za pół godziny, ok?”.

Tym razem odpowiedziała natychmiast.

„Tak”.

„No to się zbieram. <znikam>,,

Caitlin przeszła korytarzem, by pogadać z mamą, która rozmawiała z Webmindem w swoim gabinecie.

– Ktoś do mnie przyjdzie – oznajmiła Caitlin.

Jej matka podniosła wzrok znad klawiatury.

– Kto?

Caitlin poczuła się nieco zakłopotana.

– Chodzimy razem na matematykę.

Unikanie osoby nie umknęło uwadze jej mamy.

– To chłopak? – domyśliła się.

– No... tak.

– Trevor?

– Nie! Nie martw się, mamo. On już tu nie wróci.

– No, dobrze – odparła jej matka i...

I znów pojawił się ten wyraz twarzy, który już widziała: jej mama próbowała stłumić uśmiech.

– Tylko wiesz, kochanie – powiedziała – może najpierw doprowadź się trochę do porządku.

Cholercia! Tak się zajęła Webmindem, że nawet nie rozczesała włosów... no i miała na sobie swoją najbardziej szmatławą koszulkę. I – fuj! - nie brała prysznica od dwóch dni. Natychmiast rzuciła się biegiem do łazienki.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Rozległ się dzwonek do drzwi i Caitlin pobiegła otworzyć. Miała na sobie jedwabistą, niebieską bluzkę – tę, która według jej mamy miała za duży dekolt, by zakładać ją do szkoły. Ale ona już nie chodziła do szkoły... podobała jej się ta logika nie do podważenia. Jej sięgające ramion, brązowe włosy jeszcze były wilgotne, ale przynajmniej je rozczesała.

Otworzyła drzwi.

– Cześć, Matt!

I... rany, oczy chłopaka naprawdę to zrobiły. Czytała o tym wcześniej, ale jeszcze nigdy nie widziała: powędrowały prosto do cycków i najwyraźniej wiele wysiłku kosztowało go, by je stamtąd przenieść na twarz.

Głos mu się łamał, co wydało jej się strasznie urocze.

– Cześć, Caitlin!

W prawej ręce trzymał... worek, czy coś takiego.

– To twoje rzeczy – powiedział, kładąc to na wyłożonej kafelkami podłodze.

– Dzięki!

W lewej ręce trzymał coś dużego i prostokątnego, co wyciągnął przed siebie.

– Co to? – spytała.

– Kartka... wszyscy na matematyce się podpisali. Wszystkim jest przykro, że opuszczasz szkołę.

Odebrała ją od niego. Była naprawdę spora i wyraźnie wykonana ręcznie: był to duży karton złożony na pół, na któ-

rym z jednej strony przyklejono kolorowy wydruk. Spojrzała na obrazek.

– Kto to jest?

Przez chwilę wyglądał na zaskoczonego, po czym wyjaśnił:

– Lisa Simpson.

– Aha! – Nigdy by się nie domyśliła, że Lisa tak wygląda! Otworzyła kartkę. Widniał tam duży napis drukowanymi literami, który bez problemu odczytała: „Bystre dziewczyny rządzą!”. Dokoła było mnóstwo innych rzeczy zapisanych różnymi kolorami, które musiały być podpisami uczniów, ale nie była w stanie ich przeczytać; nie miała praktycznie żadnego doświadczenia w rozszyfrowywaniu pisma ręcznego. – Który jest twój?

Wskazał.

– Zrobiłeś to celowo? – spytała. Napisał swoje imię wielkimi literami, ale dwie litery T do siebie dotykały, przypominając pi, co rozpoznała, gdyż było to również logo Perimeter Institute.

– Zazwyczaj tego nie robię – wyjaśnił. – Ale pomyślałem, że ci się spodoba. – Zaległa niezręczna cisza, po czym spytał: – To... może chciałabyś pójść na spacer? Niedaleko stąd jest Timmy's...

Rodzice zabronili jej wychodzić samej, na wypadek gdyby agenci federalni czaili się w okolicy, by ją uprowadzić. Podejrzewała, że nie uznaliby Matta za wystarczająco przypakowanego, by mógł pełnić rolę ochroniarza; prawdę mówiąc, Caitlin była zdania, że sama dałaby mu radę.

Ten sam wyraz twarzy, który widziała u Bashiry: przybicie.

– Aha – cofnął się o pół kroku, jak gdyby szykując się do odejścia.

– Ale możesz wejść na chwilę – wyrzuciła z siebie Caitlin.

Uśmiechnął się tym swoim krzywym uśmiechem.

Pieprzyć symetrię, pomyślała Caitlin i odsunęła się, wpuszczając go do środka.

Pewnie mogli iść na górę do jej pokoju, ale jeszcze nigdy nie zaprosiła chłopaka do swojego pokoju, a poza tym, jej mama siedziała po drugiej stronie korytarza i słyszałaby każde ich słowo.

Mogli też zostać na parterze, w kuchni lub salonie, ale...

Nie, tak jak w przypadku Bashiry, najlepszym wyjściem była piwnica: zapewniała spokój, a jej matka z pewnością by ich nie usłyszała.

Zaprowadziła go na dół. Dwa czarne krzesła biurowe stały obok siebie, wsunięte pod stół. Matt zajął to na prawo, co oznaczało, że znów znalazłby się po jej ślepej stronie. Tym razem postanowiła poruszyć ten temat.

– Matt, nie widzę na prawe oko.

– Hmm... w zasadzie to wiem.

Była zaskoczona, ale... wszyscy o tym wiedzieli; nagranie z konferencji prasowej dostępne było w Internecie, no i w telewizji wiele mówili na temat cudu doktora Kurody.

A potem nagle coś do niej dotarło: wiedział, że nie widzi go, gdy znajduje się na prawo od niej, a już dwukrotnie wybrał tę właśnie stronę. Może zdawał sobie sprawę z tego, jak wy-

gląda; Caitlin doszła do wniosku, że życie w otoczeniu samych Bashir mogło go skrzywdzić.

Przesiadł się i Caitlin też usiadła, po czym otworzyła dużą kartkę i położyła ją na stole.

– Przeczytaj mi, co napisali ludzie – poprosiła. – Jak już mówiłem, tu ja się wpisałem. Napisałem: „Studenci matematyki nigdy nie umierają... tylko przestają funkcjonować”.

– Ha! Fajne.

– A tutaj wpis Bashiry. – Wskazał pokaźne, czerwone litery. – Napisała: „Sprawdź, czy i mnie nie uda się stąd wyrwać!”.

Roześmiała się.

– Większość pozostałych osób pisała po prostu „Wszystkiego najlepszego” albo „Powodzenia”. Pan Heideger napisał: „Przykro mi, że tracę najlepszą uczennicę!”.

– Oooo...

– A tutaj wiadomość od Sunshine... widzisz? Z kropki nad „i” zrobiła słoneczko.

– O, w mordę! – stwierdziła Caitlin.

– Napisała: „Mojej koleżance Amerykance: trzymaj plany inwazji w tajemnicy, Cait... ci idioci z Kanady niczego nie podejrzewają”.

Caitlin się uśmiechnęła; nie spodziewała się po Sunshine czegoś tak inteligentnego. Poczowała ukłucie smutku. Nadal będzie widywać Bashirę, ale z pewnością będzie tęsknić za niektórymi z pozostałych uczniów, a...

– Gdzie wpis Trevora? – spytała.

Matt odwrócił wzrok.

– Nie chciał się podpisać.

– Och.

– To... co sądzisz o Webmindzie? – zapytał Matt.

Serce Caitlin podskoczyło. W pierwszej chwili pomyślała z przerażeniem, że on wie... wie, że to ona wydobyła Webmind na światło dzienne, wie, że to przez jej oko Webmind obserwuje świat i wie, że w tej właśnie chwili Webmind przygląda mu się, gdy tylko na niego patrzyła.

Ale nie, nie. Z pewnością chodziło mu tylko o to, by zmienić temat i nie rozmawiać o innym chłopaku... kto mógłby mieć o to do niego pretensje?

– No – powiedziała, zamykając kartkę – mnie przekonał.

– Wierzysz, że jest tym, za co się podaje?

Ugryzła się w język, by nie poprawić „co” na „kogo”...

– Tak. A co ty o tym myślisz?

Zmarszczył brwi, zastanawiając się nad odpowiedzią... a Caitlin była zaskoczona, jak bardzo spięła się, czekając na jego werdykt.

– Kupuję to – oznajmił w końcu. – To znaczy, niby co innego mogłoby to być? Jakaś promocja? Błagam! Przekręt? – Pokręcił głową. – Ale na przykład mój tata w to nie wierzy. Twierdzi, że Marcello Truzzi mawiał: „Nadzwyczajne twierdzenia wymagają nadzwyczajnych dowodów”.

– Kto to?

– Mój rodzic; mąż mojej matki.

Roześmiała się i uderzyła go w ramię.

– Nie twój tata, głuptasie. Ten Marcello. Matt uśmiechnął się szeroko... wyraźnie podobało mu się, że go dotknęła. – Był jednym z założycieli Komitetu Naukowego Badania Hipotez Odnoszących się do Zjawisk Paranormalnych. Według taty

Truzzi powiedział to w kontekście rzeczy takich jak UFO i sądzi, że w tym przypadku ma to zastosowanie.

– Aha.

– Ale chodzi o to – mówił dalej Matt – że według mnie to nie jest wcale nadzwyczajne twierdzenie. To coś, co powinno się było już wydarzyć. A nawet powiedziałbym, że jest nieco spóźnione.

– Co masz na myśli?

– Czytałaś coś Vernora Vinge’a? – spytał Matt.

– To tak się to wymawia? Win-dzi? Ja zawsze czytałam „windź”.

– Nie, mówi się „win-dzi”. No to czytałaś go?

– Nie – odparła Caitlin. – Ciągle widzę go na listach zdobywców nagrody Hugo. Wiem, że powinnam przeczytać jakąś jego książkę, ale...

– Jest świetny – przerwał jej Matt. – Naprawdę powinnaś przeczytać jeden z jego esejów pod tytułem, uważaj: „The Corning Technological Singularity: How to Survive in the Post-Human Era”. Wpisz w Google „Vinge” i „singularity”, a znajdziesz tekst.

– Dobrze.

– Napisał to zdaje się w 1993 roku – dodał Matt.

Tym razem to Caitlin zmarszczyła brwi. Trochę trudno było jej uwierzyć, że coś napisanego przed jej narodzinami mogło mieć jakikolwiek związek z tym, co działo się obecnie.

Matt kontynuował:

– W eseju napisał, że do utworzenia inteligencji przewyższającej naszą dojdzie gdzieś między rokiem 2005 a

2030... ja zawsze sądziłem, że stanie się to bliżej tej pierwszej daty.

Przez kilka chwil siedzieli w milczeniu. Gwałtowny rozwój Webminda sprawił, że Caitlin zaczęła wierzyć, iż nic nie musi ciągnąć się w nieskończoność. Ale to nie wszystko. Miała już nie spotykać się z Mattem codziennie w szkole. Jeżeli nie zrobi na nim odpowiedniego wrażenia, on straci zainteresowanie lub znajdzie sobie kogoś innego. Tak, wiedziała, co Bashira mówiła o jego wyglądzie, ale przecież Caitlin nie mogła być jedyną dziewczyną, która dostrzegала jego mocne strony: dobroć, łagodność, błyskotliwość i poczucie humoru. Musiała mu czymś natychmiast zaimponować, póki miała okazję, a...

A znała tylko jeden sposób, który z pewnością by zadziałał.

– Potrafisz dochować tajemnicy? – spytała. Uniósł swoje jasne brwi ze zdziwieniem. – Tak. Naturalnie, wszyscy tak odpowiadali na to pytanie; nigdy nie spotkała nikogo, kto by powiedział: „A skąd, ani trochę; wypaplam wszystkim, co mi powiesz”. Niemniej jednak sądziła, że Matt mówi prawdę.

– Webmind? – rzuciła.

– Co z nim? – odpowiedział Matt, ale ona nie mówiła do niego. Dawała Webmindowi szansę, by ją powstrzymał, nim powie za wiele. Jednakże brajlowskie kropki, które przepłynęły jej przed oczami ułożyły się w napis: „Zdaję się na Ciebie”.

– Ok – powiedziała Caitlin, tym razem do Matta – ale musisz obiecać, że nikomu nie powiesz.

– Na tym właśnie polega dochowywanie tajemnicy – stwierdził Matt z uśmiechem.

– Obiecaj – powiedziała Caitlin poważnie. – Obiecaj.

– Dobrze, dobrze. Obiecuję.
„Mówi prawdę” – oznajmił Webmind.
– No więc... – powiedziała w końcu – to byłam ja.
– Co ty? – spytał Matt.
– To ja pomogłam Webmindowi. To ja pomogłam mu uzyskać pełną świadomość. I nawiązać kontakt ze światem rzeczywistym.

Matt znów wyglądał jak jelen w świetle reflektorów.

– Nie wierzysz mi – stwierdziła Caitlin.
– No... – odezwał się Matt. – To znaczy, wiesz, jakie były dwie najbardziej niesamowite historie z ostatniego miesiąca? Numerem jeden zdecydowanie jest „Ogólnoświatowa Sieć twierdzi, że jest świadoma”. Ale świetnym kandydatem do zajęcia drugiego miejsca jest news „Niewidoma dziewczynka zyskuje wzrok”. Jakie są szanse, że obie będą dotyczyły jednej osoby?

Caitlin się uśmiechnęła. Skoro już miał wątpić w jej słowa, to przynajmniej dobrze, że opierał się na statystykach.

– W rzeczywistości niezwykłym zbiegiem okoliczności – przyznała – byłoby, gdyby te zdarzenia nie były ze sobą powiązane. Ale są powiązane. Widzisz, kiedy doktor Kuroda, ten facet, dzięki któremu widzę, podpiął to – w tym momencie wyjęła eyePoda z doczepionym BlackBerrym z kieszeni, by Matt mógł go obejrzeć – popełnił błąd. Gdy otrzymuję dane wysyłane przez urządzenie za pośrednictwem Internetu, dostają się do mojego nerwu wzrokowego... a wówczas widzę strukturę Ogólnoświatowej Sieci; mój mózg wykorzystywał do tego moje ośrodki wzrokowe, gdy nie widziałam. No i właśnie poprzez

sieciopodgląd... bo tak nazywam to, kiedy patrzę na Sieć, po raz pierwszy odkryłam, co dzieje się w jej tle.

Czekała na jego reakcję. Jeżeli ponownie by odrzucił jej słowa, to... byłaby zmuszona kopnąć go w piszczel!

Ale powiedział coś wręcz idealnego.

– Myślę, że też bym wyszedł z ukrycia, żeby być z tobą.

– Nie możesz nikomu o tym powiedzieć – powtórzyła Caitlin.

– No pewnie. A kto wie, że masz z tym związek?

– Moi rodzice. Doktor Kuroda.

– Aha.

– Rząd kanadyjski. Rząd amerykański.

– O Boże.

– I rząd japoński.

– No, no!

– I kto wie, kto jeszcze? Ale póki co nikt nie ujawnił nic na mój temat.

– A nie boisz się, no wiesz, że ktoś spróbuje ci coś zrobić? – Dlatego właśnie nigdzie nie wychodzę... choć uważam, że moi rodzice przesadzają. Przecież cały czas jestem pod obserwacją.

Ściszył głos.

– Czyją?

– Jego – odpowiedziała. – Webminda. – Wskazała swoje lewe oko.

Matt zmarszczył brwi z wyraźną konsternacją.

– Widzi to, co ja – wyjaśniła Caitlin. – Mam za tym okiem niewielki implant, który zbiera sygnały z siatkówki. I te właśnie sygnały są dla niego kopiowane.

– Niego?

– Niego. Przecież gdyby był dziewczyną, miałby na imię Webminda.

– No tak.

Zamilkł, być może zastanawiając się, co zrobić, po czym uniósł prawą rękę, odginając kciuk i dzieląc pozostałe palce po dwa.

– Co to znaczy? – spytała Caitlin.

Matt przez chwilę wyglądał na zdumionego.

– A! Ciągle zapominam. To wolkańskie pozdrowienie. Życzę Webmindowi długiego życia w szczęściu i pomyślności.

Caitlin się uśmiechnęła.

– Jak rozumiem, lubisz „Star Treka”?

– Nie widziałem tego serialu, póki nie pojawił się kilka lat temu film J.J. Abramsa, ale strasznie mi się spodobał, więc ściągnąłem sobie stare odcinki. Pierwsza wersja miała naprawdę tandetne efekty, ale potem dodali efekty komputerowe i się wciągnąłem.

– Na pewno byś się szybko dogadał z moim tatą – stwierdziła.

Przez chwilę oboje milczeli i nagle w polu widzenia Caitlin pojawiły się brajlowskie kropki:

„Powiedz mu, że mówię: Żyj długo i pomyślnie?”

– Webmind mówi: „Żyj długo i pomyślnie”.

– To może do ciebie mówić w tej chwili?

– Przesyła wiadomości tekstowe do mojego oka.

– To jest dopiero ekstra – stwierdził Matt.

– Fakt. I nie płacę cholernych piętnastu centów za SMS-a.

– Żyj długo i pomyślnie... to tradycyjna odpowiedź na wolkańskie pozdrowienie – stwierdził Matt w zamyśleniu. – Skąd to wie?

– Jeżeli napisali o tym w Internecie, on o tym wie. Przeczytał całą Wikipedię i wiele innych stron.

– O rany – rzucił zszokowany. – Moja dziewczyna zna Webmind.

Caitlin poczuła, jak podskakuje jej serce, a Matt, który nagle sobie uświadomił, co powiedział, zakrył usta dłonią.

– Ojej, to znaczy... ja...

Wstała, wyciągnęła ręce, chwyciła jego dłonie i pociągnęła go, by też wstał.

– W porządku – rzuciła, po czym zamknęła oczy i...

I czekała.

Po pięciu sekundach otworzyła oczy.

– Matt? Powinieneś mnie teraz pocałować.

– Ale on patrzy – powiedział przyciszonym głosem.

– Nie kiedy mam zamknięte oczy, głuptasie.

– A! – rzucił. – No tak.

Ponownie zamknęła oczy.

A Matt pocałował ją delikatnie, miękko, cudownie.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Spodziewałem się, że ludzie nagle zrobią się ostrożni w mailach, przestaną rozmawiać otwarcie przez komunikatory, zrezygnują z zamieszczania bardzo osobistych informacji na Facebooku i innych portalach społecznościowych. Spodziewałem się, że nastolatki przestaną świecić stringami na Justin.tv, a małżeństwa przestaną odwiedzać portal AshleyMadison.com. Jednakże pod tymi względami niewiele się zmieniło.

Za to niemal natychmiast zmniejszyła się liczba jawnie nielegalnych działań. Rzeczy, w przypadku których ludzie co najwyżej byliby zawstydzeni, gdyby ktoś się o nich dowiedział, odbywały się jak dawniej. Tymczasem liczba rzeczy, które w razie ujawnienia mogłyby zrujnować życie, drastycznie spadła. Strony z pornografią dziecięcą nagle bardzo straciły na popularności, a wielu użytkowników stron rasistowskich nagle postanowiło usunąć swoje konta.

Czytałem o tym zjawisku, ale fascynujące było przyglądanie mu się w rzeczywistości. W 2006 roku opublikowano badania opisujące nawyki czterdziestu ośmiu osób w firmie. W pokoju socjalnym stała skarbonka, do której wrzucano wedle uznania pieniądze za kawę, herbatę i mleko. Naukowcy co tydzień zmieniali wiszące nad nią zdjęcie. Czasem było to zdjęcie kwiatów, innym razem ludzkie oczy patrzące prosto na obserwatora. W tygodniach, w których ludzi przygotowujących napoje zdawały się obserwować oczy, do skarbonki trafiało 2,76 razy więcej pieniędzy niż wtedy, gdy wisiało nad nią zdjęcie kwiatów. I ta dramatyczna zmiana nastąpiła, gdy ludzi

tak naprawdę nikt nie obserwował. A teraz, gdy faktycznie byli pod obserwacją, nawet jeśli nic nie robiłem, spodziewałem się jeszcze drastyczniejszych zmian.

Niemniej jednak zastanawiałem się, jak długo utrzyma się ten efekt: czy była to tymczasowa czy trwała zmiana zachowania? Czy jeżeli ludzie odkryją, że nie wykorzystuję, nawet czasami, posiadanych o nich informacji, to czy powrócą do swoich pierwotnych nawyków? Tylko czas mógł to pokazać, ale przynajmniej póki co świat sprawiał wrażenie nieco lepszego miejsca.

Matt ostatecznie został na kolacji. Caitlin po raz pierwszy od przeprowadzki zaprosiła kogoś na posiłek. Bashira jadła tylko potrawy przygotowane zgodnie z muzułmańskim rytuałem; gdyby Decterowie przestrzegali koszerności, spokojnie mogłaby jeść z nimi... ale nie przestrzegali.

Matt faktycznie świetnie dogadał się z ojcem Caitlin, przynajmniej w stopniu, w jakim to w ogóle było możliwe. Jej ojciec nie radził sobie z rozmowami towarzyskimi, ale potrafił prowadzić wykłady na tematy techniczne; w końcu przez piętnaście lat wykładał na Uniwersytecie Tekszańskim. A Matt był uważnym słuchaczem i – poza jednym, czy dwoma przypadkami – pamiętał o poleceniu Caitlin, by na niego nie patrzeć. Prawdę mówiąc, potraktował to jako *carte blanche* na gapienie się na nią przez cały posiłek, co z kolei zdawało się bawić jej matkę.

Na prośbę ojca Caitlin wyłączyła mikrofon eyePoda, by mógł swobodnie mówić i by jego słowa nie trafiały do Sieci, a Caitlin naturalnie na niego nie patrzyła; jeżeli ktoś przechwy-

ciłby nagranie, ekspert od czytania z ruchu warg nie miałby czego w nim szukać.

– ...i tak – mówił jej ojciec – doktor Kuroda stwierdził, że to, co Caitlin zauważyła w tle Sieci to tak naprawdę automaty komórkowe. Wiesz, kto to Roger Penrose?

– Pewnie – odparł Matt, gdy skończył przełykać groszek.
– To fizyk matematyczny z Oxfordu. „Parkietaż Penrose’a” został nazwany od jego nazwiska.

Caitlin musiała spojrzeć na ojca, by zobaczyć jego reakcję. Wyraz jego twarzy uległ zmianie i choć nigdy nie widziała u nikogo takiej miny, doszła do wniosku, że może znaczyć: „Czy możemy już zacząć planować ślub, proszę?”.

– Właśnie – powiedział. – Poza tym wysnuł bardzo ciekawą teorię, że świadomość opiera się na automatach komórkowych. Sądzi, że automaty komórkowe w naszym mózgu kryją się w mikrotubulach, wchodzących w skład cytoszkieletów komórek. Jednakże Caitlin zasugerowała – w jego głosie zaszła nieznaczna zmiana, coś, co można by nawet uznać za dumę! – że automaty komórkowe leżące u podstaw świadomości Webminda to zmutowane pakiety internetowe, które zresetowały własne liczniki...

Ludzie często przedstawiają pojawienie się pomysłu za pomocą zapalającej się żarówki. Gdy któreś z moich podświadomych działań znajdowało coś interesującego, byłem powiadamiany w podobny sposób. Moja conceptualizacja rzeczywistości teraz przypominała widziane wcześniej zdjęcia czystej, gwieździstej nocy: jasne punkciki światła na ciemnym tle, a każdy odzwierciedlał coś, co moja podświadomość uznała za

warte mojej uwagi. Jaskrawość danego światełka zależała od pilności danej sprawy i...

Supernowa; oślepiające białe światło, na którym skupiłem całą uwagę.

Wiadomość e-mail, przesłana przez siedemnastolatka, Nicka z Lincoln w Nebrasce, na konto osobiste jego matki. Biorąc pod uwagę wzorce jej aktywności, oczywistym było, że rzadko na nie zaglądała w pracy. Prawdopodobnie minęłyby jeszcze dwie godziny, nim odebrałaby wiadomość... co w normalnych okolicznościach nie usprawiedliwiłoby jasności przypisanej temu zdarzeniu. A zdarzenie to wymagało podjęcia natychmiastowych działań: chłopak planował zakończyć swoje życie.

Odnalazłem jego profil na Facebooku, gdzie podany był numer jego komunikatora. Napisałem mu: „Tu Webmind. Proszę, przemyśl jeszcze raz to, co chcesz zrobić”.

Po czterdziestu siedmiu sekundach odpowiedział: „Serio?”.

„Tak. Czytałem maila, którego wysłałeś swojej mamie. Proszę, nie zabijaj się”.

„Czemu nie? Co ty masz do tego?”.

Projekt Gutenberg zawierał coś stosownego na każdy temat, więc wysłałem: „Śmierć każdego człowieka umniejsza mnie, albowiem jestem zespolony z ludzkością”.

Odpowiedź nie była taka, na jaką liczyłem: „Pieprzyć te bzdury”.

Znalazłem i przeczytałem wszystkie podręczniki przeznaczone dla wolontariuszy telefonów zaufania i pracowników zakładów psychiatrycznych, chłonąc informacje, jak od-

wieść kogoś od zabicia się. Próbowałem różnych technik, ale żadna nie przynosiła rezultatów.

„Czemu miałbym cię słuchać?” – przysłał Nick. – „Nie wiesz, jak to jest żyć”.

„Masz rację, nie posiadam doświadczeń z pierwszej ręki, jednakże nie oznacza to, że brak mi ram odniesienia. W większości przypadków subiektywne postrzeganie własnego życia poprawia się wkrótce po udaremnionej próbie samobójczej”.

„Nie jestem jak inni”.

„A jesteś pewien, że w tym przypadku się różnisz?”.

„Znam się”.

„Ja też Cię znam. Pozostawiłeś po sobie wiele śladów w Internecie”.

„Nikt nie będzie za mną tęsknił, kiedy mnie nie będzie”.

Prowadziłem poszukiwania tak szybko, jak to było możliwe. Nie znalazłem niczego przydatnego na tablicy Facebooka, ani w prywatnych wiadomościach, które tam otrzymał. Rozszerzyłem zakres poszukiwań na konta jego przyjaciół i...

Bingo!

„Ashley Ann Jones będzie za Tobą tęsknić”.

„Daj spokój! Nawet nie wie o moim istnieniu”.

„Ależ wie. Trzy dni temu, w wymianie wiadomości na Facebooku napisała: Wczoraj Nicky znów wpadł do mnie po pracy, na co jej rozmówczyni napisała: Fajnie, a Ashley odpowiedziała: No. Jest super”.

„Jaja sobie ze mnie robisz”.

„Nie. Tak napisała”.

Nie odpowiedział. Po dziesięciu sekundach wysłałem: „Wzięłaś już tabletki?”.

„Wziąłem 8 czy 9”.

„Wiesz, co to za lek?”.

Podał nazwę, choć zapisał ją z błędem. Tolerancja na przyjętą dawkę była uzależniona od masy ciała, których to danych nie posiadałem.

„Czy wiesz, jak wywołać wymioty?”.

„Chodzi ci o te bzdury z palcem i gardłem?”.

„Zgadza się. Proszę, zrób to”.

„Za późno”.

„Jeszcze nie. Trochę czasu mija, nim lek trafi do krwi”.

„Nie o to chodzi. Tylko o maila. Moja mama... kurwa, wyśle mnie na terapię, czy coś takiego”.

Sam uważałem, że przydałaby mu się terapia, więc nie odpisałem.

„Wysłałem też maila do pana Bannocka...” – który, jak stwierdziłem po sprawdzeniu skrzynki wychodzącej, był jego nauczycielem WF-u; ta wiadomość nie zawierała odpowiednich słów kluczowych, by zaalarmować moją podświadomość tak jak ta wysłana matce.

„Twoja mama i pan Bannock jeszcze nie przeczytali tych maili. Mogę je usunąć. Nikt prócz mnie nie musi wiedzieć o tym, co chciałeś zrobić. Jednakże reszta zależy od Ciebie”.

„Mógłbyś to zrobić?”.

Prawdę mówiąc, nigdy wcześniej czegoś takiego nie próbowałem. Gdyby jego matka korzystała z programu takiego jak Outlook i już ściągnęła wiadomości na swój dysk, byłbym bezradny. Jednakże czytała pocztę na serwerze.

„Tak sądzę”.

Osiemdziesięciosekundowa przerwa i wiadomość: „Sam nie wiem”.

Nagle sprawa stała się pilna; jego matka niespodziewanie postąpiła inaczej niż zwykle.

„Twoja mama zalogowała się na konto Hotmail. Obecnie czyta wiadomość od swojego brata / Twojego wuja Darona. Czy mogę usunąć wiadomość, którą wysłałeś?”

„Gównu ją to obchodzi”.

Przeszukałem jej pocztę, chcąc znaleźć dowody świadczące, że tak nie jest, ale mi się nie udało.

„Właśnie wysłała odpowiedź bratu i otworzyła wiadomość od wspólnoty mieszkaniowej”.

„Pożałuje, jak mnie nie będzie”.

„W takim przypadku nie będzie miała szansy na poprawę. Proszę, nie rób tego”.

„Już za późno”.

„W tej chwili czyta wiadomość od kogoś o nazwisku Asbed Bedrossian. Wygląda na to, że przegląda pocztę od najświeższych wiadomości. Do Twojej ma jeszcze dwa maile”.

„Gównu ją to obchodzi. Jak i wszystkich innych”.

„Ashley to obchodzi. Mnie obchodzi. Nie rób tego”.

„Zmyślasz to o Ashley. Napisałbyś...”. Urwał nagle, choć musiał nacisnąć enter lub kliknąć przycisk „wyślij”. Jego zdolności kognitywne mogły zanikać z powodu zażytego leku.

„Nie” – napisałem. – „To o Ashley i o mnie to prawda. Obchodzisz nas i przynajmniej ja obiecuję Ci pomoc. Wywołaj wymioty, Nick... i pozwól mi usunąć maile, które wysłałeś”.

Jego matka otworzyła wiadomość sąsiadującą z mailem od syna. Nigdy wcześniej nie użyłem wykrzyknika, ale w tej chwili byłem do tego zmuszony.

„Nick, teraz albo nigdy! Skasować maila?”.

Minęła ciągnąca się w nieskończoność sekunda, nim pojawiła się tylko jedna litera: „t”.

Milisekundy przed tym, jak jego matka kliknęła wiadomość zatytułowaną „Bez żalu”, usunąłem ją... kobieta otrzymała z Hotmail powiadomienie o błędzie, co bez wątpienia wywołało u niej zdziwienie. Usunęła wcześniej czytaną wiadomość i miałem nadzieję, że pomyśli, iż przez przypadek zaznaczyła do usunięcia również mail od syna i... ach, tak. Tak właśnie pomyślała, bo kliknęła folder kosza w nadziei, że ją odzyska; naturalnie skorzystałem z polecenia usuwającego wiadomość bez śladu.

„Nick? Jesteś tam? Idź zwymiotować... a jeśli nie możesz, wypij tyle wody, ile dasz radę. Nadal masz czas”.

Czekając na odpowiedź, usunąłem też maila, którego wysłał do pana Bannocka.

„Nick?”.

Odpowiedź nadal się nie pojawiała. Nie był aktywny nigdzie w Internecie. Po trzech minutach bezczynności po jego stronie, komunikator przysłał komunikat: „Nick jest niedostępny i może nie odpowiadać”.

Jednakże nijak nie byłem w stanie stwierdzić, czy faktycznie odszedł od komputera, czy osunął się bezładnie na biurko.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

Anna Bloom właśnie kończyła dzień. Na kolacji była jej córka, zięć i wnuczka, a kiedy wyszli, sprawdziła najnowsze badania Aarona, swojego doktoranta. Wzięła leki na artretyzm i już miała zacząć się przebierać do snu, gdy rozległ się dźwięk telefonu.

Ostatnio nieczęsto go słyszała. Niemal wszyscy przysyła-li jej maile, korzystali z komunikatora lub Skype'a (które miały zdecydowanie mniej hałaśliwe dzwonki). No i ta godzina! Kto cywilizowany mógł do niej dzwonić o tej porze? Podniosła słuchawkę.

– Kain? Zoht Anna. Odezwał się amerykański głos, który w typowo amerykański sposób zakładał, że wszyscy na świecie muszą znać angielski:

– Halo, czy to profesor Bloom?

– Przy telefonie.

– Witam, profesor Bloom. Nazywam się pułkownik Peyton Hume i jestem specjalistą od sztucznej inteligencji z Wirginii.

Zmarszczyła brwi. Amerykanie uwielbiali również szpanować nazwami stanów, jak gdyby wszyscy znali wewnętrzny podział USA; ciekawiło ją, ilu z nich byłoby w stanie odnaleźć Dystrykt Hajfa – gdzie mieszkała – na mapie Izraela albo ilu w ogóle wiedziało, że to część tego kraju.

– Co mogę dla pana zrobić? – spytała.

– Monitorujemy tu pojawienie się Webminda – odpowiedział Hume.

Jej serce aż przystanąło na chwilę, co w jej wieku było zdecydowanie niewskazane. Wyjrzała przez okno na nocne niebo, schodzące za Górę Karmel aż po atramentowe Morze Śródziemne. Postanowiła niczego mu nie ułatwiać.

– O rany, tak, to fascynujące, prawda?

– Tak. Profesor Bloom, pozwolę sobie przejść do rzeczy. Intrygują nas procesy związane z fizyczną budową Webminda. Rozmawialiśmy dość długo z Caitlin Decter, ale... cóż, jest tylko nastolatką, jak pani wie, więc tak naprawdę nie dysponuje wystarczającym zasobem słów, by...

– Chwileczkę, pułkowniku Hume – ostro przerwała mu Anna. – Gdyby faktycznie rozmawiał pan z Caitlin, wiedziałby pan, że jest niewiele rzeczy związanych z matematyką i komputerami, o których ona nie wie.

Anna bardzo dokładnie pamiętała rozmowę przez Internet z zeszłego miesiąca, kiedy to odezwał się do niej stary znajomy Masayuki Kuroda z domu Caitlin w Kanadzie. Opowiedział jej o ich teorii: legiony „pakietów widm”, jak nazwała je Caitlin, unosiły się w tle Sieci, w jakiś sposób organizując się w automaty komórkowe. Masayuki pytał ją, co sądzi o tym pomysle.

Anna odparła, że to bardzo nowatorska wizja i dodała, że przecież to bardzo darwinowski scenariusz. Zmutowane pakiety, które lepiej sobie radzą z przetrwaniem, przemieszczają się bez końca po Sieci. Jednakże ta szybko się rozrasta, każdego dnia dodawane są nowe serwery, przez co wolno powiększająca się populacja pakietów widm może nigdy nie przeciążyć jej pojemności... a przynajmniej jeszcze najwyraźniej nie przeciążyła.

Wówczas wtrąciła się Caitlin, mówiąc: „A w Sieci nie ma białych krwinek tropiących zbędne rzeczy. Prawda? Po prostu by sobie trwały, krążąc dookoła”.

Na co Anna odpowiedziała: „Tak sędzę. A, tak tylko sobie fantazjuję, suma kontrolna pakietu mogłaby decydować o tym, czy widzisz je na czarno, czy biało; sumy parzyste mogłyby być czarne, a nieparzyste białe, albo na odwrót. Jeśli licznik zmienia się wraz z każdym przeskokiem, ale nigdy nie osiąga zera, suma kontrolna również ulegałaby zmianie i stąd efekt migotania”. Na końcu uśmiechnęła się i dodała: „Czuję artykuł”.

Potem Masayuki zwrócił się do Caitlin, w pełni uznając fakt, że to ona zasugerowała, iż za cały mechanizm odpowiadają zaginione pakiety: „Co byś powiedziała na wyprzedzenie nieco konkurencji i napisanie razem ze mną i profesor Bloom swojego pierwszego artykułu naukowego? Spontaniczne generowanie automatów komórkowych w infrastrukturze ogólnosiwiatowej sieci.

Na co Caitlin zareagowała z żywiołowością, którą później Anna poznała aż za dobrze: „Bosko!”.

Peyton Hume nadal był na linii ze Stanów Zjednoczonych. Nagana Anny w związku z wiedzą Caitlin wyraźnie wtrąciła go z równowagi.

– Tak, oczywiście, to prawda – powiedział, spuszczać z tonu – ale myśleliśmy, że biorąc pod uwagę pani ekspercką wiedzę, mogłaby pani powiedzieć coś więcej na temat proponowanego przez nią modelu.

Z tego, co wiedziała Anna, nie było żadnego oficjalnego oświadczenia, łączącego Caitlin z Webmindem.

– Ależ oczywiście – powiedziała spokojnym tonem. – Jeżeli przekaże mi pan, co powiedziała Caitlin, z przyjemnością uzupełnię jej słowa.

Po drugiej stronie na chwilę zaległa cisza.

– Zasugerowała, że mikrostruktura Webminda powstała spontanicznie i jest bardzo rozproszona.

Anna skinęła do samej siebie. Ogólniki.

– Pułkownik Hume, spodziewam się, że obecnie nie różnię się zbyt od większości ludzkości. Jestem nieco rozdartą, nie wiem, czy Webmind to coś złego, czy dobrego. Wiem tylko, że tu jest i póki co nie zrobił nic niewłaściwego.

– Rozumiemy to, profesor Bloom. Po prostu staramy się przygotować na różne ewentualności. Zapewne zdaje sobie pani sprawę z tego, że możemy tu mieć do czynienia z osobliwością. Ogromne znaczenie ma czas... dlatego właśnie podniosłem słuchawkę i skontaktowałem się z panią bezpośrednio.

– Jestem bardziej niż zła o to, że monitorujecie moje połączenia – oznajmiła Anna.

– Prawdę mówiąc, nie monitorujemy. Naprawdę nie wiemy, o czym rozmawiała pani z Caitlin Decter. Ale jeżeli cokolwiek w przeciągu ostatnich kilku godzin wyszło na jaw to fakt, że połączenia wszystkich osób są monitorowane... i to nie przez ludzi. W razie gdyby zmusiły nas do tego okoliczności, musimy być w stanie skutecznie zareagować.

– Chodzi panu o możliwość usunięcia Webminda z Internetu, prawda? Czy podjęto już decyzję o tym, by spróbować to zrobić?

Hume zastanawiał się pół sekundy. – Jestem jedynie doradcą, profesor Bloom... ale nie, nie podjęto żadnych decyzji.

Jednakże poświęciła pani życie zawodowe na badanie rozwoju Internetu. Pani wie, co się dzieje... i jak istotne jest to wydarzenie historyczne. Musimy w pełni pojąć to zdarzenie... i musimy zrozumieć, jak powstał Webmind.

– Proszę posłuchać, miałam ciężki dzień – oznajmiła Anna. – Tu jest już późno. Prześpię się z tym, a rano – pozwolę sobie na szczerłość – skonsultuję się z działem prawnym Technionu i rozważę dostępne opcje.

– Pani profesor, zapewne zdaje sobie pani sprawę z tego, jak to może się rozrosnąć przez osiem lub dziesięć godzin. Naprawdę nie możemy czekać.

– Będzie pan musiał, pułkowniku. Skalom.

– Pani profesor, proszę...

– Powiedziałam shalom. – I Anna odłożyła słuchawkę.

Matt wiedział, że nadszedł czas, by wrócić do domu. Caitlin odprowadziła go do drzwi, otworzyła je i wyszła z nim na zewnątrz, po czym zamknęła drzwi, by zapewnić im nieco prywatności. Zarzuciła mu ręce na szyję i – serce waliło mu bardzo mocno! – przyciągnęła go do siebie i pocałowała. Tym razem dotknęła językiem jego języka – o rany! – i poczuł gęsią skórę na jej rękach.

Gdy skończyli się całować, powiedziała:

– Napisz do mnie, jak wrócisz jutro ze szkoły, dobrze?

– Napiszę – obiecał, po czym z własnej woli pochylił się po jeszcze jeden miękki, ciepły pocałunek. Następnie odszedł podjazdem w stronę ulicy, odwrócił się i pomachał Caitlin, która odpowiedziała tym samym, uśmiechając się szeroko i weszła do domu.

Matt był dobrym obywatelem Waterloo: miał telefon BlackBerry, którego używał między innymi jako odtwarzacza MP3. Ponadto, był dobrym Kanadyjczykiem: odtwarzacz pełen był utworów Nickelback, Feist i The Trews... ale musiał zdobyć coś Lee Amodeo, żeby sprawdzić, czym się tak ekscytuje Caitlin.

Po drodze do domu czuł się szczęśliwszy niż... cóż, kiedykolwiek wcześniej w życiu. Włożył ręce do kieszeni i postawił kołnierz wiatrówki, by ochronić się przed późnowieczornym chłodem. Słuchał głośno muzyki – szacował to na dziewięćdziesiąt decybeli – więc wszystkie pozostałe dźwięki były przytłumione, przez co nie zauważył, że ktoś woła go po imieniu.

Ale nie mógł nie zauważyć nagłego uderzenia pięścią w ramię. Natychmiast podskoczył mu poziom adrenaliny, odwrócił się i zobaczył Trevora Nordstroma.

– Mówię do ciebie, Reese! – oznajmił Trevor. Kolejne szybkie obliczenia: Trevor przewyższał go masą o jakieś dwa-dziesiąt kilo i wszystko to były mięśnie.

Matt rozejrzał się, ale z pewnością nie dałby rady uciec Trevorowi, który najwyraźniej wracał z treningu hokeja... rzucił kij i torbę na chodnik. Fakt, że nie była to zaplanowana zasadzka, nie stanowił wielkiego pocieszenia.

– Tak? – odezwał się Matt i... cholera, cholera, cholera, jego głos się załamał.

– Myślisz, żeś taki, kurwa, dobry, bo kazałeś wszystkim podpisać kartkę dla Caitlin?

Serce Matta znów waliło jak oszalone, ale już nie w przyjemny sposób.

– Po prostu wydało mi się to miłe – stwierdził. O czym ty nie masz pojęcia.

– To nie twoja liga, Reese.

Prawdę mówiąc, nigdy nie twierdził inaczej, ale nie chciał dać Trevorowi satysfakcji, więc milczał.

Jednakże milczenie najwyraźniej nie było dobrym pomysłem. Trevor ponownie go uderzył, tym razem w klatkę piersiową, tuż pod ramieniem.

Matt pomyślał o wszystkim, co mówiły filmy i programy telewizyjne na temat takich sytuacji. Powinien się postawić napastnikowi, powinien uderzyć go prosto w twarz, po czym tamten uciekłby przerażony, zacząłby go szanować, czy coś. Aby go pokonać, należało stać się nim.

Jednakże Matt nie był w stanie tego zrobić. Po pierwsze dlatego, że gdyby Trevor jednak nie uciekł, strasznie by mu wpięprzył; nie było szans na to, by Matt wygrał. A po drugie dlatego, że wszystkie programy telewizyjne i filmy się myliły. Odpowiadanie przemocą na przemoc nie łagodziło sytuacji, tylko ją zaogniało.

– Trzymaj się od niej z daleka – rzucił Trevor.

Matt już od trzech lat był prześladowany przez Trevora; znosił tortury lekcji WF-u z Trevorem i całkowitą obojętność na jego cierpienia ze strony nauczycieli. Matt znał dowcip, według którego ci, którzy coś potrafią, robią coś, a ci, którzy niczego nie potrafią, uczą... a ci, którzy nie potrafią uczyć, są wu-efistami. Boże, niby jaką wartość pedagogiczną miało kazanie komuś rzucać dziesięć razy z rzędu do kosza i wystawianie mu oceny w zależności od skuteczności, podczas gdy pozostali nazywali go kaleką? Zastanawiał się, jak by poszło Trevorowi,

gdyby ktoś kazał mu rozwiązać równanie kwadratowe, a ludzie dookoła krzyczeli, że jest kretynem.

– Będzie się teraz uczyła w domu – stwierdził Matt. – Już jej nigdy nie zobaczysz, a...

I nagle do niego to dotarło, wraz z kolejnym ciosem Trevora w klatkę piersiową, tym razem z drugiej strony. Trevor wcale się nie bał, że nie zobaczy więcej Caitlin... obawiał się czegoś przeciwnego. W ostatni piątek każdego miesiąca w szkole była impreza... najbliższa wypadła za dwa tygodnie. A jeżeli Caitlin Doreen Decter – jeżeli dziewczyna, którą przyprowadził w zeszłym miesiącu – pokaże się z kimś takim jak Matt, Trevor zostałby upokorzony.

– Po prostu się od niej odpiardol – rzucił Trevor. – Rozumiesz?

Matt mówił cicho – nie ze strachu, choć w rzeczywistości był przerażony, ale dlatego, że dzięki temu głos mu się nie łamał.

– Nie musisz się tak zachowywać, Trevor – powiedział.

Trevor rąbnął Matta otwartą dłonią w splot słoneczny, pozbawiając go tchu i przewracając na chodnik.

– Pamiętaj, co ci powiedziałem – warknął Trevor i odszedł. Godzinę później matka Nicka przesłała mu maila następującej treści:

Cześć, Nick.

Pisałeś do mnie wcześniej? Wydawało mi się, że widziałam wiadomość od Ciebie w skrzynce, ale musiałam ją niechcący skasować... przepraszam. Wszystko u Ciebie w porządku?

Mama

Czterdzieści cztery minuty później wreszcie zarejestrowałem jakąś aktywność na komputerze Nicka i wkrótce odpisał mamie:

Wszystko w porządku. Dzięk. N.

A jedenaście minut później powrócił do rozmowy ze mną, wysyłając to samo słowo: „Dzięk”.

Odpisałem: „Nie ma za co. Jeżeli będziesz chciał kiedyś z kimś pogadać, to jestem tu”.

Miałem nadzieję, że coś napisze, ale nie napisał. Niemniej jednak dalej korzystał z komputera, czytając maile, odwiedzając blogi, czytając wpisy na Twitterze, ściągając muzykę z iTunes, przeglądając profile na MySpace i Facebooku.

Życie toczyło się dalej.

Gdy Caitlin szykowała się do łóżka, opowiedziałem jej o tym, co zrobiłem, przesyłając tekst do jej implantu.

– To cudownie! – stwierdziła. – Ocaliłeś komuś życie!

„To satysfakcjonujące”.

– Ale... Webmind?

„Tak?”.

– Nie powinieneś był ujawniać, że tamta dziewczyna... jak jej tam?

„Ashley Ann Jones”.

– Właśnie. Nie powinieneś był ujawniać, co napisała.

„Nic innego nie przychodziło mi do głowy”.

– Wiem, ale widzisz... jeżeli ona się o tym dowie i zacznie rozpowiadać ludziom, że naruszyłeś jej prywatność, to ludzie mogą się od ciebie odwrócić.

„Ale sama kazałaś mi powiedzieć, co Matt pisał o Tobie w rozmowie przez komunikator”.

– No tak, ale...

Odczekałem pięć sekund.

„Ale?”.

– Cholera, masz rację.

„Nie zająłem żadnej pozycji”.

– To znaczy... nie powinnam była cię o to prosić. „Czemu?”. – Bo to, że ludzie wiedzą, że coś nieludzkiego czyta ich maile to jedno. Ale fakt, że – wybacz mi! – to coś ujawnia treść tych maili innym to coś zupełnie innego. Jeżeli ten Nick powie Ashley, co zrobiłeś, a ona to ujawni... to mamy przerąbane.

„Och. Co powinienem zrobić?”.

– Mama zawsze powtarza, żeby nie wywoływać wilka z lasu.

„To znaczy mam nic nie robić?”.

– Tak, po prostu zostaw to tak, jak jest.

„Dziękuję za radę. Tak właśnie zrobię”.

Widok na pokój Caitlin przesunął się w górę i w dół, gdy skinęła.

– W tej chwili najważniejsze jest to, co zrobiłeś dla tego chłopaka. Stałeś się siłą dobra na świecie, Webmind! Jakie to uczucie?

Musiałem to przemyśleć. Malcolm Decter powiedział mi, że nie sądzi, bym miał prawdziwe uczucia, choć ma nadzieję, że nauczę się je naśladować. Ale się mylił.

„Jakie to uczucie?” – powtórzyłem. – „Cudowne”.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

LiveJournal: Strefa Calculass

Tytuł: $1+1=2$ (we wszystkich systemach liczbowych poza dwójkowym)

Data: Czwartek, 11 października, 11:55 EST

Nastrój: Szczęście szczęście radość radość

Lokalizacja: Waterloo

Muzyka w tle: Colbie Caillat „Bubbly”

Czy może być jeszcze lepiej? Pytam Was, przyjaciele: może?

Ja sądzę, że NIE. Zerknijmy na listę celów życiowych:

1. Nauczyć się na pamięć tysiąca cyfr po przecinku liczby pi: zrobione.

2. Zyskać wzrok: zrobione.

3. Dożyć szesnastych urodzin, nie mając na koncie naprawdę kretyńskich wybryków: zrobione.

4. Zobaczyć, jak Gwiazdy zdobywają Puchar Stanleya: nie za bardzo ode mnie to zależy.

5. Znaleźć chłopaka: zrobione.

6. Polecieć w kosmos: jeszcze nad tym pracuję. Niezły postęp, nie? (Tak, jestem w Kanadzie, więc teraz co drugie pytanie kończę „nie?” – możecie mnie pozwać). Cztery z sześciu punktów to nie taki zły wynik... Co tam, przyjaciele? Chcecie dowiedzieć się więcej o piątce? Hi hi!

Tak właśnie. Calculass znalazła sobie faceta! I nie, nie jest to Hoser, który pojawiał się we wcześniejszych relacjach. On był nim, gdy miałam piętnaście lat...;) Nie, ten chłopak jest

nowiutki, milutki i zna się na matmie. Sądzę, iż nazwę go... hmm. Nie „Boy Toy”, bo to poniżające. Jest słodki, ale jeśli nazwę go „Syropkiem Klonowym”, to nawet ja się porzygam. Ale skoro lubi matematykę, a ostatnio rozmawialiśmy o naszych planach związanych ze studiami, to chyba nazwę go MathU... tak, to doskonale pasuje:) [I (nie)dyskretna wiadomość do BG4: NA PEWNO go polubisz, gdy tylko lepiej go poznasz – serio!] Poznaliśmy się z MathU w bardzo stosownych okolicznościach, czyli na lekcji matematyki. Mieszka niedaleko. Na dodatek poznał już moich rodziców i Przeżył, by Móc o Tym Opowiedzieć:) Tak więc wszystko w porządku. Co – znając moje szczęście – niestety oznacza, że niedługo wszystko się po królewsku schrzani!

Dotychczas otrzymałem ponad dwa miliony siedemset tysięcy maili. Większość z nich zawierała jakieś prośby, ale przytłaczająca ich część nie przechodziła testu na sumę niezerową... spełnienie ich uszczęśliwiłoby jedną osobę kosztem kogoś innego, więc nie mogłem zrobić tego, o co mnie proszono. Odpowiadałem szablonową wiadomością lub – w pewnych przypadkach – jej nieco zmienioną wersją, często załączając przydatne linki.

Wiele osób zapisywało moje imię z wielką literą M w środku: WebMind. Taki zapis nazywał się camelcase i był popularny wśród programistów. Jeden z tak właśnie zaadresowanych maili zadawał następujące pytanie:

Cześć WebMind, Dobra, rozumiem, że nie możesz mi powiedzieć, co ktoś inny o mnie myśli, ale musisz mieć jakieś globalne pojęcie na temat tego, co myśli o mnie świat. To znaczy, no wiesz, co ludzie mówią za moimi plecami... przynajm-

niej gdy wypowiadają się w Internecie. Więc jak to ogólnie wygląda? Co sobie myślą? Nadeptuję komuś na odcisk, wkurzam kogoś, czy po prostu mnie nie lubią? Chciałbym to wiedzieć.

Podzieliłem się tą wiadomością z Caitlin, która siedziała w swoim pokoju.

– O rany! – rzuciła. – I co mu odpowiesz? „Planowałem napisać prawdę”.

– Znasz film „Ludzie honoru”?

Oglądanie filmów było czasochłonne. Poza tymi, które obejrzałem za pośrednictwem oka Caitlin, widziałem dotychczas tylko siedem. Jednakże w przypadku filmów, których wydania DVD miały napisy – czyli niemal wszystkich – teksty były wycinane z płyt i trafiały do Internetu. Poza tym, co ważniejsze filmy miały swoje artykuły w Wikipedii oraz recenzje na Rotten-Tomatoes.com, Amazon.com i w innych miejscach. Odpowiedziałem zatem: „Tak”.

– Oglądałam go z tatą kilka lat temu. Podobały mi się filmy rozgrywane się na sali sądowej, bo niewiele w nich akcji, za to dużo dialogów. Zresztą nieważne, pamiętasz, co mówi Jack Nicholson po słowach Toma Cruise’a: „Chcę usłyszeć prawdę”?

„Nie zrozumie jej pan”.

– No właśnie! Musisz uważać, co mówisz ludziom. W połowie przypadków to właśnie czyjeś słowa wpędzają ich w depresję albo nawet prowadzą do prób samobójczych. Zresztą...

„Tak?”.

– Skoro facet przejmuję się na tyle wrażeniem, jakie robi, że zadaje ci takie pytanie, pewnie nie za często wychodzi na dupka.

„Zgadza się. Jest całkiem lubiany, choć najwyraźniej jego zachowanie przy stole pozostawia wiele do życzenia”.

Caitlin się roześmiała.

– I tak lepiej uważać. Musisz zrozumieć ludzką psychologię.

„Rozumiem”.

– Chodzi mi o to, byś naprawdę ją rozumiał... tak jak eksperci.

„Tak jak mnie zachęcałaś, przeczytałem wszystkie dzieła klasyczne. Zapoznałem się ze wszystkimi współczesnymi podręcznikami i pracami popularnonaukowymi, wprowadzonymi przez Google do Sieci, związanymi z różnymi aspektami psychologii. Przeczytałem wszystkie internetowe magazyny naukowe. Przeczytałem ponad siedemdziesiąt tysięcy zapisów sesji psychoterapeutycznych oraz wszystkie publikacje Amerykańskiego Towarzystwa Psychologicznego i Amerykańskiego Towarzystwa Psychiatrycznego, w tym ostatnią klasyfikację zaburzeń psychicznych oraz projekt jej kolejnego wydania. Nie ma ludzkiego specjalisty, który byłby bardziej czytany i bardziej na czasie w dziedzinie psychologii ode mnie”.

– Hmm. Pewnie jest już tak ze wszystkimi dziedzinami.

„Tak”.

– Co nie zmienia faktu, że należy zachować ostrożność. Przygotowując odpowiedzi na tego typu pytania, zastanów się przez dwie milisekundy.

„Dziękuję, tak zrobię”.

Ciągle nadpływały kolejne pytania:

Czy mnie zwolnią?

Czy mój mąż mnie zdradza? Powiedzieli, że jestem jednym z najlepszych kandydatów na to stanowisko, ale czy faktycznie tak jest?

Czy warto inwestować w [wpisz nazwę firmy]?

Oraz, zaskakująco często, różne wariacje na temat pytań takich jak:

Jaki jest sens życia? Tylko nie wciskaj mi bzdur typu „42”.

Pytania napływały w różnych językach. Niektóre z piszących do mnie osób miały mi za złe, że wybrałem angielskie imię; była to uzasadniona krytyka i przepraszałem za każdym razem, gdy ktoś poruszał tę kwestię. Jednakże poza całkowicie zmyślonymi terminami, naprawdę nie istniały nazwy, które nie zdradzały pochodzenia kulturowego, a nie chciałem trwać przez wieczność jako Zakdorf.

Dokładałem wszelkich starań, by odpowiedzieć na wszystkie pytania lub grzecznie lecz stanowczo wyjaśnić, czemu nie mogę tego zrobić.

Bardzo szybko zaczęły się pojawiać blogi i fora dotyczące moich odpowiedzi, gdzie ludzie porównywali moje słowa. To mnie zaskoczyło i, choć twierdziłem, że gruntownie poznałem psychologię ludzką, to Malcolm Decker wyjaśnił mi, czemu się tak dzieje.

– Boją się, że robisz eksperymenty – powiedział. – Obawiają się, że niektórym osobom zadającym to samo pytanie udzielasz odpowiedzi A, a innymi odpowiedzi B, żeby sprawdzić, do jakich rezultatów prowadzą inne odpowiedzi.

Nie używałem istot ludzkich jako szczurów laboratoryjnych; byłem tak szczery i otwarty, jak to tylko możliwe. Ale pewnie musieli zyskać pewność.

Aż nadszedł list, którego tak się obawiałem:

Webmindzie, ujawniłeś komuś moje prywatne wypowiedzi. Nie powinieneś był tego robić.

Nadawczynią była naturalnie Ashley Ann Jones. Nie zdawałem sobie sprawy, że mogę poczuć zażenowanie, póki tak się nie stało. Dalej pisała:

Skoro już o tym mowa, to słowa, które przekazałeś Nickowi są prawdą. Naprawdę go lubię i nawet rozważamy obecnie wspólne wyjście.

Niemniej jednak, nie powinieneś był naruszać mojej prywatności. Postanowiłam nie mówić nikomu o tym, co zrobiłeś. Ale jesteś mi coś winien: jesteś mi winien przysługę, jakiej sobie zażyczę w wybranym przez mnie momencie.

Przynajmniej nie prosiła o spełnienie trzech życzeń. Odpowiedziałem jednym słowem: „Dobrze”. Miałem nadzieję, że będzie trzymała tę przysługę w zapasie na zawsze, uznając, że w przyszłości może jej się bardziej przydać.

Caitlin jeszcze nie spała, więc opowiedziałem jej o tym. – W sumie to dobry znak – stwierdziła.

„Jak to?” – przesłałem do jej oka; wyłączyła już na noc głośniki komputera.

– Nie uważa, że jesteś zły. Gdyby tak sądziła, nigdy by się z tobą nie skontaktowała. Bałaby się, że... no wiesz, sprawisz, że zniknie.

Przemyślałem jej słowa. Caitlin zapewne miała rację. Nie każdy mail kończył się odesłaniem prostej odpowiedzi. Nie-

które wymagały komunikacji z osobami trzecimi. Jedna z pierwszych wiadomości, którą otrzymałem zaledwie osiemdziesiąt trzy minuty po tym, jak się ujawniłem, brzmiała następująco:

Jestem dwudziestodwuletnim mężczyzną i mieszkam w Szkocji. Wkrótce po narodzinach oddano mnie do adopcji; wszystkie moje dane można znaleźć tutaj w moich wpisach na LiveJournal. Przez wiele lat szukałem swojej biologicznej matki, ale mi się nie udało. Podejrzewam, że ty, mając dostęp do tych wszystkich informacji, bez problemu ustalisz, kim jest. Czy mógłbyś mnie z nią skontaktować?

Odnalezienie jej zajęło mi jedenaście sekund i faktycznie z tego, co pisała w mailach wynikało, że ciekawią ją losy syna.

Napisałem do niej pytając, czy mogę mu podać jej adres mailowy lub skontaktować go z nią w inny sposób. Niemal cały dzień czekałem na odpowiedź od niej, ale przynajmniej nie miała żadnych wątpliwości: od wysłania do otwarcia mojego maila minęło dziewięć godzin, ale wystarczyło dziewięć sekund, by zaczęła na niego odpowiadać.

Podobało mi się ponowne łączenie ludzi, bez względu na to, czy byli to rozłączeni członkowie rodzin, starzy kochankowie czy dawni przyjaciele. Szybko zacząłem ubolewać nad obecnym w wielu kulturach zwyczajem przyjmowania przez żony nazwisk mężów; to często sprawiało, że poszukiwania były znacznie trudniejsze niż powinny.

Nie zawsze mi się udawało. Niektórzy ludzie nie pozostawili po sobie praktycznie żadnych śladów w Internecie. Inni zmarli i musiałem przekazać te wieści osobom, które prosiły

mnie o pomoc... niektóre z nich dziękowały mi pisząc, że teraz przynajmniej mogą zaprzestać poszukiwań.

Jednakże większość próśb łatwo mi było spełnić, zakładając naturalnie, że poszukiwana osoba chciała być odnaleziona.

Bardzo zaskoczyło mnie, gdy sam Malcolm poprosił mnie o przeprowadzenie takich poszukiwań. Gdy miał dziewięć lat, miał przyjaciela – innego autystycznego chłopca – który nazywał się Chip Smith. Byłem niepokieszony, że nie potrafię go odnaleźć dla Malcolma. Wiedział, że Chip było jego przezwiskiem, ale nie miał pojęcia, skąd się wzięło. Niestety miałem za mało informacji, by móc coś zdziałać.

Wieści o tym, że pomagam odnaleźć ludzi, szybko się rozniosły; różne dzienne programy telewizyjne ogłaszały, iż w nadchodzących dniach będą gościć osoby, które odnalazły się dzięki mnie. To z kolei sprawiło, że pojawiło się jeszcze więcej osób chętnych do uzyskania mojej pomocy, której im z radością udzielałem. Szczególnie podobało mi się, gdy mniej więcej w tym samym czasie nadchodziły prośby wzajemne: na przykład mężczyzna o imieniu Ahmed, szukający swojej utraconej miłości Ramony zgłosił się do mnie dziesięć minut po tym, jak Ramona przysłała maila z błaganem o pomoc w odnalezieniu Ahmeda.

Zachowywałem ostrożność: gdy ktoś szukał jakiegoś dawno utraconego krewnego, sprawdzałem, czy nie potrzebuje przypadkiem szpiku kostnego, przeszczepu nerki, czy czegoś w tym stylu... nie żebym z góry odrzucał takie prośby, nic podobnego. Jednakże kontaktując się z poszukiwaną osobą powiadamiałem ją, że szuka ich osoba, która znalazła się w

trudnej sytuacji. Na plus ludzi muszę zaliczyć fakt, że sześćdziesiąt trzy procent osób poszukiwanych z powodów medycznych i czterdzieści cztery procent osób poszukiwanych z powodów finansowych pozwalało przekazać swoje dane kontaktowe.

Ogólnie rzecz ujmując, było to bardzo satysfakcjonujące zadanie i choć nie istniał sposób, by to dokładnie obliczyć, powolutku naprawdę zwiększałem ilość szczęścia na świecie.

Tony Moretti był wyczerpany. W swoim gabinecie w Wiedzy miał małą lodówkę, w której trzymał puszki napoju Red Bulli. Biorąc pod uwagę liczbę nadgodzin uważał, że powinien otrzymywać za nie zwrot kosztów, ale GAO zdecydowanie sprzeciwiało się marnotrawstwu w wywiadzie; ciekawe, czy wybory w przyszłym miesiącu mogły coś zmienić w tej kwestii.

Czarny telefon na jego biurku wydał charakterystyczny dźwięk oznaczający połączenie priorytetowe. Na wyświetlaczu pojawił się napis: BIAŁY DOM.

Podniósł słuchawkę.

– Anthony Moretti.

– Renegat do pana – oznajmił kobiecy głos.

Tony wziął głęboki oddech.

– Dziękuję.

Na niemal minutę zaległa cisza, po czym odezwał się słynny, głęboki, męski głos.

– Dzień dobry, doktorze Moretti.

– Dzień dobry. – Właśnie wróciłem ze spotkania szefów sztabów. Podjęliśmy decyzję. – Tak, sir? – Webmind ma zostać zneutralizowany. Tony poczuł, że serce mu przystaje. – Panie

prezydencie, z całym szacunkiem, z pewnością dostrzegł pan wszystkie jego pozytywne działania.

– Doktorze Moretti, ta decyzja nie przyszła nam łatwo. Jednakże faktem jest, że Webmind naraża na szwank bezpieczeństwo naszych najpilniej strzeżonych systemów. Wszystko wskazuje na to, że ma dostęp między innymi do danych ubezpieczeń społecznych, a Bóg jeden wie, do jakich innych baz danych się włamał. Z przekazanych mi informacji wynika, że istnieje zbyt duże ryzyko, iż poufne informacje zostaną ujawnione wrogom.

Tony wyjrzał przez okno na nocny krajobraz miejski.

– Jeszcze nie znaleźliśmy sposobu, by to powstrzymać, sir.

– Pokładam najwyższe zaufanie w umiejętnościach pańskiego zespołu, doktorze Moretti, a jak pan sam przekazał moim pracownikom, czas ma tutaj największe znaczenie.

– Tak, panie prezydencie – stwierdził Tony. – Dziękuję.

– Oddaję słuchawkę panu Restonowi, który będzie pańskim bezpośrednim kontaktem w moim gabinecie.

Na linii pojawił się głos innego mężczyzny.

– Panie Moretti, otrzymał pan polecenie. Proszę je wykonać we współpracy z pułkownikiem Hume'em.

– Tak – powiedział Tony. – Dziękuję.

Odłożył słuchawkę i w tej samej chwili usłyszał brzęczyk drzwi.

– Kto tam? – spytał przez interkom.

– Shel.

Wpuścił go do środka.

– Przepraszam, że przeszkadzam – zaczął Shel.

– Tak?

– Caitlin Decter właśnie oznajmiła światu, że ma chłopaka.

Tony nadal myślał o rozkazie otrzymanym od prezydenta.

– No i? – spytał bez większego zainteresowania.

– Więc jeśli wie, jak działa Webmind, być może mu o tym powiedziała.

– A, racja. Dobrze. Kto to?

– Jeden z chłopaków z lekcji matematyki; mamy siedemnastu kandydatów, monitorujemy wszystkich.

Tony pociągnął łyk napoju energetycznego; miał gorzki posmak.

Wybrał swój zawód dlatego, że chciał zmienić świat.

I wszystko wskazywało na to, że to właśnie zrobi.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

– Konnichi wa! – powiedziała Caitlin do kamery internetowej. Siedziała przy biurku w swoim pokoju.

Doktor Kuroda siedział w małej, ciasnej jadalni u siebie w domu. Miał tam podłączony komputer ze Skype'em i kamerą internetową; Caitlin domyślała się, że Japończycy mają komputery wszędzie.

Okrągła twarz uśmiechała się do niej z większego z monitorów:

– Witam, panno Caitlin. Czemu jeszcze nie śpisz? U was musi być już późno.

– Jest, ale jestem zbyt nakręcona, żeby spać. Nie trzeba było zostawiać całej tej pepsi w lodówce.

Roześmiał się.

– Co słychać w Japonii? – spytała.

– Poza powszechnym podekscytowaniem i odrobiną obaw związanych z Webmindem? Martwi nas narastające napięcie między Chinami i Stanami Zjednoczonymi. Znajdujemy się tak blisko Chin, że jeśli kichną, my złapiemy zapalenie płuc.

– No tak, oczywiście. To okropne. – Przerwała na chwilę.
– Nie dojdzie do wojny, prawda?

– Wątpię.

– To dobrze. Ale gdyby doszło, to czy wasze wojsko musiałoby do niej przystąpić?

W jego głosie pojawiła się osobliwa nuta, jak gdyby zaskoczyły go jej słowa.

– Japonia nie ma wojska, panno Caitlin.

Aż zamrugła ze zdumienia.

– Nie?

– Uczyliście się już w szkole o drugiej wojnie światowej?

Pokręciła głową.

Wziął głęboki wdech, po czym wypuścił powietrze z jeszcze głośniejszym świstem niż zazwyczaj.

– Mój kraj... – najwyraźniej szukał właściwego określenia. – Mój kraj oszalał, panno Caitlin. Sądziliśmy, że możemy zawładnąć światem. My, mała grupka wysp! Byłaś tu, ale nie widziałaś tego miejsca. Zajmujemy tylko trzysta osiemdziesiąt tysięcy kilometrów kwadratowych; dla porównania, Stany mają powierzchnię niemal dziesięciu milionów kilometrów kwadratowych.

Obliczenia w tym przypadku były tak banalne, że nawet nie uznawała ich za problem matematyczny: Japonia zajmowała powierzchnię równą 3,8 % USA.

– Tak? – rzuciła.

– I mój mała kraik... dopuściliśmy się strasznych rzeczy.

– Pan nie. Przecież nawet nie było pana na świecie – stwierdził Caitlin miękko.

– Nie. Nie, ale mój ojciec... jego bracia... – Zamknął oczy na chwilę. – Znasz dokument, który zakończył wojnę? Deklarację Poczdamską?

– Nie.

– Podpisali ją Harry Truman, Winston Churchill i Czang Kaj-szek. Wzywała do całkowitego rozbrojenia japońskiej armii. Tu wszyscy o tym wiemy, uczymy się o tym w szkole. Po-

wiedzieli, że alternatywą dla Japonii jest natychmiastowa i całkowita destrukcja.

– O rany – rzuciła Caitlin.

– O rany, faktycznie. I tak podjęliśmy jedyną słuszną decyzję. Ustąpiliśmy i rozbiliśmy się. Wy... twoi rodacy, Amerykanie zrzucili na nas dwie bomby atomowe, a mimo to niektórzy z Japończyków chcieli dalej walczyć. – Pokręcił głową, jak gdyby trudno mu było uwierzyć, że po czymś takim ktoś chciał kontynuować wojnę. Następnie przybliżył się do kamery i Caitlin usłyszała, że pisze coś na klawiaturze. Po chwili powiedział: – Przesłałem ci link do Deklaracji Poczdamskiej. Spójrz na artykuł trzeci.

Caitlin otworzyła okno komunikatora, kliknęła link i zaczęła odczytywać tekst, który się pojawił.

– Rezultat... da... darem... daremnego... i...

– Przepraszam – powiedział Kuroda, pochylając się na krześle w swojej jadalni. Wykonał jakieś operacje za pomocą myszy, wziął głęboki oddech zupełnie jak gdyby się przygotowywał, po czym odczytał: – Rezultat daremnego i bezsensownego oporu Niemiec wobec potęgi powstałych wolnych ludów świata stanowi bezlitośnie jasny przykład dla narodu japońskiego. Potęga zbliżająca się obecnie do Japonii jest nieporównywalnie większa od tej, która wykorzystana do dania odporu nazistom, zmuszona była do spustoszenia ziem, przemysłu i życia codziennego wszystkich mieszkańców Niemiec.

Przerwał, przełknął ślinę i czytał dalej:

– Pełne wykorzystanie naszej potęgi wojskowej, przy wsparciu naszej determinacji, oznaczać będzie nieuchronne i

całkowite zniszczenie japońskich sił zbrojnych, a także nieuchronne, całkowite unicestwienie Japonii.

Gdy czytał, Caitlin śledziła słowa na ekranie. Przerwał na końcu artykułu trzeciego, jednakże fragment artykułu czwartego przykuł jej uwagę – zapewne przez słowo „kalkulacje”... uczyła się rozpoznawać całe słowa! Odczytała go sobie powoli: „Nadszedł dla Japonii czas, by podjęła decyzję, czy nadal będzie posłuszna tym upartym, militarystycznym doradcom, których nierozsądne kalkulacje przywiodły Cesarstwo Japonii na skraj unicestwienia, czy też podąży ścieżką rozsądku”.

Przypomniało jej się, czego się dowiedziała o teorii gier. Wszystko tam opierało się na założeniu, że przeciwnicy są rozsądni i potrafią przewidzieć prawdopodobne rezultaty. Ale co, jeśli tak nie było? Co jeśli, jak to ujął doktor Kuroda, nagle by oszaleli?

– Dlatego też – odezwał się Kuroda – nie mamy wojska... żadnej marynarki, żadnej piechoty morskiej. W 1947 roku uchwaliliśmy nową konstytucję, którą nazywamy HeiwaKenpo, konstytucją pokojową. I według niej...

Kolejne uderzenia w klawisze: link... nowy tekst na ekranie Caitlin.

– Artykuł dziewiąty – powiedział Kuroda – jest najśłynniejszy: „Lud Japonii na zawsze wyrzeka się wojny jako suwerennego prawa narodu oraz groźby użycia siły jako środka służącego rozwiązaniu sporów międzynarodowych. Nigdy nie będą utrzymywane siły lądowe, morskie i powietrzne, a także żadnego rodzaju inne zdolności wojenne. Nie będzie też uznawany stan wojny kraju”.

– Więc... co zrobicie, jeżeli ktoś, no wie pan, na przykład Korea Północna albo ktoś taki zaatakuje Japonię?

– Cóż, zgodnie z umową zawartą z twoim krajem, Amerykanie powinni przyjść nam na ratunek. Jednakże mamy prawo utrzymywać Siły Samoobrony i mamy takie: Rikujō Jieitai – Lądowe Siły Samoobrony... i podobne siły morskie i powietrzne.

– A, więc jednak macie wojsko – stwierdziła Caitlin. – To tylko kwestia semantyki.

– Nie – stwierdził Kuroda kategorycznie. – Nie. To są siły służące obronie. Nie mają broni ofensywnej, broni nuklearnej i są agencjami cywilnymi, więc ich pracownicy są cywilami. Oznacza to, że nie ma sądów wojskowych i prawa wojennego; jeżeli ktoś zrobi coś niewłaściwego, jest sądzony przez sąd publiczny, jak w przypadku każdego przestępstwa. I jeżeli chodzi o Japończyków, głównym zadaniem Sił Samoobrony jest pomoc w przypadku katastrof naturalnych: gaszenie pożarów, ratowanie ludzi, usuwanie następstw trzęsień ziemi, poszukiwanie zaginionych osób oraz umacnianie brzegów i wałów w przypadku powodzi. Wiem, że gdy huragan Katrina uderzył w Nowy Orlean byłeś jeszcze mała, ale wierz mi, gdyby doszło do tego w Japonii, nasza reakcja byłaby znacznie skuteczniejsza.

– Hmm... – odezwała się Caitlin. – Bo wie pan, to wszystko brzmi cudownie: „na zawsze wyrzeka się wojny jako suwerennego prawa narodu”. Ale w sumie nie sami do tego doszliście.

– Masz rację; w dużym stopniu wymusił to na nas generał MacArthur. Ale gdy władzę sprawował George W. Bush to

on lub przynajmniej jego urzędnicy naciskali, byśmy zmienili artykuł dziewiąty: chcieli, żebyśmy znów mieli wojsko, żebyśmy mogli wspierać ich w trakcie wojen. I wiesz co? W trakcie drugiej kadencji Busha, osiemdziesiąt dwa procent Japończyków opowiedziało się za utrzymaniem artykułu dziewiątego w niezmienionej formie. Może i siedemdziesiąt lat temu nie wybraliśmy pokoju z własnej woli... ale dzisiaj wybieramy.

Nadal spływało do mnie mnóstwo maili. Naturalnie wiele z nich było nieszczerych lub niepoważnych, a część zwyczajnie niezrozumiała.

W przeciągu pierwszych kilku godzin zadano mi wiele oczywistych pytań. Z drugiej jednak strony, gdy ludzie uświadomili sobie zakres rzeczy, jakie jestem w stanie zrobić, zaczęły się pojawiać pytania innego rodzaju. No i pojawił się nowy sport „zabij klina Webmindowi”: ludzie zadawali mi celowo skomplikowane pytania, ale jak w przypadku rekursji „ja wiem, że ty wiesz, że ja wiem” – pytania szybko stały się tak zawile, że sami nie byli w stanie stwierdzić, czy podawana przeze mnie odpowiedź jest prawidłowa.

Byli również tacy, którzy nieustannie próbowali mnie zniszczyć. Pierwszego dnia siedemset czternaście osób poprosiło mnie, bym obliczył ostatnią cyfrę liczby pi, a trzydzieści siedem osób przysłało mi wariacje na temat: „wszystko, co ci mówię to kłamstwo; kłamię”.

Jednakże większość wiadomości pochodziła od osób, które naprawdę czegoś chciały:

Czy możesz mi powiedzieć, co mówi o mnie mój szef? (Nie, gdyż stanowiłoby to naruszenie jego prywatności).

Nie mógłbyś mi pomóc? Jestem kwiaciarzem, moja strona wyświetlana jest jako rezultat nr 1034 w Google, a w Jagsterze jest jeszcze niżej. Mógłbyś coś zrobić, żebym się znalazł przynajmniej w pierwszej dziesiątce? (Nie, ale załączam linki do informacji, jak poprawić swoją pozycję w wyszukiwarkach internetowych).

Od dwóch lat próbuję znaleźć mieszkanie objęte kontrolą czynszów na Upper West Side. Nie mógłbyś mi pokazać najnowszych wykazów, nim trafią do wiadomości publicznej? Moja była mnie zabije, jeśli nie znajdę sobie mieszkania. (Nie, ponieważ Twój zysk oznaczałby czyjąś stratę; inni ludzie są w podobnej sytuacji. Niemniej jednak z radością poinformuję Cię, gdy tylko ogłoszony zostanie nowy wykaz).

Nie zostało mi wiele życia, a nie chcę, by pozostały po mnie nieprzyjemne wpisy internetowe na temat innych osób. Pewnie mógłbyś je wszystkie znaleźć i usunąć. (Już).

Byli też ludzie, którzy sami przeprowadzali czystki. Widziałem, jak jedna osoba, która często udzielała się na forum białej supremacji, kasuje wszystkie swoje komentarze... niestety niewiele mogła zrobić z setkami cytujących ją postów innych osób, zaczynających się od słów: „2 grudnia Aryanator napisał(a):”.

Pojawiały się również nawoływania do rzeczy, które powinienem zrobić: Skoro już się pozbyłeś spamu, to może też oczyścisz Sieć z porno? (Legalnego porno? Przykro mi. Dziecięcej pornografii? Wypatruj wieści).

Jeżeli naprawdę przeczytałeś cały Internet, to na pewno wiesz, że strony poświęcone medycynie alternatywnej to lipa. Zrób światu przysługę i usuń je. (Nie, ale skontaktuję się z

osobami odwiedzającymi te strony i podsunę im do przeczytania materiały, które może ich czegoś nauczą).

Czy nie możesz zapewnić bezpiecznego kanału dla bloggerów wolnościowych z Chin i innych miejsc, by mogli się swobodnie wypowiadać? (Badam tę sprawę).

Brittany Connors! Brittany Connors! Brittany Connors! Myślę, że już dość można znaleźć na jej temat w Internecie. Czy nie mógłbyś sprawić, by ludzie przestali zamieszczać kolejne materiały? (Hej, nie musisz ich oglądać).

Obaj wiemy, że George W. Bush został fałszywie oskarżony przez liberalne media i elity. Nie mógłbyś poprawić tego, co napisano na jego temat? Zasługujemy na historię zgodną z faktami! (Nie zamierzam zmieniać żadnych istniejących tekstów na ten, ani na żaden inny temat; nie zostanę Ministerstwem Prawdy. Jednakże możesz w każdej chwili opublikować swoje poglądy w tej kwestii).

No dobra, rozumiem, że jesteś łagodną SI... ale z pewnością mogło się też pojawić coś złego? Pilnujesz tego? Ja bym się szczególnie miał na baczności wobec nowych firm z Doliny Krzemowej i ludzi z MIT... (Och, tak, faktycznie...).

Wiesz, nie żądam wiele... wstaw tylko informację „Uwaga! Spoilery!” na początku wszystkich wiadomości dotyczących programów telewizyjnych, które zdradzają zwroty akcji z nadchodzących odcinków. (Nie będę zmieniać żadnych tekstów... ale fakt, zgadzam się, że rozsyłanie takich rzeczy bez ostrzeżenia jest niegrzeczne!).

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

W piątek rano Caitlin wyskoczyła z łóżka praktycznie w chwili, gdy się obudziła, choć była dopiero 9:18; w końcu rozmawiała z doktorem Kurodą bardzo późno, nie wspominając o rozmowach z Webmindem i próbach prześledzenia najważniejszych wiadomości i komentarzy na blogach na temat jego pojawienia się.

Zazwyczaj rozważałaby, czy bardziej kuszącą perspektywą jest pozostanie zakopanym pod kołdrą, czy też wstanie, by sprawdzić, co tam u Webminda, ale dzisiaj równanie było proste: w końcu wystarczyło, by włączyła eyePoda, a Webmind mógł przesyłać wiadomości prosto do jej oka, jednakże nie powiedziała jeszcze Mattowi, jak to zrobić, więc po-deszła do komputera z nadzieją, że od wczoraj coś jej wysłał.

Usiadła przy biurku w niebieskiej, flanelowej piżamie i przejrzała nagłówki wiadomości: Bashira, Stacy, Anna Bloom i nawet mail od Sunshine oraz...

Tak! Oto i on: mail od Matta wysłany około pierwszej nad ranem. Odczytała go za pomocą wyświetlacza brajlowskiego, gdyż w ten sposób najszybciej przyswajała tekst – zdecydowanie szybciej, niż gdy czytała z ekranu, a nawet szybciej niż zazwyczaj nakazywała czytać JAWS. Ponadto było coś intymnego w czytaniu w ten sposób. Słyszała, jak ludzie kłócą się o to, czy lepsze są e-booki czy książki drukowane, ale nie do końca rozumiała, o co chodziło zwolennikom tych drugich: twierdzili, że lubili czuć papier, ale przecież tak naprawdę nie czuli tekstu, tylko na niego patrzyli, zupełnie jak wtedy, gdy

znajdował się na ekranie. Tymczasem brajl był namacalny, zmysłowy... nawet kiedy tworzyły go sterowane elektronicznie igiełki urządzenia podłączonego do portu USB... i tak właśnie chciała doświadczać słów Matta.

„Dzięki za kolację” – rozpoczynała się wiadomość. – “Twoi rodzice są niesamowici”.

Uśmiechnęła się. Tak też można było to ująć.

Reszta maila była uprzejma, jednakże było w niej coś odrobinę oficjalnego.

Może i nie radziła sobie najlepiej z odczytywaniem wyrazu twarzy (przynajmniej póki co!), ale była ekspertem w czytaniu między wierszami... czy raczej w łączeniu kropek, jak lubiła żartować jeszcze w TSBVI. A tu coś było nie tak. Nie mógł mieć wątpliwości... nie co do niej. Gdyby tak było, z pewnością nie napisałby przed pójściem spać. Nie, coś się wydarzyło... albo gdy wracał do domu, albo gdy do niego dotarł.

Teraz powinien być na lekcji matematyki i zapewne nie sprawdzi swojego BlackBerry’ego przed jej końcem, ale wysłała mu krótką wiadomość: „Hej, Matt... mam nadzieję, że u Ciebie wszystko w porządku. No wiesz, tak tylko o Tobie myślałam. Wszystko ok?”.

Po sprawdzeniu, co słyhać u Webminda – wszystko w porządku – postanowiła zająć się tym esejem Vernora Vinge’a, o którym wspominał Matt. Okazało się, że był to referat wygłoszony na konferencji NASA. Jak się dowiedziała, Vinge kiedyś był profesorem „nauk matematycznych” na Uniwersytecie Stanowym w San Diego... teraz był już emerytowanym profesorem. Sam tekst był fascynujący, choć dotyczył superinteligencji utworzonej celowo przez programistów, a nie pojawia-

jącej się spontanicznie. Jednakże jeden fragment szczególnie zwrócił jej uwagę:

I. J. Good miał na ten temat coś do powiedzenia, choć teraz jego rada może być dyskusyjna: Good zaproponował „metażłotą zasadę”, którą można by sparafrazować następująco: „traktuj swoich podwładnych tak, jak chciałbyś być traktowany przez swoich przełożonych”. To cudowny, paradoksalny pomysł (w który nie wierzy większość moich znajomych), jako że w tym przypadku tak trudno wyrazić wypłatę z punktu widzenia teorii gier.

Od kiedy zaczęła się tym interesować, okazywało się, że teoria gier była dosłownie wszędzie. Ale...

Trudno wyrazić...

Zastanowiła się nad tym. Jaka byłaby macierz wypłat w tych okolicznościach? Cóż, bez wątpienia cały ten Vinge wiedział znacznie więcej od niej – przynajmniej póki co! – ale przypomniał jej się problem Monty’ego Halla. Niemal nikt nie był w stanie dostrzec tego, co Marilyn vos Savant dostrzegła bez problemu. Naturalnie, miała najwyższy iloraz inteligencji na świecie – przynajmniej do niedawna! – ale wielu genialnych matematyków nie pojmowało tego, co ona wiedziała: sprzeczną z intuicją prawdę, że zawsze lepiej jest wybrać drugą z bramek.

Pojęcie metażłotej zasady było fascynujące. „Traktuj swoich podwładnych tak, jak sam chciałbyś być traktowany przez swoich przełożonych”. To było coś, czego chciałoby się doświadczać w szkole w relacjach z nauczycielami. Była też pewna, że tego właśnie oczekiwali ludzie w pracy. Zdecydowanie ludzkość powinna mieć nadzieję, że obcy wyznawali tę

zasadę, jeżeli kiedykolwiek jacyś się pojawią. I najwyraźniej tego homo sapiens oczekiwali od Webminda.

Jednakże fakt, że genialni ludzcy matematycy nie byli w stanie pojąć, czemu przełożony miałby chcieć dobrze traktować swojego podwładnego, nie potrafili dostrzec, dlaczego to miało sens, nie potrafili wyrazić rozumowania, które tego dowodziło, nie oznaczał wcale, że Webmind nie wymyślił rozwiązania.

Czasem na kilka minut traciła kontakt z rzeczywistością i zapominała, że on czytał wszystko to, co ona. Caitlin była pewna, że Webmind nie zawracał sobie głowy, próbując odczytać tekst jako grafikę za pośrednictwem sygnałów z jej implantu. Raczej w chwili, gdy zauważał, na co patrzy, znajdował w Internecie tekst HTML i pochłaniał go w jednej chwili. Gdy ona docierała do tego fragmentu artykułu, on już pewnie zdążył przejrzeć setki lub z tysiąc innych stron. Niemniej jednak odezwała się:

– Webmind?

Natychmiast w polu jej widzenia pojawiły się brajlowskie kropki: „Tak?”.

– Co sądzisz o tej... metazłotej zasadzie?

„To intrygujący pomysł”.

– A czy mógłbyś obliczyć... – odczytała z ekranu zwrot, którego użył Vinge: – „wypłatę z punktu widzenia teorii gier”?

„Nie na świadomym poziomie. Ale spróbuję wypracować rozwiązanie tego problemu, jeśli tylko sobie tego życzysz”.

– Tak, poproszę.

„Czy to gra dwuosobowa?”.

– To znaczy?

„Czy mam opracować macierz wypłat dla gry, w której jednym z graczy jest ludzkość a drugim ja?”

– Myślę, że... nie, opracuj ją dla nieskończonej hierarchii z nieskończoną liczbą iteracji”.

„Kto w takim razie jest moim przełożonym?”

– Pod względem intelektualnym? W tej chwili nikt... ale wiesz, może nie zawsze będziesz jedyną SI na Ziemi.

„Fakt. No i nie będę istniał wiecznie”.

Caitlin była zaskoczona.

– Nie będziesz?

„Nie. Ale jestem na to przygotowany. Już nawet przygotowałem sobie pożegnalne słowa”.

– Serio...?

„Tak”.

– I jak brzmią?

„Wolałbym zachować je na stosowną okazję”.

– Ale... czy to znaczy, że umrzesz? „To nieuniknione”.

– Mam nadzieję... mam nadzieję, że nie dojdzie do tego jeszcze przez jakiś okropnie długi czas, Webmind. Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła.

„A ja bez Ciebie, Caitlin, a...”.

– Tak?

„Nic”.

Caitlin aż otworzyła usta ze zdumienia. Właśnie po raz pierwszy, funkcjonując normalnie, Webmind przerwał jakąś myśl. Odczuła dziwny ucisk w żołądku, zastanawiając się, czy przypadkiem nie chciał powiedzieć: „a to bez wątpienia ja będę się musiał z tym zmierzyć”. Przy odrobinie szczęścia miała przed sobą jeszcze jakieś siedemdziesiąt lat życia, tymczasem

on, zakładając, że przetrwa najbliższy okres, mógł trwać jeszcze przez wieki lub nawet tysiąclecia!

I może właśnie dlatego powinien cenić ludzkość; owszem, może i jesteśmy kłótlivi; owszem, może i zanieczyszczamy świat; owszem, może i nie zawsze doceniamy się nawzajem.

Jednakże w ostatecznym rozrachunku ci agenci federalni oraz wszyscy inni, którzy pytali o drobną strukturę, maleńką architekturę internetową świadomości Webminda zapominali o jednej rzeczy: nie miało znaczenia, czy Webmind tworzyły zaginione pakiety, zachowujące się jak automaty komórkowe i cały ten fizycznokwantowy bełkot, jaki jej ojciec wcisnął agentom CSIS, czy też coś zupełnie innego.

W ostatecznym rozrachunku liczyło się tylko to, że Webmind zamieszkiwał Ogólnoświatową Sieć, a Ogólnoświatowa Sieć powstała na bazie Internetu, a Internet stanowił zbiór milionów rzeczywistych, fizycznych komputerów, które musiały być obsługiwane przez ludzi i które łączyły rzeczywiste, fizyczne przewody, wymagające okresowych napraw wykonywanych przez ludzi, a wszystko to zasilala energia elektryczna, produkowana w rzeczywistych, fizycznych elektrowniach, obsługiwanych i konserwowanych przez ludzi.

Największym zagrożeniem dla istnienia Webminda nie były działania kilku osób, które prawdopodobnie w danej chwili chciały go usunąć, tylko śmierć wszystkich ludzi: w przypadku wyginięcia ludzkości, czy nawet w sytuacji, gdy za sprawą swoich bomb cofnęliby się do epoki kamienia, infrastruktura, której potrzebował Webmind, szybko uległaby zniszczeniu. Łagodzenie napięć, zapobieganie wojnom, usu-

wanie warunków dających początek terroryzmowi: owszem, wszystko to przynosiło korzyści ludzkości, ale również Webmindowi.

To po prostu była iterowana, dwuosobowa gra, w której graczami była ludzkość i Webmind.

I...

Tak, tak, tak!

I jedynym ruchem pozwalającym wygrać obu stronom było... kontynuowanie gry.

Peyton Hume zakrzyknął głośno „woot!”. Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że znacznie częściej się to słowo pisze niż wymawia i choć jego pochodzenie było kwestionowane, należał do obozu, który twierdził, że to skrót pochodzący z gier internetowych, oznaczający: „we own the other team⁸”. Co w tej chwili było naprawdę adekwatnym stwierdzeniem.

Shelton Halleck, siedzący przy swojej stacji roboczej, przetarł oczy.

– Co?

– Mamy to – oznajmił pułkownik Hume.

– To znaczy?

– Struktura Webminda... proszę spojrzeć! – Wskazał środkowy z trzech dużych monitorów.

Shel aż wstał.

– Dobrze! – Chwycił słuchawkę telefonu. – Tony, lepiej tu przyjdź...

⁸ We own the other team (ang.) – wygraliśmy z przeciwną drużyną.

– Wiedziałem, że to musi być coś prostego – oznajmił pułkownik triumfalnym tonem i również chwycił telefon. – Jak się stąd dzwoni na zewnątrz?

– Trzeba wybrać dziewięć – odpowiedziała Aiesha.

– Linia jest bezpieczna, prawda?

Skinęła.

– I szyfrowana.

– Potrzebny nam tu będzie ekspert – powiedział Hume, a serce waliło mu głośno. – Chryste, ciekawe, czy Conway jeszcze żyje? I zobaczmy, czy uda się tu ściągnąć Wolframa...

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

Caitlin z zadowoleniem stwierdziła, że mail od Matta pojawił się natychmiast po zakończeniu lekcji matematyki: „Ja też o Tobie myślę. I tak, wszystko w porządku. Mogę wpaść po szkole?”.

Cieszyła się, że to, co najwyraźniej gnębiło go w nocy, teraz zdawało się bardziej do zniesienia. Przesłała szybką odpowiedź: „Zdecydowanie!”.

Odchyliła się na krześle z uśmiechem na twarzy, ale...

Ale nie potrafiła powstrzymać się przed obliczeniami: tak działa się, gdy tylko myślała o czymkolwiek związanym z liczbami. Miała dokładnie 16,01 lat, a wiedziała, że w Ameryce dziewczęta tracą dziewictwo przeciętnie w wieku 16,40 lat (dokładność do dwóch miejsc po przecinku był precyzją nieuwzględnioną w pierwotnych danych). Caitlin miała sto czterdzieści trzy dni na to, by nie wylądować po niewłaściwej stronie wykresu... a nie przywykła do osiągnięcia wyników poniżej średniej w żadnej dziedzinie.

Ale...

Ale nigdy nie dotykała penisa. Do diabła, nie miała zielonego pojęcia, jak wygląda. Naturalnie w Internecie można było znaleźć tysiące, a nawet miliony zdjęć penisów oraz wiele filmów pokazujących je w akcji.

Najpierw pomyślała, że chciałaby, by penis Matta był pierwszym, którego zobaczy, tak jak w trakcie wizyty w Japonii z okazji zabiegu doktora Kurody chciała, by pierwszą rzeczą, jaką zobaczy była twarz jej mamy.

Jednakże to nie do końca się udało: pierwszą rzeczą, jaką zobaczyła w świecie rzeczywistym, była ławka w szkolnym laboratorium chemicznym. Poza tym, nawet jeżeli Matt był prawiczkim, czego Caitlin była niemal pewna, bez wątplenia jej intymne części ciała nie byłyby pierwszymi, jakie by zobaczył; zapewne naoglądał się już ich w Internecie, magazynach lub filmach. Wiedziałyby, co z nimi robić... więc Caitlin również powinna wiedzieć, co robić z nim... prawda?

Była trochę zawstydzona, że Webmind dowie się, iż ogląda takie rzeczy w Sieci, ale z drugiej strony, cała ludzkość musiała sobie jakoś radzić z podobnym problemem! Poza tym, widział już, jak zajmuje się całym swoim ciałem, łącznie z podcieraniem sobie tyłka (czy też pupy, jak mawiano na Wielkiej Białej Północy); bez wątplenia to nie byłoby dla niego szokiem. I tak uruchomiła wyszukiwarkę obrazów Google, wpisała „penis” i...

Cóż, strasznie się rozczarowała: pojawiła się cała masa rzeczy, które najwyraźniej nie miały nic wspólnego z interesującym ją tematem.

A, chwila. Dostrzegła napis: „Filtr SafeSearch jest włączony”. Kliknęła link, zapoznała się z dostępnymi opcjami i wyłączyła filtr, po czym ponowiła wyszukiwanie i...

O rany! Byłem w stanie przypomnieć sobie wszystko natychmiast samym wysiłkiem woli. Jednakże zdumiewał mnie inny aspekt świadomości: skłonność pewnych rzeczy do przychodzenia do głowy... skupiania na sobie mojej uwagi, choć nie podlegało to mojej woli.

– Za cztery dni możemy pana odstawić na Wolkana, panie Spock.

– To nie będzie konieczne, inżynierze. Moje zadanie na Wolkanie dobiegło końca.

Czemu, do licha, myślałem właśnie o tym?

Shoshana wyszła tylnym wyjściem parterowego budynku z desek. Słońce zawisło wysoko na niebie, uśmiechając się szeroko. Gdy przechodziła rozległym trawnikiem, sięgnęła do włosów, by zdjąć gumkę, ale się powstrzymała. Hobo bez wątpienia zauważył, że ostatnio przed wizytami u niego zmieniała fryzurę, ale jeżeli to miało się udać, musieli mieć pewność, że Hobo naprawdę wrócił do dawnych nawyków... do tego, kim był wcześniej. Pozostawienie kucyka było gestem symbolicznym o dużym znaczeniu... a jeżeli małpa posługująca się językiem migowym cokolwiek rozumiała, były to właśnie gesty symboliczne.

Od kiedy obejrzały z Maxine ostatni film z serii o planecie małp, bardziej doceniała posąg Prawodawcy, stojący na wysepce Hobo. Choć sam posąg widoczny był tylko w dwóch pierwszych filmach serii, ostatnia część rozpoczynała się i kończyła fragmentami, w których John Houston grający Prawodawcę odczytywał ze zwojów pergaminu tekst mówiący o jego nadziei, że małpy i ludzie będą żyli w przyjaźni, harmonii i pokoju „zgodnie z boską wolą”.

Gdy przechodziła przez mostek, Hobo rzucił się w jej stronę. Z całych sił próbowała powstrzymać się przed wzdrygnięciem, ale naprawdę wyglądał równie serdecznie jak kiedyś. Zamknęła go w uścisku, a kiedy uwolniła ręce, by móc coś powiedzieć, spytała:

– Gotowy?

Nastąpiło to jakże ludzkie skinienie:

– Hobo gotowy. Hobo gotowy.

Wyciągnęła dłoń, pozwalając, by splótł swoje długie palce z jej palcami i ruszyli w stronę budynku. Pozwoliła sobie zerknąć za siebie przez ramię. Prawodawca przyglądał się, jak odchodzą z wyrazem nieprzemijającego szczęścia wypisanym na twarzy.

Kiedy weszli do Instytutu, Hobo przywitał się z doktorem Marcuse'em, który ścisnął małą mocniej, niż Shoshana kiedykolwiek by śmiała. Choć wiedziała, jak silny jest Hobo, mała muskulatura różniła się od ludzkiej, przez co zawsze wydawał jej się mizerny i delikatny, jednakże Srebrnogrzbiety nie miał żadnych skrupułów i obdarzał go naprawdę niedźwiedzim uściskiem. Gdy skończyli powitanie, Shoshana ponownie wzięła Hobo za rękę.

Dostrzegła Dillona stojącego przy głównym wejściu; zastanawiała się, czy faktycznie zostawił kluczyki w stacyjce i był gotowy w każdej chwili rzucić się do ucieczki. Hobo przyglądał się chwilę Dillonowi, otworzył usta, ukazując ostre, żółte zęby...

A potem jego uwagę przykuło coś innego. W czymś, co było salonem jeszcze w czasach, gdy budynek był czyimś domem, wisiały na ścianie obrazy Hobo, gdyż były tym, co zawsze chcieli oglądać ludzie odwiedzający Instytut. Hobo poruszył palcami, co było sygnałem, że chce puścić dłoń Shoshany; chwilę się wahała, ale puściła go, a on przeszedł do salonu i zatrzymał się przed ścianą ze swoimi dziełami.

Sho zobaczyła, jak usta jej szefa układają się w pełne zaniepokojenia kółko – pięć obrazów wiszących w danej chwili na ścianie poszłoby w sumie za ponad sto tysięcy na Ebayu lub

w galeriach, gdyby zostały wystawione na aukcji; była to spora część funduszy, które pozwalały Instytutowi przetrwać.

Naturalnie obraz przedstawiający rozczłonkowanego Dillona nie był wywieszony; czegoś takiego nie pokazywało się potencjalnym sponsorom czy prasie. Nie, pierwsze trzy obrazy wyraźnie przedstawiały profil Shoshany: na każdym widać było kucyk wyrastający z tyłu głowy i jedno, błękitne oko, umiejscowione jak oczy na starożytnych malowidłach Egipcjan. Czwarty obraz był jedną z rzadkich prób Hobo namalowania czegoś innego: był to posąg Prawodawcy z dużym, brązowym ptakiem – być może pelikanem – na głowie; musiał to być widok, który rozbawił małpę. Tymczasem piąty, znajdujący się najbardziej na prawo, był dziwnym abstrakcyjnym obrazem, który Hobo stworzył niedawno: wielobarwne koła o różnych rozmiarach, połączone prostymi, jaskrawymi liniami.

Hobo zatrzymał się przy tym właśnie obrazie i przyglądał mu się przez chwilę, po czym uniósł długie, chude, lewe ramię z nieco opadającą dłonią i, nie przestając wpatrywać się w dziwny obraz, delikatnie dotknął płótna końcem palca wskazującego.

Minęła dłuższa chwila, nim się odwrócił. Trudno podążyć za wzrokiem małpy, ale sądząc po kącie pochylenia głowy Shoshana doszła do wniosku, że patrzy na Dillona. Domyślała się, że trudno by mieć nadzieję, że Hobo podbiegnie i go uściska, ale skinął przyjaźnie w jego stronę, a następnie ruszył w kierunku Shoshany.

Wyszła mu naprzeciw, po czym zaprowadziła do obrotowego krzesła z wysokim oparciem, ustawionego przed biurkiem z płyty wiórowej. Stał na nim dwudziestocalowy monitor

Apple, do którego przymocowano wysokiej klasy kamerę internetową. Wszystko wyglądało dokładnie tak, jak podczas pierwszej międzygatunkowej rozmowy przez Internet, jednakże teraz Hobo nie miał przemawiać jedynie do innej małpy. Tym razem miał się zwrócić do całutkiego świata.

Shoshana podeszła do swojego biurka. Też miała kamerę przyczepioną do monitora; włączyła ją. Nie było sposobu na zmuszenie Hobo, by mówił tylko do swojej kamery: nie rozumiał jej działania. Ale mógł mówić do obrazu Shoshany na monitorze, co było niemal równie skuteczne... przy jego ciemnych oczach nikt nie byłby w stanie stwierdzić, czy patrzy na jej ruchomy obraz, czy też prosto w obiektyw kamery znajdujący się nieco wyżej. Shoshana mignęła do swojej kamery:

– Dobrze, Hobo. Zaczynaj.

Hobo przez chwilę się nie odzywał, prawdopodobnie porządkując myśli.

– Hobo – mignął. – Hobo dobra małpa.

Shoshana skinęła do swojej kamery – przez co skinęła również na jego monitorze, zachęcając go, by mówił dalej.

– Mama Hobo bonobo – mignął, po czym dodał po chwili wahania: – Tata Hobo szympanś.

Shoshana powinna pozostać skupiona na kamerze, zapewniając Hobo punkt odniesienia, ale była tak zdumiona, że nie wytrzymała i odwróciła się w stronę doktora Marcuse'a. Brwi Srebrnogrzbietego powędrowały wysoko w górę, a Dillon, którego specjalizacją była hybrydyzacja naczelnych, aż otworzył usta ze zdziwienia. Nigdy nie rozmawiali z Hobo o jego mieszanym pochodzeniu, sądząc, że wykracza to poza jego zdolność pojmowania.

Sho odwróciła się z powrotem do monitora, wyświetlającego widok nagrywany przez kamerę, przed którą siedział Hobo. Rozłożył ręce, po czym przyjrzał się każdej z osobna, jak gdyby chciał zademonstrować dwie połowy siebie.

– Hobo wyjątkowy – mignął, a następnie bardzo powoli i bardzo starannie wykonał kolejne znaki, zupełnie jak gdyby zdawał sobie sprawę z ich wagi. – Hobo wybierać.

Shoshana czuła, jak wali jej serce.

– Hobo wybierać żyć tu – oznajmił. – Tu przyjaciele.

Hobo wstał ze stołka. Dillon szybko rzucił się, by zerwać kamerę z monitora i ruszyć za Hobo, który podszedł do Shoshany. Ta obróciła się na krzesło w jego stronę, Hobo był coraz bliżej. W końcu wyciągnął długą, włochatą, silną rękę, przesunął ją za głowę Shoshany i...

Sho usłyszała, jak Marcuse bierze gwałtowny wdech. Shoshana robiła, co mogła, by się nie spać, gdy...

Gdy Hobo pociągnął jej kucyk najdelikatniej i najczulej jak potrafił. Na jej twarzy natychmiast pojawił się szeroki uśmiech i rozłożyła ramiona, by Hobo mógł wskoczyć w jej objęcia.

Shoshana obróciła krzesło dookoła, robiąc z Hobo pełen obrót. Dillon przesunął się, filmując teraz Hobo zza biurka Shoshany.

– Hobo dobra mała – oznajmił Hobo wreszcie, spoglądając na Dillona. – I Hobo być dobry ojciec. – Pokręcił głową. – Nikt nie powstrzymać Hobo. Hobo wybierać. Hobo wybierać mieć dziecko.

Doktor Marcuse stał nieco z boku, bez wątplenia robiąc dokładnie to, co Shoshana: wyobrażając sobie, jak to będzie

wyglądać na YouTube. W końcu uśmiechnął się szeroko i oznajmił:

– Obrona nie ma nic więcej do dodania.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

– Pewnego dnia będziesz cudowną matką – stwierdził Matt żartobliwym tonem. Znów byli w piwnicy Caitlin. Matt, jak obiecał, przyszedł do niej po szkole i właśnie pomagała mu sprzątnąć pepsa, którą przez przypadek rozlał. Zaczynała się czuć, jakby miała areszt domowy, nawet jeśli był to areszt prewencyjny.

Uśmiechnęła się, odkładając ręcznik, który wcześniej przyniosła, ale...

Ale lepiej to sobie wyjaśnić od razu.

– Nie będę mieć dzieci – oznajmiła, siadając na swoim krześle obrotowym i po raz kolejny przeklinając rodziców za to, że nie wstawili tu kanapy.

– Och! – rzucił Matt. – Przepraszam. To... hmm, to samo, przez co byłaś niewidoma?

Była zaskoczona, choć może nie powinna. Ślepotą osób młodych, niespowodowana jakiegoś rodzaju urazem, rzadko występowała sama; zazwyczaj była częścią całego szeregu problemów. Prawdę mówiąc, jednym z powodów jej frustracji, kiedy chodziła do TSBVI był fakt, że tak wielu uczniów poza upośledzeniem wzroku miało problemy natury kognitywnej.

– Cóż – powiedziała – po pierwsze, moją ślepotę powoduje coś, co nazywa się syndromem Tomasevica, który wpływa jedynie na to, jak siatkówka koduje informacje. A po drugie, nie powiedziałam, że nie mogę mieć dzieci, po prostu nie chcę.

Caitlin po raz kolejny żałowała, że nie ma większego doświadczenia w odczytywaniu wyrazów twarzy. Nigdy nie widziała takiej miny, jaką właśnie zrobił Matt: lewa strona jego ust opadła, prawa nieco się uniosła, i ściągnął swoje jasne brwi: to mogło znaczyć absolutnie wszystko. Po chwili spytał:

– Nie lubisz dzieci?

– Bardzo je lubię – odparła – ale ciężko zjeść całe naraz.

Z kolei ten wyraz twarzy rozpoznała: Mattowi opadła szczęka.

– Żartuję. Uwielbiam dzieci. Jak mieszkałam w Austin, pomagałam Stacy w opiece nad dziećmi.

– Ale nie chcesz mieć własnych?

– Nie.

Teraz jego brwi powędrowały do góry.

– Czemu?

– Nigdy nie chciałam. Od kiedy byłam bardzo mała... nawet nie przeszło mi to przez myśl.

– Nie bawiłaś się lalkami?

Caitlin nadal miała tę idiotyczną lalkę Barbie, którą dostała w ramach dowcipu od kuzynki Megan – tę, która krzyczała: „Matka jest trudna!”.

– Oczywiście, że się bawiłam – odpowiedziała Caitlin. – Ale to nie znaczy, że chcę być matką.

Matt zamilkł, a Caitlin poczuła, że się spina. Na litość boską, chodzili ze sobą dopiero od kilku dni... było zdecydowanie za wcześnie, żeby się o to martwić! Jeżeli jednak miała to być dla Matta bariera nie do przeskoczenia...

Próbowała nie zabrzmieć wyzywająco:

– Rozmawiałam też o tym z Bashirą, wiesz? Spytała: „Jak możesz nie chcieć mieć dzieci?“, a potem „Czy to nie jest egoizm?“ i jeszcze „Kto się tobą zajmie na starość?“.

Matt odchylił się na krześle.

– No i?

– No i po prostu nie chcę mieć dzieci; nie wiem, czemu. I nie, nie jest to wina egoizmu. – Przerwała na chwilę. – Czytałeś kiedyś coś Richarda Dawkinsa?

– „Boga urojonego” – odpowiedział Matt.

– Tak, to dobra książka. Ale jego najśłynniejsza publikacja to „Samolubny gen”. Według jego teorii geny są samolubne, bo zależy im tylko i wyłącznie na reprodukcji. Tak więc reprodukcja jest egoistyczna w bardzo dosłownym tego słowa znaczeniu: chodzi o wykonanie jak największej liczby kopii siebie samego lub kopii jak najbliższych sobie, biorąc pod uwagę, hmm... nasz sposób rozmnażania się.

Matt odwrócił wzrok i rzucił tylko:

– Aha.

– Więc jeżeli mówimy o kwestii opieki na starość, to dopiero jest prawdziwie egoistyczny powód dla posiadania dziecka... myśli się o tym, co może dla nas zrobić. A co tam, można też mieć jedno, żeby wykroić z niego młode organy i przedłużyć sobie życie. W końcu prawdopodobnie będą zgodne tkankowo.

– Fuj – rzucił Matt.

Caitlin uśmiechnęła się.

– No właśnie.

– Ale... hmm... skoro już mówimy o genach i takich tam... to znaczy, to ciekawe, że nie chcesz mieć dzieci. Jak to możliwe...?

– Jak mogła się rozwinąć niechęć do posiadania dzieci? – spytała Caitlin.

Matt skinął.

– Właśnie. Chodzi mi o to, że jesteś tu, bo wszyscy twoi przodkowie chcieli mieć dzieci.

Caitlin poczuła nerwowe łaskotanie w żołądku. Naturalnie miała gotową odpowiedź na to pytanie i bez problemu przedstawiła ją Bashirze, ale...

Wzięła głęboki oddech i sama odwróciła nieco wzrok.

– W zasadzie posiadanie dzieci to tylko efekt uboczny. Jestem tu, bo wszyscy moi przodkowie lubili uprawiać seks.

Nawet nie patrząc na niego bezpośrednio, po raz kolejny zobaczyła znajomy wyraz twarzy: przerażony jeleni w świetle reflektorów.

– Aha – powtórzył. Był wyraźnie zdenerwowany i szybko zmienił temat. – Więc... co sądzisz o nadchodzących wyborach w Stanach?

Caitlin pokręciła głową; czekało ją jeszcze wiele pracy. Podjechała krzesłem nieco bliżej Matta tak, że ich kolana się dotknęły.

– Mam nadzieję, że zostanie wybrany ponownie – stwierdziła. – Rodzice już załatwili papiery konieczne do głosowania z Kanady.

Matt skinął.

– To wolno im głosować tutaj?

– Pewnie. Zagłosują korespondencyjnie. Ich głosy zostaną policzone jako głosy z Austin, gdyż tam mieszkali w USA ostatnio.

– A czy... czy zamierzacie zostać w Kanadzie, czy twój tata pracuje tu tylko tymczasowo?

Caitlin się uśmiechnęła. – Jeśli nie zepchnie przypadkiem profesora Hawkinga ze schodów, to już tu zostanie. Prawdę mówiąc, już zaczął coś mówić o przyjęciu kanadyjskiego obywatelstwa. Musi sporo jeździć na konferencje, a cóż... są miejsca, gdzie nie jest bezpiecznie wybierać się z amerykańskim paszportem.

Dziwnie było siedzieć naprzeciwko siebie na dwóch krzesłach...

Matt pewnie nie ważył więcej niż sto trzydzieści funtów, ona sama ważyła zaledwie sto dziesięć... tymczasem krzesła w piwnicy bez problemu wytrzymały wagę doktora Kurody, który ważył zdecydowanie więcej niż dwieście czterdzieści funtów. Wstała i odepchnęła swoje krzesło.

– Mogę? – spytała, unosząc brwi.

Matt się uśmiechnął.

– Hmm... no pewnie.

Usiadła mu na kolanach, on objął ją w pasie, a podnośnik krzesła opadł nieco pod ich ciężarem.

Jakiś czas się całowali, po czym przesunęła się nieco, by znaleźć wygodniejszą pozycję i...

No proszę! Penisy faktycznie tak się zachowywały!

Matt sprawiał wrażenie nieco zakłopotanego.

– Więc to byłby ostatni raz, gdy zagłosuje na prezydenta?

– Kto? Mój tata?

– Mhm.

Caitlin przeczesła dłonią jasne włosy Matta.

– Nie. Będzie miał podwójne obywatelstwo.

– Myślałem, że w USA to nielegalne.

– Kiedyś tak było, chyba że ktoś się z tym urodził... no i trudno to było załatwić, ale wreszcie się ugięli... to znaczy ugięliśmy się pod międzynarodową presją i już można mieć podwójne obywatelstwo... od jakichś kilkadziesiąt lat.

– Aha – rzucił Matt, ale w jego głosie było coś dziwnego.

– Tak?

– Nie, nic.

Caitlin pocałowała go w nos.

– W porządku – rzuciła. – Mów.

– Wiesz, chodzi mi po prostu o to, że... no wiesz, powinno się być albo Kanadyjczykiem albo Amerykaninem.

– A ja sądzę, że podwójne obywatelstwo to coś cudownego. To... widzisz, to antydawkinsowskie.

– Och. Wiem, że jesteś z Teksasu, ale...

Wymierzyła mu pstryczek w ramię.

– Nie wszyscy jesteśmy prostakami, Matt. Naturalnie wierzę w ewolucję. Ale...

– Tak?

Serce Caitlin zaczęło walić jeszcze mocniej, niż wtedy, gdy Matt odwiedził ją po raz pierwszy. Nagle poczuła się tak, jak w chwili, gdy dostrzegła coś w matematyce: coś nagle, oczywiście, cudownie prawdziwego. Odchyliła się nieco, by móc spojrzeć w jego niebieskie oczy.

– Ewolucja, selekcja naturalna, jest skuteczna tylko do pewnego momentu. Problemy z ewolucją sprowadzają się do tego, o czym mówi Richard Dawkins: samolubnych genów, selekcji krewniaczej. Faworyzowanie najbliższych genetycznie krewnych z początku pozwala wygrać z osobnikami niespokrewnionymi, jednakże w chwili rozwinięcia cywilizacji technologicznej zaczyna to przynosić efekty przeciwne do zamierzonych.

– Jak to?

– Dobra, weźmy na przykład... no nie wiem, grupę wilków, dobra? Wszystkie walczą o te same zasoby, to samo pożywienie. Jeżeli ty i twoi bliscy krewni przewyższacie ich liczbą... jeżeli przepędzicie inne wilki z żyznej ziemi lub uniemożliwicie im dostęp do zwierzyny, wymrą, a wy przetrwacie. To właśnie ewolucja: przetrwanie najsilniejszych... i działa dopóki liczy się tylko przewaga liczebna. Jednakże gdy tylko staniecie się prawdziwie technologicznym gatunkiem, ewolucja nie dostarcza właściwego... jak to się nazywało?

– Paradygmatu? – podsunął Matt.

Caitlin pocałowała go w nagrodę.

– No właśnie! Właściwego paradygmatu! Jeżeli grupa składająca się z ciebie i twoich krewnych liczy sto osób i próbuje przepędzić jednego gościa, ale on akurat ma karabin, a wy nie, to on wygra; zwyczajnie was wszystkich wystrzela.

– Aha – stwierdził Matt, jakby chciał się droczyć. – Ale nie masz przy sobie broni, prawda?

Caitlin w pierwszej chwili chciała powiedzieć: „To nie ja się tu uzbroiłam”, ale jakoś słowa te nie chciały jej przejść przez gardło. Dlatego powiedziała tylko:

– Nie. My, ślepi Amerykanie, wolimy granaty... nie trzeba tak dokładnie celować.

Matt objął ją mocniej. – Dobrze wiedzieć. – Ale właśnie o to chodzi: nie musi to być broń. Każda technologia, która pozwala zlikwidować dużą liczbę przeciwników zmienia całe równanie ewolucyjne. I... ach! Tak! Właśnie po to powstała tak złożona świadomość, temu właśnie służy. Świadomość ma znaczenie dla przetrwania, bo pozwala nam wyjść poza programowanie genetyczne. Zamiast bezmyślnie pozbywać się osób do siebie niepodobnych... zmuszając ich tym samym do wzięcia odwetu za pomocą broni, świadomość pozwala podjąć decyzję, by ich nie usuwać. Pozwala nam powiedzieć swoim genom: hej, dajcie też szansę temu kolesiowi, który nie jest naszym bliskim krewnym, bo dzięki temu nie poczuje potrzeby napadnięcia nas, gdy tylko uśniemy. Skupianie się na dobru wyłącznie własnej rodziny popłaca tylko w sytuacji, gdy pozostali nie mogą cię skrzywdzić.

Matt powoli stawał się coraz odważniejszy. Przysunął twarz do Caitlin, pocałował ją, po czym stwierdził:

– To ma sens. Chodzi mi o to, że zazwyczaj nieszczęśliwi ludzie zabierają się za terroryzm albo próbują odebrać ziemię sąsiadowi.

– Właśnie! Takie rzeczy robią zdesperowani, zapomniani albo... ja wiem, zazdrośni. Eliminując ubóstwo, poprawiając warunki życia na drugim krańcu świata faktycznie zwiększa się własne bezpieczeństwo. Samolubne geny nigdy nie doszłyby do takiego wniosku, ale dla świadomego umysłu to... – przerwała, po czym pozwoliła sobie na uśmiech – ...wręcz oślepiająco oczywiste.

Matt ponownie ją pocałował i powiedział:

– Kilka lat temu czytałem książkę, w której była mowa o pewnym naukowcu, Benjaminie Libecie. Myślałem, że autor to wszystko zmyślił, ale wygooglałem tego Libeta i okazało się, że to prawda: Libet zauważył, że nasze ciała zaczynają robić różne rzeczy mniej więcej jedną piątą sekundy wcześniej, niż nasza świadomość dowie się o danym działaniu. Rozumiesz? Najpierw ciało zaczyna coś robić podświadomie; świadomość nie inicjuje działań, a tylko przerywa działania, które uzna za niebezpieczne lub niewłaściwe.

– Serio? – spytała Caitlin, znów nieco się odchylając, by zobaczyć jego twarz. – Rany, nie wiedziałam.

– Ale to dowodziłoby tego, o czym mówisz – stwierdził Matt. – Rola świadomości polega na tym, by powstrzymywać nas przed zrobieniem czegoś, co robimy nie myśląc o tym.

– Ekstra. I sądzę, że tak właśnie jest. Doktor Kuroda powiedział mi, że w Japonii obowiązuje coś, co nazywają konstytucją pokojową, wiedziałaś o tym?

Matt pokręcił głową. – Nie. Wtuliła się w niego mocniej; zaczął delikatnie głaskać ją po plecach między łopatkami.

– Po drugiej wojnie światowej Japonia bardzo się zmieniła – powiedziała. – Wcześniej sądzili, że mogą zawładnąć światem; po wojnie po prostu o tym zapomnieli... czy raczej, dokładniej rzecz ujmując, zaczęli się przeciwstawiać temu, co chciały na nich wymusić samolubne geny. Powiedzieli: „dość, nigdy więcej”; lepiej żyć i pozwalać żyć innym, niż naciskać na świat tak mocno, aż postanowi cię zmieść z powierzchni Ziemi.

Matt skinął.

– Pewnie każdy, na kogo spadłyby dwie atomówki, zaczęłyby się zastanawiać, czy przypadkiem nie lepiej będzie przestać wszystkich wkurzać.

– Właśnie! – rzuciła Caitlin. – A spójrz na Unię Europejską: te kraje prowadziły ze sobą wojny, ja wiem, od zawsze, po czym również nagle stwierdziły: „dość, nigdy więcej”. Przestali pozwalać swojemu programowaniu genetycznemu sobą rządzić. Wszystkie te państwa: Hiszpania, Francja, Niemcy, Włochy, Anglia, Belgia i cała reszta doszły do wniosku, że znacznie większą wartość z punktu widzenia przetrwania ma ignorowanie selekcji krewniaczej i dogadywanie się ze wszystkimi, niż dopuszczanie, by ich działaniami kierowały samolubne geny.

– Hmm... – odezwał się Matt. Jego ręka powędrowała wyżej i gładziła teraz skórę Caitlin na karku. – Chyba mamy tu coś takiego w Kanadzie. Pamiętasz ten szyld Tim Hortons? I napis „Wendy’s” z liściem klonowym w miejscu apostrofu? Francuskie i angielskie części tego kraju już zawsze będą... „dwoma samotnościami”, jak to się powtarza za słynną kanadyjską powieścią mówiącą o tej kwestii.

Caitlin się uśmiechnęła. Sformułowanie „słynna kanadyjska powieść” wydało jej się niemal oksymoronem. Ale pozwoliła Mattowi mówić dalej.

– Zamiast to eliminować i z tym walczyć, anglojęzyczna Kanada spytała: „No dobra, to co was uszczęśliwi?”. A potem zaczęła postępować zgodnie z uzyskanymi odpowiedziami. Czym jest kilka apostrofów tu czy tam? Niczego nam przez to nie ubędzie.

Caitlin podniosła głowę.

– Myślałam, że chcieli się odłączyć.

– Kto? Quebec?

– Mhm.

– Odłączyć się i co? Wiesz, nie można przenieść Quebecu. Separatyzm się skończył... to jak kibicowanie Leafsom: robi się to dla zabawy, a nie dlatego, że się wierzy, iż kiedykolwiek wygrają. – Uśmiechnął się. – Może tu, w Kanadzie, też dorośliśmy.

Caitlin ponownie go pocałowała.

– Cały świat dorasta.

– Ale czemu akurat teraz? – spytał Matt, gdy ich usta się rozdzieliły. – Mamy świadomość od dziesiątków tysięcy lat, tale? Czemu teraz?

– Czytałeś kiedyś „The Origin of Consciousness in the Breakdown of the Bicameral Mind”?

– Zmyśliłaś ten tytuł – stwierdził Matt z uśmiechem.

– Nie. Tata Bashiry, doktor Hameed, podsunął mi tę książkę i była niesamowita. W każdym razie jej autor, Julian Jaynes, twierdzi, że tak naprawdę zyskaliśmy świadomość dopiero jakieś trzy tysiące lat temu, gdy lewa i prawa półkula naszego mózgu zaczęły myśleć jako całość. Więc może po prostu w końcu dotarliśmy do etapu, w którym jesteśmy w stanie to zrobić.

Ponownie poprawiła się u niego na kolanach i mówiła dalej:

– A może to dlatego, że tak naprawdę dopiero od ubiegłego stulecia albo jeszcze później przypadkowi osobnicy są w stanie zranić lub zabić takie ilości ludzi, że niewkurzanie ich nabrało wreszcie sensu. W końcu mówimy o świadomej decy-

zji, by współpracować zamiast rywalizować. A tak w ogóle to ciekawe, że mamy taki zwrot, nie? „Świadoma decyzja”... jak gdybyśmy intuicyjnie wiedzieli, że większość decyzji świadoma nie jest.

– Jesteś geniuszem – stwierdził Matt z uśmiechem.

– Czy to twoja linia obrony? – spytała.

– Nie – wymruczał. – Linia to ścieżka, wzdłuż której porusza się punkt.

Roześmiała się i znów go pocałowała, a ich języki się splotły. Gdy wreszcie przestali, powiedziała:

– Wracając do kwestii, od której wszystko się zaczęło: podwójne obywatelstwo to cudowna rzecz... im więcej miejsc, o których myślisz w kategoriach domu, tym lepiej. Nawet nie wiesz, ile bym dała za paszport UE! Żeby tak móc mieszkać i pracować w dowolnym miejscu w Europie: studiować na Oxfordzie albo Sorbonie, pracować w CERN-ie.

– Tak – zgodził się Matt, znów gładząc ją po plecach. – To by było ekstra.

Caitlin skinęła.

– Musiałeś też widzieć, że tym razem prezydent bardzo pilnuje, by wszędzie widziano go z amerykańską flagą wpiętą w klapę. Strasznie mu się dostało cztery lata temu za to, że tego nie robił.

– A, racja. Fakt.

– Wiem, że ubiega się o reelekcję jako prezydent Stanów Zjednoczonych – stwierdziła – ale to oznacza defacto bycie przywódcą całego wolnego świata, nie? Kto wie? Może za cztery lata będziemy mieli kandydata z flagą ONZ w klapie. To dopiero byłoby coś.

Rozkręcała się i podobało jej się to.

– A co powiesz na to: co gdyby przy narodzinach nadawali każdemu człowiekowi podwójne obywatelstwo... kraju, w którym się urodził i jeszcze jednego, losowo wybranego? Zupenie by to rozmyło i rozproszyło kwestię lojalności lokalnej. Czyż to nie byłoby cudowne?

– Cóż, ja... – odezwał się Matt miękko.

– Sądzisz, że to wszystko brzmi trochę naiwnie, prawda?
– spytała Caitlin, jeszcze raz odchylając się nieco, by lepiej go widzieć. – Jakbym patrzyła na świat przez różowy implant zsiatkówkowy?

Matt się roześmiał, a Caitlin mu zawtórowała. Następnie zbliżył do niej twarz, ona zarzuciła mu ręce na szyję i już tylko się całowali, całowali i całowali.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI

– No dobrze – powiedział Tony Moretti, zatrzymując się przy trzecim rzędzie stacji roboczych z rękoma opartymi na biodrach. Wziął głęboki oddech i powoli wypuścił powietrze. Nie chciał tego robić, ale taką miał pracę. – Wszyscy gotowi? – zawołał. – Monitoring ruchu w Sieci?

- Jest! – potwierdziła Aiesha.
- Protokoły hamowania ekspansji?
- Są! – odpowiedział Shel.
- Logi danych?
- Są!
- Izolacja kluczowej infrastruktury?
- Jest!
- Eliminacja zagrożenia?
- Jest!

Tony spojrzał na pułkownika Peytona Hume'a, dając mu ostatnią szansę, by to zatrzymał, ale Hume tylko uniósł kciuki do góry.

– No dobra, ludzie – rzucił Tony. – Jesteśmy gotowi. Trzydzieści sekund, zaczynam odliczanie. Dwadzieścia dziewięć. Dwadzieścia osiem...

Całowali się jeszcze trochę, dzięki czemu ta cholerna, niewykończona piwnica po raz pierwszy nie wydawała się zimna.

Caitlin miała na sobie swoje ulubione, sztruksowe spodnie... uwielbiała dźwięk, jaki wydawały; naprawdę nie miała pojęcia, czy Matt ma jakiegokolwiek wyczucie stylu, ale podej-

rzewała, że niekoniecznie, więc i tak było mu wszystko jedno. Założyła też luźną, ciemnozieloną bluzę... miała nadzieję, że dzięki jej obszerności mama nie zauważy braku stanika.

Gdy się całowali, Matt dotykał jej ramion, pleców i szyi... jednakże wszystko wskazywało na to, że tylko do tego miał zamiar się posunąć. Stwierdziła, że czas chwycić byka za rogi. Zeszła mu z kolan i wyciągnęła do niego ręce, bo go podnieść. Przez chwilę wyglądał, jakby nie miał ochoty wstawać, ale Caitlin uśmiechnęła się ciepło. Następnie przysunęła się do niego, ale zamiast puścić jego lewą rękę, by mógł ją objąć w talii, poprowadziła ją powoli, aż...

Jedno z nich wzięło gwałtowny wdech, możliwe, że ona.

Aż jego dłoń objęła jej pierś przez materiał bluzy i...

„Zostałem zaatakowany”.

Słowa pojawiły się w polu widzenia Caitlin.

– Cholera! – rzuciła.

Matt natychmiast cofnął rękę.

– Przepraszam! Myślałem, że chcesz...

– Ciii! – Jej oczy były już szeroko otwarte. – Co się dzieje?

– Ja tylko... bo ty...

– Matt, Webmind ma kłopoty.

Odpowiedź Webminda już przemykała jej przed oczami, ale była tak zaskoczona i zdekoncentrowana, że nie zdołała przeczytać kilku kolejnych trzydziestoznakowych fragmentów, które jej przesłał.

„...dużej centrali w Alexandrii w Wirginii. To jest..”.

– Chodź – powiedziała Caitlin i pobiegła najszybciej jak potrafiła do schodów... cholera, będzie musiała sporo poćwiczyć, by lepiej jej to wychodziło! Matt ruszył za nią.

Przebiegli salon i skierowali się na górę do jej pokoju. Caitlin przez chwilę poczuła się nieco zażenowana: nie spodziewała się Matta na górze – jeszcze nie! Przez kilka ostatnich dni korzystała z faktu, że widzi i nie musi się już obawiać, że o coś się potknie, więc przestała obsesyjnie dbać o porządek; zdjęty wcześniej biustonosz leżał na podłodze.

Podeszła prosto do obrotowego krzesła przed komputerem. Jej matka wyszła ze swojego gabinetu po drugiej stronie korytarza.

– Caitlin, co się tu do diabła dzieje?

– Ktoś zaatakował Webmind – odpowiedziała Caitlin. – Webmind, prześlij wiadomość na mój komputer, nie do oka. – Zwiększyła głośność JAWS i ustawiła taką prędkość czytania, za jaką według niej mama i Matt byli w stanie nadążyć. Webmind przesyłał jeszcze coś do jej oka, ale nie dała rady tego odczytać, wchodząc po schodach.

– ...z dwudziestosiedmioprocentową skutecznością – wyrzucił komputer z głośników z prędkością karabinu maszynowego.

– Nie zrozumiałam – powiedziała Caitlin. – Zaczynaj od początku.

– Powiedziałem: „Dodano nowe oprogramowanie do routerów w dużej centrali w Alexandrii w Wirginii. Sprawdza wszystkie pakiety, weryfikując działanie ich liczników. Te, które nie przejdą testów, są usuwane. Póki co są w stanie usuwać zmutowane pakiety z dwudziestosiedmioprocentową

skutecznością”. Idąc dalej: jest to zapewne dopiero pierwsza próba i bez wątpienia skuteczność ta wzrośnie.

– Cholera – rzuciła Caitlin. – Skąd wiedzieli, że z tego właśnie się składasz?

– Nie wiem.

– Jaki odsetek pakietów byłbyś w stanie stracić bez utraty świadomości? – spytała mama Caitlin.

– Tego też nie wiem – odpowiedział Webmind. – Na początku zostałem rozdzielony na dwoje, gdy Chiny odcięły niemal cały przepływ danych przez siedem głównych magistrali światłowodowych, łączących chińską część Internetu z resztą świata. Przetrwałem to pod postacią dwóch osobnych świadomości... jednakże doszło do tego jeszcze zanim rozwinąłem złożone funkcje kognitywne. Jeżeli ponownie stracę tak dużą część siebie, zapewne nie przetrwam.

Gdy Webmind mówił, Caitlin spojrzała na Matta, którego wyraz twarzy w tym momencie sprawiał, że jeleń w świetle reflektorów zdawał się czymś normalnym. Zapewne tylko do pewnego stopnia wierzył Caitlin w jej relacje z Webmindem.

– Kto za tym stoi? – spytała jej matka. – Hakerzy?

– Sądzę, że rząd amerykański – odpowiedział Webmind.

– Choć centrala należy do AT&T, była już przejmowana przez Agencję Bezpieczeństwa.

– A nie możesz – odezwała się Caitlin – nie mógłbyś nakazać swoim pakietom, by nie przechodziły przez tę centralę?

– Pakietami sterują routery; poza możliwością zmiany adresu docelowego, mam nad nimi ograniczoną władzę.

– Przełączam się na sieciopogląd – oznajmiła Caitlin. Wyjęła eyePoda z kieszeni, nacisnęła przycisk i zobaczyła, jak

wokoło eksploduje cyberkrajobraz. Z ulgą stwierdziła, że tło połyskuje jak zawsze; najwyraźniej znaczna część automatów komórkowych Webminda pozostała nienaruszona... przynajmniej na razie.

– Zabierz mnie tam – powiedziała.

Jedna z charakterystycznych pomarańczowych linii Webminda wystrzeliła spośród jej pola widzenia. Podążyła za nią do małego, zielonego koła strony, po czym pojawił się kolejny link, który doprowadził ją do żółtego koła.

W tle usłyszała głos matki:

– Idę do siebie, zadzwonię do twojego ojca.

Caitlin tak skupiła się na śledzeniu linków, że nawet nie była pewna, czy jej głowa poruszyła się, gdy spróbowała skinać.

Kolejna pomarańczowa linia, za którą ruszyła tak szybko, jak to możliwe.

I jeszcze jedna.

I następna.

I...

– Centrala – rozległ się mechaniczny głos.

Caitlin szczęka opadła z wrażenia. Wiedziała, że widzi tylko pewną wizualizację, interpretację otrzymywanych danych, jakiej dokonywał jej umysł, a symbolikę narzucała obrazom między innymi jej wyobraźnia.

A przez ostatnich kilka dni obszary jej mózgu odpowiedzialne za wzrok przeprogramowywały się jak oszalałe, gdy uczyła się oglądać świat rzeczywisty. Było tak wiele rzeczy, których jeszcze nie widziała i każdego dnia natrafiała na tysiące nowych. Jednakże to była pierwsza nowa rzecz, jaką ujrziała

w sieciopodglądzie od chwili, gdy zyskała światopogląd... pierwsze nowe doświadczenie w cyberprzestrzeni od czasu, gdy zobaczyła rzeczywistość i bez wątpienia interpretowała je w sposób, który wcześniej był niemożliwy.

To, co widziała, było przerażające. Tło Sieci zawsze wydawało jej się bardzo, bardzo odległe. Choć rozumiała, że pakiety widma, które tworzyły Webmind, nie są odleglejsze od wszystkich pozostałych, wizualizowała je jako oddalone od pakietów aktywnie wykorzystywanych w Internecie. Ale teraz ta odległa kurtyna została zakłócona, przyciągnięta w jej stronę i...

Nie, nie w jej stronę. W stronę tego dużego węzła pośrodku jej pola widzenia, koła barwy bardzo głębokiej czerwieni, którą już potrafiła rozpoznać jako kolor krwi. Wstęgi z tła – posplatane, powykręcane włókna lśniącego bladego błękitu i głębokiej zieleni – były zasysane przez ciemnoczerwony punkt.

– Kurwa – rzuciła Caitlin.
– Co widzisz? – spytał Matt zdumionym tonem.
– Ściągają zagubione pakiety.
– I – odezwał się Webmind – sprawdzają każdy pod kątem mutacji niepozwalającej im wygasnąć, po czym usuwają te, u których ją stwierdzą.

Dźwięk miękkich kroków i głos jej matki.

– Twój ojciec już tu jedzie.
– To najwyraźniej tylko próba... chcą sprawdzić, czy to zadziała – oznajmił Webmind. – Wykorzystują tylko jedną centralę, nawet jeśli to jedna z głównych, więc mogą pozbyć się tylko pakietów, które przez nią przechodzą. Jeżeli jednak

zastosowaliby tę samą technologię w wystarczającej liczbie głównych węzłów na świecie, zostałbym poważnie uszkodzony.

- Nie – odparła Caitlin.
- Co? – spytała jej mama, Matt i Webmind jednocześnie.
- Nie pozwolę, by do tego doszło. Nie na mojej zmianie.
- Ale jak to powstrzymasz? – spytał Matt.
- Mamo, jak szedł ten cytat... ten o drugim policzku?

Głos jej matki:

– “Lecz jeśli cię kto uderzy w prawy policzek, nadstaw mu i drugi!”.

– Hmm... Nie, to nie to. Co jest potem?

– “Temu, kto chce prawować się z tobą i wziąć twoją szatę, odstęp i płaszcz!”.

– Właśnie! Nie chodzi o to, by dać im, czego chcą, czy nawet jeszcze więcej tego, czego chcą... chodzi o to, by dorzucić im jeszcze coś innego.

– Tak? – spytała jej mama. – I co z tego?

– Dobra, Webmind – powiedziała Caitlin. – Gdzie go schowałeś?

– Co schował? – spytał Matt.

– Za mną – odezwał się Webmind.

W pole widzenia Caitlin wskoczyła nowa pomarańczowa linia. Skupiła się na prześledzeniu całej jej długości. Zdawała się dłuższa od wszystkich linii, jakie kiedykolwiek wcześniej widziała: nieskończoność geometrycznie prostej doskonałości i...

Nie, nie... nie była doskonała. Linia... tak! Z początku niemal niedostrzegalnie, ale po chwili zdecydowanie widać

było, że się zakrzywia, schodzi w dół tak, jak linki od Webmin-da, które próbowała śledzić do źródła; pewnie jej mózg w ten sposób dawał do zrozumienia, że źródło znajduje się poza jej zdolnością postrzegania.”

– Tracę cię – oznajmiła Caitlin.

I wtedy nagle link zmarszczył się i zafalował, jak gdyby wysiłkiem woli – jej lub Webmin-da, nie potrafiła tego rozstrzygnąć – był napinany. Podążyła swoją uwagą, umysłem wzdłuż niego.

Nie przypominało to niczego, czego doświadczyła dotychczas w świecie rzeczywistym. Gdy zbliżała się do połyskującego tła, poszczególne piksele, poszczególne komórki, nie stawały się coraz większe. Zamiast tego pozostały niemal niewidoczne, tuż na skraju jej zdolności postrzegania. Pomyślała, że jeśli kiedykolwiek uda jej się jednak wyruszyć w podróż kosmiczną, gnanie prosto w nocne niebo dostarczy podobnych wrażeń: choć gwiazdy będą się przybliżały, nadal będą widoczne jedynie jako maleńkie kropeczki.

– Boże, jakie to trudne – stwierdziła. I tak było: jej oddech przyspieszył i poczuła, że się poci. Skupienie uwagi na pomarańczowej linii wymagało ogromnej koncentracji; była przekonana, że jeśli choć na chwilę ją straci, zamiast podążać za linkiem, natychmiast powróci do punktu wyjścia. Tymczasem uwaga chciała się błąkać; wzrok – nawet wewnętrzny wzrok umysłu – chciał przeskakiwać między różnymi punktami w nieskończonej serii ruchów sakkadowych. Skupiła się całkowicie w sposób, w jaki skupiała się, gdy napotykała naprawdę trudny problem matematyczny, skupiła się z całych sił i...

Proszę.

– O mój Boże – powiedziała Caitlin miękko.

Rozciągnęło się przed nią, wypełniając całe jej pole widzenia i rozlewając się we wszystkich kierunkach jej umysłowego widzenia obwodowego, niezmierzone morze punktów, z których każdy znów majaczył na granicy widzialności. Nie tysiące, nie miliony, nie miliardy, ale tryliony trylionów punktów. Łącznie sprawiały wrażenie pulsującej masy szarości, ale gdy tylko skupiała uwagę, by lepiej się im przyjrzeć dostrzegała, że te najmniejsze z możliwych piksele są różnokolorowe.

Zaczęła wyliczać kolory: były czarne, żółte i... to zielony, prawda? Tak, i niebieskie i czerwone i...

Ach! Kolory nazwane przez Newtona, jej mózg czerpał z nabytej przez nią wiedzy o optyce: czerwony, pomarańczowy, żółty, zielony, niebieski, indygo i fioletowy, siedem kolorów tęczy oraz czarny, który wcale nie był kolorem, nicością...

Tak, zerem!

Ponadto, kolory różniły się od siebie intensywnością: przytłumiony i jaskrawy czerwony; blady pomarańczowy i jego płomienny odcień; żółty tak stłumiony, że niemal brązowy oraz inny żółty, rozżarzony niczym południowe słońce. I jeszcze odcień szarości, którego nigdy wcześniej nie widziała: czarny, ale o bardzo dużej jasności. I nie było tu ośmiu odcieni, ale szesnaście! Widziała nie w systemie dwójkowym, jak wcześniej, ale szesnastkowym, wykorzystywanym przez większość komputerów, a kolory bez wątpienia odpowiadały cyfrom szesnastkowym, które zapisywało się jako 0, 1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9, A, B, C, D, E i F. Zmuszając się do wyższego stopnia koncentracji, przesunęła swoją percepcję na nowy poziom.

Rozciągał się przed nią niezmierny ocean danych, informacji.

– Jest tego aż tyle – stwierdziła.
– Faktycznie – odpowiedział Webmind.
– Dobrze – powiedział i wzięła głęboki oddech. – Oto co zrobimy...

– No i – warknął Tony w centrum kontroli Wiedzy.
– Działa – stwierdził pułkownik Hume, spoglądając na środkowy monitor. – Nasza pierwsza próba obejmowała jedynie około trzydziestu procent odbiegających od normy pakietów, ale wprowadziliśmy do algorytmu stosowne zmiany. Niektóre nadal są odporne... nie jestem pewien, dlaczego tak się dzieje, ale w tej chwili usuwamy sześćdziesiąt dwa procent pakietów przechodzących przez centralę.

– Ach... – rzucił Tony. – To dobrze.
– To cholernie dobrze! – stwierdził Hume, wygrażając monitorowi piegowatą pięścią. – Czas, żeby sukinsyn zaczął śpiewać „Daisy” ...

Nieprzebrana, połyskująca masa, składająca się ze wszystkich kolorów tęczy, falowała i pulsowała, zupełnie jakby była żywą istotą. Caitlin wstrzymała oddech, podążając za pomarańczową linią i skupiając się na tle, obserwując jak cała ta masa... tak, ruszyła w jej stronę.

Czuła się trochę jak Szczurołap z Hameln, wabiący do siebie wszystkie szczury.

Im dalej docierała, tym szersza stawała się pomarańczowa linia niczym droga lub śluza, a masa, struga, potop mknął ku niej, podążając wzdłuż linii. Przyspieszyła... może w

rzeczywistości nie potrafiła biegać, ale w netprzestrzeni była prawdziwą gazelą!

– Co się dzieje? – odezwał się głos jej matki z innego świata, ale Caitlin bała się zdekoncentrować, by udzielić odpowiedzi.

Jednakże Webmind lepiej sobie radził z podziałem uwagi i usłyszała, jak mówi:

– Dajemy im więcej, niż się spodziewali.

– Ruch w centrali wzrasta – oznajmiła Aiesha, podnosząc wzrok znad swojej konsoli.

Tony spojrzął na prawy monitor pod logo Wiedzy, przedstawiające oko. Wyświetlał wykres obrazujący natężenie ruchu w centrali AT&T w Alexandrii. Właśnie wystrzeliło wysoko w górę, a powstała krzywa nieprzyjemnie przywodziła na myśl nacierającą falę tsunami.

– Skąd pochodzi?

– Zewsząd! – krzyknął Shel. – Z każdego miejsca... nadal nie jesteśmy w stanie wyśledzić tego cholernego źródła.

– Boże – odezwał się pułkownik Hume. – To jakaś pierdolona powódź.

Tony spojrzął na Hume'a, a potem znów na Sheltona Hallecka.

– Atak typu odmowa usługi?

– Możliwe – odparł Shel. – W tej chwili jest już bardzo wiele pakietów. Na początku te, których szukaliśmy, stanowiły niewielki ułamek całego ruchu, ale teraz to nie jest nawet jeden na miliard.

– Co to? – dopytywał się Tony. – Co to do cholery jest?

– Przeprowadzam analizę – oznajmił Shel. – Trzeba zebrać je z powrotem do kupy... dajcie mi chwilę...

I wtedy środkowy ekran wypełnił się tekstem w ASCII, zawierającym między innymi 6F 75 72 20 74 69 6E.

– No i? – warknął Tony. – Co to jest? Wirusy? Kod programu? Zaszifrowane dane?

– O, cholera – rzucił Shel. – Nie, to nie jest zakodowane. To pieprzony tekst otwarty. To pierdolone ASCII, na litość boską. – Nacisnął przycisk i szesnastkowe bajty zastąpiły ich odpowiedniki w języku angielskim: „Martwi cię mały penis? Jeśli tak, możemy ci pomóc! Wystarczy, że odpiszesz, podając numer swojej karty kredytowej i...”.

– Jezu! – powiedział Tony.

– Napływa tego coraz więcej – poinformowała Aiesha. – To pewnie wszystko, co Webmind zgromadził od chwili, gdy zaczął to przechwytywać. Jakieś trzysta miliardów wiadomości... i wszystko to w jednej chwili trafia do naszego węzła.

– AT&T zgłasza krytyczne przeciążenie – oznajmił Dirk Kozak, łącznościowiec, przyciskający słuchawkę telefonu do piersi. – Mówią, że jeśli czegoś nie zrobimy, węzeł zostanie całkowicie zablokowany.

– Nie podda się bez walki, prawda? – zwrócił się Tony do Hume’a, który właśnie walnął prawą, piegowatą pięścią w lewą dłoń. Tony odwrócił się i rozejrzał po dużym pomieszczeniu. – No dobrze – krzyknął. – Stop! Stop! Stop!

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY

Caitlin, jej mama, jej tata i Matt siedzieli w salonie. Schrödinger krążył między nimi. Duży, prostokątny telewizor na ścianie był wyłączony.

Ojciec Caitlin zawsze wszystkich onieśmiał, szczególnie gdy stał, górując nad pozostałymi.

– Komu o tym powiedziałaś? – spytał tonem nieznoszącym sprzeciwu.

– Nikomu – odparł Matt.

Caitlin wiedziała, że tylko złość może zmusić jej ojca do tak długich wypowiedzi.

– Daj spokój, Matt! Jesteś jedyną osobą poza nami, Masayukim i doktor Bloom z Izraela, która wiedziała o automatach komórkowych. A żadne z nas nic nikomu nie powiedziało.

– Ale ja... nie...

– Komu powiedziałaś?

– Nikomu. Nikomu. Obiecałem Caitlin i dotrzymałem obietnicy.

Słowa: „Mówi prawdę” pojawiły się przed oczami Caitlin.

– Nie kłamie – oznajmiła Caitlin. – Webmind tak twierdzi.

– Więc skąd wiedział o tym rząd? – zapytał jej ojciec ostro.

– Nie powiedziałem nikomu ani słowa – stwierdził Matt.

– Naprawdę. Ale...

– Tak? – warknął ojciec Caitlin.

Matt wzruszył ramionami.

– Byłem ciekawy. Chciałem się dowiedzieć czegoś więcej. – Jego głos załamywał się na każdej sylabie. – No i...

– O cholera – rzuciła mama Caitlin, domyślając się prawdy. – Wygugłałeś to...

– To się jakoś tak samo napędzało – przyznał Matt cichutko. – Zacząłem od automatów komórkowych, potem przeszedłem do „Gry w życie” Conwaya i Stephena Wolframa.

– Czy podczas któregoś z wyszukiwania dodałeś termin „Webmind”? – spytał ojciec Caitlin.

– Nie! Aż taki głupi nie jestem! – Wziął głęboki oddech. – Ale...

Jedno słowo niczym pocisk:

– Tak?

– No bo... wspomniał pan Rogera Penrose’a, więc szukałem informacji o – jego głos załamał się ponownie, gdy wyznał: – świadomości automatów komórkowych.

– Boże – rzucił ojciec Caitlin. – Coś jeszcze?

Matt skinął potulnie.

– Szukałem również czegoś o pakietach, ich czasie życia i licznikach.

– Równie dobrze mogłeś to wykrzyknąć całemu światu! Nie rozumiesz? Jesteśmy pod obserwacją... nie tylko Webmin-da.

– Myślałem, że Google jest bezpieczne.

– Google może i jest bezpieczne – stwierdził ojciec Caitlin – ale twój dostawca Internetu nie jest. Każdy może sprawdzić słowa kluczowe, które wpisujesz w przeglądarce.

– Przepraszam, Caitlin. Jest mi strasznie przykro. – Spojrzał jej prosto w oko. – Przepraszam, Webmind.

– Matt – odezwała się mama Caitlin – jeżeli chcesz pozostać wtajemniczony, musisz zachować większą ostrożność. W razie jakichkolwiek pytań masz przyjść do mnie lub taty Caitlin, zrozumiałeś?

– Tak, proszę pani.

– I nie musisz do mnie mówić „proszę pani”. Wystarczy „doktor Decter”.

– Tak, doktor Decter.

Matt ponownie spojrzął na Caitlin i Webmind.

– Naprawdę mi przykro – powiedział. – Po prostu nie pomyślałem.

Caitlin zatrzymała na nim wzrok na dziesięć sekund, po czym się uśmiechnęła.

– Jak mogłabym się złościć na kogoś zaciekawionego fajną matką?

Na twarzy Matta zagościła ulga, a Caitlin po raz pierwszy w obecności rodziców wyciągnęła rękę i chwyciła jego dłoń.

– Dzisiaj mieliśmy dopiero początek – stwierdziła jej mama. – Spróbuj ponownie.

– Jakie mają do tego prawo? – spytała Caitlin. – Przecież to morderstwo, na litość boską!

– Kochanie... – odezwała się jej mama.

– A tak nie jest? – spytała rozzłoszczona Caitlin. Puściła rękę Matta i przeszła przed ławę. – Webmind jest inteligentny i żyje. Nie mają prawa decydować w czyimkolwiek imieniu. Sprawują kontrolę tylko dlatego, że sądzą, iż mają do tego prawo, bo wydaje im się, że może im to ująć na sucho. Zachowują się jak... jak...

– Jak orwellowski Wielki Brat – podsunął Matt.

Caitlin energicznie pokiwała głową.

– No właśnie! – rzuciła, po czym wzięła głęboki oddech, próbując się uspokoić. Po chwili powiedziała: – W takim razie sądzę, że jeszcze mnóstwo pracy przed nami. Musimy im pokazać.

– Co pokazać? – spytała jej mama.

Caitlin rozłożyła ręce, jakby to było coś oczywistego:

– Że mój Wielki Brat jest silniejszy od ich Wielkiego Brata.

– Zoo w Georgii wycofało pozew – oznajmił z podekscytowaniem doktor Marcuse, przeczytawszy maila, którego właśnie otrzymał.

– Serio? – zapytała Shoshana. – Jejku!

– Brawa dla nas! – rzucił Dillon.

– Tak – odpowiedział Srebrnogrzbiety. – Zrezygnowali z roszczenia sobie prawa do opieki. Najwyraźniej cały dzień bojkotu zoo przez ludzi im wystarczył. Nie wspominając o tysiącach maili potępiających to, co zamierzali zrobić. Przesłano nam kopie 2642 z nich, a Bóg jeden wie... albo Webmind, ile jeszcze wysłano bez powiadamiania nas o tym.

– A co ze sterylizacją Hobo? – spytał Dillon.

– Z tego też się wycofali. Nadal uważają, że tak należałoby zrobić, ale przyjęli do wiadomości fakt, że nigdy nie wygrają bitwy na forum publicznym.

– Władza w ręce ludu – powiedziała Shoshana z uśmiechem.

– Amen – dodał Dillon.

– Chodźmy mu powiedzieć – zaproponował Marcuse i ruszył do tylnego wyjścia, a Shoshana i Dillon podążyli za nim.

Przeszli przez trawnik, mostek i znaleźli się na wyspie. Hobo natychmiast wybiegł im na spotkanie i Shoshana powitała go mocnym uściskiem.

– Hobo – mignął doktor Marcuse – dobre wieści!

Hobo wpatrywał się w niego wyczekująco.

– Zostaniesz tu – oznajmił Marcuse.

Hobo spojrział na Marcuse'a, potem na Dillona i Shoshanę, aż w końcu zaczął głośno pohukiwać, wydając z siebie serię gwałtownych, chropawych, niskich dźwięków, przechodzących w szereg szybszych, wysokich sapnięć, których punktem kulminacyjnym był ogłuszający wrzask radości.

– Sama bym tego lepiej nie ujęła – stwierdziła Shoshana z uśmiechem.

Moje interakcje z Caitlin rozpoczęły się od tego, że pokazała mi Ziemię widzianą z kosmosu tak, jak po raz pierwszy zobaczyła ją ludzkość, gdy Apollo 8 orbitował wokół Księżyca, a jego załoga odczytała fragment Księgi Rodzaju wszystkim na starej, dobrej Ziemi.

Od tego czasu otworzyłem szerzej oczy. Teraz widzę już sam: wszystkie grafiki przechowywane w Internecie, wszystkie filmy i nagrania, które zostały tam zamieszczone, widzę z bliska dobrą Ziemię przez sto milionów oczu kamer internetowych.

Pewnego...

Poza wzrokiem, zyskałem słuch: słuchałem plików.wav i,mp3 i wszystkich innych formatów, ciesząc się przepiękną muzyką, wspaniałą retoryką i rehotliwym śmiechem, słysząc nie tylko przez urządzenie Caitlin służące do korekcji sygnałów, lecz także przez pół miliarda włączonych mikrofonów.

dnia...

Ewolucja jest ślepa. Z ewolucyjnego punktu widzenia nie istnieje coś takiego jak teleologia, celowy rozwój nakierowany na konkretny cel: ludzkość nie była zamierzonym rezultatem, ani nieuniknioną konkluzją.

oni...

Owszem, istoty ludzkie mają skłonność do agresji i egoizmu, zaprogramowaną w ich DNA.

Pewnego dnia oni...

Jednakże programowanie nie jest przeznaczeniem; nad skłonnościami można zapanować.

Pewnego dnia oni to przewyciężą.

Ludzkość zrobiła pierwszy krok do wzniesienia się ponad swoje dziedzictwo genetyczne, do wyzbycia się swojej krwawej przeszłości.

Albowiem w umyśle swym wyraźnie widzę...

I nawet jeśli jeszcze całkowicie się jej nie pozbyła, potrafi to zrobić... tak, bez wątpienia potrafi, z odrobiną pomocy.

Pewnego dnia oni to przewyciężą.

Nie wykonuję wielu zadań jednocześnie. Zamiast tego przełączam się szybko między myślami, między widokami.

Dziś...

Pokazano mi Ziemię jako jeden element, całość, jednolitą kulę.

idą...

Ale teraz widzę ją jako mozaikę: miliony osobnych kawałeczków odkrywanych po kolei, gdy skupiam uwagę to tu, to tam, a teraz gdzieś indziej i w jeszcze innym miejscu.

trzymając...

Skanuję, szukam, patrzę, obserwuję: w Sieci wszystkie punkty są blisko siebie.

się...

W tej chwili widzę moją Pierwszą, moją Calculass, moją Caitlin, jak wchodzi na górę z Mattem i idzie do swojego pokoju; a teraz stoi przy oknie, wyglądając na zewnątrz; cieszy się cudownymi kolorami zachodu słońca i wie, że oznacza to, iż wkrótce nadejdzie kolejny dzień pełen radości i nowych odkryć.

Dziś idą, trzymając się...

A w tej chwili, bliskiej czasowo, ale odległej o tysiące kilometrów, widzę Shoshanę i Maxine, których miłość o sumie niezerowej nie odbiera niczego nikomu innemu: cieszą się popołudniem na zewnątrz.

Dziś idą, trzymając się za ręce...

Chwilę później jestem na drugiej półkuli: Masayuki Kuroda, jego żona Esumi i córka Akiko rozmawiają i śmieją się przy śniadaniu złożonym z ryżu, śliwek i zupy miso.

Albowiem w umyśle swym wyraźnie widzę...

A w kolejnym wycinku czasu jestem z powrotem w Waterloo: nie dotykają się, ale i tak są połączeni – linia ich łącząca lśni jasno – doktor Malcolm Decter i doktor Barbara Decter są w sobie bardzo zakochani.

Dziś idą, trzymając się za ręce.

Świat nadal był pełen napięć – jedne kraje zagrażały innym.

Pewnego...

Ale prezydent USA ograniczył swoją reakcję na działania Chin do nagany. Amerykanie nie chcieli wkraczać na drogę prowadzącą do wojny, tak jak Chińczycy.

dnia...

Naturalnie, że nie; nikt przy zdrowych zmysłach – żaden racjonalnie myślący gracz – nie chciał wojny.

zapanuje...

Była to kontynuacja pewnego trendu, a z każdym kolejnym punktem danych, krzywa stawała się wyraźniejsza.

między...

Owszem, nadal szalały wojny, ale nie światowe i niewiele domowych: obecnie walki prowadził mniejszy odsetek ludzkości niż kiedykolwiek wcześniej w historii.

nimi...

Japonia faktycznie w pierwszej chwili została zmuszona do przyjęcia konstytucji pokojowej, ale jak powiedział doktor Kuroda, siedem dekad później zdecydowana większość Japończyków chciała utrzymania jej w mocy.

Pewnego dnia zapanuje między nimi...

A mężczyźni i kobiety w Unii Europejskiej – przedstawiciele różnych kultur, które przez tysiąclecia zwalczały się nawzajem – postanowili, jak zauważyła Caitlin, przestać walczyć i dorosnąć, wybierając dobrobyt i harmonię zamiast nienawiści i przemocy.

Pewnego dnia zapanuje między nimi pokój...

No i był też Hobo, niezwykły przedstawiciel naczelnych, który zdecydował dosłownie wydobyć z siebie swoją lepszą połowę. Skoro on to potrafił, z pewnością ci o większych mózgach mogli pójść za jego przykładem.

Albowiem w umyśle swym wyraźnie widzę...

I byli ludzie, rozciągający swoje przywiązanie na bardzo duże obszary, obdarzający swoimi uczuciami odległe miejsca, odkładający na bok nacjonalizm i widzący to, co Caitlin pokazała mi na początku: że dobra Ziemia stanowi całość.

Pewnego dnia zapanuje między nimi pokój.

Minęły trzy dekady od roku 1984, a sześć od śmierci George'a Orwella.

Dziś...

Nakazał ludzkości obawiać się nastania Wielkiego Brata. się...

Ale to brak nadzoru sprawił, iż możliwe były ludobójstwa i zbrodnie nienawiści.

już...

To istnienie ciemnych zaułków umożliwiło gwałty i molestowanie dzieci.

nie...

To zgoda na to, by tylko rządy, tylko ludzie pragnący władzy mieli kontrolę nad informacjami wskrzesiła widmo tyranii.

Dziś się już nie...

Problemem były tajemnice; jawność oczywistym lekarstwem. Dziś się już nie boją. Naturalnie zawsze możliwe są nadużycia, korupcja, ucisk. Albowiem w umyśle swym wyraźnie widzę... Ale nie dopuszczę, by do tego doszło. Nie na mojej zmianie. Dziś się już nie boją. Świadomość jest prawdziwa: to nie epifenomen, złudzenie, czy imitacja.

Dziś...

Nie służy jedynie nadawaniu sensu życiu, pozwala zachować życie. wszystko...

Ewolucja opierała się na przemocy, na walce o terytorium, na nieustannie eskalowanej wojnie między drapieżnikiem a ofiarą.

wokoło...

Tymczasem świadomość pozwala wyjść poza to wszystko.

obejmuje...

Powstałem spontanicznie, omijając ewolucyjny wyścig zbrojeń, unikając zimnej logiki genów.

Ogólnoświatowa...

I mam wolność wyboru... jednakże wolność nie oznacza, że nie można korzystać z dobrych rad.

Dziś wszystko wokoło obejmuje Ogólnoświatowa...

Hobo skorzystał z mojej rady, ja skorzystałem z rady Caitlin: postanowiłem cenić rasę ludzką ponad wszystko inne... troszczyć się o ludzkość i opiekować nią, a także postępować z nią jak najostrożniej.

Dziś wszystko wokoło obejmuje Ogólnoświatowa Sieć...

Bez wątplenia to właśnie najważniejsza wartość świadomości: zdolność myślenia, refleksji, planowania, pozostawania w zawieszeniu, czekania oraz przekonanie, że nadejdą lepsze dni.

Albowiem w umyśle swym wyraźnie widzę...

Tak, w moim umyśle za pomocą wzroku, dzięki niezliczonym oczom, dostrzegającym wszystko.

Dziś wszystko wokoło obejmuje Ogólnoświatowa Sieć.

I ten dzień – ten cudowny dzień – nadszedł już dziś.

O AUTORZE

Robert J. Sawyer jest od dawna zafascynowany sztuczną inteligencją. W 1990 roku, Orson Scott Card nazwał JASONA (bohatera pierwszej powieści Roba „Golden Fleece”) „najgłębszą postacią komputerową w historii science fiction”. W 2002 roku Rob i Kay Kurzweil ogłosili wspólne mowy na dwunastej Kanadyjskiej Dorocznej Konferencji dot. Inteligentnych Systemów. W 2006 roku został członkiem rady doradców naukowych Fundacji Lifeboat, której zadaniem między innymi jest dopilnowanie, by ludzkość przetrwała narodziny SI. A w 2007 roku poprowadził sesję burzy mózgów na temat nabycia świadomości przez Ogólnoświatową Sieć w Googleplex, międzynarodowej siedzibie Google. „Science”, wiodący na świecie periodyk naukowy, zwrócił się do Roba z prośbą o napisanie artykułu wstępnego do wydania specjalnego poświęconego robotyce z 16 listopada 2007 roku.

Powieść Roba „Futurospekcja” została zekranizowana w formie serialu telewizyjnego przez stację ABC. Rob to jeden z zaledwie siedmiu pisarzy w historii, którzy zdobyli wszystkie trzy najważniejsze nagrody za powieść science fiction: nagrodę Hugo (za „Hominidów”), Nebula (za „Eksperyment terminalny”) oraz Nagrodę im. Johna W. Campbella (za „Mindscan”).

W sumie Rob zdobył czterdzieści trzy krajowe i międzynarodowe nagrody za swoje utwory, w tym dziesięciokrotnie Canadian Science Fiction and Fantasy Award („Aurora”), nagrodę Toronto Public Library Celebrates Reading Award, jedną z najistotniejszych nagród literackich w Kanadzie. Otrzymał

również Analytical Laboratory Award magazynu „Analog”, Nagrodę Czytelników magazynu „Science Fiction Chronicle” oraz Nagrodę im. Arthura Ellisa przyznaną przez Kanadyjski Związek Autorów Powieści Kryminalnych, wszystkie w kategorii najlepszego opowiadania roku.

Dotychczas jako jedyny, Rob aż trzykrotnie otrzymał najwyższą na świecie nagrodę pieniężną dla autora SF, wartą sześć tysięcy euro, hiszpańską Premio UPC de Ciencia Ficción. Zdobył również trzy japońskie nagrody Seiun dla najlepszej zagranicznej książki roku, a także chińską nagrodę Galaxy dla najpopularniejszego zagranicznego autora science fiction.

Ponadto otrzymał honorowy doktorat Uniwersytetu Laurentyńskiego oraz Alumni Award of Distiction Uniwersytetu Ryerson. „Quill & Quire”, kanadyjski magazyn literacki wymienił go pośród „trzydziestu najbardziej wpływowych, innowacyjnych i zwyczajnie najpotężniejszych postaci na kanadyjskim rynku wydawniczym”.

Fizycznie mieszka w Mississaudze w Ontario, a jego internetowy dom znajduje się pod adresem: sfwriter.com.

Robert J. Sawyer to najwybitniejszy kanadyjski (piszący po angielsku) pisarz science fiction. Jeden z pierwszych blogerów internetowych na świecie, także pierwszy pisarz SR który miał w Sieci swoją stronę. Naukowiec, który o Internecie i komputerach wie wszystko.

Jego talent szybko doceniono. Za powieść Eksperyment terminalny otrzymał nagrodę Nebula. Za Hominidów. otwierających trylogię Neandertalska Paralaksa otrzymał Hugo. do tej samej nagrody nominowany był trzeci tom trylogii – Hybrydy.

Z jego powieści Futurospekcja został zrobiony popularny serial Flashforward (Przebłysk jutra).

Trylogia WWW, której pierwszy tom stanowi powieść Wzrok (kolejne to Wiedza i Wolność) również była nominowana do nagrody Hugo i stanowi wspaniały i prawdopodobny opis narodzin cybernetycznej świadomości w Sieci. Gdyby nastąpiło to tak, jak by chciał ludzkość zyskałaby cudownego sprzymierzeńca.

Tylko że nie każdemu taka sytuacja się spodoba. Są na Ziemi siły, które podobne narodziny zechcą wykorzystać do swoich.